

G R A H A M
MASTERTON

Dzieci
zapomniane
przez Boga



G R A H A M
MASTERTON

Dzieci
zapomniane
przez Boga

Przełożył Piotr Kuś



Dom Wydawniczy **REBIS**

– *Oluwa mi o!* O mój Boże!

Chiasoka prowadziła samochód tuż za czerwonym autobusem linii 177, kiedy poczuła straszliwy ból w brzuchu. Odniosła wrażenie, że dwudziestopięciocentymetrowy nóż do krojenia mięsa wbił się w jej ciało, tuż pod pępkiem, aż po samą rękkojeść.

Pochyliła się na kierownicę. Jej stopa ześlizgnęła się ze sprzęgła i mini skoczyło gwałtownie do przodu, rozbijając reflektory o tył autobusu.

Ale Chiasokę skręcał tak potworny ból, że tego nie usłyszała. Niczego także nie widziała. Po początkowym wrażeniu, że ktoś dźgnął ją nożem, teraz zdawało się jej, że wielki mikser obraca jej wnętrzności, płacze je i rozplątuje, prostuje i rozciąga. Zwymiotowała na kierownicę jajecznicą z bananem, którą zjadła na śniadanie, a jej trzewia wyrzuciły niewielki strumień kału. Samochód Chiasoki otaczało już sześciu czy siedmiu przechodniów, a kierowca autobusu zaczął oglądać, jakie spowodowała szkody. Ona jednak miała zamknięte oczy, z całej siły zaciskała zęby i czuła, że za chwilę pochłonie ją nieskończona ciemność – zwiastun śmierci.

Dotarło do niej, że ktoś otworzył drzwi i powiedział:

– Ludzie, popatrzcie na tę kobietę. Ona jest poważnie chora. Niech się pani trzyma, zadzwonię po pogotowie.

– Muszę... muszę... – zdołała wyszeptać Chiasoka.

– Co pani musi, kochana? Niech się pani niczym nie martwi, już wezwaliśmy pomoc i... właśnie przyjechała policja.

– Muszę odebrać córkę... ze szkoły.

– Niech się pani tym nie przejmuje, kochana. Powiem o tym gliniarzom. Zaopiekują się pani córką. Do której szkoły chodzi?

Chiasoką szarpnął kolejny spazm, tak silny, że podskoczyła i uderzyła czołem w kierownicę. Jeden z mężczyzn przytrzymał jej ramiona i rzucił:

– Niech się pani stara nie ruszać, dobrze? Mam nadzieję, że zaraz przyjedzie karetka.

– Do szkoły podstawowej imienia Johna Donne’a – wymamrotała Chiasoka. – Córka ma na imię Daraja.

Ból na chwilę zelżał, wciąż jednak miała wrażenie, że przewalają się jej wnętrzności i że nawet fotel kierowcy się obraca, powiększając jej straszny dyskomfort. Na kilka sekund otworzyła oczy i wtedy zobaczyła pulchną blondynkę, policjantkę, która z zatroskaną miną pochylała się nad nią.

– Jak się nazywasz, kochana? – spytała.

– Chiasoka. Chiasoka Oduwole. Mieszkam przy Lugard Road. To ostatni dom przy skrzyżowaniu z Bidwell Street.

– Masz przy sobie telefon? Możemy się z kimś skontaktować?

– Z moją kuzynką. Mieszkamy z nią. Ma na imię Abebi. Telefon... jest tutaj... w kieszeni.

Chiasoka usłyszała syrenę zbliżającej się karetki. Chciała powiedzieć policjantce nazwisko kuzynki, ale znowu zaatakował ją tak wściekły ból, że zeszytniała od stóp po czubek głowy. Zacisnęła dłonie na kierownicy, a zęby wbiła w dolną wargę tak mocno, że chwilę później po jej brodzie popłynęła struga krwi.

Jak przez mgłę dotarło do niej jeszcze, że policjantka rozpięła jej pas bezpieczeństwa. Po chwili zemdląła i ogarnęła ją całkowita ciemność.

Kiedy otworzyła oczy, leżała na łóżku szpitalnym, ubrana w kwiecistą koszulę nocną i luźne białe skarpety. Znajdowała się w izolatce z umywalką i dwoma krzesłami. Przez okno widać było bezlistne drzewa, brązowe dachówki na dachu jakiegoś budynku i niskie czarne chmury.

Przesunęła dłonią po brzuchu. Wciąż był miękki i obrzmiały, ale okropny ból, który zaatakował ją w samochodzie, ustał. Ułożyła się na chwilę na lewym boku, po czym usiadła, natychmiast jednak zakręciło jej się w głowie. Poczuała się nieswojo, łóżko wydawało się podskakiwać na falach niczym łódka wiosłowa cumująca w portowym doku. Położyła się więc z powrotem i wykonała kilka głębokich oddechów.

Wciąż starała się uspokoić, kiedy otworzyły się drzwi i do izolatki gwałtownie weszła rudowłosa pielęgniarka.

– Ach, więc obudziła się pani. Jak się czujesz, kochana?

– Czuję się bardzo... bardzo dziwnie. Gdzie ja jestem?

– W Centrum Medycznym Warren BirthWell w King's College Hospital na Denmark Hill. Przeniesiono panią tutaj z oddziału ratunkowego.

– Nie rozumiem. Ośrodek BirthWell... co to takiego?

– Nie słyszała pani o nas? Zajmujemy się medycyną matczyno-łożyskową. Opieką prenatalną i neonatalną. Jesteśmy w tym najlepsi w kraju.

– Ale co ja tutaj robię?

– Lepiej ode mnie wyjaśni to pani doktor Macleod. Za chwilę przyjdzie. Właśnie rozmawia z technikami w pracowni USG. Tymczasem... nadal czuje pani ból?

– Jestem tylko trochę obolała. Co z moją córką? Kiedy źle się poczułam, jechałam, żeby odebrać ją ze szkoły.

– O ile wiem, policja skontaktowała się z pani kuzynką i to kuzynka po nią pojechała. Kiedy tylko zrobimy wszystkie badania, zadzwonimy do niej i będzie mogła panią odwiedzić.

– Badania? Jakie badania? Co się ze mną dzieje?

– Na razie pobraliśmy krew do wstępnych analiz. Doktor Macleod otrzymał już wyniki z laboratorium i na tej podstawie postanowił zlecić USG. On sam wszystko pani wyjaśni.

Chiasoka znowu usiadła i opuściła nogi na podłogę. Kiedy jednak spróbowała wstać, podłoga zakołysała się pod nią niczym fala przyplływowa, więc musiała przytrzymać się dłonią parapetu, żeby nie upaść.

– Kochana, pani musi leżeć – powiedziała pielęgniarka. Jedną ręką chwyciła ją za ramię i przycisnęła palce drugiej ręki do jej szyi, żeby sprawdzić tętno. – Dostała pani bardzo silne środki przeciwbólowe, które nadal działają, stąd te kłopoty...

– Ma pani moją komórkę? Muszę zadzwonić do kuzynki i upewnić się, że z moją córką wszystko jest w porządku.

– Sprawdzę, gdzie jest pani telefon, i go przyniosę. Och, właśnie idzie doktor Macleod.

Do izolatki wszedł wysoki mężczyzna w szarym trzyczęściowym garniturze. Siwiejące włosy czesał z przedziałkiem na środku i nosił okulary w grubej rogowej oprawie, które sprawiały wrażenie, że w każdej chwili mogą mu spaść z czubka nosa. Towarzyszyło mu dwoje młodszych lekarzy, mężczyzna pochodzenia azjatyckiego ze starannie przystrzyżoną brodą oraz biała kobieta o mocno zarumienionej twarzy. Mężczyzna się uśmiechał, ale kobieta wydawała się zaniepokojona.

– Dzień dobry, pani... – zaczął doktor Macleod, po czym ze zmarszczonym czołem zerknął na podkładkę z klipsem, którą trzymał – pani Oddywolly. Mam nadzieję, że poprawnie wymówiłem nazwisko.

Chiasoka milczała. Nie obchodziło jej, jak lekarz wypowiada nazwisko. Chciała jedynie, żeby powiedział, co się z nią dzieje, i zapewnił ją, że nie dolega jej nic poważnego.

– Nazywam się Macleod i jestem specjalistą medycyny matczyno-łożyskowej. To jest doktor Bhaduri, a to doktor Symonds. Przywieziono panią do ośrodka z powodu ostrego bólu brzucha, a badania krwi wykazały podwyższone stężenie hCG.

– Co to znaczy? – zapytała Chiasoka.

– HCG to ludzka gonadotropina kosmówkowa. To hormon, który wskazuje, że jest pani w ciąży.

– W ciąży? Ale ja nie mogę być w ciąży! To niemożliwe!

– Cóż, dlatego właśnie musimy zrobić ultrasonografię i się upewnić. Oprócz wysokiego stężenia hCG stwierdziliśmy u pani także gwałtowne zmiany w obrębie macicy, i to właśnie jest przyczyną tego ogromnego bólu. Twierdzi pani, że nie może być w ciąży, ale wszystkie objawy na nią wskazują. Ponadto płód z jakiegoś powodu jest niezwykle aktywny.

Chiasoka z trudem oddychała.

– Nie mogę być w ciąży. Cokolwiek to jest, cokolwiek doprowadziło mnie do tego stanu, to nie jest dziecko. Przecież od dawna nie byłam z nikim. Mąż mnie zostawił i wrócił do Nigerii. Mieszkam z kuzynką. Nie byłam z żadnym mężczyzną.

– Cóż, wkrótce się o tym przekonamy, jeżeli zgodzi się pani na USG. Usilnie zalecam, aby wyraziła pani na to badanie zgodę, ponieważ koniecznie musimy się dowiedzieć, co się dzieje w pani brzuchu, pani Oddywolly. Ale chcę być z panią całkowicie szczerzy: według mnie przyczyną tych dolegliwości jest ciąża.

Chiasoka popatrzyła na młodą lekarzkę. Na jej twarzy malował się taki niepokój, że do oczu Chiasoki napłynęły łzy.

– Nie mogę być w ciąży – załkała. – Jak to możliwe?

– Proszę mi wierzyć, nie ma powodów do obaw. Badanie nie trwa długo i nie

niesie ze sobą żadnego dyskomfortu. Nasi technicy wyjaśnią pani krok po kroku, co będą robić.

– Byłam w ciąży, owszem. Ale w kwietniu.

– Była pani w ciąży? – zapytał doktor Macleod i zdjął okulary. – Co się stało?

– Przerwałam ją. Miałam aborcję.

– Rozumiem, że uzgodniła to pani z lekarzem?

Chiasoka pokiwała głową.

– Pani doktor podała mi pierwszą pigułkę, a pozostałe zażyłam w domu.

– Zakładam, że była to najpierw jedna tabletką mifepristonu, a po czterdziestu ośmiu godzinach zażyła pani jeszcze cztery tabletki mizoprostolu.

– Nie pamiętam nazw. Miałam po tych tabletkach okropne mdłości.

– W którym tygodniu ciąży to się działo?

– W dziesiątym.

– I skutecznie przerwała pani ciążę? Jest pani tego pewna?

– Tak. Widziałam to...

– I jest pani przekonana, że potem nie mogła ponownie zajść w ciążę?

– Tę ciążę zafundował mi mąż kuzynki. Nie powiedziałam jej, co się stało, ponieważ moja córka i ja możemy mieszkać tylko u niej. O ciąży nie powiedziałam też jej mężowi. Ostrzegłam go jednak, że jeśli jeszcze kiedykolwiek mnie dotknie, wezmę z kuchni nóż i kiedy będzie spał, odetnę mu *kòfe*.

– Ojej. Jasne. Chyba wiem, o co chodzi. A jednak bez względu na to, czy jest pani w ciąży czy nie, koniecznie musimy zrobić USG. W gruncie rzeczy, jeżeli nie jest pani w ciąży, wydaje mi się to wręcz bardzo pilne.

Chiasoka zamknęła na chwilę oczy. Wciąż nie wierzyła w to, co się dzieje. Wydawało się to nierealne, tak samo jak wtedy, kiedy wróciła z dniówki na kasie w Sainsbury's w Peckham i zobaczyła, że Enilo spakował swoje rzeczy. Tylko po to czekał, aż wróci do ich mieszkania, żeby jej powiedzieć, że się wyprowadza i wraca do Lagos. O ironio, w języku joruba imię „Enilo” oznacza „tego, który odjechał”.

– A co będzie ze mną i z Darają? – zapytała go.

– Masz pracę. Możesz zatrzymać samochód.

– Ale nie opłacę czynszu z jednej pensji.

– Nie obchodzi mnie to, Chi. Po prostu mnie to nie obchodzi. Nie chcę dłużej tak żyć. Czuję się w tym kraju jak gównno. Nikt mnie tutaj nie szanuje, a w naszej ojczyźnie jest jednak inaczej. Wcześniej ci o tym nie mówiłem, ale w sobotę zatrzymali mnie dwaj policjanci i dokładnie przeszukali, bo myśleli, że mam nóż.

– Nie powiedziałeś im, że jesteś księgowym?

– Powiedziałem. Ale odburknęli, że to nie ma żadnego znaczenia. Inaczej mówiąc, skoro jestem czarny, to muszę być przestępcą.

– Już nas nie kochasz, Daraji i mnie?

Enilo odwrócił głowę, tak jakby chciał patrzeć już tylko w przyszłość.

– Jak mogę kogoś kochać, skoro nie kocham samego siebie?

Do izolatki wróciła pielęgniarka. Towarzyszył jej sanitariusz, który pchał wózek inwalidzki.

– Wszyscy gotowi? – zapytała wesoło pielęgniarka.

Doktor Macleod popatrzył na Chiasokę ze współczuciem, niemal po ojcowsku.

– Niezależnie od tego, jaki będzie wynik badania, dobrze się panią zaopiekujemy, pani Oddywolly.

Była godzina piąta po południu i na dworze już szarzało, kiedy doktor Macleod i jego dwoje asystentów wrócili do pokoju szpitalnego Chiasoki z wynikami badania ultrasonograficznego.

Wcześniej pielęgniarka odnalazła jej telefon i Chiasoka porozmawiała z Darają. Powiedziała jej, że znalazła się w szpitalu z powodu bólu brzuszka, ale wkrótce wróci do niej i do cioci Abebi. Odebrała także wiadomość od policji z Peckham: jej zniszczony samochód odholowano na Lugard Road i pozostawiono na parkingu na tyłach bloku mieszkalnego kuzynki.

Wciąż kręciło jej się w głowie i bezustannie miała wrażenie, jakby w brzuchu coś się przemieszczało. Jakieś dwadzieścia minut wcześniej podano jej kubek herbaty z mlekiem, ale kiedy tylko upiła pierwszy łyk, wymiotowała na podłogę.

Doktor Macleod usiadł na krześle przy łóżku, a dwoje asystentów stanęło za jego plecami. Ich spojrzenia wprawiały Chiasokę w konsternację. Wydawało jej się, że patrzą na nią niemal jak na żywy eksponat w jakimś gabinecie osobliwości.

– Mam już wyniki – odezwał się doktor Macleod. – I muszę powiedzieć, że jest pani w ciąży. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

– Jak to możliwe? – zaprotestowała Chiasoka. – Jak to jest możliwe? Usunęłam to dziecko. Na własne oczy widziałam w toalecie, co ze mnie wyszło. I przysięgam na Boga, że od tego czasu nie byłam z żadnym mężczyzną.

Doktor Macleod trzymał zieloną kopertę, ale jej nie otworzył ani nie podał Chiasoce.

– Przykro mi, pani Oddywolly, ale badanie USG potwierdziło, że w pani macicy znajduje się żywy płód. Muszę jednak dodać, że ten płód jest cokolwiek niezwykły. W rzeczy samej, nie wchodząc w szczegóły, jest nieprawidłowy. Do tego stopnia, że prawie na pewno będziemy musieli zrobić cesarskie cięcie, żeby go usunąć.

Chiasoka patrzyła na lekarza z przerażeniem.

– Co to znaczy „nieprawidłowy”? – wyszeptwała. – Co złego się z nim dzieje?

– Nigdy dotąd nie zadawałem ciężarnej kobiecie takiego pytania, ale czy na pewno chce go pani zobaczyć? Zapewniam panią, że ze względu na deformację płodu nie ma najmniejszej szansy na uratowanie go, i dlatego zachęcam panią do bezzwłocznego przerwania ciąży. Ujmę to w ten sposób: dzięki temu będzie pani mogła w ogóle go nigdy nie zobaczyć.

– Czy to możliwe, że jest aż tak źle? Przecież nawet nie wiem, skąd on się we mnie wziął.

– Kiedy przerwiemy ciążę, przeprowadzimy badania DNA, które pozwolą ustalić, kto jest ojcem.

– Nie ma ojca.

– Czy wolno mi zatem przyjąć, że możemy czym prędzej przystąpić do zabiegu?

– Dlaczego spodziewa się pan, że natychmiast wyrażę zgodę na aborcję, skoro nawet nie wiem, skąd się on wziął i co właściwie się z nim dzieje? Muszę chociaż go zobaczyć. Nie dbam o to, jak wygląda. Jakkolwiek się począł, w połowie zrodził się ze mnie.

– Jest pani całkowicie pewna? – zapytał doktor Macleod.

– Niech pan mi go pokaże.

Doktor Macleod odwrócił się i popatrzył na asystentów. Następnie otworzył zieloną kopertę i wyciągnął z niej zdjęcie USG, które ukazywało płód w łonie Chiasoki w trzech wymiarach i w kolorze.

Chiasoka wzięła zdjęcie do ręki i uniosła na wysokość oczu. Po chwili bardzo powoli opuściła dłoń na brzuch, jednocześnie szeroko otwierając usta. Następnie z absolutnym niedowierzaniem popatrzyła na doktora Macleoda, po czym zakrztusiła się i zwymiotowała na koldrę resztki herbaty.

2

Detektyw Jerry Pardoe zatrzymał się przed recepcją komisariatu policji w Tooting, aby chwilę pogaworzyć z posterunkową Susan Lawrence, ale zadzwonił jego iPhone. Telefonował sierżant Bristow.

– Gdzie jesteś, Pardoe? Wyszedłeś już do domu?

– Właśnie mam taki zamiar, sierżancie.

– A więc to doskonale, że jesteś na miejscu. Wypracujesz trochę nadgodzin. Ktoś kogoś dźgnął nożem przed klubem karate na Streatham Road, przy Tesco. Są tam już dwa nasze radiowozy i karetka pogotowia. Pojedzie z tobą Mallett.

– Cholera. Jest ofiara śmiertelna?

– Jeszcze nie wiem. Wygląda na to, że dwaj kolesie pokłócili się o jakąś panienkę.

– Mam nadzieję, że była tego warta. Dobra. Niech pan powie Mallettowi, że czekam na niego na parkingu.

Odwrócił się do posterunkowej Lawrence i zrobił wymowną minę. Przysłano ją do Tooting trzy tygodnie temu i od razu mu się spodobała. Miała wysokie kości policzkowe, kocie oczy i krótkie jasnobrązowe włosy, a biała koszula mundurowa tylko podkreślała jej bardzo duże piersi. Tony'emu, kumpłowi z warsztatu samochodowego, powiedział, że dziewczyna ma twarz telewizyjnej pogodynki i figurę modelki z „Playboya”. Przed chwilą Jerry zamierzał ją zapytać, czy po pracy poszłaby z nim na tajską kolację do restauracji Kao Sam przy High Street, ale w tym momencie wszystko wskazywało na to, że Jerry przez resztę wieczoru będzie się starał wydobyć sensowne zeznania od zakrwawionych nastolatków o mózgzach otumanionych przez narkotyki.

– Cóż, obowiązki wzywają – powiedział do niej. – Może masz jutro wolny wieczór?

– Jutro? Nie. Moja partnerka ma akurat wolny dzień. Idziemy na lodowisko.

– Na lodowisko? Nikt już mnie nie namówi na coś takiego. Ostatnim razem, kiedy założyłem łyżwy, przez większość czasu ślizgałem się na tyłku.

– Ja także nie jestem dobrą łyżwiarką. Ale moja partnerka jest doskonała.

– Och. Długo jesteś z tą... partnerką?

– Będzie już prawie rok.

– Aha. Cóż, bawcie się dobrze.

Jerry wyszedł z komisariatu tylnymi drzwiami i po chwili dotarł do swojego srebrnego forda mondeo, który stał na policyjnym parkingu. Znowu mój cholerny pech, pomyślał, siadając za kierownicą. Najapetyczniejsza dupeczka, która pojawiła się na komisariacie w Tooting od czasu, kiedy sam zaczął tutaj pracować, właśnie okazała się literą L z szerokiego zestawu LGBTQ.

Detektyw posterunkowy Bobby Mallett wybiegł na parking, zapinając po drodze ortalion. Szło mu kiepsko, ponieważ miał tylko jedną wolną rękę; w drugiej trzymał

niedojedzoną bułkę z serem i pomidorem. Był niski i przysadzisty, miał sterczące czarne włosy, wyłupiaste oczy i bulwiasty nos. Wszyscy na komisariacie nazywali go Jeżozwierzem.

Usiadł w fotelu pasażera i wykręcił tułów, szukając pasa bezpieczeństwa.

– Mam nadzieję, że nie nakruszysz mi w samochodzie – powiedział Jerry, włączyny silnik. – Ostatnio wydałem dziesięć funtów na dokładne wyczyszczenie całej kabiny.

– Cholerni gówniarze nie mają co robić, tylko dźgają się po nocach – odparł Mallett. – To już chyba czwarty raz w tym tygodniu. Łażą po ulicach z nożami i z maczetami i nic dziwnego, że wygrażają sobie nawzajem. A potem jeden z drugim jest zaskoczony, że ktoś wykitował, dźgnięty lub ciachnięty maczetą. Poza tym wciągają albo wachają jakieś świństwa i nad ranem nikt niczego nie pamięta, a trup leży na ulicy i jest jak najbardziej realny.

– Chłopak, którego znaleźliśmy wczoraj po południu, ten zasztyletowany przed Chicks, wcześniej nieźle się naćpał – rzekł Jerry.

– Tak, słyszałem. Miał chyba piętnaście lat?

– Piętnaście skończył w ostatnim tygodniu życia. A ten, który go zadźgał, miał zaledwie siedemnaście. – Zaczął mówić nosowym głosem rapera: – Rębał mi dupę przed kumplami i miałem już tego dosyć. Żaden facet by tego nie wytrzymał.

– Co za tuman.

– Oto i całe pokolenie Z, Jeżozwierz – kontynuował Jerry, skręcając w Links Road i jadąc w kierunku Streatham. – To młodzi ludzie, którzy doskonale potrafią korzystać ze zdobyczy współczesnej techniki, ale w krytycznych sytuacjach nie odróżniają dupy od głowy.

Po niecałych pięciu minutach dotarli na miejsce przestępstwa. Przed supermarketem Tesco stały już dwa radiowozy błyskające niebieskimi lampami. Kawalek dalej, przed polskimi delikatesami, parkowała karetka. Zebrał się niewielki tłumek gapiów, policjanci jednak odgradzili już taśmą obszar, na który nikt nie miał wstępu. Jerry zatrzymał auto za karetką i wysiadł wraz z Mallettem. Był chłodny wieczór i wydechali obłoczki pary, przez co wyglądali jak dwaj gliniarze z czarnobiałego kryminału z lat pięćdziesiątych.

Ofiara morderstwa leżała pod wiatą przystanku autobusowego naprzeciwko należącego do niejakiego S. Ayngarana sklepu z azjatycką i karaibską żywnością, który znajdował się w odległości zaledwie pięciu metrów od klubu karate. Zabity był młodym Azjatą z fryzurą pompadour i starannie przyciętą brodą. Ubrany był w popielaty dres marki Fresh Ego Kid. Plamy krwi na dresie wskazywały, że chłopaka ugodzono w brzuch i klatkę piersiową sześć, siedem, a może nawet więcej razy. Oczy miał otwarte i wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w buty stojącego przy nim krępego policjanta w kamizelce odblaskowej.

– Dobry wieczór – powiedział Jerry. – Co my tu mamy?

– Wszystko wskazuje na sprzeczkę – odparł policjant. Pociągnął nosem i wyjął z kieszeni notes. – Ofiara to Attaf Hiradz, lat dwadzieścia jeden. Podejrzany nazywa się Rusul Goraja, dwadzieścia trzy lata. Jest w szatni. Obaj są członkami klubu karate

Kun'iku. Według ich instruktora wieczorem się o coś cholernie posprzecali i w końcu zaczęli walczyć ze sobą jak wściekłe psy.

– Rozumiem. A czy ten instruktor wie przypadkiem, o co im poszło?

Policjant pokręcił głową.

– Wydaje mu się, że o dziewczynę, z którą obaj się spotykali, ale nie jest tego pewien, ponieważ obaj powtarzali tylko ogólniki, takie jak „jesteś skończony” czy „jesteś śmieciem”, i przeklinali jak najęci.

– Medyk sądowy?

– Powinien być na miejscu za jakieś dziesięć minut.

– Jacyś świadkowie?

– Tam czekają. Zgarnęliśmy pięciu. Wszyscy widzieli, jak podejrzany dźga nożem ofiarę. Paru próbowało go powstrzymać, ale zagroził, że zabierze się także do nich. Dopiero kiedy chciał stąd odejść, jeden ze świadków pobiegł za nim i zadał mu cios karate w jaja. Wtedy skoczyli na niego także pozostali i odebrali mu nóż.

– Rozumiem, dzięki – powiedział Jerry. – Zaraz sobie z nimi porozmawiamy. Najpierw jednak powinniśmy zamienić kilka słów z nożownikiem. Jeżozwierz, idziesz ze mną?

Mallett wpatrywał się w ekran swojego iPhone'a.

– ...Co? Jasne. Tak. Musiałem napisać do Margot, że spóźnię się na kolację.

Weszli do klubu karate i wspięli się po stromych schodach na pierwsze piętro. Zanim dotarli do szatni, Jerry wyczuł w powietrzu zapach maści rozgrzewającej Tiger Balm – kamforę i mentol – maskujący odór stęchlizny i potu.

Szatnia była długa i wąska, a wzdłuż ścian wisały wilgotne stroje do karate i torby sportowe. Podejrzany siedział na ławce w kącie, skuty kajdankami. Dwaj śmiertelnie znudzeni policjanci stali przy nim z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Kiedy zobaczyli Jerry'ego i Malletta, jeden z nich złapał podejrzanego za łokieć i postawił na nogi.

– Dobry wieczór, panowie – powiedział Jerry. Nie musiał się przedstawiać. Ci policjanci także pracowali na komisariacie w Tooting. – A więc to jest nasz Mackie Majcher? Jak się nazywasz, kolego?

Podejrzany miał trochę ponad sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, ale był muskularny, miał grubą szyję z ciemnymi znamionami i nabite bicepsy typowe dla kogoś, kto codziennie odwiedza siłownię. Włosy splótł w cienkie warkoczyki zaczesane rządkami do tyłu, a w uszy wpiął srebrne pierścienie. Jerry uznał, że chłopak jest spektakularnie brzydki, jego twarz wyglądała tak, jakby przez cały czas była przyciśnięta do szyby. Wciąż był ubrany w luźne białe keikogi, upstrzone na lewym ramieniu zaschniętą krwią; kształt plamy przywodził na myśl obrazy Jacksona Pollocka. W jego oddechu wyczuwało się słodkawy zapach owoców, więc Jerry doszedł do wniosku, że chłopak opił się leanem, mieszanką syropu na kaszel i kodeiny. Niektóre dzieciaki zwykły pijać trzy lub cztery butelki tej mikstury tygodniowo, albo i więcej, jeżeli tylko było je na to stać.

– Zasłużył na to – odezwał się chłopak, wyzywająco unosząc głowę.

– Tak się nazywasz, kolego? Zasłużył Nato?

– Nie, brachu. Rusul jestem. Chciałem powiedzieć, że Attaf sam się prosił, żeby go dziabnąć.

– Rusul? A nazwisko? – zapytał Jerry spokojnym tonem, jakiego używał podczas przesłuchań. – Ile masz lat, Rusul? I gdzie mieszkasz?

– Rusul Goraja. Dwadzieścia trzy lata. Zamieszkały w Sumner House pod numerem 79.

– Sam mieszkasz czy z rodzicami?

– Ze starymi, brachu. Nie mam hajsu na swoje.

– Kim ty jesteś? Gudżarati?

– Zgadza się.

Jerry nie musiał pytać Rusula, dlaczego – chociaż jest Pakistańczykiem – często używa jamajskich wyrażen. Tak mówiły właściwie wszystkie dzieciaki mieszkające na przedmieściach Londynu. W pokoju odpraw na komisariacie w Tooting wisiał nawet plakat z listą slangowych słów, którymi posługują się młodzi ludzie, wciąż uaktualnianą. Chociaż Rusul „robił się na giganta” – pracował nad mięśniami – wciąż był „urodem” albo „dwójką”, co oznaczało, że jest brzydki: mógł dostać tylko dwa punkty na dziesięć możliwych.

– Przyznajesz więc, że zasztyletowałeś Attafa?

– Jak mówiłem, zasłużył na to. Gość był winny morderstwa, no to wymierzyłem mu sprawiedliwość, tak jakby to zrobił sąd, więc spoko loko. Chociaż sąd tylko by go wsadził do ciupy.

– Attaf kogoś zabił?

– Zamordował dziecko, nie?

– Czyje dziecko?

Rusul miał odpowiedzieć, ale nagle zacisnął usta i jego pierś zaczęła unosić się i opadać, gdy wzięł kilka głębokich oddechów. Jerry obserwował, jak nagle opuszcza go cwaniacka buta, a na twarzy pojawia się wyraz ogromnego bólu. Rusul złożył skute dłonie i w jego oczach pojawiły się łzy.

– Moje dziecko, brachu! Moje!

– Attaf zabił twoje dziecko? Jak? Kiedy? Dlaczego nie powiadomiłeś o tym policji?

– Bo te świnię i tak nic by nie zrobiły!

– Dlaczego nie?

– Bo nie zwijają nikogo za aborcję! Chodziłem z Dżoją już prawie rok, aż tu pojawił się ten Attaf i mi ją zabrał. Ale wtedy się okazało, że Dżoja będzie miała ze mną dziecko. To musiało być moje dziecko, bo w ciąży była już od sześciu tygodni, a z Attafem zadawała się niecały miech.

– Zatem postanowiła przerwać ciążę, tak?

– Attaf znał lekarkę w Brockley i ona dała Dżoi tabletki. A przecież to jest jak morderstwo, co nie? Kiedy pomagasz w zabiciu kogoś, to jest tak samo, jakbyś sam zabijał, dobrze gadam?

– I to według ciebie usprawiedliwia zasztyletowanie Attafa? Uznałeś, że jest mordercą, więc jeśli go zabijesz, ujdzie ci to na sucho?

– A może się spodziewałeś, że dostaniesz za to medal? – wtrącił Mallett. – Albo happy meal w McDonalddie za darmo przez rok? Co za bałwan.

Jerry popatrzył na dwóch umundurowanych policjantów i pokręcił głową. Po chwili powiedział:

– Rusulu Goraja, aresztuję cię za zamordowanie Attafa Hiradża. Nie musisz teraz nic mówić. Jednak możesz pogorszyć swoją pozycję przed sądem, jeżeli w czasie przesłuchania zataisz coś, na czym później zechcesz opierać swoją obronę. Wszystko, co powiesz, może zostać użyte jako dowód.

– Zabierzcie go na dołek, chłopcy – dodał Mallett.

Jerry i Mallett odbyli krótkie rozmowy z pięcioma świadkami, wśród których znalazł się Ken, instruktor karate, były oficer SAS, który służył w Iraku. Wszyscy zeznali mniej więcej to samo. Rusul i Attaf przez cały wieczór krążyli wokół siebie nawzajem jak rozwścieczone pumy, bezustannie obrzucali się obelgami, a kiedy już wybuchała bójka, była tak gwałtowna, że Ken rozdzielił ich, żeby żaden nie odniósł poważniejszych obrażeń. Ale później, kiedy Attaf wyszedł na ulicę, Rusul pobiegł za nim z nożem, pchnął go na wiatę przystanku autobusowego i zaczął szaleńczo dźgać w klatkę piersiową i brzuch.

– I z tego, co panu wiadomo, chodziło im o tę dziewczynę, Dżoję? – zapytał Jerry.

– Tak – odparł Ken. – Od czasu do czasu przychodziła do klubu z Attafem. Ładna dziewczyna, jeśli chce pan wiedzieć. Nie wiem jednak, co widziała w Rusulu. Jest dobrze zbudowany, to trzeba mu przyznać, ale sam pan widział, ma twarz jak worek z ziemniakami.

– Nie wie pan może, gdzie ta Dżoja mieszka? Jeśli nie, trudno. Sprawdźmy telefon Attafa i tak czy inaczej do niej dotrzemy.

– Albo Rusul powie nam na torturach, gdzie jej szukać – wtrącił Mallett.

– Ta dziewczyna chyba mieszka w Streatham. Nie wiem gdzie dokładnie.

– Jej ojciec ma przy High Road w Streatham delikatesy z żywnością halal – powiedział jeden z młodych ludzi, świadków morderstwa.

– Doskonale, to nam zawęży poszukiwania do jakichś dwudziestu miejsc – stwierdził Jerry. – Dzięki.

Zapisałi nazwiska i adresy wszystkich świadków. Tymczasem wreszcie przybyli technicy i zaczęli krążyć w niebieskich kombinezonach wokół miejsca zbrodni, fotografując zwłoki oraz otaczające je lepkie plamy krwi na trotuarze. Jerry i Mallett odczekali, aż wykonają wstępne czynności, a sanitariusze zabiorą ciało zamordowanego do karetki.

Mallett wypalił pół papierosa i niespodziewanie zaczął tak intensywnie kaszleć, że musiał kilkakrotnie uderzyć się otwartą dłonią w pierś. Pomogło mu to na tyle, że zdołał wypluć do rynsztoka mnóstwo flegmy.

– Może przerzucisz się na e-papierosy? – zasugerował Jerry.

– I co? Miałbym nimi śmierdzić jak ciota? Daj spokój.

Karetka z ciałem Attafa odjechała. Kierowca nie włączył syreny ani niebieskich świateł na dachu.

- Wypijemy po piwku, zanim pójdziemy na dołek? – zaproponował Jerry. Mallett popatrzył na niego.
- Cholera, czytasz w moich myślach.

3

– Wiemy już, na czym polega problem – powiedziała Gemma, kładąc na biurku Martina biały kask i rozpinając zamek błyskawiczny kombinezonu ochronnego. – I obawiam się, że nie będziesz zadowolony.

– Nie zostałem inżynierem sanitarnym po to, żebym w pracy był zadowolony, Gem – odparł Martin, spoglądając z niesmakiem na kask, jakby mógł zainfekować jego papiery porozkładane na biurku. – Zadowolenie z życia dają mi inne pasje. Głównie gra w squasha. Albo kolekcjonowanie box setów. Możesz mi więc powiedzieć wszystko, co najgorsze.

Gemma podeszła do wielkiej mapy Londynu umieszczonej na ścianie gabinetu Martina. Wskazała czerwoną linię przebiegającą przez Peckham z południowego wschodu na północny zachód.

– Mamy problem z bryłą tłuszczu, która blokuje główny kanał ściekowy Earl stąd, tuż za Peckham Road, dotąd....

– Powiedz mi, że żartujesz. Jak duża jest ta bryła?

– O połowę mniejsza od tej z Whitechapel, ale ma przynajmniej sto trzydzieści metrów długości i według moich szacunków waży sporo ponad sto ton.

– Co za gówno.

– Tak, gówno oczywiście też tam jest, ale również i inne składniki. Głównie tłuszcz kuchenny, ale też nawilżane chusteczki, tampony, kondomy i patyczki kosmetyczne. Poza tym znaleźliśmy też dopiero co narodzone szczeniaki, które jakiś miłośnik zwierząt spuścił w toalecie.

Martin podniósł się z krzesła i stanął przed mapą obok Gemmy. Miał falujące ciemne włosy i był bardzo przystojny, jak główny bohater z seriali wyświetlanych na Netflixie. Dzisiaj miał na sobie ciemnografitową marynarkę z chusteczką wystającą z kieszeni na piersiach i krawatem w tureckie wzory. Ubierał się elegancko, ponieważ niedawno powierzono mu stanowisko kierownika operacyjnego w Crane's Drains i czuł ciężar swojej nowej władzy sprawowanej nad inżynierami, którzy pracowali w kanałach ściekowych na długo przed jego przyjściem na świat.

Gemma, która stała obok niego w kombinezonie ochronnym, była drobną kobietą. Miała jasne włosy spięte w kok i twarz o kształcie serca, a także duże brązowe oczy i lekko wydęte wargi. Kiedy była młodsza, chciała zostać pielęgniarką, ale pewnego dnia w liceum jej klasa zwiedzała wiktoriańskie kanały ściekowe i ten skomplikowany, ukryty świat mieszczący się pod ulicami Londynu zafascynował ją – niekończące się kilometry tuneli, komory, drabiny i tajne drzwi. Przypominał jej powieść *Wehikuł czasu*, w której szkaradni Morlokowie pracowali w ciemnościach pod ziemią, a zwiewni Elojowie tańczyli radośnie w ciepłych promieniach słońca.

– Tak więc... dowiedziałaś się, co jest przyczyną zatoru? – zapytał Martin.

– Korzenie drzew, na pierwszy rzut oka. Właśnie tam, na skrzyżowaniu z Charles

Coveney Road, przebiły strop kanału i oczywiście zaczęły zatrzymywać płynące odpady. Po naszych ostatnich wycinkach i porządkach ze ścian wystają już liczne zasmarkane nosy. Sprawdzalam w dokumentacji: od tego czasu minęły już trzy lata.

„Zasmarkanymi nosami” nazywała wybrzuszenia cementu, które zatrzymywały w kanałach nieorganiczne śmieci, takie jak nawilżane chusteczki czy tampony, i gromadziły rosnące masy zestalonego tłuszczu kuchennego.

– Dobrze – powiedział Martin. – Jeżeli narysujesz schemat, Gem, zaplanujemy, jak pozbyć się tego monstrum. Później także tam zejdę i rzucę na to okiem. Na razie jednak dostarcz jak najwięcej materiałów filmowych, no i oczywiście próbki.

– Część tłuszczu wciąż jest miękka, ale większość uległa zmydleniu, a miejscami nawet stwardniała jak beton – odparła Gemma. – Myślę, że gdybyśmy zaczęli w tym wiercić, wiele nie osiągniemy. Powinniśmy raczej użyć węży wysokociśnieniowych.

– Ludzie z Thames Water będą zadowoleni, co? Prace w Whitechapel kosztowały ich blisko dwa miliony.

– Ale pan Crane nie będzie narzekał. Słyszałeś, co powiedział o nawilżanych chusteczkach?

– Wydaje mi się, że nie słyszałem.

– „Gdyby nie one, nigdy nie kupiłbym sobie domu letniskowego w Marbelli”.

Nie dodała, że pan Crane na pewno nie będzie zachwycony, iż Martin pozwolił na to, żeby pod jego nadzorem utknęła w kanałach wielka bryła tłuszczu. Pan Crane lubił osiągać zyski, ale ten zator był wystarczająco duży, by znalazł się w nieciekawym kontekście w nagłówkach „Evening Standard”, a przecież z wielkim nabożeństwem podchodził do kwestii reputacji swojej firmy, której zadaniem było zapewnianie pełnej przepustowości wszystkich kanałów ściekowych w stolicy. Jej logotypem był żuraw ¹ stojący na dachu z otwartym dziobem, z którego wyskakiwały nutki, a sloganem: „Crane’s Drains – czysty i przenikliwy”.

Gemma wróciła na Peckham Road swoim miętowozielonym fiatem 500. Jej trzyosobowa ekipa wciąż była na miejscu, zgromadzona nad otwartym wjazdem na rogu Southampton Way. Pracownicy właśnie wyciągnęli z kanału kamerę Quickview, której użyli w pierwszej kolejności, żeby obejrzeć północny skraj zatoru pod Charles Coveney Road, gdzie ścieki, przemieszane z fragmentami ręczników jednorazowych, pieluch i papieru toaletowego sporadycznie bulgotały pod wjazdami. Później opuścili na żerdzi kamerę pracującą w technologii Haloptic. Jaskrawe światło jej lampy pozwoliło im zajrzeć do kanału na odległość niemal dwustu metrów.

Gemma zatrzymała samochód i wysiadła. Szybko naciągnęła na dłonie czerwone rękawice ochronne. Już wcześniej zeszła do wjazdu na Charles Coveney Road. Teraz musiała znów iść na dół i popatrzeć na drugi koniec zatoru, żeby sprawdzić, jak mocno zdążyła stwardnieć bryła tłuszczu.

– Co powiedział nasz jaśnie pan? – zapytał Jim Feather, który w ekipie Gemmy był najbardziej doświadczonym kanalarzem.

Pięćdziesięcioletni, miał siwe wąsy, złamany nos i brakowało mu przednich zębów. Jakies dziesięć lat temu przypadkowo uderzył go w twarz wąż

wysokociśnieniowy, którego używano w kanałach do usuwania twardniejącego tłuszczu. Ciśnienie wody w takich węzłach wynosi ponad tysiąc barów i jeśli ktoś nie jest wystarczająco ostrożny, strumień może zedrzeć mu skórę z dłoni.

– Dołączy do nas później. Też chce to zobaczyć.

– Co? Nie uwierzył ci?

– Och, nie bądź zgryźliwy, Jim. Martin chce tylko pokazać, że szanuje pracę swoich ludzi i że w każdej chwili gotów jest sam ubrudzić ręce w kanałach.

– Nie odróżniłby toalety z maceratorem od małpiego tyłka. Jeden Bóg wie, dlaczego dostał awans na kierownika operacyjnego.

– Dobrze sobie radzi z radnymi, a jego wujek jest dyrektorem Thames Water. Nie wiedziałeś o tym? „Kierownik operacyjny” to tylko stanowisko. Wszyscy dobrze wiedzą, że prawdziwą robotę wykonujecie ty i wszyscy chłopcy, którzy nadzorują kanały.

– Wiesz, kim jesteś, Gem? – parsknął Jim. – Niepoprawną flirciarą, i tyle.

Gemma osłoniła oczy przyciemnionymi goglami, zapięła klamerkę pod kaskiem i zaciągnęła po samą szyję zamek błyskawiczny kombinezonu ochronnego. Newton, młody operator kamery, miał zejść do kanału ściekowego razem z nią. Jego zadaniem było fotografowanie bryły tłuszczu i filmowanie, kiedy Gemma będzie brodzić w ściekach i odcinać fragmenty zatoru, aby się dowiedzieć, jak twarda jest przeszkoda i jakie środki będzie trzeba zastosować, aby ją unicestwić.

Jim przesunął pomarańczową plastikową barierkę, aby Gemma mogła wejść do wjazdu. Intensywny odór unoszący się znad kanału ściekowego niemal zbijał z nóg i Gemma natychmiast przyłożyła dłoń do twarzy.

– Trochę śmierdzi, co? – zapytał Jim. – Jednak stężenie tlenu jest w porządku. Sprawdziliśmy też stężenie siarkowodoru i metanu. Ale... kiedy znajdziesz się na dole, mimo wszystko nie pierdź, Newton. Mógłbyś podnieść stężenie niebezpiecznych gazów powyżej bezpiecznej granicy.

Newton pokazał mu środkowy palec, ale się uśmiechnął. Jim nieustannie nabijał się z intensywnego zapachu paczek z drugim śniadaniem przygotowywanym przez jego matkę i zawsze zawierającym acarajé, ciastka z rozgniecionej fasoli.

– Pałaszujesz tyle fasoli, Newton, że moim zdaniem sam mógłbyś wystrzelić taką bryłę tłuszczu.

Gemma zaczęła schodzić po metalowych szczeblach umocowanych w ścianie wjazdu. Stała w płowym, bystrym nurcie ścieków, sięgającym mniej więcej do połowy jej wysokich gumowych butów. Powoli ruszyła w kierunku północnym. Czołówka halogenowa przymocowana do jej kasku oświetlała zaokrąglone ściany tunelu. Newton szedł tuż za nią. Oślepiające światło lampy przymocowanej do kamery Ipek rzucało tańczące cienie na ceglane mury, jakby dwojgu ludziom towarzyszyły mroczne, odkształcone duchy.

Mniej więcej po trzydziestu metrach grudy tłuszczu w tunelu ściekowym zaczęły gęstnieć i po chwili Gemma już z wielkim trudem poruszała nogami. Naprzeciwno niej zaczął się wznosić tłusty zator, który kawałek dalej sięgnął prawie po strop kanału, pozostawiając pod nim szczelinę o wysokości najwyżej dwudziestu

centymetrów. Ścieki przedzierały się przez bryłę tłuszczu, ale widać było, że utrudnia ona swobodny transport śmierdzącej wody, fekaliów i papieru toaletowego, czyli wszystkiego, co spływało tutaj każdego poranka i każdego wieczoru, kiedy mieszkańcy Peckham kąpali się w wannach i pod prysznicami, korzystali z toalet i myli naczynia.

Gemma wciągnęła powietrze nosem. Ścieki cuchnęły jak zawsze, ale teraz odniosła wrażenie, że dodatkowo wychwytuje w nich niezwykle w tym miejscu cytrynowy aromat.

Zatrzymała się i zapytała:

– Czujesz to?

– Czuję wyłącznie zapach mentolu – odpowiedział Newton. – Zanim zejść do kanałów, zawsze wcieram pod nos maść Vicks.

– Jasne – stwierdziła Gemma.

Przeszła jeszcze kilka metrów, po czym skinęła na Newtona, żeby stanął obok niej i sfilmował ją, jak wybiera z zatoru garście pieluch, tamponów i stwardniałego tłuszczu. Część odpadów wciąż była stosunkowo miękka i łatwo było ją ugniatać w grudy, ale gdy Gemma sięgnęła głębiej, natrafiła na pokłady tłuszczu twarde prawie jak wapień.

Kiedy dzieliła miękką grudę na dwie części, znalazła w niej onyksową bransoletkę. Nie potrafiła sobie wyobrazić, w jaki sposób bransoletka przedostała się do kanału ściekowego ani jaka historia może się kryć za tym znaleziskiem. A przecież znajdowała już w kanałach wiele przedmiotów, które mogły mieć kiedyś dla ludzi wartość sentymentalną – pierścionki, broszki, a któregoś dnia natrafiła nawet na medalion, w którym znajdowała się fotografia małego dziecka.

Wrzuciła bransoletkę do plastikowego woreczka, który zawsze w kanałach ściekowych nosiła przywiązany do nadgarstka. Po powrocie do biura zamierzała ją umyć i zamieścić jej fotografię na Twitterze z nadzieją, że ktoś się po nią zgłosi.

Przy lewej ścianie kanału twardego tłuszcz wznosił się w górę pod dużym kątem niczym białe klify w Dover. Gemma jeszcze raz skinęła na Newtona, żeby podszedł bliżej, i złapała za wierzchołek klifu. Zaczęła ciągnąć, aby oderwać go ściany. Miał konsystencję staroświeckiego mydła kuchennego i był tak mocno przyklejony do cegieł, że mogła od nich odrywać jedynie jego niewielkie, kruszące się fragmenty.

– Cholera jasna – powiedziała. – Będziemy potrzebowali wody pod bardzo wysokim ciśnieniem, aby oczyścić to miejsce. Tu jest mnóstwo korzeni z drzew i... popatrz. Oto główna przyczyna całego zamieszania, korzenie, a ta porozciągana masa spoinowa także działa przeciwko nam.

Korzenie, które wbiły się głęboko pod ziemię, należały do platanów zasadzonych wzdłuż drogi. Wiły się pomiędzy cegłami i docierały do kanału ściekowego, zatrzymując płynące nim odpady. Ale utknęły także w twardniejącym tłuszczu i wyglądały w nim jak żyły i tętnice w ciele człowieka. Były zbyt włókniste, aby mogły się przez nie przebijać kilofy i łopaty, dlatego trzeba było je niszczyć wycinarkami wodnymi.

Newton sfilmował bryłę tłuszczu pod wszystkimi kątami i z bliska zarejestrował,

jak Gemma wybiera z niej płyty o różnej gęstości oraz fragmenty brudnych pieluch i papierowych ręczników przylegających do siebie warstwami jak kawałki cienko wałkowanego ciasta.

– W porządku – powiedziała po dziesięciu minutach grzebania w masie. – Chyba mamy już dość materiału, żeby zaprezentować Martinowi, z czym mamy do czynienia. Nie wiem jak ty, ale ja mam wielką ochotę znowu pooddychać świeżym powietrzem.

Akurat ścierała tłuszcz z rękawic, kiedy odniosła wrażenie, że na szczycie zatoru widzi jakiś ruch. Nie przejęła się tym – prawie na pewno był to szczur. W gruncie rzeczy dziwiła się, że aż do tej pory nie natrafiła tutaj na żadnego szczura. Przecież w kanałach aż się od nich roiło, szczególnie w pobliżu brył tłuszczu, którym łakomie się żywiły.

Lekko uniosła głowę, aby lampa na jej kasku mogła oświetlić korzenie pod sufitem. W tej chwili słychać było jedynie człapanie Newtona wracającego do wjazdu oraz szum ścieków szukających drogi przez zwały tłuszczu. Żałowała, że kiedyś nauczyła się w szkole tego poematu: „Gdzie Alf, najświętsza płynie z rzek,/Przez jamy, gdzie nie wniknął człek”²...

Nie, pomyślała. To był tylko cholerny szczur. Już miała się odwrócić, kiedy w szczelinie pojawiła się twarz, biała jak mleko.

Gemma zastygła w bezruchu, wbijając w nią wzrok. Ciarki przebiegły jej po plecach, jakby pod jej kombinezon ochronny wpęzły stonogi. Otworzyła usta, nie zdołała jednak wydobyć z nich ani jednego słowa.

To była twarz bardzo małego dziecka, ale dziecka z rozciągniętą głową, o wąskiej czaszce i wydłużonych ludzkich rysach. Miało czarne, lśniące, blisko siebie osadzone oczy pozbawione tęczówek, bardzo szerokie nozdrza i usta wygięte w dół, jakby było bliskie płaczu. Nie miało włosów, a jego skóra opalizowała tak samo jak zgromadzony dookoła niego tłuszcz.

Gemma nigdy w życiu nie widziała czegoś równie potwornego, nawet w kanałach ściekowych. Jej przerażenie potęgował fakt, że dziwna zjawia nie okazywała agresji, w przeciwieństwie do szczurów, zwłaszcza tych, które znalazły się w sytuacji bez wyjścia. Ale zarazem nie sprawiała wrażenia, że się Gemmy boi. Po prostu wpatrywała się w nią z upiornym zainteresowaniem, jakby zastanawiała się, kim ona jest i co tutaj robi.

Po długiej chwili Gemma zdołała wreszcie powiedzieć chrapliwym głosem:

– Newton.

Młody człowiek zbliżał się już do wjazdu, więc musiała zawołać głośniejszym głosem, aby ją usłyszał:

– Newton!

Zatrzymał się i odwrócił, ale biała twarz w tej samej chwili zniknęła. Z sercem bijącym jak szalone Gemma podeszła bliżej i ostrożnie zajrzała do szczeliny. Czołówka pozwoliła jej dostrzec, że w głębi otworu coś się porusza – coś bladego i lśniącego, coś, co przez ułamek sekundy wiło się tak, jakby miało macki. Jednak zaraz potem widziała już tylko korzenie drzew, postrzępiony biały tłuszcz i porwane

wstęgi papieru toaletowego.

– O co chodzi, Gem? – zapytał Newton. Miał, jak to nazywała Gemma, „minę Eddiego Murphy’ego” – był niby poważny, zafrasowany, lecz w każdej chwili gotowy wybuchnąć sarkastycznym śmiechem. – Wyglądasz, jakbyś przed chwilą zobaczyła ducha.

– Coś tam jest. Coś żywego. I zanim powiesz, że szczur, nie, to nie jest szczur.

– Jeśli nie szczur, to może aligator?

– Do diabła, o czym ty mówisz? Jaki aligator?

– Co prawda nie słyszałem o aligatorach w Londynie, ale zdarza się to w Ameryce, prawda? Ludzie kupują małe aligatorki jako zwierzątka domowe, a kiedy się nimi znudzą, spuszcza je w kiblach. Słyszałem o takich, które w kanalizacji rozrosły się do ogromnych rozmiarów.

– Newton, to nie był aligator. Nie ma mowy. To był raczej... sama nie wiem. To bardziej przypominało dziecko.

– Co? Dziecko w kanale ściekowym? Za Chiny nie mogłaś tu widzieć dziecka. Przede wszystkim w jaki sposób by się tutaj dostało? No, chyba że ktoś by je spuścił w toalecie.

– Nie wiem. Po prostu wyglądało jak dziecko, i tyle. Tyle że jego głowa była długa i cienka. Cholernie mnie przstraszyło.

– No i nic dziwnego, kanały ściekowe są trochę jak gabinet strachu.

Gemma jeszcze raz zajrzała do szczeliny, ale czymkolwiek była zjawa o białej twarzy, i tak pochłonęła ją już ciemność. Przez chwilę zastanawiała się, co robić – może powinna zawołać ludzi z łopatami, żeby zaczęli kopać w tłuszczu i żeby spróbowali wydobyć z niego dziwną istotę? Bo gdyby użyli wody pod wysokim ciśnieniem, prawdopodobnie by ją zabili.

Po chwili pomyślała jednak: nie bądź śmieszna, to nie mogło być dziecko. Żadne dziecko nie mogłoby żyć z takimi deformacjami, a poza tym czym odżywiałoby się w tych ściekach? Gemma, prawdopodobnie masz omamy wywołane nadmiarem metanu i niedostatkim tlenu. Już ci się to przecież zdarzało. Pamiętasz, jak w Blackteath wydawało ci się, że słyszysz w tunelach kobiece głosy wykrzykujące twoje imię, albo jak wpadłaś w panikę, bo sądziłaś, że za chwilę runie na ciebie strop kanału? Teraz dopadło cię coś podobnego. Może tylko w trochę innej formie.

– Dobra, idziemy stąd – oznajmiła Newtonowi. – Chyba zaczynam po prostu świrować, i tyle.

1. *Crane* (ang.) – żuraw (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

2. Samuel Taylor Coleridge, *Kubla chan*, przeł. Stanisław Kryński (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

Doktor Macleod wpatrywał się w fotografię przez niemal dziesięć minut, zanim doktor Symond wreszcie zapytała:

– No i? Co z tym zrobimy? – Po chwili wahania dodała: – Proszę pana?

Macleod wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze z płuc. Tak samo się zachowywał, kiedy musiał powiedzieć jakiejś matce, że urodziła martwe dziecko.

– Będę z tobą całkowicie szczerzy, Caroline. Nie mam pojęcia. Czy ono może przeżyć poza organizmem matki? Czy w ogóle może przeżyć? A jeśli będzie żyło, módlmy się dla jego dobra, żeby tak się nie stało, to co je czeka w przyszłości?

Doktor Bhaduri spoglądał na zdjęcie płodu ponad ramieniem doktora.

– Trudno powiedzieć, czy to chłopiec czy dziewczynka.

– Trudno powiedzieć, czy to w ogóle jest człowiek – sprecyzował doktor Macleod.

– Cóż, oczywiście to musi być człowiek, skoro został poczęty w macicy tej nieszczęsnej kobiety. Wydaje się, że ma mózgi, kręgosłup, ale jego ciało jest straszliwie niedorozwinięte. No i te wszystkie kończyny. Myślę, że pytanie o płeć nie ma w tym przypadku znaczenia. Ten stwór nigdy nie będzie decydował, czy nosić spodnie czy sukienki, prawda? – Na chwilę umilkł. – Przepraszam. To było trochę nie na miejscu. Jednak w trakcie mojej dwudziestosiedmioletniej praktyki nigdy nie miałem do czynienia z niczym podobnym. A przecież widywałem już naprawdę zdeformowane płody, wiercie mi. Ale w porównaniu z tym bracia syjamscy to bułka z masłem.

Duncan, anestezjolog, pchnął podwójne drzwi wahadłowe i wszedł do sali przedoperacyjnej. Był łysy, a biały fartuch z trudem opinał jego wielki brzuch. Bardziej przypominał szefa kuchni niż lekarza.

– Pacjentka jest już przygotowana, doktorze.

Macleod po raz ostatni popatrzył na zdjęcie płodu i wstał.

– Doskonale. Spotkajmy się więc z tym nieszczęsnym małym stworzeniem twarzą w twarz.

Cała trójka poszła za Duncanem do sali operacyjnej, w której Chiasoka leżała już na stole, przykryta jasnozielonym prześcieradłem. Po przeciwnej stronie stołu operacyjnego czekała jedna z najbardziej doświadczonych położnych, obok stał na specjalnym stojaku ekran chirurgiczny przekazujący obraz w standardzie 4K. Młoda pielęgniarka sprawdzała instrumenty potrzebne doktorowi Macleodowi do przeprowadzenia cięcia cesarskiego.

Gdy tylko doktor Macleod pojawił się przy stole, akuszerka uniosła prześcieradło, odsłaniając nabrzmiały brzuch Chiasoki.

– Dziękuję ci, Glendo – powiedział lekarz i posłał jej mdły uśmiech człowieka, który z głęboką niechęcią miał za chwilę wypełnić swoje obowiązki zawodowe.

Nasunął na twarz maskę chirurgiczną i poczuł ulgę na myśl, że nikt nie będzie

mógł widzieć jego miny.

– Podstawowe parametry w normie – powiedział Duncan, który zdążył już zasiąść przed monitorami. – Ciśnienie tętnicze dziewięćdziesiąt na sześćdziesiąt, temperatura ciała trzydzieści siedem stopni, tętno siedemdziesiąt pięć. Szesnaście oddechów na minutę.

Doktor Macleod zobaczył, że na stoliku obok instrumentów chirurgicznych czeka już duża stalowa misa w kształcie nerki. Natychmiast po wydobyciu płodu z macicy miał go tam umieścić. Ładny mi płód, pomyślał. Ale czy mogę to inaczej nazwać?

– Miejmy już to za sobą – powiedział, po czym skinął na doktora Bhaduriego i na doktor Symonds, aby stanęli po obu jego stronach.

Zazwyczaj lubił, kiedy w czasie operacji grała muzyka, *Morze* Debussy'ego, ale dzisiaj chciał pracować w absolutnej ciszy, zakłócanej jedynie przez popiskiwanie kardiomonitora. Pielęgniarka podała mu skalpel numer 10 i doktor Macleod sprawnie wykonał pierwsze horyzontalne nacięcie powłok brzusznych. Wokół rany natychmiast pojawiła się krew, którą pielęgniarka szybko wytarła. Potem doktor rozciął cienką, lśniącą ścianę macicy.

Doktor Bhaduri odwiódł brzegi rany za pomocą retraktorów i przytrzymał je w taki sposób, aby doktor Macleod mógł sięgnąć do środka i wydobyć płód.

– O Jezu – wyszeptała doktor Symonds pod maską chirurgiczną.

Zwykle po otwarciu macicy ukazuje się czubek głowy dziecka, a następnie jego twarz i mocno zaciśnięte oczy. W ciele Chiasoki zobaczyli jednak mieszaninę rurek przypominających grube cannelloni w misce, choć część tych rurek miała na końcach rzędy małych wypustek, które mogły być bardzo słabo rozwiniętymi palcami.

Oczywiście doktor Macleod widział już te rurki czy macki, cokolwiek to było, na fotografii wykonanej w trakcie badania ultrasonograficznego i bardzo uważnie się im przyjrzał. Fakt ten jednak nie zmniejszył jego obrzydzenia ani przerażenia, jakie czuł, wydobywając je z macicy Chiasoki, ponieważ nie mógł mieć wątpliwości – widząc, jak przesuwiają się jedna po drugiej, jak skręcają się i prostują – że dotyka czegoś, co rzeczywiście żyje.

Doktor Symonds odwróciła się, zrobiła parę kroków i zwymiotowała pod ścianą sali operacyjnej. Duncan otwierał i zamykał usta, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu, a położna i pielęgniarka stały w miejscu jak skamieniałe, mimo że doktor Macleod już wcześniej pokazał im fotografie i ostrzegł, że płód jest „katastrofalnie zdeformowany, ma nadmierną liczbę kończyn, a poza tym wiele innych wad”.

Chociaż fotografie były bardzo wyraźne i szczegółowe, prezentowały nieruchomy obraz. Widok drżących i wijących się jak żmije rurek wstrząsnął kobietami.

Bhaduri skierował na Macleoda swoje szeroko otwarte orzechowe oczy.

– Co teraz, panie doktorze?

– Najpierw wyciągnijmy z niej to wszystko. A potem... Nie wiem, co potem. Duncan, jaki jest stan pacjentki?

– Tętno nieznacznie przyspieszone, ciśnienie tętnicze spada, ale nie ma powodu do paniki. No, jeśli nie liczyć tych kalmarów w jej brzuchu. To znaczy... ja piernicę.

Doktor Bhaduri starał się jak najbardziej rozszerzyć nacięcie na brzuchu, a tymczasem doktor Macleod wsunął obie ręce do łona Chiasoki i złapał płód w dłonie najdelikatniej, jak potrafił, mimo że w chwili, gdy zacisnął na nim palce, ten zaczął gwałtownie wierzgać. W mackach wyczuwało się stawy i cieniutkie kości, co przywodziło na myśl odnóża żaby. W każdym razie – chociaż okropnie zdeformowane – naprawdę były to kończyny.

– Chodź do mnie – wyszeptał pod maską. – Chodź do mnie, ty mały potworze.

Musiał ciągnąć coraz mocniej i mocniej, ponieważ płód zdawał się stawiać opór. Gdy tylko Macleodowi udało się unieść go na sześć albo siedem centymetrów, stwór natychmiast wyślizgiwał się i wracał do środka. Gdy powtórzyło się to trzy razy, doktor Macleod wsunął palce prawej dłoni pomiędzy skręcające się macki i dopiero wtedy zdołał użyć całej siły, żeby go wydostać. Szarpnął i rzucił go na prześcieradło pomiędzy uda Chiasoki. Płód, okrwawiony i śliski od płynów owodniowych, w dalszym ciągu wściekle wił się i skręcał.

Miotał się także wtedy, gdy lekarz z trudem przecinał pępowinę. Przez lata wykonał mnóstwo trudnych operacji, ale dotyk koszmarnych macek obrzydliwego płodu wywołał u niego odruch wymiotny, który ledwie stłumił. Doktor Symonds wciąż stała pod ścianą, odwrócona plecami do stołu operacyjnego. Także Glenda i pielęgniarka odwróciły głowy i jedynie Duncan wpatrywał się z niedowierzaniem w to, co doktor Macleod właśnie wyciągnął z Chiasoki.

– Doktorze Bhaduri – odezwał się Macleod. – Oksytocyna.

Chodziło mu o podanie hormonu, który miał przyspieszyć pozbycie się łożyska. Doktor Bhaduri przygotował strzykawkę i zbliżył się, by zrobić zastrzyk. Nie potrafił się jednak zdobyć na to, by spojrzeć na płód, i nie zdołał zapanować nad drżeniem rąk.

– Ja... ja... – zaczął. – Przepraszam, panie doktorze. Ja chyba nie...

– Rozumiem. Ja to zrobię – powiedział Macleod.

Spokojnie odebrał strzykawkę z rąk Bhaduriego. Ku jego uldze macki płodu przestały drgać i powoli się rozprostowały. Dobry Boże, pomyślał, pozwól temu stworowi umrzeć. Ale gdy macki się rozwinęły, stopniowo odsłoniły owalny biały kształt, wciąż lśniący od śluzu i umazany krwią. Kształt ten nie ujawnił się wyraźnie podczas badania ultradźwiękowego, ponieważ te macki czy kończyny, cokolwiek to było, mocno zaciskały się wokół niego, praktycznie go ukrywając. Widoczny był tylko jako fragment tkanki przypominający guz, ale skoro wydawał się połączony ze zdeformowanym kręgosłupem, doktor Macleod przyjął, że jest to mózg płodu.

Jednak teraz, gdy macki zwiotczały i opadły, doktor Macleod zobaczył, że ma do czynienia ze zniekształconą ludzką głową obdarzoną twarzą. Z potylicy wyrastały macki a od szyi odchodziły dwa wydęte balony pokryte skórą, półprzezroczyste i pokryte siecią czerwonych naczyń włosowatych. Balony rytmicznie powiększały się i zmniejszały, pracując jak płuca. Macleod mógł jedynie przyjąć, że naprawdę są to płuca.

Stwór posiadał też miniaturowy korpus, nie większy od dziecięcej rękawiczki, drobne męskie genitalia i wiotkie, nierozwinięte nogi.

Doktor Macleod widywał już wynaturzone płody – zdeformowane z powodu używania przez matkę narkotyków i alkoholu albo w wyniku zaburzeń genetycznych. Jednak widok twarzy tego stworzenia wstrząsnął nim do głębi. Była piękna, niczym twarz cherubina. Rzadko się zdarzało, żeby nowo narodzone dziecko miało tak doskonałą twarz. Jego oczy były zamknięte, jakby spokojnie spało. Usta wygięte w lekki łuk rozchyłały się, kiedy nabierało powietrza. A jednak był to bez wątpienia potwór. Doktor Macleod nie mógł uwierzyć nie tylko w to, że podobne dziecko pojawiło się na świecie, ale i w to, że wciąż żyje.

– Co z tym zrobimy? – zapytał doktor Bhaduri. – To jest... to jest... Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem. Ta twarz...

Macleod przywołał się do porządku. Musiał myśleć przede wszystkim o zdrowiu tej kobiety. Odślonił udo Chiasoki i wstrzyknął jej oksytocynę. Teraz musiał poczekać, aż zadziała. Wtedy będzie mógł ręcznie oddzielić łożysko od jamy macicy. To powinno zmniejszyć ryzyko zakażenia.

– Spada ciśnienie – powiedział Duncan. – Tętno w normie.

– Ten stwór, doktorze... – odezwała się tymczasem Glenda. – Płód. Niech pan spojrzy... ma problemy z oddychaniem.

Rzeczywiście. Istota zaczęła sapać i rzucać głową z boku na bok. Doktor Macleod zauważył, że nozdrza ma zapchane śluzem. Macki znowu zaczęły gwałtownie drgać.

Gdyby sytuacja miała cokolwiek wspólnego z normalnym porodem, nakazałby pielęgniarkę odessać śluz z przewodów nosowych noworodka za pomocą aspiratora, teraz jednak się zawahał. Mimo że ten biedny stwór miał anielską twarz, może lepiej byłoby pozwolić mu się udusić. Jego cierpienia mogła także skrócić potężna dawka morfiny.

Istota dławiła się i charczała, a potem, ku przerażeniu doktora Macleoda, otworzyła oczy, szczerze, szafirowoniebieskie. Dokładnie tak samo spoglądały na niego wszystkie nowo narodzone dzieci. Kim ty jesteś i co ja tutaj robię?

Glenda popatrzyła na doktora Macleoda i przygryzła wargę.

– Wiem, o czym pan myśli. Też mi to przyszło do głowy.

Doktor Symonds odwróciła się i powoli podeszła do stołu operacyjnego. Jej twarz, zazwyczaj zarumieniona, teraz była tak blada, jakby obsypała ją mąką ryżową.

– Jest przepiękny – powiedziała. – Jak to możliwe, że coś tak przerażającego może jednocześnie być tak piękne?

Płód wciąż sapał, a doktor Macleod, widząc, że podobne do baloników płuca teraz napełniają się powietrzem zaledwie do połowy, zorientował się, że ma coraz większe problemy z oddychaniem.

– Nie rozumiem, dlaczego wciąż żyje – powiedział.

Pragnął, żeby płód przestał na niego patrzeć w taki sposób, jakby prosił o ratunek. Nie mogę oddychać, doktorze. Błagam cię, pomóż mi, nie mogę oddychać.

– Nie jestem Bogiem, ale czuję, że najbardziej przysłużymy się temu nieszczęsnemu dziecku, jeśli pozwolimy mu odejść z tego świata, z naszą interwencją lub bez niej.

Zdał sobie sprawę, że nazwał ten zniekształcony płód dzieckiem, ale skoro tak na

niego patrzyło, nie był w stanie mówić o nim inaczej.

– Co państwo o tym sądzą? – zapytał. – Jesteśmy jednomyślni?

– Tak – powiedział doktor Bhaduri.

– Tak – powiedziała doktor Symonds.

Położna tylko skinęła głową.

– Siostrzo, proszę przygotować dwieście miligramów morfiny – polecił Macleod.

Po chwili bardzo ostrożnie podniósł poplątany płód ze stołu operacyjnego. Ważył około dwóch kilogramów. Jego kościste macki drżały, walczył o oddech i nawet kiedy doktor Macleod położył go w nerkowatej misce, wpatrywał się w niego błękitnymi oczami, którymi jeszcze ani razu nie mrugnął.

– Przepraszam – powiedział Macleod, chociaż doskonale wiedział, że płód go nie rozumie.

Ale w tym samym momencie płód wciągnął powietrze i zaczął płakać.

– Skąd wziąłeś nóż, Rusul? – zapytał Jerry.

– Kosę? Kupiłem w supermarkecie Asda.

– To nie jest żadna kosa, ty ciulu. To nóż kuchenny marki Victorinox służący do cięcia kalafiora. Na opakowaniu na pewno nie napisano, że jest przeznaczony do zabijania kumpli. Kiedy go kupiłeś?

– Wczoraj rano.

– Kupiłeś go specjalnie po to, żeby zabić Attafa?

– Nie wiem, koleś. Zamierzałem dać gnojowi nauczkę, ale wcale nie myślałem, że go zabiję.

– Nie pomyślałeś, że jeśli dźgniesz go jedenaście razy ostrzem o długości dwudziestu centymetrów, to facet może wykorkować?

– Tak się wkurwiłem, że nie myślałem o tym. Ten cały Attaf zawsze mnie drażnił, ale były to tylko żarty, łapiesz? Potem jednak zaczął się kręcić przy Dżoi i mi ją odebrał, mimo że była moją panną. Nosila moje dziecko, a on je usunął. Jak byś się czuł, koleś, gdyby taka świnią zrobiła to z twoim dzieckiem? Przebaczyłbyś mu?

Jerry odwrócił się i popatrzył na Malletta.

– Myślę, że prawdopodobieństwo, aby wydarzyło się coś takiego, można określić jako nieskończenie małe. A tutaj, na posterunku, Rusul, jesteśmy dla ciebie funkcjonariuszami policji, a nie kolesiami, rozumiesz? Jeżeli nie wbijesz sobie tego do łba, to nas rozdrażnisz. Może nawet wkurwisz.

Była jedenasta trzydzieści. Wszyscy trzej znajdowali się pokoju przesłuchań o ścianach pomalowanych na beżowo. Jerry i Mallett siedzieli przy stole naprzeciwko Rusula i jego obrońcy z urzędu – szczupłego młodego człowieka w niebieskim garniturze od Marksa i Spencera. Miał wydatny nos i rzadkie jasne włosy. Jerry był przekonany, że nie miną trzy lata, a młodzieniec wyłysieje.

– Cóż – westchnął, zamykając teczkę z dokumentami. – Chyba nie będę miał już do ciebie więcej pytań. Przyznałeś, że kupiłeś nóż przed południem w dniu morderstwa i że już wtedy miałeś zamiar zemścić się na Attafie. Nie użyłeś jakiegos przypadkowego narzędzia, które mogłoby się walać w klubie karate, nie zasztyletowałeś go w nagłym ataku furii. Kupiłeś nóż, żeby zabić chłopaka, miałeś później jeszcze cały dzień, żeby to przemyśleć, mogłeś odstąpić od zamiaru zamordowania go, ale tego nie zrobiłeś. – Popatrzył na adwokata i zapytał: – Chce pan coś dodać, panie Teape?

Mężczyzna wytarł nos pogniecioną chusteczką.

– Wystąpię z wnioskiem, żeby poddano mojego klienta kompleksowym badaniom psychiatrycznym. Jestem głęboko przekonany, że cierpi on na niezdiagnozowane dotąd zaburzenia osobowości i że właśnie te zaburzenia spowodowały jego nadmierną reakcję, kiedy się dowiedział, że jego była partnerka została namówiona do usunięcia

ciąży.

– Powiedz mi, Rusul, czy wiedziałeś, że Dżoja jest w ciąży, kiedy z tobą zerwała?
– zapytał Jerry.

– To nie ma znaczenia – powiedział Teape. – To, czy o tym wówczas wiedział czy nie, nie zmienia faktu, że spotkała go tragedia. Przypuśćmy, że dziewczyna urodziłaby to dziecko, a on po wielu latach odkryłby, że jest ojcem. Mógłby zareagować w identyczny sposób, prawda?

– Ona jednak przerwała ciążę, zmieściła się z tym w dwudziestoczytgodniowym limicie czasu i samodzielnie podjęła decyzję, prawda? Gdyby Rusul miał się na kogoś złościć, to wyłącznie na nią, ale w tej sprawie chodzi o jej ciało i jej decyzję, i to, że ją podjęła, nie może być usprawiedliwieniem dla zamordowania Attafa.

– Przykro mi – odparł adwokat. – W dalszym toku postępowania będę się starał dowieść, że morderstwo popełniła osoba w stanie ograniczonej poczytalności. – Zabrał ze stołu tanią skórzaną teczkę i wsunął do niej notatnik.

Mallett wyłączył dyktafon.

– Niech pan na to nie liczy, panie Teape. Bo my w dalszym toku postępowania dowiedzimy, że morderstwo popełnił po prostu zazdrosny, tępy dupek.

Znaleźli Dżoję na zapleczu delikatesów należących do jej ojca. Sklep mieścił się na środku High Road w Streatham, czyli pięciokilometrowego odcinka drogi A23 prowadzącej do centrum Londynu. Po obu stronach ulicy stały zapuszczone, brzydkie budynki, tanie domy towarowe, chińskie restauracje, biura podróży i sklepy z e-papierosami.

W Sanghawi, sklepie z żywnością halal, panował niemal półmrok. W powietrzu unosił się zapach cynamonu, kurkumy, ziela angielskiego i goździków. Półki zapełnione były paluszkami chorizo Najma, chałwą Royal Gajar i filetami z kurczaka Haloodies, a także brązowym ryżem, płaskimi chlebkami indyjskimi i papadam.

Mallett wziął głęboki oddech i powiedział:

– O rety! Jeżeli te wonie nie wyleczą mojego kataru, to już nic mi nie pomoże.

Za ladą stał przysadzisty Pakistańczyk w zielonym fartuchu w paski i energicznie pisał coś na tablicie. Miał błyszczącą łysą głowę, okrągłe okulary i duże czarne wąsy, które Jerry'emu przypominały szczotki zmiatarki ulicznej.

– Poszukujemy młodej damy o imieniu Dżoja – powiedział Jerry, podsuwając mężczyźnie przed oczy legitymację.

– Szukacie Dżoi? Jestem jej ojcem. Czego od niej chcecie?

– Jak pan się nazywa?

– Moje nazwisko widnieje na szyldzie sklepu. Sanghawi.

– Rozumiem, panie Sanghawi. Czy moglibyśmy porozmawiać z Dżoją? Zdaje się, że przychodzi tutaj czasami i panu pomaga. Jest dzisiaj w sklepie?

– Chodzi o Attafa?

– Musimy odbyć z pana córką dyskretną rozmowę. Obawiam się, że nie możemy z panem na ten temat dyskutować.

– Jedna z przyjaciółek powiedziała jej wczoraj wieczorem o Attafie. Dlatego Dżoja jest bardzo przybita. Jednak uparła się i także dzisiaj przyszła, żeby pomagać mi w sklepie. Stwierdziła, że nie chce sprawić mi zawodu.

– Jest więc tutaj?

– Wiele razy mówiłem córce, że nie podobają mi się jej koledzy z klubu karate. To chłopcy z *nimna warga*... z niskiej klasy. Chociaż spotkałem raz tego Attafa i nie był taki zły jak cała reszta tego towarzystwa. Był czysty i bardzo grzeczny, nazwał mnie nawet „sahibem”. Ale Dżoja obiecała mi solennie, że przestanie się widywać z tymi młodymi ludźmi. Bardzo proszę, niech jej panowie tego nie mówią, ale i tak w przyszłym miesiącu zabierzemy ją do Pakistanu, żeby tam poślubiła swojego kuzyna. Wtedy wreszcie przestaniemy się zamartwiać tym, z kim się ta dziewczyna zadaje.

– Szczęściara – powiedział Mallett. – Ile lat ma ten kuzyn?

– Czterdzieści trzy. Ale to jest wspaniały mężczyzna. Zarobił mnóstwo pieniędzy na handlu telefonami komórkowymi.

– W każdym razie... możemy z nią porozmawiać? – spytał Jerry.

– Tak. Jest na zapleczu, w magazynie. Chodźcie ze mną.

Policjanci poszli za panem Sanghawim wąskim korytarzem prowadzącym na tyły sklepu. Magazyn aż po sufit wypełniały worki ryżu oraz kartony z pakistańską żywnością i napojami. Były tu migdały Khalai Khaas, ciasteczka kardamonowe, konserwy z kozim mięsem i puszki z krowim moczem. Na jednym z kartonów siedziała dziewczyna w wieku osiemnastu lub dziewiętnastu lat, z czerwoną jedwabną chustą na głowie, ubrana w luźny różowy sweter i dżinsy. Rozmawiała przez iPhone'a, ale gdy tylko w drzwiach stanął jej ojciec, przerwała połączenie i wsunęła telefon do kieszeni.

– Dżoja, ci panowie są z policji. Chcą z tobą porozmawiać o Attafie.

Dżoja wstała.

– A co jeszcze można powiedzieć o Attafie? – zapytała głośno. Jerry natychmiast pojął, że jest pogrążona w wielkim bólu, lecz stara się tego nie okazywać. – Attaf nie żyje.

– Właśnie na ten temat chcemy porozmawiać. A w szczególności o tym, dlaczego nie żyje.

– Skąd moja córka mogłaby wiedzieć, dlaczego ten chłopak nie żyje? – zapytał Sanghawi. Stał w progu z rękami złożonymi na piersiach. – Raczej powinniście o to zapytać tego faceta, który go zabił.

– Panie Sanghawi, musimy porozmawiać z Dżoją na osobności.

– Ona jest moją córką. Mieszka w moim domu. Jest członkiem mojej rodziny. To, co dotyczy członków mojej rodziny, dotyczy także mnie.

– Z całym szacunkiem, proszę pana, jednak nie w tym przypadku.

– A dlaczego nie, jeżeli mogę zapytać?

– Ponieważ nie wykluczam, że córka może przekazać nam informacje, które wolałaby ukryć przed panem. A ponieważ chodzi o morderstwo, jej zeznania mogą mieć kluczowe znaczenie dla oskarżenia sprawcy.

- To niedorzeczne. Córka o wszystkim mi mówi.
- Rozumiem – powiedział Mallett. – Kto jest jej ulubionym piosenkarzem?
- A skąd mam wiedzieć?
- Aha. Właśnie się dowiedziałem, że córka nie mówi panu o wszystkim.

Pan Sanghawi nie ruszył się jednak z miejsca. Jerry spokojnie odetchnął i odezwał się:

– Proszę pana, jest mi bardzo przykro, ale musimy porozmawiać z Dżoją na osobności. Jeżeli nie umożliwi nam pan tego tutaj, będziemy musieli poprosić, aby pojechała z nami na komisariat.

– Hmm... Dobrze. Jestem jednak pewien, że Dżoja nie ma dla was żadnych użytecznych informacji. Bo nie masz, prawda, Dżoja?

Dziewczyna jedynie opuściła wzrok i złożyła ręce, jak przystało na potulną i posłuszną córkę. Pan Sanghawi prychnął z niezadowoleniem i wrócił do sklepu. Jerry zamknął za nim drzwi magazynu. Wiedział, że ojciec Dżoi nie będzie w stanie podsłuchać rozmowy, nawet jeśli pozostawi je otwarte, ale chciał, aby dziewczyna nie obawiała się, że treść rozmowy pozna ktokolwiek poza osobami obecnymi w pomieszczeniu.

– Jak długo spotykałeś się z Rusulem? – zapytał.

– Niecały rok – odparła Dżoja. Mówiła z osobliwym akcentem, na wpół południowolondyńskim, na wpół pakistańskim. – Spotkałam go na walimie mojej przyjaciółki.

– Jeśli się nie mylę, walima to przyjęcie weselne.

– Tak, dokładnie. A ponieważ była to walima, Rusul był elegancko ubrany i bardzo grzeczny. Dopiero po dwóch czy trzech miesiącach przekonałam się, że potrafi być strasznym chamem. W jego pokoju było jak w chlewie i nawet koledzy, z którymi mieszkał, krytykowali go za to, że jest bałaganierzem. Nigdy nie zmieniał pościeli, a brudne ubrania rzucał po prostu na podłogę.

– Dlaczego więc go nie rzuciłaś? – zapytał Mallett.

– Och, daj spokój, Jeżozwierz – zareagował Jerry. – Z tych samych powodów, dla których kobiety nie odchodzą od facetów, którzy regularnie je biją. Zawsze wydaje im się, że to one ich w końcu zmienią. Poza tym jest jeszcze coś takiego jak miłość.

– Kochałam go, tak – powiedziała Dżoja. – Był nieokrzesanym brudasem, ale nigdy mnie nie uderzył. Czasami dziko się kłóciliśmy, zwykle jednak Rusul był zabawny, sympatyczny, hojny i... cóż...

– Dobry w łóżku?

Dziewczyna zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

– Rozumiem, że tak – oznajmił Jerry. – Kiedy się zorientowałaś, że jesteś w ciąży?

– Kto panu o tym powiedział?

– Sam Rusul.

Dżoja milczała przez kilkanaście sekund. Jej przyśpieszony oddech podpowiedział Jerry'emu, że jest bliska załamania. – Dwa miesiące temu – powiedziała wreszcie. – Jedenastego sierpnia.

– Jednak nie powiedziałaś o tym Rusulowi? Dlaczego?

– Mieliliśmy wtedy problemy. Rusul stracił pracę w warsztacie, ponieważ ciągle się spóźniał. I poza tym...

– Słucham cię. Co poza tym?

– Poszłam do mojej bhawiszja kahenara.

– Naprawdę? A kto to taki?

– Moja wróżka. Przyjaciółka mojej ciotki. Ma na imię Hazima i mieszka w Mitcham. Skądś wiedziała, że przyszedłam do niej, ponieważ jestem w ciąży. Wiedziała, zanim powiedziałam jej, że to dziecko Rusula.

Dżoja zamilkła i długo siedziała w ciszy, a pod jej czarnymi rzęsami pojawiły się łzy. Jerry i Mallett stali cierpliwie i czekali, aż zapanuje nad sobą.

– Hazima pobłogosławiła mnie – podjęła Dżoja. – Później położyła rękę na moim brzuchu i zamknęła oczy. Dzięki temu mogła mi powiedzieć, jak będzie wyglądało życie dziecka. Coś ją zaniepokoiło, powiedziała, że dziecko nie rozwija się tak, jak powinno.

– Skąd o tym wiedziała? Miała w dłoniach promienie Roentgena czy co? – zapytał Mallett.

– Wszystko, co kiedykolwiek powiedziała mi Hazima, sprawdziło się – oznajmiła Dżoja. – Kiedy miałam zaledwie czternaście lat, powiedziała mi, że spotkam mężczyznę, który będzie lubił się bić, i że dam mu dziwne dziecko. Powiedziała mi też, że później wyjdę za mąż za bogatego mężczyznę, znacznie ode mnie starszego.

Jerry z krzywą miną popatrzył na Malletta.

– Muszę się spotkać z tą Hazimą – odezwał się Mallett. – Może zdradzi mi wyniki najbliższego losowania Lotto?

– Kocham Hazimę – powiedziała Dżoja. – Kocham ją i ufam jej. Mogę jej mówić takie rzeczy, o jakich nigdy nie porozmawiałabym z mamą albo tatą.

– A więc... po tym, co opowiedziała ci o dziecku... zdecydowałaś się na przerwanie ciąży? – zapytał Jerry.

– Nie od razu. Jednak zniechęciłam się do Rusula. Któregoś wieczoru poszłam do klubu karate, żeby z nim porozmawiać, i poznałam Attafa.

– Wtedy zerwałaś z Rusulem?

– Attaf był słodki, delikatny i wyrozumiały. No i jego rodzina przyjęła mnie bardzo ciepło. Kiedy przychodziłam do jego domu, matka Attafa uczyła mnie, jak przyrządzać khir z kardamonem.

– Ale to Attaf namówił cię na to, żebyś przerwała ciążę?

– Tak. Wyznałam mu, że coś jest nie tak z dzieckiem, a on uznał, że w takiej sytuacji powinnam się go pozbyć. Jak powiedział, Makka al-Mukarrama uważał, że tak właśnie powinna postąpić kobieta, kiedy z dzieckiem w jej łonie jest coś nie w porządku.

– Doskonale – wtrącił się Mallett. – Skoro tak uważa ten Makkah al-CośTam, niczym się nie przejmuj.

– To wielki uczony islamski – powiedziała Dżoja.

– Rozumiem więc, że od lekarki z Brockley, do której zawiózł cię Attaf, dostałaś pigułki i dziecka pozbyłaś się w domu? – kontynuował Jerry.

– W domu rodziców Attafa, kiedy wyjechali na weekend.

– Przepraszam, że muszę cię o to pytać, wiem, że płód prawdopodobnie nie był wystarczająco rozwinięty, abyś mogła cokolwiek stwierdzić z całą pewnością, ale czy coś dowodziło, że nie jest prawidłowo zbudowany?

Dziewczyna pokręciła przecząco głową i zadrżała, przypominawszy sobie ponure i tragiczne chwile.

– Poczułam, jak się ze mnie wyslizgiwał, ale na niego nie spojrzałam.

– Zatem zadam ci jeszcze tylko jedno pytanie. Czy Rusul mówił ci, co myśli o Attafie? Powiedział, że jest wściekły albo zazdrosny? Czy groził, że zrobi mu krzywdę?

– Kiedy dowiedział się o dziecku, przyszedł do mnie i zapytał, czy to jest prawda. Nie krzyczał, nie wrzeszczał, kiedy przytaknęłam, ale nie miałam wątpliwości, że jest bardzo zły. Powiedział tylko: *dźiwana mate eika dźiwana*, co znaczy „życie za życie”. Wtedy nie pojmowałam, co miał na myśli. Oczywiście teraz to rozumiem.

– Czy będziesz gotowa powtórzyć to wszystko w sądzie, jeżeli cię o to poproszą?

– On zabił Attafa. Kochałam Attafa. Gdyby to się zdarzyło w Pakistanie, Rusul zostałby powieszony.

– Rozumiem więc, że tak?

6

Martin Elliot wysiadł ze swojego srebrzystoszarego audi i przeszedł przez ulicę. Tylko dzięki szybkiemu refleksowi nie wpadł pod motorower prowadzony przez dostawcę z firmy Deliveroo. Motorowerzysta, nie przerywając jazdy, krzyknął coś w jego kierunku, ale Martin usłyszał z tego tylko pytanie: „Jesteś, kurwa, ślepy?”.

Jim Feather czekał na niego przy barierkach. Palił papierosa i rozmawiał z Newtonem. Kiedy tylko dostrzegł Martina, wrzucił niedopałek do rynsztoka i wypuścił w powietrze chmurę gęstego dymu.

– Co słyhać, Jim? – zapytał Martin. – Cześć, Newton, wszystko w porządku? Rzuciłem oko na twoje filmy. Wygląda na to, że mamy tutaj całkiem sporą przeszkodę. Gdzie jest Gemma?

– Wróci za chwilę. Poszła po kawę i pączka.

– O rety – jęknął Martin, machając dłonią przed twarzą. Nawet na otwartej przestrzeni czuł odór zjeżdżających wyziewów z kanału ściekowego. – Musi mieć żołądek o wiele silniejszy od mojego.

Bezustannie przypominał sobie, że jest tutaj szefem, ale był też aż nadto świadomy, że jego biały kombinezon ochronny jest nowiutki i świeży, nie ma na nim najmniejszej plamki. Także jego kask, nieskazitelnie czysty, bardzo się różnił od poobtlukiwanego i poplamionego kasku Jima. Martin poczuł się tak samo jak pierwszego dnia w szkole średniej, gdy wszedł do swojej klasy w marynarce przynajmniej o dwa rozmiary za dużej i ze sztywną, nowiutką plastikową torbą na ramię. Zupełnie nie pasował ani do tego miejsca, ani do tego towarzystwa.

Gemma przebiegła przez Peckham Road. Trzymała w rękach zakupy ze sklepu Payless – kubek kawy, pączka oraz dwie puszki coli, które natychmiast bez słowa podała Jimowi i Newtonowi.

– Przepraszam, Martin. Nie wiedziałam, że przyjedziesz tak szybko. Chcesz się czegoś napić? Albo zjeść pączka?

– Dzięki, wolę najpierw zejść na dół. Mój żołądek mógłby zareagować w niepożądany sposób. Nie wiem dlaczego, ale czasami tak się ze mną dzieje.

– Jeszcze parę lat w tym biznesie i się przyzwyczaisz – powiedział Jim. – Myślisz, że to coś wstydlwego? Musiałbyś pójść do sracza zaraz po moim ojcu. Bez cholernej maski przeciwgazowej nie miałbyś żadnych szans.

Poczekali, aż Gemma wypije kawę i zje pączka, a Jim wypali kolejnego papierosa. Gemma bardzo się starała nie sprawiać wrażenia podenerwowanej, wciąż jednak się wahała, czy nie powiedzieć Martinowi o podobnym do dziecka stworze z białą twarzą. Gdyby mu o nim powiedziała, a stwór nigdy więcej by się nie pojawił, Martin mógłby pomyśleć, że to objaw załamania, że zawód, który wykonuje, jest dla niej nadmiernie stresujący. Już wcześniej napomknął, że właściwie nie rozumie, co ciągnie taką śliczną dziewczynę do kanałów ściekowych. Ale jeżeli mu o nim nie powie, a dziwny

stwór zostanie ranny lub zginie, kiedy uderzy w niego strumień wody pod wysokim ciśnieniem, ogarnie ją nieznośne poczucie winy. Niemniej zdołała już prawie przekonać samą siebie, że tak naprawdę wcale go nie widziała, a jeśli już, to wyłącznie w wyobraźni.

Wyrzuciła pusty kubek po kawie do najbliższego kosza na śmieci, klasnęła i powiedziała:

– W porządku, Martin, jesteśmy gotowi.

Martin wyczuł w jej głosie napięcie i posłał jej pytające spojrzenie, ale Gemma się odwróciła.

Wszyscy zapięli kaski i włożyli rękawice ochronne. Tym razem na dół miał zejść także Jim, żeby oszacować sytuację i wskazać najskuteczniejszy sposób udrożnienia kanału. Potem zadaniem Martina będzie wyliczenie kosztów akcji, zwłaszcza jeśli konieczna będzie interwencja dwóch ekip działających po obu stronach zatoru. Doskonale wiedział, że woda pod wysokim ciśnieniem prawie na pewno uszkodzi ceglane mury, a ich naprawa będzie bardzo kosztowna. Kanał pochodził z 1868 roku. Jego budowę nadzorował Joseph Bazalgette, twórca pierwszego systemu kanalizacji w Londynie.

Jim pierwszy wszedł do włazu, za nim podążyli Newton, Gemma i na końcu Martin. Ścieki znacznie już wezbrały i zalewały niemal całe cholewki butów Gemmy. Na ich powierzchni powoli sunęły tampony i, jak to nazywali kanalarze, „niepolerowane balaski”.

– To powinno płynąć znacznie prędzej – powiedział Jim. W słabym oświetleniu lamp przymocowanych do poruszających się kasków jego twarz wyglądała jak oblicze ducha. – Jeszcze kilka tygodni w tym tempie i gównem zaczną wypływać przez włazy na ulice.

– Chodźmy popatrzeć na tę bryłę tłuszczu, dobrze? – zaproponował Martin.

Wielokrotnie już schodził do kanałów, ale z powodu zatoru odór ścieków akurat tutaj wydawał mu się znacznie bardziej obrzydliwy niż smrody, z którymi miał do czynienia w przeszłości. Był nie tylko silny, ale zarazem niezwykle ostry. Brnąc przez ścieki za plecami Gemmy, Martin co kilka kroków pociągał nosem.

– Czy tylko ja to czuję, Gem, czy ty też wychytujesz ten jakby kwaśny zapach? – zapytał.

Gemma również wciągnęła powietrze nosem.

– Masz rację. Zauważyłam to już wcześniej. Ale to jest zapach taki bardziej cytrynowy. Jak werbena, nie sądzisz?

– Raczej cytrynowy cif do czyszczenia toalet – ocenił Jim.

Dotarli do zatoru. Newton po kolei z kilku miejsc oświetlił delikatną ścianę utwardzonego tłuszczu, aby Martin mógł się zorientować, jaka jest zwarta i jak gęsto poprzeplatana korzeniami drzew. Gemma nie mogła się powstrzymać i spojrzała na wąską przestrzeń pod stropem kanału – chciała wiedzieć, czy nie obserwuje ich podobny do dziecka stwór o białej twarzy.

Pokazała Martinowi, jak trudno jest oderwać tłuszcz od cegieł, i wskazała pobrużdżone stalaktyty formujące się na suficie i grożące całkowitym zablokowaniem

kanalu.

– W gruncie rzeczy, Gem, to wygląda znacznie gorzej, niż sobie wyobrażałem, kiedy oglądałem twoje próbki. Uważam jednak, że możemy tę bryłę zaatakować wyłącznie od strony północnej. Oczywiście rozbilibyśmy ją szybciej, gdybyśmy natarli z dwóch końców, pomyśl jednak, jak wielkiej ilości wody trzeba będzie użyć. Nie damy rady spuścić jej dostatecznie szybko z tej strony. Po pięciu minutach wszyscy się potopiają.

– Poza tym bryła w wielu miejscach jest twarda jak skała – dodał Jim. Uderzał dłutem o szerokim ostrzu w przywartą do ściany masę. – Nawet w Whitechapel nie była aż tak zwarta. – Oderwał od ściany wielką żółtawą bryłę o wadze co najmniej czterech kilogramów i cisnął ją do gęstych beżowych ścieków. – Popatrzcie na to. Wplotło się w to mnóstwo szmat, podobnie jak korzeni. I sporo rzeczy, których na co dzień nie widzimy w ściekach, nie tylko torebki z herbatą, tampony czy prezerwatywy. – Jeszcze raz mocno wbił dłuto w bryłę, żeby odsłonić coś, co wyglądało jak płaski czarny patyk. Wyrwał go, przez chwilę otrząsał z płynnego tłuszczu i okazało się, że trzyma w ręce łyżeczkę deserową. – No bo kto wyrzuca do ścieka sztuczki? Powiedzcie mi. – Znow zaczął szukać czegoś w tłuszczu, lecz nagle przestał. – Cholera! – zawołał i cofnął się o krok.

Poziom ścieków bez wątpienia się podnosił. Ich powierzchnia znajdowała się w tej chwili przynajmniej pięć centymetrów wyżej niż przed kilkoma minutami, kiedy wszyscy czworo schodzili do kanału.

– Co jest? – zapytał Martin.

Gemma instynktownie skierowała wzrok na szczelinę, w której wcześniej widziała tamtą twarz. W tej chwili jednak nie było po niej nawet śladu, jakby nigdy nie istniała. Opuściła głowę i natychmiast zrozumiała, dlaczego Jim się cofnął. Dostrzegła odciętą ludzką rękę do połowy zatopioną w tłuszczu. Była to ręka kobiety, zielonoszara, ponieważ już częściowo przegniła. Paznokcie miała pomalowane pomarańczowym lakierem, a na środkowym palcu widać było cienką złotą obrączkę.

– Cholera jasna – powiedział Jim. – Największy twardziel mógłby się porzygać na taki widok. Zastanawiam się, gdzie jest reszta ciała.

Martin nie podszedł bliżej. I bez tego zbierało mu się na wymioty. Przełknął ślinę i odniósł wrażenie, że smakuje ona cytrynowymi ściekami.

– Nie wierzę – odezwał się. – Teraz dopiero mamy przesrane. Zanim zaczniemy wypłukiwać tę bryłę, będziemy musieli sprowadzić tutaj policję, a Bóg jeden wie, na jak długo ta wstrzyma nasze prace. Pamiętacie, jak policjanci zachowywali się w Catford w zeszłym miesiącu, kiedy znaleźliśmy dziecięcy but? Teraz będą chcieli przekopać te zwały tłuszczu centymetr po centymetrze, bo będą podejrzewali, że tkwi w nich reszta zwłok.

Jim przez chwilę się zastanawiał, patrząc na zgniłą rękę, jakby chciał ocenić jej wartość. Wreszcie rzucił:

– Niekoniecznie, szefie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że gdyby nie ten cholerny zator, nie natknęlibyśmy się na tę rękę. Już dawno spłynęłaby Tamizą do morza razem z pozostałymi fragmentami ciała kobiety, jeśli one także znalazły się w kanałach ściekowych.

– Co z tego?

– Możemy więc oddać tę rękę naturze. Wygrzebać ją, zabrać do Butler's Wharf, wrzucić do rzeki i więcej o niej nie myśleć. I tak znalazłaby się właśnie tam, gdyby połowa Peckham nie wlewała cholernego tłuszczu i fusów po kawie do zlewozmywaków i gdyby ludzie nie siadali do srania na washletach.

Martin pokręcił głową.

– Przykro mi, Jim, nie możemy tak postąpić. Byłoby to... jak to określa policja? Fałszowanie, zacieranie dowodów przestępstwa?

– Jasne, szefie. Pan tutaj decyduje. Ja staram się jedynie znaleźć sposób, żeby zaoszczędzić nam czas i pieniądze.

– Tak, pomyśl jednak o rodzinie tej nieszczęsnej kobiety. Może być tak, że nagle zniknęła, a ci ludzie nie mają pojęcia, co się z nią stało. Pewnie teraz rozpaczają, nie sądzisz?

– No i pomyśl o człowieku, który odciął tę rękę – wtrąciła Gemma. – To może być zabójca na wolności, który łązi po okolicy i wypatruje wśród kobiet kolejnej ofiary. Jak taki Kuba Rozpruwacz.

– Newton, zrób kilka zdjęć – zarządził Martin. – Natychmiast pokażemy je policjantom i poczekamy na decyzję. Pewnie będą chcieli pogrzebać w bryle tłuszczu z tej strony, ale noże nie zabronią nam przystąpić do pracy od drugiej strony.

Newton poczłapał bliżej z aparatem, włączył lampę i wykonał całą serię fotografii odciętej ręki. Światło lampy było tak jaskrawe, że chociaż Gemma miała przyciemnione gogle na oczach, uniosła przedramię, żeby je osłonić.

Nagle – bez żadnego ostrzeżenia – lampa pstryknęła i zgasła. Ułamek sekundy później wyłączyły się także czołówki na kaskach i wszyscy pogrążyli się w całkowitej, nieprzeniknionej ciemności.

– Co się stało, do diabła? – zapytał Martin.

– Chwileczkę – powiedział uspokajająco Newton. – Mam zapasową latarkę.

– Niech nikt się nie rusza – ostrzegł Martin. – Nie chcę, żeby ktoś się poślizgnął i utopił w ściekach.

Czekali w milczeniu niemal przez minutę. Jedyнным dźwiękiem w kanale był szum ścieków opływających ich buty. Wreszcie odezwał się Newton:

– Latarka też nie działa. Nie wiem, co się z nią stało. Przecież zupełnie niedawno włożyłem do niej nową baterię.

– Kurwa mać – warknął Martin. – Posłuchajcie, musimy zawrócić w kierunku wjazdu. Poruszajmy się jednak powoli, rozumiecie? Newton, pójdziesz pierwszy. Gemma, połóżysz dłoń na jego ramieniu i pójdziesz za nim. Jim, ruszysz za Gemmą z ręką na jej ramieniu. Ja będę szedł ostatni.

Gemma w ciemności wysunęła przed siebie obie ręce, starając się sobie przypomnieć, w którym miejscu był Newton, kiedy widziała go po raz ostatni. Ostrożnie postąpiła trzy kroki do przodu w ściekach, ale nie była w stanie go znaleźć.

– Newton, powiedz coś – poprosiła.

– Jestem tutaj – odpowiedział. – Nie ruszam się.

– Gdzie jest to „tutaj”? Wciąż wymachuję rękami, ale nie mogę na ciebie trafić. Mów do mnie.

– Nie ruszyłem się od chwili, w której zgasty lampy. Idź w moim kierunku. Chyba słyszę, jak rozbryzgujesz ścieki. Tak, zbliżasz się do mnie.

– Jestem pewna, że stałam niedaleko ciebie. Mów do mnie. Cokolwiek.

Ciemność była tak nieprzenikniona i tak wszechogarniająca, że Gemmę zaczęła ogarniać panika. Kiedy była dzieckiem, mrok napawał ją przerażeniem. Zawsze prosiła rodziców, żeby w jej pokoju zostawiali na noc zapaloną lampkę. Ale jako nastolatka stopniowo pozbyła się tego strachu i nie wierzyła już w czarownice ukryte w szafie albo w to, że szlafrok spadnie z wieszaka na drzwiach i wpełźnie pod jej łóżko. Teraz jednak znalazła się w zupełnie nowej sytuacji. Stała w podziemiach, w jej nozdrza bił obrzydliwy smród, a po nacisku ścieków na buty poznawała, że ich poziom wciąż się podnosi – powoli, lecz nieubłaganie. Doświadczenie podpowiadało jej, że o tej porze dnia na pewno nie będzie opadał.

Nagle poczuła na ramieniu silną dłoń Jima. Uspokajająco je uścisnęła.

– Mam cię, kochana. Jeszcze nie znalazłaś Newtona?

Teraz, gdy Jim stał przy niej, Gemma odzyskała pewność siebie na tyle, że zrobiła krok do przodu, potem kilka kolejnych i wreszcie poczuła śliskie plecy kombinezonu ochronnego Newtona. Po chwili złapała go za kołnierz i mocno zacisnęła palce.

– Hej, dziewczyno, bo mnie zaraz udusisz! Za co? – zawołał Newton.

– Przepraszam, przepraszam, ale przez chwilę miałam wrażenie, że zniknęłaś.

– Martin, jesteś tam?! – zawołał Jim. – Newton i Gemma są ze mną, jesteśmy gotowi do drogi.

– Poczekajcie! – krzyknął z ciemności Martin. – Wyczuwam rękami ścianę, ale jestem trochę skołowany.

– Po prostu idź przed siebie – powiedział Jim. – Nie ruszymy się, póki do nas nie dołączysz.

Czekając na Martina, Gemma dostrzegła w kanale błysk światła. Było słabe, blade i widoczne jedynie przez ułamek sekundy, ale odniosła wrażenie, że dostrzegła w tym świetle jakąś drobną postać obracającą się dookoła własnej osi z rękami uniesionymi do góry.

– Widziałeś to? – zapytała Newtona.

– Co takiego? Przecież absolutnie nic nie widzę.

– Wydawało mi się, że widzę światło i... nie wiem, ale chyba zobaczyłam jakby tańczące dziecko.

– To prawdopodobnie fosfor.

– Nie, fosfor daje zielone światło. To było białe.

– Może znowu masz przywidzenia?

– Ciągłe nie mogę was znaleźć – odezwał się Martin, teraz już trochę zdenerwowany. – Na pewno nie ruszyliście już w kierunku włazu?

– Tutaj stoimy, szefie – powiedział Jim. – Nie ruszyliśmy się nawet o centymetr.

Wtedy Gemma dostrzegła kolejny błysk, tym razem był bliższy i trwał trochę dłuższej. Zobaczyła stworzenie podobne do dziecka – blade, o podłużnej głowie i czarnych, blisko siebie osadzonych oczach; jego ręce kołysały się chaotycznie, jakby były połamane.

Newton najwyraźniej też to ujrzał.

– Cholera! – zawołał i błyskawicznie zrobił krok w bok, przez co kołnierz jego kombinezonu wysunął się Gemmie z ręki.

W przyćmionym świetle otaczającym dziwne dziecko zobaczyła, jak Newton uderza ramieniem o śliską ścianę kanału, traci grunt pod stopami i pada na kolana w ścieki tak że teraz sięgały mu one niemal do pasa.

– Co to takiego? – zawołał. – Kurwa, co to takiego?

– To gaz. To tylko gaz – odpowiedział spokojnie Jim.

Stwór jednak ruszył w kierunku ludzi, wymachując wiotkimi rękami. Otworzył usta i wydał z siebie chrapliwy, a mimo to dziwnie wysoki dźwięk.

– Boże wszechmogący, to niemożliwe! – zawołał Jim. – Co to jest?

Wciąż zaciskał lewą dłoń na ramieniu Gemmy, ale unióś w górę prawą, w której trzymał dłuto.

Kiedy stwór podszedł bliżej, jego ręce odbiły się w pomarszczonej brudnej wodzie. Ich refleksy pojawiły się także na ceglanych ścianach i cały kanał ściekowy nagle wypełnił się migotającym światłem stroboskopowym. Po chwili w głębi tunelu Gemma zobaczyła więcej takich zjawisk, a z ciemności zaczęły się wyłaniać kolejne lśniąca postaci. Było ich przynajmniej sześć lub siedem. Dwie z nich były szczupłe, podobne do tej, która pojawiła się jako pierwsza, i miały bezwładne kończyny przypominające patyki. Następne były jednak inaczej zdeformowane. Jedna była garbata i miała szerokie, okropnie wgniecione czoło. Zanurzona po ramiona w ściekach posuwała się w kierunku ludzi tak, jakby każdy krok sprawiał jej wielką trudność. Za nią sunęła dziewczynka, której wypruto wnętrzości. Jelita zwisały luźno przed nią i unosiły się na ściekach, a kości jej klatki piersiowej były obnażone. Jednak ponad obojczykami jej szyja była biała i długa jak u łabędzia, a twarz przywodziła na myśl blade piękności z obrazów prerafaelitów. Miała też falujące rude włosy, które wbrew grawitacji unosiły się niemal do sufitu.

Gemma chciała zawołać: „Kim jesteście? Czego chcecie?“, ale nie była w stanie wciągnąć do płuc dość powietrza, żeby wypowiedzieć choćby słowo. Jedynie otwierała i zamykała usta, skrzecząc cichutko jak żaba. Widok tych zdeformowanych, rozsiewających bladą poświatę stworów brnących w jej kierunku tak ją przerażał, że stała jak sparaliżowana, nie mogąc nawet ruszyć nogami, żeby uciec.

– Jim! Widzę was teraz! Zostańcie na miejscu! – zawołał Martin.

Gemma odwróciła głowę i zobaczyła Martina zbliżającego się do Jima, ale chwilę potem kanał ściekowy znowu pogrążył się w absolutnej ciemności. W nieprzeniknionej, totalnej czerni. Coś ciągliwego i śliskiego, jak wąż albo długa macka, uderzyło Gemmę w plecy. Krzyknęła i spróbowała się cofnąć, ale wtedy coś jakby dłoń zakończona długimi szponami uderzyła w kask Gemmy, niemal zrzucając jej go z głowy. Próbując uciec, kobieta zrobiła krok do przodu i zderzyła się

z Newtonem, który właśnie stawał na nogi.

– Kurwa, co robisz, Gem?! – wrzasnął.

W tej samej chwili ciemność rozdarły krzyki Jima:

– Odczep się ode mnie. Jezu, daj mi spokój. Newt! Gemma! Szefie! Spadajmy stąd!

Kolejne szpony zaczęły szarpać polipropylenowy kombinezon Gemmy, drapać jej kask, bez wątpienia po to, żeby zerwać go z jej głowy. Zaczęła walczyć, uderzała w nie na oślep z całej siły, starając się od nich uwolnić. Pod wpływem jej ciosów stwory zaczęły wydawać wysokie, dziwaczne odgłosy. Brzmiały jak rozpaczliwy płacz dzieci i zarazem jak zwierzęcy skowyt.

Newton chrząknął i zaklął, a Gemma poczuła, że on także wymachuje rękami, bez wątpienia podobnie jak ona walcząc z mackami. Uderzył w coś i natychmiast zdał sobie sprawę, że to ręka Gemmy. Złapał ją za nadgarstek i krzyknął:

– Chodź!

Pociągnął ją w ciemność i po chwili oboje brnęli przez ścieki w kierunku wjazdu. Newton ciągnął kobietę tak mocno, że omal jej nie przewrócił.

– Jim! – krzyknęła, z trudem nadążając za Newtonem. – Martin!

– Jestem za tobą, kochana! – wysapał Jim.

Słyszała, jak jego buty rozbryzgują ścieki tuż za jej plecami, ochlapując jej plecy i nogi.

Potyając się, brnęli przez ciemność, a Gemmie zdawało się, że to wszystko trwa wieczność, chociaż cała ucieczka zajęła najwyżej trzy minuty. Wreszcie wszyscy dostrzegli światło zimowego dnia wpadające do kanału przez otwarty wjazd. Dotarli do dolnych szczebli metalowej drabiny, sapiąc i ciężko dysząc. Gemma pierwsza zaczęła się wspinać, chcąc jak najszybciej wyjść na górę. W połowie drabiny zatrzymała się jednak i krzyknęła:

– Martin! Gdzie jest Martin?!

Wszyscy popatrzyli do tyłu, w ciemność. Nagle zrobiło się bardzo cicho – słyszeli jedynie szum ścieków płynących w kanale i odgłosy samochodów jadących nad ich głowami szeroką High Road w Peckham.

– Był tuż za mną, przysięgam – powiedział Jim. Zdjął kask z głowy i zawołał: – Szefie! Jesteś tam? Szefie!

Gemma wróciła na dół i też zdjęła kask.

– Martin! Słyszysz mnie? Martin!

– Może się przewrócił – zasugerował Newton.

Przytrzymał się drabinki z taką desperacją, jakby w tej chwili jego jedynym pragnieniem było wydostanie się z kanału ściekowego na świeże powietrze.

– Spróbuj zapalić lampę, Newt – powiedział Jim. – Nie możemy przecież wrócić po niego bez światła.

– No i te potworne istoty... – powiedziała Gemma. – Jak myślicie, kim są? W jednej sekundzie były oświetlone, a w następnej pociemniały. I zachowywały się tak, jakby chciały nas porozrywać na strzępy. Popatrzcie tylko na mnie, wciąż cała się trzęsę.

– Kochana, nie mam najmniejszego pieprzonego pojęcia, co to za zjawy. Nic nie przychodzi mi do głowy, a w swoim czasie widywałem już w kanałach różne przedziwne stworzenia. Widziałem szczura, który miał jedną głowę i dwa korpusy. A pod Chancery Lane natknąłem się na człowieka bez nóg. Spróbowałem go zatrzymać, ale uciekał na rękach tak szybko, że go nie dogoniłem. Przypuszczam, że wciąż wiezie marny żywot w kanałach. – Jim umilkł, po czym dodał: – Może tak właśnie ta kobieta straciła rękę? Może te stwory rozerwały ją na kawałki? O rety! Aż strach o czymś takim myśleć.

Niespodziewanie zamigotała lampa Newtona. Po dwóch czy trzech sekundach zapaliły się także lampy na kaskach. Wszyscy troje popatrzyli po sobie w milczeniu. W tej chwili doskonale znali nawzajem swoje myśli.

– Wracam po niego – odezwał się Jim. – A wy?

– A jeśli światło zgaśnie znowu? – zapytał Newton.

– To po prostu zawrócimy, bo co nam pozostanie? Nie możemy go tam tak po prostu zostawić, prawda?

– Właśnie – zgodziła się Gemma. – Jeżeli znowu zgasną światła, ściągniemy na dół przenośne światła ledowe, ale przy odrobinie szczęścia to nie będzie konieczne.

– A jeśli te stwory wciąż tam są?

– Newton! – krzyknęła Gemma. – Jestem równie przerażona jak ty, ale Martin wciąż gdzieś tam jest w ciemnościach. Może zwichnął nogę w kostce... Bóg jeden wie, co złego mogło mu się przydarzyć.

Newton nie zareagował na jej słowa, ale Jim już ruszył przez ścieki. Po chwili wahania Newton wzruszył ramionami i poszedł za nim, unosząc lampę bardzo wysoko, aby oświetlić kanał na jak największej przestrzeni. Na końcu poczłapała Gemma, z suchymi ustami i z sercem bijącym jak oszałałe. Starła się nie wyobrazić sobie, co mogło spotkać Martina. Przecież te potwory chciały zedrzeć jej z głowy kask. Dlaczego?

Wszystkie lampy świeciły bez problemów i wkrótce we troje dotarli do białej jak воск bryły tłuszczu, odcinającej się na tle kanału poszarpanymi krawędziami. W masie można było dostrzec mnóstwo głębokich zadrapań, kilka fragmentów wpadło do ścieków – podobnie jak ręka kobiety. Nigdzie jednak nie było nawet śladu po Martinie.

– Do diabła, gdzie on zniknął? – zapytał Jim. – Przecież ten tunel nie ma odnóg... i nikt mi nie wmówi, że wspiął się na to ścierwo.

Zaświecił czołówką w przestrzeń pomiędzy sufitem a zaturem. Jego brzegi przecinały ostre trójkątne wyżłobienia, których wcześniej nie widzieli, a jednak nie można było uznać za prawdopodobne, że Martin wspiął się na górę i zniknął w czeluściach.

– A może to te stwory wciągnęły go do środka? – zasugerowała Gemma.

Newton zaświecił wprost w szczelinę, ale w mroku zamajaczyły jedynie te same korzenie drzew, przypominające grube włókna, i te same tłuszczowe stalaktyty, które Gemma widziała wcześniej. Niczego innego nie dało się dostrzec.

– Szefie! – zawołał Jim wprost do szczeliny. – Szefie, słyszysz mnie? Szefie!

Czekali przez długą chwilę, ale nadaremnie.

– Wszystko jest chyba jasne – powiedziała Gemma drżącym głosem. – Musimy wyjść na powierzchnię i zatelefonować po straż pożarną. Zadzwoń też do Michaela i powiem mu, żeby przywiózł georadar.

Chodziło jej o sprzęt do penetracji gruntu, który najczęściej wykorzystywali do poszukiwania ukrytych w ziemi rur i kabli.

– Mam bardzo, bardzo złe przecucia, Gem – odezwał się Jim. – Naprawdę. To jest najstraszliwsza rzecz, jaka przydarzyła mi się w kanałach, odkąd tutaj pracuję.

– O sobie mogę powiedzieć to samo, Jim. Ale nie możemy się poddać. I nieważne, jakie to wszystko jest straszne, nie mamy czasu do stracenia.

Doktor Macleod czekał już przed gabinetem profesora Karounisa, kiedy ten wrócił ze spotkania z zarządem szpitala, które odbyło się w centrum Londynu.

– Stuart? Coś się stało? – zapytał Karounis, zbliżając się do niego. – Wyglądasz, jakby zdechł twój ukochany kot.

– Obawiam się, że to coś znacznie gorszego, profesorze... zresztą nie mam kota. Dzisiaj rano wykonałem zabieg przerwania ciąży. Gdybym poinformował pana, że operacja nie przebiegła zgodnie z planem, byłoby to największe niedopowiedzenie w tym stuleciu.

– Coś złego stało się z matką?

– Nie, matka dochodzi do siebie bez powikłań. Chodzi o płód.

– Lepiej wejdź do gabinetu – powiedział profesor Karounis, otwierając drzwi.

Przy biurku w sekretariacie siedziała jego asystentka, a ponieważ była u niego tylko na czasowym zastępstwie, nie chciał, żeby podsłuchiwała poufną rozmowę. Koszty odszkodowań i procesów sądowych wytaczanych szpitalom sięgały milionów funtów.

Zamknął za sobą drzwi gabinetu, zdjął i powiesił na wieszaku szary płaszcz, po czym usiadł na fotelu za wielkim biurkiem z mahoniu. Już od ośmiu lat był dyrektorem Centrum Medycznego Warren BirthWell i chociaż stał się trochę arogancki, zapewne miał ku temu powody. Doskonale dbał o sprawy finansowe, a podczas swojego urzędowania uczynił z placówki najlepsze w kraju centrum opieki prenatalnej i neonatalnej. Stosowano tutaj najbardziej zaawansowane techniki, a specjalistyczny sprzęt medyczny, jakim się posługiwano, trudno było znaleźć w innych klinikach.

Był niskim, schludnym mężczyzną o lśniącej łysinie wyglądającej jak wielki kasztan, miał krótko przyciętą brodę, nosił okulary bez oprawek, a do pracy zawsze przychodził w szarym trzyczęściowym garniturze, z czerwoną muszką.

– A więc... w czym problem? – zapytał zza biurka, wskazując krzesło doktorowi Macleodowi. Ten jednak wolał stać.

– Matka jest Nigeryjką, ma trzydzieści pięć lat. Przywieziono ją do nas z ostrego dyżuru, ponieważ skarżyła się na silny ból brzucha. Zrobiliśmy badanie USG i stwierdziliśmy, że kobieta jest w ciąży, lecz ona nie miała pojęcia, jak to możliwe, skoro całkiem niedawno poddała się aborcji i według niej od tamtego czasu nie odbyła żadnego stosunku seksualnego. Ultrasonografia wykazała, że płód jest straszliwie zdeformowany. Gdy mówię „straszliwie zdeformowany”, mam na myśli to, że trudno mi było określić, czy to w ogóle jest płód ludzki. Zorientowaliśmy się, że cierpi na polimelię, ma nadmiarową liczbę kończyn, poważnie niedorozwinięte ciało, skrzywienie i niedorozwój kręgosłupa, a także wytrzewienie. Proszę. – Doktor Macleod podał profesorowi zieloną tekturową teczkę. – W środku jest kilka fotografii. Płód ma męskie genitalia, więc sądzę, że możemy określać go mianem chłopca. Sam

pan jednak zobaczy, że praktycznie jest to jedynie głowa z mnóstwem rąk i nóg oraz ze szczątkowymi narządami.

Profesor Karounis otworzył teczkę i przez dłuższą chwilę uważnie oglądał fotografie. Wreszcie podniósł głowę i popatrzył na doktora Macleoda. Był wyraźnie wstrząśnięty.

– Nie wiem, co powiedzieć, Stuart. Pracuję w położnictwie od dwudziestu sześciu lat i nigdy czegoś takiego nie widziałem. Nigdy.

– Cóż, profesorze, to jest nas dwóch.

– Te kończyny... i płuca, które właściwie znajdują się na zewnątrz! Ale twarz, Stuart! Chciałoby się powiedzieć... *O Theós ston ouranó!*

– Wiem. Wygląda jak twarz cherubina, prawda? Obawiam się jednak, że mamy tu do czynienia z czymś jeszcze bardziej niepokojącym. Wykonałem cięcie cesarskie i usunąłem płód z macicy matki, ale on wciąż żyje.

– Co?

– Wciąż żyje, profesorze. I oddycha. Umieściliśmy go w inkubatorze, oczywiście w izolatce. Nie chcemy, żeby ktoś go zobaczył, w szczególności inni rodzice.

– Jak to możliwe, żeby to... żeby on wciąż żył?

– Nie mam pojęcia, profesorze. Miałem zamiar zakończyć jego życie za pomocą morfiny, ale wtedy otworzył oczy i zaczął płakać jak zwyczajne dziecko. Muszę przyznać, że nie byłem w stanie przeprowadzić eutanazji, nie zdobyłem się na to. Pomyślałem, że skoro Bóg pozwolił takiemu chłopcu żyć, zapewne ma ku temu jakiś powód i zabierze go do siebie dopiero wtedy, kiedy uzna to za stosowne. Niemniej wątpię, żeby długo pozostał przy życiu.

Profesor Karounis wstał i oddał Macleodowi teczkę z fotografiami.

– Muszę go zobaczyć. Rozumiem, że dotąd nie widział go nikt poza personelem, który asystował podczas operacji? Musimy utrzymać tę sprawę w tajemnicy. Jeżeli o takich dziwacznych narodzinach dowiedzą się dziennikarze, nie opędzimy się od nich.

Wyszedł z gabinetu. Jego asystentka podniosła głowę znad dokumentów i powiedziała:

– Profesorze Karounis...

– Później, Mandy, później – rzucił, machając ręką. Kiedy czekali na windę, która miała ich zawieźć na trzecie piętro, zapytał Macleoda: – Jak sądzisz, ile czasu to może jeszcze potrwać?

– Nie wiem. Może kilka godzin? A może dobę, jeżeli go nakarmimy.

– Czy jego w ogóle można karmić? Ma żołądek?

– Budowa jego układu trawiennego wydaje się prawidłowa. Ale trudno powiedzieć, czy podejmie swoją funkcję, jeżeli będziemy go traktować jak każdego wcześniaka.

– *O Theós ston ouranó!* – powtórzył profesor Karounis. – Dobry Boże!

Zjechali na trzecie piętro. W ogromnym, jasno oświetlonym pomieszczeniu na oddziale neonatologii leżały w inkubatorach wcześniaki, które przysły na świat w ciągu ostatniej doby, było ich dziewięć w inkubatorach. Profesor Karounis

szybko się rozejrzał, skinął głową mamom, które siedziały przy swoich dzieciach, nie zatrzymując się, skierował kroki na korytarz, który prowadził do izolatek.

Kiedy stanęli pod właściwymi drzwiami, podbiegła do nich młoda chińska pielęgniarka.

– Siostró Chen! – powiedział z wyrzutem doktor Macleod. – Myślałem, że nie odstępuję go pani ani na krok.

– Byłam przy nim, doktorze. Jestem. Ale skończyło się mleko dla niemowląt. Wyszłam, żeby uzupełnić zapas.

Na dowód pokazała doktorowi Macleodowi dwustumililitrową buteleczkę NeoSure.

– Powinna była pani zatelefonować do działu farmacji, aby ją pani dostarczono. Nie wolno pani pozostawiać tego pacjenta bez nadzoru.

Pielęgniarka zaczerwieniła się i wbiła wzrok w posadzkę.

– Musiałam także pójść do toalety, doktorze. Przepraszam.

– Przecież toaleta jest w środku. Mogła pani z niej skorzystać.

– Tak, ale...

– Ale co?

Kobieta uniosła głowę.

– To na mnie patrzy. Ten płód. Wciąż na mnie patrzy. I nawet nie mrugnie.

Macleod otworzył drzwi.

– W takim wypadku powinna była pani zatelefonować do siostry Rudd, aby przysłała kogoś, kto by go pilnował podczas pani nieobecności.

– Tak, panie doktorze. Bardzo przepraszam, panie doktorze.

Weszli do izolatki. Za oknami powoli zapadał zmierzch, więc w pomieszczeniu było już ciemnowo. Doktor Macleod polecił, by światło było przyćmione, na wypadek gdyby oczy płodu były nadwrażliwe. Pod ścianą po prawej stronie stał inkubator firmy Dräger Caleo. Był to jeden z najnowocześniejszych modeli wyposażonych w mnóstwo czujników monitorujących parametry życiowe noworodka i zarazem utrzymujących wewnątrz optymalne warunki. Zaprojektowano w nim większe otwory pielęgnacyjne niż w typowych inkubatorach, dzięki czemu matki miały maksymalny dostęp do dzieci i mogły od pierwszych chwili utrzymywać z nimi naturalną więź. Dzięki nim można było także przeprowadzać drobne zabiegi bez wyjmowania dzieci.

– Bardzo proszę, profesorze – powiedział doktor Macleod. – Proszę mi powiedzieć, co pan myśli.

Kiedy zbliżali się do inkubatora, w jego przezroczystej plastikowej obudowie odbiło się szare światło zza okna, zatem doktor nie mógł od razu zobaczyć jego wnętrza. Ale gdy podszedł bliżej, zdał sobie sprawę, że inkubator jest pusty. Materacyk, na którym powinien leżeć płód, wciąż był wgnieciony, lecz go nie było.

– Stuart – powiedział profesor Karounis, stanąwszy za plecami lekarza. – O co tutaj chodzi? Przecież nic tu nie ma.

– Gdzie on jest, siostró Chen? – zapytał doktor Macleod. – Co się z nim stało?

Kobieta szybko podeszła do inkubatora i uniosła kopułę, jakby się spodziewała, że to wystarczy, aby płód po prostu się zmaterializował.

– Jak on mógł zniknąć? – jęknęła. – Przecież to niemożliwe!

– Ktoś musiał go zabrać – powiedział Karounis. – Ale, na Boga, dlaczego? Myślisz, Stuart, że zrobił to ktoś z twojego zespołu?

– Absolutnie to wykluczam. Bo niby dlaczego ktokolwiek miałby go stąd zabierać? Poza tym żadna z osób, która go już widziała, nie zbliżyła się do niego, jeżeli nie było takiej konieczności. Szczerze mówiąc, wszyscy uważali, że jest odrażający.

Profesor Karounis wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy.

– Zadzwoń do ochrony. Ktokolwiek zabrał stąd płód, raczej nie zdążył jeszcze wyjść poza teren szpitala.

Macleod rozejrzył się po pomieszczeniu. Drzwi do toalety były otwarte, ale nie było tam nic poza sedesem i małą umywalką.

– To niedorzeczne – powiedział. – Ten, kto zabrał dziecko, musiał czekać na zewnątrz, aż pielęgniarka wyjdzie i pozostawi je bez nadzoru. Ale skąd mógł wiedzieć, że ona w ogóle stąd wyjdzie, chociaż na chwilę? Poza tym ktoś, kto chciał go zabrać, musiałby mieć jakąś torbę, pudło, karton... W ostateczności można było go zawiązać w płaszcz albo koc.

Profesor Karounis schował telefon.

– Jedynie dwie osoby opuściły budynek w ciągu ostatnich dziesięciu minut – oznajmił. – Kurier, który dostarczył książkę z Amazona, i siostra Nanda, która skończyła pracę i miała przy sobie jedynie torebkę. A zatem wszystko wskazuje na to, że złodziej wciąż jest w środku. Wydałem polecenie, aby przeszukano cały szpital od piwnic po dach.

– Powiedział pan ochroniarzom, czego powinni szukać?

– Poinformowałem ich, że porwano wcześniaka z oddziału... bardzo zdeformowanego wcześniaka. Nie powiedziałem jak bardzo, bo zapewne by mi nie uwierzyli.

– Mój Boże, to jakiś koszmar. Wciąż myślę, że się zaraz obudzę i że to się naprawdę w ogóle nie wydarzyło – powiedział doktor Macleod.

– Bardzo pana przepraszam, doktorze – wyszeptała pielęgniarka. – Proszę mi wybaczyć.

– Już dobrze, siostrze. Nie powinna była pani zostawiać go samego, ale przecież czegoś takiego nikt nie potrafiłby przewidzieć. W każdym razie nikt z nas.

– Co będzie, jeżeli on umrze?

– Jeżeli umrze, to... szczerze mówiąc, odda wszystkim przysługę, także samemu sobie. W takim stanie, w jakim się znajduje, i tak nie może długo żyć.

– W tej części oddziału nie ma wideonadzoru, ale oczywiście monitorowane są wszystkie półpiętra, klatki schodowe i windy – oznajmił Karounis. – David Brennan z ochrony zaczął już przeglądać najnowsze zapisy. Powiedział mi, że jeśli ktoś chciał stąd wykraść płód i uniknąć zarejestrowania przez kamery, musiał skorzystać z drogi pożarowej. Jednak każde użycie drogi pożarowej automatycznie uruchamia alarm w jego biurze, wystarczy, że ktoś otworzy drzwi ewakuacyjne.

– Wciąż nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego komukolwiek mogłoby zależeć akurat na tym płodzie – powiedział doktor Macleod. – Przecież właściwie nikt

z zewnątrz nie wiedział, że się u nas urodził.

– Może matka wspominała jakiejś przyjaciółce, że poddaje się aborcji?

– Cóż, to jest możliwe. Mam jednak wrażenie, że ta kobieta była zbyt zakłopotana swoją sytuacją, by komukolwiek o niej opowiadać. Mąż opuścił ją kilka miesięcy temu i wrócił do Nigerii, a od tego czasu jedynym mężczyzną, z którym miała bliski kontakt, był mąż jej kuzynki. To on ją zapłodnił, przez niego zdecydowała się na aborcję, po której jednoznacznie dała mu do zrozumienia, co się stanie, jeżeli jeszcze raz jej dotknie. Nawet jeśli się na to zdecydował, nawet jeżeli znów zafundował jej kolejną ciążę, to i tak nie wiadomo, dlaczego on sam lub ktokolwiek inny miałby wykraść zdeformowany płód.

– Muszę przyznać, że czuję się tak samo jak ty, Stuart. Jestem *berdeménos*, kompletnie skołowany.

Wrócili do gabinetu profesora Karounisa.

– Musimy tu wezwać członków zespołu, który asystował przy cesarskim cięciu, wszystkich po kolei – powiedział profesor Karounis. – Tylko oni widzieli płód i z wyjątkiem pielęgniarek z neonatologii tylko oni wiedzieli, że płód przetrwał zabieg. I żył w chwili, kiedy widziała go ostatnia uprawniona do tego osoba.

– Owszem, trzeba tak zrobić. Nie wierzę jednak, że wykradła go któraś z tych osób. To by nie miało najmniejszego sensu.

Asystentka profesora połączyła się ze wszystkimi członkami zespołu doktora Macleoda i wezwała ich do gabinetu. Glenda – położna – zjawiała się pierwsza. Kiedy doktor wyjaśnił jej, co się stało, szeroko otworzyła oczy. Była zaskoczona i nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała.

– Myślałam, że to szaleństwo już się skończyło – odezwała się po chwili. – Stan tego płodu już i tak wystarczająco mną wstrząsnął. Właśnie chciałam pójść do Mary Masimby i poprosić ją, żeby zastąpiła mnie podczas następnego porodu.

– Niestety, muszę zapytać, czy to nie pani zabrała płód z inkubatora – powiedział profesor, unosząc dłonie na wysokość twarzy niczym prokurator na sali sądowej. –

A jeśli pani tego nie zrobiła, czy jest pani w stanie nam powiedzieć, kto inny mógł porwać to nieszczęsne dziecko?

– Oczywiście, że go nie zabrałam! Na miłość boską! Przecież to stworzenie mnie przerażało! Ta twarz i te oczy wbite we mnie... Będę miała koszmary do końca życia!

– Zatem nie domyśla się pani, kto mógł zabrać płód i dlaczego?

Glenda wyduła usta i w milczeniu pokręciła głową. Była niewątpliwie głęboko zbulwersowana tym, że profesor Karounis ośmielił się chociaż przez chwilę podejrzewać ją o jakiś związek ze zniknięciem płodu.

Kiedy wyszła z gabinetu, Macleod pochylił się nad biurkiem i powiedział przyciszonym głosem:

– Nie chciałem pana urazić, profesorze, ale uważam, że powinien pan postępować trochę ostrożniej i nie rzucać oskarżeń tak prosto z mostu. Chyba nie zależy nam na tym, aby odpowiadać przed sądem na oskarżenia o nękanie personelu?

– Co więc sugerujesz? Że mamy zapomnieć o tym zdarzeniu?

– To nie tak, panie profesorze. A zresztą może rzeczywiście będzie lepiej, jeżeli o nim zapomnimy? W końcu ilu nieprawidłowo rozwiniętych płodów pozbywamy się każdego roku? Ten konkretny był niezwykle, owszem, głównie z powodu licznych deformacji, ale musimy pogodzić się z tym, że nie miał szansy przetrwać przez dłuższy czas. Musimy sami sobie zadać pytanie, czy mieliśmy do czynienia z żywym człowiekiem, czy po prostu ze zbiorem zdeformowanych tkanek.

– Stuart, sam powiedziałeś, że powstrzymałeś się od eutanazji z powodu jego spojrzenia. Nie to jest jednak w tej sprawie najbardziej istotne. Chodzi o to, że ktoś złamał zasady bezpieczeństwa i zabrał płód. Nie ma najmniejszego znaczenia, czy ten był żywy, martwy, czy znajdował się w stanie pośrednim pomiędzy życiem i śmiercią. Powinniśmy powiadomić policję. Przecież następnym razem ktoś nam wyniesie zdrowego noworodka! Wyobrażasz sobie, w jakie wtedy wpadniemy kłopoty? W jednej chwili nasze dobre imię zostanie zszargane. To chyba dobre słowo, nie sądzisz? Zszargane.

Doktor Macleod nie był w nastroju do sprzeczek.

– Doskonale – odpowiedział. – Ale zanim wezwiemy policję, poczekajmy, aż Brennan skończy przeszukiwać budynek i przejrzy materiały z monitoringu. Przecież może to tylko zwykła pomyłka. Może płód przestał oddychać, kiedy siostry Chen tam nie było, ktoś go zabrał, żeby mu udzielić pierwszej pomocy?

– Och, daj spokój. Ktoś zabrał płód, żeby mu pomóc? Zabrał coś, co wyglądało jak... nie wiem, jak ośmiornica? Czy ty także zabrałbyś to z inkubatora? I w jaki sposób chciałbyś prowadzić resuscytację? Metodą usta–usta? Wiem już, że ta istota ma anielską twarz, ale nie sądzę, żebyś się na coś takiego zdobył.

Macleod milczał. Wiedział, jak nieprawdopodobny jest pomysł, że ktoś zabrał płód z inkubatora, żeby zastosować sztuczne oddychanie, ale za wszelką cenę starał się znaleźć logiczne wyjaśnienie tej dziwnej sytuacji. Stan płodu był w tym kontekście nieistotny, gdyż doktor Macleod był po prostu osobiście odpowiedzialny za jego dalszy los.

Do drzwi zapukał doktor Bhaduri. Kiedy wszedł do środka, wyraz jego twarzy podpowiedział Macleodowi, że wie już, co się stało. Zanim Karounis zdążył zadać mu pierwsze pytanie, podniósł obie ręce w geście poddania i powiedział:

– To nie ja, panie profesorze. To nie ja zabrałem ten płód. Przysięgam na Gitę.

Jerry usiadł przy biurku, ściągnął pokrywkę z kubka kawy marocchino i włączył komputer. Na zewnątrz padał gęsty deszcz, więc Jerry wciąż miał mokre włosy; parasol zostawił w mieszkaniu Charlene, kiedy był u niej po raz ostatni. Nad ranem pokłócili się, wybiegł od niej nabzdyczony i od tego czasu się nie widzieli. Wysłał do niej co najmniej siedem esemesów z przeprosinami, ale nie odpowiedziała. Cholerna Charlene.

Uznał, że jego życie miłosne jest beznadziejne. Wciąż miał na lewym ramieniu tatuaż z przebitym sercem i imieniem „Jane”, a przecież nawet już nie pamiętał, jak ona wyglądała. Przypominał sobie tylko, że miała mysie włosy, wadę zgryzu i była bardzo chuda, choć ładna.

Do pokoju detektywów wszedł sierżant Bristow, facet o czerwonej twarzy, sterczącym wąsie i wydatnym brzuchu. Miał na policzku mały okrągły plaster w miejscu, w którym zaciął się w czasie porannego golenia.

– Zdaje się, że masz niezłą reputację, Jerry – powiedział twardym głosem żołnierza. – Właśnie zadzwonił do mnie nadinspektor Walters z Pierwszego Zespołu Śledczego, którego obszar działania obejmuje również Peckham.

– Tak, znam nadinspektora Waltersa. Byłem w jego zespole na Kremlu, kiedy ktoś walnął tamtego pośła w głowę pałką do krykieta. Pamiętasz? Wtedy był zaledwie komisarzem. Czego chce?

Bristow zrobił krzywą minę, pisząc coś na odwrocie niedużej koperty.

– Zajmuje się sprawą człowieka, który zaginął w raczej niezwykłych okolicznościach.

– No i co? Co to ma wspólnego ze mną?

– Zaginiony to Martin Elliot, kierownik operacyjny Crane’s Drains, któremu podlega obszar Peckham. Crane’s Drains to firma odpowiadająca za drożność kanałów ściekowych pod całym miastem. Można by rzec, że zawiadują przepływem naszych gównien. Ów Elliot wczoraj po południu zszedł z trojgiem podwładnych do kanału ściekowego pod High Road w Peckham i od tamtego czasu nikt go już nie widział.

– A ci ludzie? Co z nimi?

– Wszystko w jak najlepszym porządku.

– A jakie są te niezwykłe okoliczności?

– Wygląda na to, że wszystkie lampy, jakimi ci ludzie dysponowali w kanałach, w jednej chwili nagle przestały działać bez wyraźnego powodu. Kiedy wróciło oświetlenie, podwładni nigdzie nie mogli znaleźć swojego szefa. Przeszukali kanał na tyle, na ile mogli, później zaczęli go poszukiwać za pomocą sprzętu radarowego, z jakiego normalnie korzystają w celu lokalizowania podziemnych rur i tym podobnych rzeczy, ale po pięciu godzinach musieli zrezygnować. Wtedy zgłosili

sprawę na komisariacie w Peckham.

Jerry popatrzył na papierową torebkę z pasztecikami leżącą na jego biurku. Był głodny i bardzo chciał, żeby detektyw Bristow przeszedł do rzeczy.

– Wciąż nie rozumiem, gdzie jest tutaj rola dla mnie, sierżancie.

– Twoja rola wynika z tego, co mówili podwładni Martina Elliota, kiedy ich przesłuchiowano w związku ze zniknięciem szefa. Były to indywidualne przesłuchania, więc raczej nie mogli uzgodnić zeznań. Wszyscy troje przysięgali, że zanim ten Elliot zniknął, widzieli w kanałach kilka postaci, które opisali jako dziwne zjawy.

– Zjawy? Sierżancie, niech pan da spokój. Jak mogli dostrzec zjawy, skoro, sam pan to powiedział, w kanale było zupełnie ciemno? Poza tym zjawy są chyba przezroczyste, prawda? Zresztą sam nie wiem, do tej pory żadnej nie widziałem.

– One same były źródłem światła, tak utrzymywali ci ludzie, jakby świeciły czy też, jak to się mówi, fosforyzowały. Tylko dzięki temu można je było zobaczyć.

– To jakieś bzdury. Założę się, że załatwili nieszczęśnika, bo nie chciał im wypłacić premii albo z podobnego powodu. Dostał cios w głowę, potem zatopili go w ściekach i teraz próbują zrzucić winę na jakieś widma. Dziecinne wyjaśnienia.

– Cokolwiek się wydarzyło, czy w grę wchodzi zjawy czy nie, wiele wskazuje na to, że mamy do czynienia z morderstwem, dlatego Peckham przekazało śledztwo nadinspektorowi Waltersowi.

– Wciąż nie rozumiem, jaki to ma związek ze mną.

– Tę trójkę z Crane's Drains ponownie przesłuchali ostatniego wieczoru dwaj funkcjonariusze z Pierwszego Zespołu Śledczego. Nadinspektor Walters powiedział, że ich opowieści są może głupawe, ale przy tym spójne. Zadano im mnóstwo podchwytliwych pytań, ale nikt z nich nie wyskoczył z bzdetami, których nie potwierdziliby pozostali. Możliwe, że kiedy weszli do kanału, czegoś się nawdychali albo nawąchali i dostali małego rozumu, wszyscy jednak mieli identyczne halucynacje, aż do ostatniego drobnego szczegółu. A przecież to niemożliwe, gdyby naprawdę chodziło wyłącznie o halucynacje, prawda?

Jerry nie odpowiedział mu, ale wiedział już mniej więcej, co sierżant Bristow zaraz mu powie.

– Rozwiązałeś, oczywiście razem z detektyw sierżant Patel, tę dziwną sprawę z ubraniami, które zdawały się ożywać, co wskazuje, że w dużej mierze rozumiesz to, co ludzie nazywają przesądami albo zabobonami. Widzisz... chodzi o kwestie, które odbiegają od rutyny pracy policyjnej.

– Sierżancie, to był jednorazowy wyczyn. Wciąż nie potrafię pojąć znacznej części tego, co się wtedy zdarzyło. Te ubrania były zakażone jakimś wirusem i tylko tyle potrafiliśmy dowieść. Jasne, sierżant Patel i ja rozwiązaliśmy sprawę, ale właściwie jedynie przez przypadek. Przecież nie jesteśmy pogromcami duchów.

– Niczego takiego nie sugeruję, Jerry. Ale ty i sierżant Patel jesteście jedynymi funkcjonariuszami londyńskiej policji, którzy z powodzeniem poprowadzili śledztwo, w którym, cokolwiek byśmy na ten temat powiedzieli, wystąpiły zjawiska niedające się racjonalnie wyjaśnić. Pierwszy Zespół Śledczy zajmuje się zabójstwami, których wyjaśnienie wymaga bardzo specjalistycznych umiejętności, a jeżeli wy dwoje nie

jesteście takimi specjalistami, to ja nie wiem, kogo w policji można określić tym słowem. Nadinspektor Walters poprosił, abyśmy włączyli cię do sprawy zaginięcia Martina Elliota, i polecił, aby w pracy towarzyszyła ci sierżant Patel.

- Rozmawiał pan już o tym z szefem?
- Owszem, zamieniłem kilka słów z detektywem inspektorem Karimem.
- I pewnie jest zadowolony, że pojedę do Peckham?
- Zadowolony? Powiedziałbym, że jest zachwycony.

Kiedy dotarł do komisariatu w Peckham, sierżant Patel już tam na niego czekała. Wciąż padał rzęsy deszcz, ale z biura rzeczy znalezionych Jerry zabrał parasol. Nie widział Dżamili od blisko siedmiu miesięcy, choć już od dłuższego czasu planował wziąć dzień wolny i pojechać do niej do północnego Londynu. Znowu pracowała w Redbridge w specjalistycznym zespole zajmującym się morderstwami honorowymi w społeczności Azjatów i jakoś ani Jerry, ani ona nie znajdowali czasu na spotkanie.

Dżamila, w czarnej jedwabnej chuście na głowie i w ciemnoszarym spodniem, była równie śliczna i elegancka jak siedem miesięcy temu, urzekła ogromnymi oczami księżniczek z filmów Disneya i lekko wydętymi, pełnymi ustami. Jerry uznał jednak, że od ich ostatniego spotkania trochę się postarzała, jakby trudna praca odbierała jej młodość. Właściwie czuł, że coś takiego dzieje się i z nim.

Siedziała na krześle w gabinecie detektywa inspektora Granta, ściskając papierowy kubek kawy ze Starbucksa. Inspektor Grant siedział za biurkiem w koszuli z krótkimi rękawami. Był zwalistym mężczyzną o jasnych włosach ostrzyżonych na jeża, wypukłych niebieskich oczach i podwójnym podbródku unoszącym się ponad kołnierzem koszuli. Przy oknie wychodzącym na High Street stał nadinspektor Walters, przełożony detektywów w okręgowym oddziale Pierwszego Zespołu Śledczego. Był chudy i lekko się garbił, miał duży nos przywodzący na myśl dziób orła, choć o bardziej skomplikowanym kształcie, a rzędzące czarne włosy czesał do tyłu. Wyglądał tak, jakby w każdej chwili mógł sfrunąć na ulicę, złapać jakieś dziecko dziobem za kołnierz i z nim odlecieć.

W gabinecie było także dwoje detektywów z Pierwszego Zespołu Śledczego – krępy rudzielec w grubej kurtce i niepozorna kobieta w obszernym białym golfie, przypominająca Jerry’emu dawną wychowawczynię ze szkoły. Może to wspomnienie wywołał w nim jej kok z cienkich ciemnobrązowych włosów, a może gęste brwi i duży pieprzyk nad górną wargą.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział Jerry. – Ruch na ulicach jest dzisiaj większy niż zazwyczaj.

– Nic się nie stało – odparł inspektor Grant. – Mogliśmy sobie przynajmniej pogawędzić o Brexicie. Detektywie nadinspektorze Walters, przedstawiam panu detektywa posterunkowego Pardoe.

Walters odwrócił się i uważnym wzrokiem zmierzył Jerry’ego od góry do dołu.

– Muszę przyznać, że wygląda pan inaczej, niż się spodziewałem. – W jego słowach, wypowiedzianych oschłym, cichym głosem, można było uchwycić słaby szkocki akcent.

Jerry miał ochotę go zapytać: „A kogo pan się spodziewał? Ojca Karrasa?”, postanowił jednak milczeć. Doświadczenie podpowiadało mu, że właściwie wszyscy nadinspektorzy są pozbawieni poczucia humoru, a już zwłaszcza ci, którzy pochodzą ze Szkocji.

– Oczywiście zna pan detektyw sierżant Patel. Chcę jednak panu przedstawić detektywów posterunkowych O’Briena i Pettigrew. Oboje pracują w Pierwszym Zespole Śledczym. To oni przesłuchiwali troje pracowników Crane’s Drains, którzy znajdowali się w kanale ściekowym razem z Martinem Elliotem, kiedy ten zaginął.

Jerry usiadł obok Dżamili. Popatrzyła na niego, po czym uśmiechnęła się i powiedziała:

– Jak się masz, Jerry?

– Daję sobie radę. Wciąż próbuję schudnąć. Gdybyśmy tylko nie mieli cukierni obok komisariatu...

– A w pracy?

– W ciągu ostatnich sześciu miesięcy mieliśmy w Tooting zatrząsienie bijatyk z użyciem noży. Dzieciaki chyba znudziły się grą *Fortnite* i doszły do przekonania, że będzie zabawniej, jeżeli trochę się pomiędzy sobą ponaparzają, i to na ostro.

– Aha. Z kolei w Redbridge plagą są ataki z użyciem kwasu. A ofiarami są przede wszystkim dziewczęta, które chcą poślubić chłopaków z niższych warstw społecznych. Albo niewierne czy też podejrzewane o niewierność kobiety. Oczywiście mężatki.

– Rozumiem. Chluśnięcie w twarz kwasem siarkowym to wypróbowany sposób na przywołanie każdej kobiety do porządku, co?

– Pani sierżant? – przerwał im Walters.

– Och, przepraszam. – Pardoe popatrzyła na O’Briena i Pettigrew. – Was też przepraszam. Po prostu musiałam się przywitać z dawno niewidzianym znajomym. –

Zmierzyła ich uważnym spojrzeniem i kontynuowała: – Rozumiem, że przesłuchaliście każdą z tych trzech osób osobno. I wszyscy utrzymywali, że widzieli w kanale „zjawy”.

– Dokładnie tak – odparł detektyw O’Brien.

Z powodu jego rudych włosów i nazwiska Jerry spodziewał się, że usłyszy w jego głosie irlandzki akcent, a tymczasem O’Brien przemówił jak typowy mieszkaniec East Endu, akcentując końcówki słów.

– Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, po co oni zeszli do tego kanału?

– Oglądali zator, bryłę tłuszczu, która zaczęła blokować główny kanał ściekowy znajdujący się pomiędzy Peckham Road i Charles Coveney Road. Biegnie on pod ziemią na długości mniej więcej stu pięćdziesięciu metrów. To zator tego samego typu co ten, który nie tak dawno zablokował kanał pod Whitechapel. Składa się głównie ze stwardniałego tłuszczu kuchennego, nawilżanych chusteczek i tym podobnych odpadów.

– Zaczęli kruszyć tłuszcz, aby sprawdzić, jaki jest twardy, i natrafili na odciętą rękę kobiety – wtrąciła detektyw Pettigrew. Nie tylko wyglądała jak wychowawczyni Jerry’ego, ale mówiła podobnie jak ona, jakby informowała całą klasę: „A teraz, moi

drodzy, dowiemy się, jakie zboża rosną na polach uprawnych w Namibii”. – Właśnie wtedy niespodziewanie zgasły wszystkie światła, jakimi dysponowali, łącznie z czołówkami. W pierwszej chwili zapanowała absolutna ciemność, wszyscy jednak zgodnie twierdzą, że po zaledwie kilku sekundach zaczęły się do nich zbliżać jakieś oświetlone postaci. Naliczyli ich pięć lub sześć. Wszyscy opisali je bardzo podobnie. Jedyna kobieta, która była w tej grupie, Gemma Bright, wykonała nawet kilka rysunków.

Pettigrew rozpięła zamek błyskawiczny skórzanej teczki na dokumenty i wyciągnęła z niej trzy kartki umieszczone w przejrzystej plastikowej kopercie. Podała je Dżamili.

Gemma naszkicowała zjawę przypominającą dziecko, z rozmazanymi czarnymi oczyma i rozrzuconymi rękami, a także zgarbioną postać przywodzącą na myśl Quasimoda oraz piękną dziewczynkę, której wnętrzności wypływały z brzucha i unosiły się na powierzchni kanału ściekowego.

Dżamila przekazała szkice Jerry’emu, który uważnie je obejrzał.

– Cholera jasna, ta kobieta ma naprawdę dużą wyobraźnię. Powinna znaleźć pracę przy rysowaniu horrorów. Byłoby to dla niej znacznie lepsze niż bieganie po kanałach.

– Problem w tym, kolego... – zaczął O’Brien.

– Jerry.

– Jasne, Jerry. Problem w tym, Jerry, że dwaj pozostali świadkowie opisali nam te postaci niemal dokładnie tak, jak wyglądają na tych rysunkach. Jak doskonale wiesz, nieczęsto naoczni świadkowie opisują te same zdarzenia w identyczny sposób, szczególnie gdy wiążą się z traumatycznymi przeżyciami, tymczasem zeznania tej trójki są zbieżne. Pięć lub sześć oświetlonych postaci – pierwsza chuda, wymachująca rękami, druga garbata i trzecia z jelitami na wierzchu. Co więcej, te postaci ich zaatakowały.

– Zaatakowały? Niby co, napadły na nich? Chyba żartujesz.

– Po prostu ich zaatakowały. Cała trójka twierdzi, że spadł na nich grad ciosów, a napastnicy chcieli im zerwać kaski z głów. Kiedy to się działo, wciąż był z nimi Martin Elliot. Narzekał, że stracił orientację z powodu mroku, a na koniec powiedział tylko: „Zostańcie na miejscu”. Potem znowu wszystko pograżyło się w ciemności, a cała trójka dotarła do wjazdu. Byli przekonani, że Elliot podąży za nimi, że idzie z tyłu. Kiedy znaleźli się pod studzienką i zdali sobie sprawę, że Elliota z nimi nie ma, zawrócili i zaczęli go szukać, ale nie natrafili na żaden jego ślad.

Nadinspektor Walters odwrócił się od okna. Wyglądał na człowieka, który ani razu się nie roześmiał, odkąd ukończył szkołę podstawową.

– Ściągnęli na miejsce specjalistów z Crane’s Drains, wyposażonych w georadar. W przeszłości parę razy korzystaliśmy z ich pomocy, kiedy podejrzewaliśmy, że w ziemi zakopane są zwłoki, broń albo coś innego ważnego dla śledztwa. Zorganizowali też zespół doświadczonych kanalarzy, tak kazali sobie nazywać, czyli inżynierów, którzy dbają o drożność ścieków. Przeszukali kanał, w którym zaginęła Elliot, i kilka sąsiednich, ale bez powodzenia. My z kolei powiadomiliśmy Komisariat

Wodny w Wapping, że w rzece mogą się pojawić zwłoki.

Dżamila odstawiła kubek z kawą.

– Naprawdę przykro mi to mówić, panie nadinspektorze, ale wciąż nie wiem, z jakiego właściwie powodu detektyw Pardoe i ja możemy stanowić dodatkowe wsparcie w tej sprawie. Ja specjalizuję się w przestępczości domowej wśród mniejszości etnicznych, a detektyw Pardoe zajmuje się głównie gangami ulicznymi z przedmieść Londynu.

– Cóż, pani sierżant, w opisie ludzi z kanałów pojawiły się zjawy, a przynajmniej postaci, które oni zgodnie opisali jako zjawy. Nikt w policji oprócz was dwojga nie ma doświadczenia w prowadzeniu śledztw związanych z... z... powiedzmy, okultyzmem. Rzecz jasna, cały problem z tymi zjawami może się okazać głupim dowcipem, celową mistyfikacją albo zbiorową halucynacją wywołaną narkotykami albo wdychaniem powietrza o specyficznym składzie. Jednak zeznania świadków są tak przekonujące, że po prostu musimy zaangażować do tej sprawy kogoś gwarantującego poważne podejście do zjawisk nadprzyrodzonych. Niezbędny jest nam ktoś, kto po uważnym przeanalizowaniu zniknięcia Martina Elliota będzie w stanie ze stuprocentową pewnością określić, czy na pewno nie wiążą się z nim zjawiska pochodzące z jakichś innych światów. Nie będę ukrywał, że w kwestii tych innych światów jestem skrajnie sceptyczny. Jednak wszyscy wiemy, jak uważnie my, policjanci, jesteśmy obecnie obserwowani, szczególnie przez portale społecznościowe. Dlatego w trakcie wyjaśniania tej sprawy musimy zbadać wszelkie ewentualności, wszelkie drobiazgi.

– Cóż. – Dżamila wzruszyła ramionami. – Skoro tak musi być... Muszę jednak powiedzieć panu, że nigdy w życiu osobiście nie zetknęłam się z duchem ani zjawą. Oczywiście będziemy musieli jeszcze raz przesłuchać świadków. Gdzie ich znajdziemy?

Detektyw Pettigrew wyciągnęła z kieszeni telefon komórkowy.

– Zadzwoń do pani Bright i się dowiem. O ile mi jednak wiadomo, cała trójka przebywa w okolicach wjazdu przy Peckham Road. Ich szef owszem, zniknął, ale wciąż mają problem z zatorem w kanale.

– Boże wszechmogący – westchnął Jerry. – Mam nadzieję, że nie będziemy musieli schodzić do kanału. Przecież nie mam w co się przebrać.

Jenny zamierzała wcześniej wstać, pójść do supermarketu Aldi po zakupy, a potem zjeść w Persepolis Café lunch z przyjaciółką, Carol. Był to jednak jej pierwszy wolny dzień w środku tygodnia od dwóch miesięcy, a poprzedni wieczór spędziła z Mickiem w pubie The Rye, no i wypła co najmniej trzy drinki za dużo. W ogóle nie pamiętała powrotu do mieszkania. Być może Mick ją przyniósł.

Czuła rwący ból głowy, a jej język był szorstki jak papier ścierny. Wiedziała, że w domu skończyły się zapasy fasoli w sosie pomidorowym, że nie ma kawy ani mleka, że zaczyna brakować papieru toaletowego, ale łóżko było ciepłe, pościel wygodnie pomięta, a na dworze ponuro i na dodatek słyszała, że w szyby uderza deszcz. W końcu mogła najpierw się spotkać z Carol na lunchu i dopiero później pójść na zakupy. Albo pójść do sklepu jutro rano, przed wyjazdem do pracy.

Odwróciła się na drugi bok i popatrzyła na oprawioną w ramki fotografię, na której obok Micka opierała się o poręcz balkonu w hotelu na Gran Canarii. Trzymała w ręce kieliszek z sangrią i uśmiechała się, ale Mick miał zmarszczone czoło. Fotografia powstała pół godziny po tym, jak Mick poprosił Jenny o rękę, a ona nie wyraziła zgody – w każdym razie jeszcze nie teraz. Miała dopiero dwadzieścia trzy lata i chociaż kochała Micka, nie zamierzała jeszcze osiąść na stałe u boku męża. Pragnęła bawić się i cieszyć życiem, a przede wszystkim chciała poświęcić się karierze aktorskiej. Zagrała już małą rolę kelnerki w *EastEnders*. Nawet wypowiedziała jedną kwestię, która brzmiała: „Kochany, jesteś gotowy złożyć zamówienie?”.

Zamknęła oczy i znowu zasnęła. Zaczęła śnić, że chodzi po ulicach Peckham, próbując znaleźć dom swojej przyjaciółki, Tiny, ale Peckham z jej snu różniło się od tego, które znała: było mokre i wymarłe i Jenny szybko się zgubiła w labiryncie ulic. Mimo że wszystko działało się w ciągu dnia, zasłony w oknach wszystkich domów były zaciągnięte, więc przypuszczała, że nawet jeśli zadzwoni do którychś drzwi, żeby zapytać o drogę, nikt jej nie otworzy i nie odpowie. Wciąż padał deszcz, a Jenny była bez butów, ubrana tylko w mokrą koszulę nocną.

Na rogu zobaczyła oświetlony kiosk z gazetami. Kiedy zbliżyła się do niego, zobaczyła na drzwiach tabliczkę z napisem ZAMKNIĘTE, a przecież była pewna, że widzi poruszający się w środku przygarbiony cień.

Już zamierzała zapukać w okno, ale w tym momencie obudziła ją kotka, Persefona. Miauczała, stojąc w przedpokoju przed drzwiami łazienki. Jenny otworzyła oczy i popatrzyła na boczną ścianę komody stojącej przy łóżku. Persefona znowu miauknęła, a potem syknęła, a Jenny przez chwilę słyszała, jak kotka drapie pazurami dywan. Może złapała mysz, chociaż od minionego roku w mieszkaniu nie było już ani jednej myszy. Nie było to zasługą Persefony, lecz właściciela nieruchomości, który kazał zalać betonem mały, zarośnięty chwastami ogród na tyłach domu.

Jenny usiadła. Drzwi sypialni były półotwarte, dzięki czemu widziała ścianę

przedpokoju i zawieszoną na niej, oprawioną w ramki reprodukcję grafiki M.C. Eschera przedstawiającej ludzi wspinających się po niemających końca schodach, ale nie dostrzegła Persefony ani myszy.

– Persia? – zawołała. – Co się dzieje, kochanie?

Persefona przestała już jednak miauczeć i syczeć, a Jenny znowu słyszała tylko uderzenia kropli deszczu o szyby.

– Persia? – zawołała jeszcze raz, po czym opadła na poduszkę i naciągnęła na siebie kołdrę aż po podbródek.

Doszła do wniosku, że dodatkowe dwadzieścia minut snu już nic jej nie da. W gruncie rzeczy mogłaby natomiast zatelefonować do Carol i odwołać lunch, tłumacząc się kiepskim samopoczuciem.

Jeszcze raz zamknęła oczy i w tym samym momencie poczuła, że unosi się kołdra przy jej stopach. Padł na nie podmuch zimnego powietrza. Jednocześnie usłyszała odgłos drapania.

– Persia!... – jęknęła i zaczęła poruszać nogami.

Persefona miała takie zachowanie w swoim kocim zwyczaju. Wpełzała pod kołdrę i starała się przytulić do swojej pani, szczególnie w zimne dni. Jenny wiedziała, że kotka w ten sposób wyraża swoje przywiązanie i jednocześnie szuka ciepła, ale zawsze głośno przy tym mruczała, a w jej oddechu wyczuwało się tuńczyka.

Coś dotknęło lewej łydki Jenny, na pewno nie było to jednak futro Persefony. Jenny poczuła, że coś lepkiego i zimnego stara się wpełznąć pomiędzy jej nogi jak wielki pająk. Natychmiast zerwała z siebie kołdrę i wyskoczyła z łóżka. Stała przy nim zaskoczona i przerażona.

Przed chwilą leżała w pościeli razem z jakimś dziwnym stworzeniem, które teraz w większości zakryte było kołdrą. Dostrzegła jednak wpatrujące się w nią wilgotne oczy i jakby palec wyciągnięty w jej kierunku, choć na końcu tego palca znajdowało się mnóstwo małych wypustek.

Stwór, czymkolwiek był, nie ruszał się przed dobre dwadzieścia sekund, lecz po chwili się wycofał, bardzo powoli, i całkowicie zniknął w pościeli.

Jenny była zdezorientowana. Nie miała najmniejszego pojęcia, co robić. Wiedziała jednak, że w stojaku na parasole, tuż przy drzwiach wejściowych, znajduje się kij golfowy Micka. Gdyby niepostrzeżenie wyszła z sypialni i złapała ten kij, mogłaby załuc stwora na śmierć. Co to jednak było i skąd się wzięło w mieszkaniu? No i dlaczego wpełzło do jej łóżka?

Zacząła powoli wycofywać się z sypialni, nie odrywając wzroku od małego niewielkiego wybrzuszenia na kołdrze. W przedpokoju dostrzegła Persefonę skuloną ze strachu wśród sterty butów i kaloszy. Jej rude futro było najeżone, a małe, ostre ząbki odsłonięte. Syknęła, gdy Jenny zbliżyła się do niej, jakby chciała ostrzec panią, że stwór pod jej kołdrą to coś niebezpiecznego i że należy się go obawiać.

– Wszystko w porządku, Persia – szepnęła Jenny. – Mamuśka da sobie z tym radę.

Niemal natychmiast pomyślała: Dlaczego ja właściwie szepczę?

Wzięła ze stojaka kij golfowy i wróciła do sypialni, starając się poruszać bezgłośnie, nawet wstrzymując oddech. Wybrzuszenie na pościeli znajdowało się

wciąż w tym samym miejscu, nie poruszało się. Nie potrafiła się zdecydować, czy natychmiast zatłuc stwora, czy też nic nie robić i zatelefonować do Micka. Wiedziała, że Mick nie da rady natychmiast wrócić do domu, ponieważ pojechał do Sheffield na spotkanie z dostawcami, ale mógłby przynajmniej coś jej poradzić. Gdyby tylko wiedziała, z czym ma do czynienia, poczułaby się o wiele pewniej. Gdyby pod jej kołdrą leżało jakieś zabłąkane zwierzę, mogłaby zatelefonować do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. A gdyby to był szczur, zatelefonowałyby do oddziału Rentokil.

Podeszła do brzegu łóżka. Jeszcze przez chwilę się zastanawiała, lecz w końcu uniosła kij i z całą siłą uderzyła nim w wybrzuszenie na pościeli. Stwór przemieścił się pod kołdrą, lecz po sekundzie znowu znieruchomiał.

Boże, to przerażające, pomyślała. Muszę zadzwonić do Micka. Ale on mnie przecież od razu spyta: „Co to, do cholery, jest, Nance?”. A ja wyjdę na idiotkę, ponieważ jestem zbyt przerażona, żeby spojrzeć na to i poznać prawdę.

Złapała lewą ręką za róg kołdry, a prawą zacisnęła na kiju golfowym. Odliczyła do trzech i szarpnęła za kołdrę, ściągając ją na podłogę. Kiedy zobaczyła stworzenie, które się pod nią kryło, cofnęła się o dwa kroki, niemal na glinianych nogach, i głośno jęknęła. W płucach miała za mało powietrza, żeby krzyknąć.

Stwór miał mniej więcej rozmiar dziecięcej ręki i przypominał kraba. Z małej, okrągłej głowy wychodziły cztery kończyny podobne do palców – na końcu każdej z nich widniały okrągłe wypustki. Te kończyny kojarzyły się Jenny ze zdeformowanymi pod wpływem talidomidu rączkami malutkich dzieci.

Najbardziej jednak wstrząsnęło Jenny to, że stwór miał ukształtowaną twarz. Była to twarz dziecka, o zamkniętych oczach, wydętych, bladych wargach i dwóch małych, wilgotnych otworach zamiast nosa. Oddychał szybko i płytko, jakby wpadł w panikę.

Jenny upuściła kij golfowy na podłogę i drżąc z przerażenia i niedowierzania, przez długą chwilę wpatrywała się w tę przerażającą istotę. Nie dowierzała, że to, co teraz widzi, jest rzeczywiste, zdawało się jej raczej, że wciąż śpi i ma koszmary sen. Przecież to niemożliwe, żeby coś takiego mogło istnieć, przedostać się do jej mieszkania i wypełznąć do łóżka.

Wciąż dygocząc i szczękając zębami, ostrożnie obeszła łóżko, aby wziąć z komody telefon komórkowy. Już wyciągała po niego rękę, kiedy stwór otworzył oczy i Jenny zastygła w bezruchu. Przez chwilę wpatrywał się w nią, nie mrugając powiekami. Nagle otworzył usta i wydobył z siebie dźwięk, jakiego Jenny jeszcze nigdy w życiu nie słyszała. Był to jakby żałosny gwizd, który zakończył się płaczem; stwór jakby prosił ją o pomoc.

Jego przypominające palce kończyny się poruszyły i stwór podpełznął ku niej. W tym momencie Jenny nie wytrzymała napięcia. Chwyciła telefon i potykając się, wybiegła z sypialni do przedpokoju, a potem do salonu. Tam zatrzasnęła za sobą drzwi. Wskoczyła na sofę i uniosła nogi wysoko nad podłogę, na wypadek gdyby stwór zdołał dotrzeć tutaj jej śladem. Gwałtownie zaczęła wciskać przyciski na telefonie.

Proszę, odbierz połączenie, proszę, odbierz. Boże, Mick, proszę cię, odbierz!

– Nance? Co się dzieje? Jestem właśnie na spotkaniu. Mogę oddzwonić do ciebie za pół godziny?

– Mick, do naszego mieszkania dostał się jakiś przerażający stwór! Nie wiem, co to takiego, i nie wiem, co robić.

– Co to znaczy przerażający stwór?

– Wygląda jak wielki pajak, ale to nie jest pajak. Ma twarz. Wpełznął do łóżka, kiedy spałam. Wciąż jest w sypialni. Przynajmniej mam nadzieję, że tam jest.

– Chwileczkę, Nancy. Wielki pajak z twarzą? Przepraszam, panowie, telefonuje moja dziewczyna. Coś ją okropnie wytrąciło z równowagi.

– Ma twarz dziecka i wpełznął do mojego łóżka. Prosto pod kołdrę.

– Nance, jeszcze nie wytrzeźwiałaś? Mówisz jak po pijaku.

– Nie jestem pijana, Mick. Jestem cholernie przerażona! Ten stwór wystraszył Persię i wlaźł do sypialni. Co mam robić?

– Posłuchaj, Nance, spróbuj się uspokoić. Naprawdę, postaraj się uspokoić. Cokolwiek to jest, poproś Billa z piętra niżej, żeby wyrzucił to z naszego mieszkania. Zejdź na dół i go o to poproś. Jeśli Bill ci nie pomoże, zadzwoń do firmy, od której wynajmujemy mieszkanie.

– Zamknęłam się w salonie, Mick. Nie chcę stąd wychodzić.

– Przede wszystkim się uspokój, Nance. Wróciłbym natychmiast, gdybym tylko mógł, ale to mi teraz zajmie przynajmniej trzy godziny. Wyjdź z salonu, rozejrzyj się i jeżeli to coś wciąż jest w sypialni, zbiegnij na dół i zapukaj do Billa. On ci pomoże, Nance. Przecież służył w Afganistanie. Założę się, że widział pajaki o wiele bardziej przerażające niż ten, który przedostał się do naszego mieszkania.

– Za bardzo się boję, Mick. To jest przerażające. Też byś się przestraszył, gdybyś to zobaczył.

– Po prostu uchyl drzwi i się rozejrzyj. I pomyśl tylko, że stwór może wygląda przerażająco, ale założę się, że bardziej boi się ciebie niż ty jego.

– Dobrze, sprawdzę, czy tam jest. Ale jeżeli go nie zobaczę, nigdzie nie pójde.

– Jasne. Zadzwoń do mnie jeszcze raz, kiedy coś postanowisz.

– A mógłbyś pozostać na linii?

– Mam ważne spotkanie, Nance. W tej chwili wszyscy patrzą na mnie i bębnią palcami po stole.

– Rozumiem. Przepraszam.

– Nie musisz mnie przeproszać, kochanie. Najlepiej po prostu zejdź piętro niżej i sprowadź Billa.

Jenny odłożyła telefon. Wiedziała, że Mick ma rację, że to zwierzę, czy cokolwiek to było, jest bardziej przerażone niż ona. Ze swoimi czterema palconogami wyglądał jak wielki pajak, ale miał przecież twarz bezradnego dziecka, a jego płacz świadczył raczej o desperacji niż o agresji.

Zeszła z kanapy i podeszła do drzwi. Przez chwilę nasłuchiwała z uchem przyłożonym do szyby. Cisza. Słyszała tylko, jak krople deszczu uderzają o okna i jak woda bulgocze w kaloryferach. Ale gdy miała już nacisnąć klamkę, rozległ się odgłos jakiejś przepychanki i wrzask Persefony. Gwałtowny, wysoki wrzask bardziej

przypominający głos dziecka niż kota.

Pchnęła drzwi. Persefona szamotała się pomiędzy butami i kaloszami. Leżała na grzbiecie, a na niej tkwił stwór, który gwałtownie rozdierał palconogami jej brzuch. Z okrągłych wypustek wystawały teraz szpony, a fragmenty rudego futra i czerwonego mięsa fruwały po całym przedpokoju i przyczepiały się do podłogi, obuwia, nawet do tapety.

Jenny zrobiła krok do przodu i wrzasnęła do stwora:

– Odczep się od niej! Odczep się!

Ten jednak wciąż rozdierał brzuch Persefony, jednocześnie bez żadnych emocji wpatrując się w Jenny. Jego wilgotne nozdrza jakby się powiększyły, a usta miał mocno zaciśnięte. Z głośnym trzaskiem rozdarł żebra Persefony i Jenny zobaczyła wciąż bijące ciemnoczerwone serce swojej kotki.

Spróbowała złapać stwora za kończyny. Były jednak śliskie i mocne i tak się wiły, że nie była w stanie ani przez chwilę ich przytrzymać. Poza tym stwór drapał jej palce, co sprawiało jej potworny ból. Zdołała wsunąć dłoń pod jego głowę i dotknęła krwawej miazgi, która pozostała z Persefony. Z całej siły szarpnęła stwora, ten jednak podskoczył i tak zaciekle zaatakował jej rękę, że musiała ją cofnąć. Gdy zrobiła krok do tyłu, ponownie pisnął albo gwizdnął, lecz tym razem był to bardziej odgłos triumfu niż płacz.

Jęcząc z bólu i z rozpacz, z podrapanymi rękami, Jenny powlokła się do sypialni i złapała kij golfowy. Zamierzała zrobić to, co powinna uczynić wcześniej – stłuc to paskudztwo na miazgę. Dopiero po zabiciu go będzie się zastanawiać, czy miała do czynienia z człowiekiem, zwierzęciem czy z wielkim pajakiem.

Wróciła na korytarz z uniesionym kijem. Persefona nadal leżała pomiędzy rozrzuconymi butami. Jej głowy stwór nawet nie tknął, ale jej brzuch był rozpruty, a cztery kończyny szeroko rozrzucone, przez co wyglądała trochę jak dywanik ze skóry małego tygrysa. Stwora jednak już nie było. Zniknął.

Jenny ostrożnie podeszła do drzwi na klatkę schodową, z kijem gotowym do zadania ciosu. Gdzie jesteś, demonie? Gdzie się schowałeś?

Po jej lewej ręce znajdowały się drzwi do łazienki, w tej chwili lekko uchylone. Otworzyła je szerzej kijem i szybko wsunęła do środka rękę, aby pociągnąć za sznureczek włączający światło. Łazienka była mała i nie miała okien, jeśli więc stwór wpełznął właśnie tutaj, nie miał szans na ucieczkę. Zanim Jenny weszła do łazienki, pochyliła się i zajrzała pod umywalkę. Nic. Tam na pewno się nie ukrył.

Zrobiła krok do środka i natychmiast zatrzasnęła drzwi, lecz za nimi także go nie było. Łazienka była tak mała, że nie mieściła się w niej wanna, jedynie prysznic ukryty za dwiema bladozielonymi zasłonami z poliestru, ozdobionymi rysunkami koników morskich. Jenny zawahała się, ale po chwili złapała za zasłonę po lewej stronie, policzyła do trzech i gwałtownie szarpnęła, równocześnie gotowa zatłuc potwora na śmierć.

Jednak w brodziku leżała jedynie mokra pomarańczowa gąbka kąpielowa Micka.

Jenny natychmiast wybiegła z łazienki i wróciła do przedpokoju, starając się nie patrzeć na okaleczone ciało Persefony. Była tak przerażona, że zbierało jej się na

wymioty. Jeżeli stwór nie schował się do łazienki, to gdzie był teraz? Nie widziała, żeby zawrócił do sypialni, kiedy poszła po kij golfowy, ale przypuszczała, że mógł niepostrzeżenie przedostać się do salonu albo wnęki kuchennej. Poza tym w przedpokoju stała niewielka szafka do przesuszania bielizny, choć była dobrze zamknięta.

Przeszła najpierw do salonu. Po stworzeniu nie było tam nawet śladu – nie znalazła go za zasłonami, pod kanapą ani w rogu pokoju za regałem z książkami. Nie było go nawet na suficie, który uważnie obejrzała na wszelki wypadek, bo przecież, podobnie jak pająki, stwór mógłby poruszać się po ścianach.

Następnie przeszła do wnęki kuchennej. Otworzyła spiżarkę i wszystkie szuflady w kredensie, zajrzała też do piecyka i do zmywarki. Nie miała pojęcia, w jaki sposób nieproszony gość mógłby się przedostać do ich wnętrza, ale dla własnego spokoju wolą się upewnić, że tam go nie ma.

Na koniec pozostawiła sobie sypialnię. Uklękła i zajrzała pod łóżko, z komody wyciągnęła wszystkie szuflady. Nic. Nie miała pojęcia, w jaki sposób stwór zdołał się wymknąć z mieszkania, a jednak zniknął. Gdyby nie leżące pomiędzy butami szczątka nieszczęsnej Persefony, Jenny byłaby gotowa sobie wmówić, że wszystko jedynie się jej przyśniło.

Dla całkowitej pewności jeszcze raz zajrzała do każdego pomieszczenia. Zejście po pomoc do Billa nie miało w tej chwili sensu. Pomyślałyby pewnie, że zbzikowała. Mogłoby mu nawet przyjść do głowy, że to ona zabiła Persefonę i wymyśliła historyjkę o pająku z dziecięcą twarzą, żeby nikt jej o to nie winił.

Nie miała już ochoty telefonować do Micka, ale tym razem to on zadzwonił. Przeszła do salonu i włączyła komórkę.

– Nance? No i jak? Pozbyłaś się tego?

– To zniknęło, Mick.

– O rety, Nance, słyszę, że jesteś ciężko przestraszona. Czy Bill ci pomógł?

– Nie musiał. Tego stwora już nie ma, Mick. Zniknął. Nie wiem, w jaki sposób.

– Posłuchaj, zakończyłem już wszystkie spotkania i zaraz złapię pierwszy pociąg do domu.

Jenny chciała mu opowiedzieć o Persefonie, ale po jej policzkach potoczyły się łzy, a jej gardło tak się zacisnęło, że przez długą chwilę nie potrafiła wydobyć z siebie słowa.

– Nance? Jesteś tam, Nance?

Zdołała wykrztusić tylko słowo „tak” i nic więcej.

– Już wracam, Nance. Po prostu się trzymaj. Miałaś zjeść lunch z Carol, pamiętasz? Zadzwon do Carol, żeby do ciebie przyszła.

Jenny wyrzuciła z siebie kolejne „tak” i musiała odłożyć komórkę. Siedziała na kanapie, otumaniona z przerażenia. Tymczasem deszcz wciąż uderzał w szyby, a z telefonu docierał cichy głos Micka, który bezustannie powtarzał:

– Nance? Jesteś tam, Nance?

Deszcz przestał padać, kiedy Dżamila i Jerry skręcili w Southampton Way i zatrzymali samochód za dużą białą furgonetką przedsiębiorstwa Crane's Drains. Odpięli pasy, ale zanim wysiedli, Dżamila popatrzyła na Jerry'ego i powiedziała:

– Chyba rozumiesz, Jerry, że mam co do tego zasadnicze wątpliwości.

– Szczerze mówiąc, pani sierżant, ja też. Sprawa jest co najmniej dziwaczna. Co cię gnębi najmocniej?

– Nadinspektor Walters. Powiedział, że jest sceptykiem, a tak szybko przyjął, że zniknięcie Martina Elliota może mieć związek z siłami nadprzyrodzonymi.

– Moim zdaniem chciał po prostu umyć ręce, rozumiesz? Sprawa jest zbyt osobliwa, aby bez mrugnięcia okiem mógł ją przejąć Pierwszy Zespół Śledczy, więc Walters właśnie nas do niej włączył. Nie chciał brukać chwalebnej karty swojego elitarnego zespołu.

– Chyba masz rację. Ja jakoś nie mogę uwierzyć w te zjawy.

– Cóż, owszem, to może być halucynacja. W kanałach ściekowych zawsze jest duże stężenie metanu i tlenu węgla. Jeśli nawdychasz się za dużo tej mieszanki, możesz potem widzieć różne cuda. A jeden Bóg wie, co jeszcze unosi się w specyficznej atmosferze tych kanałów. Jednak chciałbym w miarę obiektywnie odnieść się do postawy Waltersa, bo jakoś trudno jest mi zaakceptować fakt, że trzy osoby miały identyczne halucynacje.

– To rzadkie zjawisko, ale czasami występuje. W psychologii określa się je mianem *folie à deux*, czyli szaleństwem występującym u dwóch osób. W tym wypadku mielibyśmy jednak do czynienia z *folie à trois*. Nauce znane jest nawet zjawisko *folie à plusieurs*.

– Przepraszam, pani sierżant, ale już całkowicie zapomniałem języka żabojadów.

– Oznacza to identyczne szaleństwo u wielu osób. Moja przyjaciółka z Wydziału Kryminalnego w Delhi opowiedziała mi o przypadku, z jakim latem 2018 roku spotkała się w Burari. Jedenaścioro członków tej samej rodziny powiesiło się we wspólnym domu, wszyscy naraz. Okazało się, że wcześniej mnóstwo rozmawiali o siunjacie, ale poza tym to była zupełnie normalna rodzina, niemająca nic wspólnego z okultyzmem ani niczym w tym stylu. Psychiatra uznał, że wszyscy mieli zaburzenia percepcji.

– A czym jest ta siunjata?

– Słowo to oznacza pustkę albo próżnię. To medytacyjny stan, w którym człowiek uświadamia sobie, że widzi tylko pustkę.

– Jak wtedy, kiedy zagładasz do kufła i dociera do ciebie, że już nie ma w nim piwa?

– Nie, Jerry. To wiara w to, że żadna rzecz nie posiada własnej esencji.

– Przykro mi, pani sierżant, ale się zagubiłem. Nie wydaje mi się jednak, że można

by się dla tych przekonań powiesić.

– A ja po prostu uważam, że Pierwszy Zespół Śledczy powinien być przede wszystkim zaangażować do sprawy psychologa sądowego, który przesłuchałby świadków, a dopiero potem wezwać ciebie i mnie jako pogromców duchów.

– Dlaczego nie powiedziałaś tego Waltersowi?

– Ponieważ nie chciałam kwestionować opinii szefa w obecności jego podwładnych. I także dlatego, że nie uważam, abyśmy oboje byli teraz w stanie dokonać inteligentnej oceny wiarygodności świadków. O tym, czy skorzystać z pomocy psychologa sądowego, zdecydujemy, kiedy z nimi porozmawiamy.

– Zdaje się, że jesteś wobec spraw nadprzyrodzonych jeszcze bardziej sceptyczna niż Walters.

– Jerry... wychowałam się wśród ludzi, którzy wierzą w istnienie duchów i demonów. Mój wujek składał bogom kozy w ofierze, aby strzegli go przed złymi duchami, potrafię więc odróżnić świat realny od nierealnego. Te ubrania, które ożywały na ulicach... przecież nie miały żadnych związków z siłami nadprzyrodzonymi, krył się w nich prawdziwy wirus. Akceptuję to, że ludzie czasami widują duchy, ale takie sytuacje zawsze można racjonalnie wyjaśnić. Jak sam powiedziałaś, metan i tlenek węgla potrafią wywoływać u ludzi halucynacje. Ile razy słyszałaś ludzi niespełna rozumu, którzy twierdzili, że po ich domu kręcą się kosmici?

– Tylko raz. Ale facet, który złożył takie doniesienie, był pijany jak bela.

Wysiedli z samochodu i podeszli do pomarańczowych plastikowych barierki na rogu ulicy. Stali tam trzech inżynierowie, którzy rozmawiali i palili papierosy. Gemma akurat wychodziła z wjazdu, a Jim wyciągnął rękę, żeby jej pomóc. Po chwili pojawił się za nią Newton z kamerą, uważając, aby nie uderzyć jej obudową o żelazny wjazd.

Dżamila uniosła rękę w geście powitania.

– Pani Bright? Jestem detektyw sierżant Patel. A to jest detektyw posterunkowy Pardoe.

Gemma podeszła do barierki i przesunęła ją, aby Dżamila i Jerry mogli zbliżyć się do wjazdu.

– Ach tak – powiedziała. – Wcześniej policjanci już wspominali, że chcecie z nami porozmawiać.

– Wyjaśnili dlaczego?

Gemma zdjęła kask i pokręciła głową.

– Nie. Oznajmili tylko, że jesteście specjalistami.

– W jakiej dziedzinie?

– Tego nikt nie powiedział. Usłyszeliśmy jedynie, że już w przeszłości zajmowaliście się podobnymi sprawami.

– Owszem, można to tak określić. Jednak to, co opowiedzieliście detektywom... co wszyscy zgodnie opowiedzieliście detektywom...

– Chodzi pani o te dziwne rzeczy? Sami z trudem sobie uświadamiamy, co właściwie widzieliśmy. Szczerze mówiąc, wszystko wyglądało jak na horrorze w kinie, tyle że działo się naprawdę. Ale te stworzenia nas zaatakowały i sądzę, że gdybyśmy nie zdołali uciec, zrobiłyby nam dużą krzywdę.

– Krzywdę? – wtrącił się Jim. – Porozrywałyby nas na krwawe strzępy, gdybyśmy się poddali, skonsumowałyby nas na lunch. Bylibyśmy dla nich smakowitymi kanapkami i niech pani sobie nie myśli, że żartuję.

– Przepraszam – powiedziała Gemma. – To jest Jim Feather. Najstarszy kanalarz w naszej ekipie. A ten młody człowiek obok to Newton Akamba. Jest naszym operatorem światła i kamer.

– Rozumiem, że natrafiliście na dole na zator tłuszczowy – odezwał się Jerry.

– Zgadza się. Kanał jest niemal całkowicie zablokowany, stąd aż po Charles Coveney Road, na odcinku około dwustu metrów. Zeszliśmy na dół, żeby Martin mógł obejrzeć zator i podjąć decyzję, w jaki sposób go zlikwidować.

– Jak wiem, natrafiliście na rękę odciętą od tułowia.

– Zgadza się. W tłuszczu utkwiała ręka kobiety. Krótco po tym, jak ją znaleźliśmy, zgasły wszystkie światła i w kanale pojawiły się te zjawy.

– One fosforyzowały – powiedział Jim i otarł nos wierzchem dłoni. – Trochę jak tarcze zegarków, rozumie pan? Lśniły w ciemności.

– I wszyscy je widzieliście?

– Zgadza się – potwierdziła Gemma. – Ale na pewno nie były to halucynacje, ponieważ stężenie metanu i siarkowodoru nie wykraczało poza dopuszczalne granice i nie było nawet śladu nietypowych gazów. Czasami wykrywamy na dole arsenowódór, ten gaz łatwo jednak wykryć, bo cuchnie jak czosnek albo jak zepsuta ryba. Pojawia się też tlenek etylenu, używany jako środek do odmrażania lub sterylizowania żywności. Powoduje bóle głowy i halucynacje, ale powtórzę, że wtedy w kanale również go nie było.

– Niedługo pojawią się nasi technicy. Zejdą na dół i sprawdzą miejsce, w którym po raz ostatnio widziano Martina Elliota – powiedziała Dżamila. – Tymczasem chciałabym je obejrzeć razem z partnerem. Zechcecie państwo je nam pokazać?

– W furgonetce mamy kombinezony ochronne, obuwie i kaski – odparł Jim. Uważnie zmierzył wzrokiem Dżamilę i dodał: – Nie jestem pewien, czy posiadamy odpowiednio mały kostium dla pani, kochana, ale jeśli moglibyśmy zaproponować odrobinę większy...

– To nie rewia mody, panie Feather. Wezmę każdy rozmiar.

Na dworze zapadał zmrok, kiedy Jerry i Dżamila, wciśnięci w kombinezony ochronne, w wysokich kaloszach na nogach, zapięli kaski i dali znak, że są gotowi zejść do kanału ściekowego. Newton włączył przenośny ledowy reflektor, oświetlając róg ulicy wokół wjazdu niczym plan filmowy.

– Czuję się tak, jakbym ruszał w misję na Księżyc – powiedział Jerry, naciągając na dłonie czarne, grube rękawice nitrylowe.

Gemma popatrzyła na niego.

– Będziemy szli gęsiego i powoli, żeby jak najmniej chlapać. Uważajcie na każdy krok, ponieważ w wielu miejscach natraficie na śliski grunt. Jeśli któreś z was uzna, że nie jest w stanie wytrzymać odoru, albo zacznie się obawiać omdlenia, proszę natychmiast krzyknąć. O tej porze dnia ścieki sięgają zwykle do kolan, ale w tej chwili

ich poziom jest wyższy z powodu zatoru. Uważajcie, żeby się nie przewrócić i, nie daj Boże, zanurkować w tym szambie. Jeżeli jednak coś takiego się stanie, należy zamknąć oczy, zacisnąć usta i wstrzymać oddech.

– W policji określamy takie informacje jako zbędne – powiedział Jerry.

Gemma obdarzyła go słabym uśmiechem.

– Być może. Jednak w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy w ściekach utonęło dwóch naszych kanalarzy. A jeśli znajdziecie się pod powierzchnią tej brei i szczęśliwym trafem zostanieie z niej wyciągnięci, zapewniam, że nikt nie będzie się śpieszył, żeby reanimować was metodą usta–usta.

Podoba mi się ta dziewczyna, pomyślał Jerry. Pewnie jest dobra w swojej robocie.

Newton pierwszy wszedł do wjazdu, aby zapalić lampy ledowe, które zawiesił na ścianach tunelu. Jim zszedł za nim, a później po kolei ruszyli Jerry, Gemma i Dżamila.

Jerry ostrożnie postawił nogi w powolnie płynącym nurcie bladobrazowej brei. Wciągnął nosem powietrze i powiedział:

– Mówiąc szczerze, to wcale nie śmierdzi tak okropnie, jak się spodziewałem. A na pewno nie gorzej niż w kiblu na komisariacie w Tooting po wizycie sierżanta Chaleda, kiedy pozbędzie się vindaloo zjedzonego poprzedniego dnia na kolację.

– Gadasz teraz jak typowy rasista – stwierdziła Dżamila.

– Tak uważasz? Może mu to powiesz? Bo moim zdaniem facet w ten sposób mści się na Brytyjczykach za nasze panowanie w Indiach.

Dżamila kilkakrotnie głęboko odetchnęła.

– Czuję jakby zapach cytryny – powiedziała.

– Tak, my też to czujemy – odparła Gemma. – Wciąż jednak nie wiemy, co jest jego źródłem. Może to być limonen, używany jako rozcieńczalnik do farb. To również produkt uboczny utylizacji opon. Rozumie pani jednak, że do tej pory nie mieliśmy czasu, żeby przeprowadzić analizę.

– A może to naprawdę pachną cytryny? – zasugerował Jerry. – Przecież mnóstwo pubów w tej okolicy serwuje drinki z lodem i plastrami cytryny.

Gemma powoli ruszyła pierwsza, a wszyscy inni za nią.

– Przebadaliśmy cały zator georadarem – powiedziała przez ramię. Jej głos odbił się echem od okrągłej ceglanej powały, co zabrzmiało tak, jakby mówiły dwie kobiety jednocześnie. – Wysłaliśmy także naszych ludzi na północ kanałem biegnącym od Charles Coveney Road aż po jego wlot do Tamizy.

– I nie natrafiliście na żaden ślad Martina Elliota? – upewniła się Dżamila.

– Nie. Nie zauważyliśmy też niczego nadzwyczajnego.

– A co z tą odciętą ręką? Znaleźliście ją ponownie?

– Nie. Ona także zniknęła.

– Jest pani pewna, że to była ręka, a nie na przykład rękawiczka albo coś takiego?

– To była z całą pewnością prawdziwa ręka – wtrącił się Jim. – Już robiła się zielona, bo przecież gnęła, no i było widać wystające z niej kości nadgarstka.

– Georadar jednak na nią nie natrafił?

– Nie, w końcu technika ma swoje ograniczenia, szczególnie w materii

o podwyższonej gęstości, jak chociażby glina czy stwardniały tłuszcz. Być może ręka ponownie w nim utkwiała. Jeśli tak jest, w końcu ją znajdziemy, kiedy zaczniemy niwelować zawałdrogę wodą o wysokim ciśnieniu.

Dotarli przed błyszczącą ścianę złożoną z tłuszczu i śmieci z kanalizacji.

– Jezu – jęknął Jerry i pokręcił z niedowierzaniem głową.

Oglądał już podobne zatory w telewizji, ale widok poszarpanej twardej mazi, poprządkanej paskami papieru toaletowego, nawilżanymi chusteczkami i patyczkami kosmetycznymi był bardziej odrażający, niż się mógł spodziewać. Zerknął z ukosa na Gemmę, która wpatrywała się w ekran ręcznego analizatora składu atmosfery, sprawdzając, czy stężenie metanu i siarkowodoru nie przekracza norm bezpieczeństwa. Zastanawiał się, dlaczego taka śliczna dziewczyna pracuje w kanałach ściekowych. Dżamila podążyła za jego wzrokiem i szybko wzruszyła ramionami, jakby czytała w jego myślach. Jerry zaczął podejrzewać, że albo ma zdolności telepatyczne, albo jest najbystrzejszą kobietą, z jaką kiedykolwiek miał do czynienia. Jedno wiedział na pewno: zawsze wiedziała, kiedy ktoś kłamał.

– O, tutaj – powiedziała Gemma. – Właśnie w tym miejscu stał Martin, kiedy go widziałam po raz ostatni. Spójrzcie... wciąż są widoczne ślady jego palców w miejscu, w którym chwycił się tego tłuszczu, żeby zachować równowagę. Ja stałam tutaj, obok niego, Jim był kawałek dalej, a Newton znajdował się niemal dokładnie w tym miejscu, w którym stoi teraz.

– Opowiedzcie nam o tym – poprosiła Dżamila. – Zgasły światła i co dalej?

– Niosłem kamerę Haloptic, która ma wbudowaną bardzo silną lampę, dwadzieścia razy mocniejszą od standardowych lamp montowanych przy kamerach, i ona nagle się wyłączyła – odezwał się Newton. – Powiedziałem „wyłączyła się”, ponieważ ani lampa, ani sama kamera w żaden sposób nie uległy uszkodzeniu i później znowu działały tak jak trzeba bez żadnych problemów.

– W następnej sekundzie zgasły lampy na naszych kaskach – dodał Jim. – Zapanowała całkowita ciemność i właśnie wtedy te zjawy na nas ruszyły.

– Widzieliście je mimo całkowitej ciemności?

– Zgadza się. One lśniły. Jakby były radioaktywne.

– I zaatakowały was?

– Tak, i to bardzo gwałtownie – powiedziała Gemma. – Jedna z nich szarpnęła za mój kask, jakby chciała zerwać mi go z głowy. Jestem głęboko przekonana, że chciały nas pozabijać.

W chwili, gdy przebrzmiały jej słowa, światła ledowe, które Newton zainstalował w kanale, zaczęły migać. Mrugały gwałtownie jak żarówki stroboskopowe i w tym szalonym oświetleniu pięć osób poruszało się jakby rwanymi ruchami, niczym postaci z niemego filmu.

– Co się dzieje, Newton? – zapytała Gemma. – Tylko mi nie mów, że zrywa się połączenie.

– Nie, to niemożliwe. Może to ten cholerny generator znowu wariuje?

Światła przestały migotać i całkowicie zgasły, choć wciąż paliły się znacznie słabsze czołówki na kaskach. Jednak po kilku sekundach całe oświetlenie ledowe

ożyło i zaczęło przybierać na mocy, aż w końcu przekroczyło poprzedni poziom i stało się tak jaskrawe, że wewnątrz kanału wydawało się pozbawione wszelkich kolorów.

– Newton! Co jest, do diabła? – zawołał Jim, unosząc rękę, żeby zasłonić oczy.

– Nie wiem! Nie wiem, co się dzieje! Przecież te lampy nigdy się tak nie zachowywały!

Nagle wszystkie źródła światła, nie tylko lampy wzdłuż ścian, ale także te na kaskach, zaczęły świecić na zielono.

Gemma znowu popatrzyła na analizator składu atmosfery.

– Nie wiem, dlaczego tak się dzieje. W powietrzu nie unosi się nic niebezpiecznego. Ale na pewno musimy stąd uciekać, i to szybko.

Odwrócili się i zaczęli brnąć przez ścieki z powrotem w kierunku wjazdu. Gemma szła pierwsza, za nią Dżamila i Jerry, a następnie Newton i Jim. Wszystkie światła wciąż paliły się na zielono i były nieznośnie jaskrawe. Wszystko dookoła miało zielony kolor – ściany z cegieł, twarze ludzi, a także ich dłonie i kombinezony.

Nie przebyli nawet połowy drogi powrotnej, kiedy usłyszeli niski głos przypominający rozpaczliwy jęk. Dobiegał zza ich pleców i z każdą chwilą był coraz głośniejszy. Równocześnie w kanale rozszalał się śmierdzący wiatr. Im bliżej byli wjazdu, tym bardziej przybierał na sile, aż jego zawrodozenie złało się w jeden pełen dysonansów chór z głośnym jękiem. Ścieki zakotłowały się, wzburzyły i ciężkie krople śmierdzącej mazi spadły na uciekających ludzi. Jerry poczuł na plecach smrodliwy prysznic. Można było odnieść wrażenie, że w kanale ściekowym rozszalała się burza, a przecież znajdowali się pod ziemią, wszystko było oślepiająco zielone, a na deszcz składały się ludzkie fekalia.

Gemma zawołała coś, ale jęk i zawrodozenie wiatru były tak głośne, że Jerry nie zrozumiał ani słowa. Straszliwy dźwięk przywodził mu na myśl rozpaczliwe wołanie kobiety w agonii, a wycie wiatru przypominało mu odgłosy, które słyszał dawno temu, kiedy był świadkiem wypadku drogowego – zapalił się wówczas autobus i podróżujące nim dzieci znalazły się w śmiertelnej pułapce.

Chciał iść szybciej, by natychmiast uciec z tej klaustrofobicznej dziury, ale było ślisko i Jerry dwukrotnie niemal stracił równowagę. Nie przewrócił się tylko dzięki temu, że w porę oparł się dłońmi o ścianę.

Brakowało mu zaledwie pięćdziesięciu metrów do wjazdu, gdy w ramię uderzył go jakiś mały twardy przedmiot. Po chwili przyjął drugie uderzenie, tym razem w kask, i wtedy ów przedmiot zadźwięczał, jakby był wykonany z metalu. Kilka innych przeleciało obok niego; jeden z nich trafił Dżamilę. Tonęły w ściekach, zanim był w stanie dostrzec, co to jest takiego, miał jednak wrażenie, że są to jakby duże gwoździe.

Dżamila, idąca tuż przed nim, nagle straciła równowagę i się przewróciła. Padła na rękę i kolana w ścieki, których poziom sięgał im już do ud, a ich powierzchnia była pofalowana jak niespokojne morze. Dżamila niemal zniknęła pod powierzchnią, lecz Jerry ruszył jej z pomocą, objął ją w pasie i postawił na nogi. Była tak lekka, że odniósł wrażenie, jakby unosił małą dziewczynkę. Dżamila zachwiała się i byłaby

ponownie upadła, gdyby Jerry nie zdołał temu zapobiec. Popatrzyła na niego, a Jerry mimo jaskrawego zielonego światła dostrzegł na jej twarzy ogromną ulgę.

Gemma odwróciła się, aby zobaczyć, co się stało, ale Jerry podniósł rękę w uspokajającym geście. Zanim Dżamila ponownie ruszyła dalej, uniosła dłoń. Trzymała w niej jakiś przedmiot, który pokazała Jerry'emu. Był to duży staromodny klucz z uchwytem w kształcie gwiazdy, który Dżamila przy upadku wyłowiała ze ścieków.

– Uciekajmy stąd jak najszybciej! – krzyknął do niej Jerry.

Wątpił, czy go usłyszała, ponieważ wszystko zagłuszało wysokie, przenikliwe wycie wiatru. Tak samo skowyczały dzieci w tamtym autobusie. Jerry wciąż nie potrafił tego zapomnieć.

W końcu dobrnęli do drabinki pod otwartym włazem. Gdy tylko się tam znaleźli, wszystko ucichło. Podmuchy wiatru ustały, lecz ścieki wciąż tworzyły fale wokół ich gumiaków i uderzały o ściany kanału. Jerry obejrzał się i zobaczył, że zielone światła stopniowo zanikają, znowu przyjmując biały kolor.

Popatrzył na Jima. Stwierdził, że jeszcze nigdy nie widział u nikogo tak ponurej miny.

– Co to było? – zapytał go. – I dlaczego tak nagle ucichło? Mam wrażenie, że ktoś dowiedział się o naszej obecności, wie pan, co mam na myśli? Zakładam, że przedstawienie odbyło się specjalnie na nasz użytek. Komuś zależało, żeby nas porządnie przestraszyć.

– I chyba mu to cholernie dobrze wyszło, co? – rzekł Jim.

– Strasznie śmierdzą – powiedziała Dżamila, unosząc ręce i spoglądając na kombinezon, cały uwalany ściekami. – Muszę jak najszybciej stąd wyjść i się umyć.

– Ogólnie rzecz biorąc, czego my właściwie tutaj doświadczyliśmy? – zapytał Jerry. – Przychodzi ci do głowy, co potrafiło wywołać taki cholerny hałas, zmienić kolor światła na zielony i wywołać tak silne podmuchy?

– Nie rozumiem, dlaczego światła zmieniły kolor – powiedział Newton. – Przecież to są standardowe światła ledowe. Bez filtra nie mają prawa zaświecić na zielono. To niemożliwe.

– Twierdzi pan, że to niemożliwe, a my właśnie widzieliśmy, że to jest możliwe. Poza tym ten hałas... I wiatr?

– Wiem, o co chce pan mnie zapytać, detektywie – odezwał się Jim. – Nie potrafię jednak wyjaśnić, co się stało. Nie rozumiem nawet, w jaki sposób ktokolwiek poza szefami Crane's Drains mógł się dowiedzieć, że zesliśmy na dół.

– Jasne. Może technicy policyjni znajdą jakieś wyjaśnienie, kiedy zejdą na dół?

– Życzę im cholernego szczęścia – mruknął Jim. – Ale jeśli chodzi o mnie, to w tej chwili zależy mi tylko na podwójnej szkockiej.

Gemma stanęła z boku, żeby Dżamila mogła pierwsza wspiąć się na drabinkę. Dwaj kanalarze, którzy stali na ulicy, pomogli jej wydostać się na powierzchnię. Jerry usłyszał, jak jeden z nich mówi:

– Popływałaś sobie, słoneczko, co? Lepiej jednak zmień rodzaj rozrywki. Znajdź sobie jakąś siłownię. Tam aż tak nie śmierdzi.

Jerry wyszedł za Dżamila.

– Słyszeliście coś? – zapytał kanalarzy, tupiąc nogami, aby odkleić od buta kawałek papieru toaletowego.

– Czy słyszeliśmy? A co na przykład?

– Na przykład wycie ludzi. Albo zawroźnienie wiatru.

Zaskoczeni mężczyźni popatrzyli po sobie.

– Nie, stary. Niczego takiego nie słyszeliśmy.

– Zupełnie nic? A widzieliście światła? Zauważyliście, że zaczęły się palić na zielono?

– Jakie światła?

– Ledowe, te, które zainstalowaliście w kanale.

Obaj mężczyźni pokręcili głowami.

– Nie. Ale prawdę mówiąc, raczej nie zaglądaliśmy do środka. Skorzystaliśmy z okazji i wypaliliśmy po szybkim szlugu.

Z wjazdu wyszła Gemma i zdjęła rękawice.

– Zapraszam państwa do naszego biura. Mamy tam prysznic; możecie z nich skorzystać.

– Dzięki – odparła Dżamila. – Ale kiedy się już wykąpiemy, będziemy musieli o tym porozmawiać. Jesteście ekspertami w dziedzinie kanalizacji, spodziewamy się więc, że udzielicie nam jakichś wyjaśnień na temat tego, co tu się stało. Powiem naszym technikom, żeby nie schodzili do kanału, dopóki nie zrozumiemy, co się właściwie stało. Może z tej bryły tłuszczu wydobywają się jakieś gazy, o których jeszcze nie wiecie? Nie chcę, żeby zaginęła kolejna osoba albo żeby stało się coś jeszcze gorszego.

Podeszli do furgonetki Crane's Drains. Jim otworzył boczne drzwi. Dżamila usiadła, a Jerry pochylił się, żeby zdjąć z jej nóg kalosze.

– Wciąż jesteś przekonana, że nie mamy do czynienia z żadną nadprzyrodzoną siłą? – zapytał na tyle cicho, żeby nie usłyszała go Gemma.

– Tam na dole dzieje się coś dziwnego, Jerry, powiem ci tylko tyle.

– Rzeczywiście przypuszczasz, że chodzi o jakiś nierozpoznany gaz?

– Nie, wcale tak nie przypuszczam. Chociaż... Owszem, być może istnieją gazy, które mogą zmieniać kolor światła na zielony i wywoływać gwałtowne zmiany w ciśnieniu powietrza, przez co w kanale podnosi się silny wiatr. A ten jęk... może jego bezpośrednią przyczyną był przepływ powietrza przez dziury w bryle tłuszczu, no wiesz, podobnie jak w puszczalkach organów.

– Ale ty w to przecież nie wierzysz, pani sierżant, prawda? Ani przez chwilę.

– Nie – odparła Dżamila i uniosła klucz, który wyciągnęła ze ścieków. – Gazy mogą mieć wiele nadzwyczajnych właściwości, ale na pewno nie potrafią rzucać w ludzi kluczami.

Doktor Macleod właśnie zamykał na klucz drzwi swojego gabinetu, kiedy w korytarzu pojawił się profesor Karounis.

– Stuart! Chyba nie wychodzisz już do domu?

– W gruncie rzeczy wychodzę. Nie mam już na dzisiaj zapisanych pacjentek i pomyślałem, że mógłbym odebrać Beverly z biblioteki.

– Powiedziałaś jej, że przyjedziesz?

– Nie. To będzie niespodzianka. Chcę ją zabrać na kolację do Peckham Bazaar.

– A może przełożysz to na inny wieczór? Rozmawiałem z policją i przyślą funkcjonariusza, który ma z nami porozmawiać. Powinien być na miejscu za jakieś dziesięć minut.

– Zatelefonował pan na policję? Myślałem, że sprawą miał się w pierwszej kolejności zająć David Brennan.

– No i się zajął. Przeczesał cały budynek od piwnicy po strych i rozmawiał z każdym, kto przebywał tutaj, kiedy zniknął ten płód. Nie natrafił jednak na żaden ślad, na nic, co mogłoby podpowiedzieć, kto go zabrał. A przecież z całą pewnością ktoś to zrobił i właśnie dlatego zatelefonowałem na policję. W końcu musimy dbać o opinię, prawda, Stuart? Bezpieczeństwo musi być w naszym obiekcie najwyższym priorytetem. Kto nam zaufa, jeżeli zaczną tutaj ginąć noworodki, nawet martwe lub takie, których szanse na przeżycie są niewielkie?

– Całkowicie rozumiem pańską troskę, profesorze – odparł Macleod, ruszywszy razem z nim w kierunku wind. – Ale jeśli zachowamy zniknięcie tego płodu w tajemnicy, kto się o nim dowie?

– Wie o nim jego matka. Niewykluczone, że zacznie o niego pytać. Nie miała pojęcia, że jest w ciąży, prawda? Może nas poprosić o test DNA, aby się dowiedzieć, kto jest ojcem, i co jej wtedy powiemy? Och, przepraszamy panią, ale pani płód w tajemniczy sposób zaginęła i nie mamy pojęcia, gdzie się obecnie znajduje...

– Przecież możemy jej po prostu powiedzieć, że płód nie przeżył i że się go już pozbyliśmy.

– Tak, ale to nie będzie zgodne z prawdą, mam rację? Poza tym, choć wiem, że całkowicie ufasz swojemu zespołowi, wystarczy, że ktoś niechcący wygada się przy nieodpowiedniej osobie, a cała historia natychmiast wyjdzie na jaw.

Znaleźli się przed gabinetem profesora. Kiedy weszli do środka, gospodarz gestem ręki zaprosił doktora Macleoda, żeby usiadł.

– Martwisz się, że ta sprawa skazi ci opinię, prawda?

– Zepsuje opinię – poprawił go cicho doktor, ale Karounis raczej go nie usłyszał.

– Kiedy przeprowadzałeś cięcie cesarskie, płód żył i oddychał. Odpowiadałaś za to, żeby jak najdłużej przetrwał, aż do naturalnej śmierci, bez względu na to, jak był zdeformowany. Zgadza się z tobą, że nie było szansy, aby pozostał na tym świecie,

ale w tej chwili nie o to chodzi.

Do gabinetu zapukała asystentka i bez zaproszenia wsunęła głowę do środka.

– Ma pan gości, profesorze. To policjanci.

– Dobrze, dziękuję ci, Mandy. Poproś, żeby weszli.

Do gabinetu weszła para umundurowanych policjantów: przysadzisty mężczyzna po trzydziestce, ostrzyżony na jeża, o jakby piaskowanych policzkach, oraz pulchna młoda kobieta. Miała zielone oczy i najmniejszy nos, jaki doktor Macleod kiedykolwiek widział u dorosłego człowieka.

– Dziękuję państwu, że zjawiliście się tak szybko – powiedział profesor Karounis.

– Wiem, że policja ma w tych czasach dużo pracy. Po ulicach krążą nożownicy, a młodzi ludzie na rowerach wrywają przechodniom telefony komórkowe. Nazywam się Karounis, jestem profesorem i dyrektorem tej kliniki, a to jest nasz naczelny lekarz, doktor Macleod.

– Zgłosił pan podejrzenie porwania, zgadza się? – zapytała monotonnym głosem młoda posterunkowa.

– Tak, w rzeczy samej. Otóż przywieziono do nas kobietę z silnymi bólami brzucha. Badanie wykazało u niej zaawansowaną ciążę, ale płód był katastroficznie zniekształcony. Doktor Macleod natychmiast wykonał cięcie cesarskie, aby usunąć płód, gdyż istniało zagrożenie dla życia matki. Wbrew naszym oczekiwaniom płód przeżył operację. Umieściliśmy go w inkubatorze, pod uważną obserwacją, ale w ciągu kilku minut, kiedy akurat pielęgniarka wyszła z sali, płód zniknął.

– Zdaje się, że szpital ma własną służbę ochrony. I monitoring, prawda?

– Tak, mamy, owszem. Jednak zapisy z kamer w żaden sposób nie wskazały, kto mógł się dopuścić porwania płodu. System wideonadzoru przekazuje obraz przede wszystkim drzwi wejściowych i wyjściowych, a także z półpięter, klatek schodowych i wind, ale kamery nie zarejestrowały nikogo, kto zachowywałby się podejrzanie.

Policjant natomiast zmierzył uważnym spojrzeniem doktora Macleoda i powiedział:

– Płód był „katastroficznie zdeformowany”? Co to w gruncie rzeczy oznacza, jeśli wolno mi zapytać?

– Myślę, że profesor chciał użyć słowa „katastrofalnie”. Trudno byłoby mi to wyjaśnić, więc pokażę państwu fotografię. – Wyciągnął z kieszeni smartfon i odszukał w odpowiednim folderze zdjęcie płodu. Następnie podał go policjantowi, mówiąc: – Proszę. Oto on. Fotografię wykonałem mniej więcej pięć minut po wydobyciu go z macicy pacjentki.

Posterunkowi wpatrywali się w ekran przez jakieś dziesięć sekund. Następnie popatrzyli oszołomieni na Macleoda.

– Czy to jest prawdziwe zdjęcie? – zapytał policjant. – Mam nadzieję, że nie robią nam panowie jakiegoś kawału?

– Prawdziwe jest i zdjęcie, i płód. Chyba nie myśli pan, że wezwaliśmy policję dla kawału? On naprawdę istnieje.

– Powiedział pan: „on”.

– Jeśli uważnie przyjrzy się pan fotografii, dostrzeże pan męskie genitalia. Bardzo

malutkie, lecz niepozostawiające wątpliwości.

– Hmm... Rzeczywiście.

– Niech pan sobie wyobrazi, że byłem równie zaszokowany jak pan w tej chwili – oświadczył Macleod. – A prawdopodobnie jeszcze bardziej, ponieważ miałem go przed sobą, żywego, oddychającego, leżącego na mojej dłoni. Nigdy wcześniej nie widziałem niczego podobnego, nie doświadczyłem czegoś takiego w całej historii mojej praktyki lekarskiej, a widywałem już naprawdę cholernie zniekształcone płody ludzkie. Dwa lub trzy z nich zagwarantowałyby panu koszmary nocne na całe życie.

– I uważa pan, że ktoś mógł porwać ten konkretny płód?

– No przecież sam raczej by się stąd nie wydostał, prawda? – odparł pytaniem profesor Karounis, z nutą zniecierpliwienia w głosie.

– Nie, oczywiście, że nie. Przychodzi panu jednak do głowy powód, dla którego ktokolwiek zapragnąłby posiadać coś takiego?

– Powodów może być w tym wypadku mnóstwo – zaczął Macleod. – Mógł go porwać handlarz ludzkich narządów. Cena ludzkiej głowy przeznaczonej do dysekcji dochodzi do pięciuset funtów. Szpitale i uniwersytety płacą poważne kwoty za wątroby, nerki i inne narządy. Można więc sobie wyobrazić, że handlarz, który zdobyłby ten płód, otrzymałby za taki nietypowy okaz naprawdę spore pieniądze.

– Po co jednak miałyby krążyć akurat po tym szpitalu handlarz ludzkimi narządami? – zapytała policjantka. – Chyba nie sprzedajecie na dysekcje zwłok noworodków? A może sprzedajecie?

Doktor Macleod miał właśnie odpowiedzieć na to pytanie, gdy profesor Karounis uniósł rękę i odezwał się zdecydowanym głosem:

– Proszę pani! To pytanie jest naprawdę nie na miejscu. Doktor Macleod wskazał jedynie szeroką gamę możliwości. Jak powiedział, płód mógł zostać od nas porwany z wielu powodów, niekoniecznie w celu przeprowadzenia dysekcji.

Policjant oddał Macleodowi komórkę.

– Będę z panem całkowicie szczery – oznajmił. – Obawiam się, że ta sprawa to nie nasza liga. Zaginione dzieci, owszem. Kradzieże, owszem. Jak pan powiedział, musi istnieć jakaś przyczyna porwania tego płodu, ale ze względu na stopień jego deformacji, moja partnerka, posterunkowa Lake, i ja musimy przekazać to zgłoszenie funkcjonariuszom, którzy specjalizują się w tego typu sprawach.

– Co to znaczy „tego typu sprawach”? – zapytał profesor. – Tylko niech mi pan nie mówi, że jest więcej podobnych płodów.

– Nie, panie profesorze. Chodzi mi o niezwykle przypadki. Inne niż uliczne rabunki, ataki nożowników, handel narkotykami czy przestępstwa komputerowe. Mówię o przypadkach, których nie da się racjonalnie wyjaśnić. Z całą pewnością należy do nich zaliczyć zniknięcie zdeformowanego płodu.

– Co więc zamierza pan zrobić?

– Wrócę na komisariat, panie profesorze, i poinformuję o tej sprawie nadinspektora stojącego na czele Pierwszego Zespołu Śledczego. Oczywiście pokażę mu fotografię; bardzo proszę o przesłanie jej na mój telefon wraz z takimi szczegółami, jak wielkość płodu, masa ciała i stan ogólny. Uważa pan, że on może wciąż żyć?

– Po prostu nie wiem – odparł Macleod. – Nawet nie ośmielę się zgadywać. Byłem kompletnie zaskoczony, że żył po wyjęciu z łona matki. Jak pan widział, jego płuca i inne narządy znajdują się na zewnątrz, a serce nie jest większe od mojego paznokcia. Bardzo wiele zależy od tego, jak go traktuje osoba, która go stąd zabrała.

– Rozumiem, panie doktorze. Odezwiemy się do państwa najszybciej, jak to będzie możliwe, to znaczy, kiedy tylko nadinspektor oceni sprawę i podejmie decyzję o sposobie dalszego postępowania. Czy moglibyśmy jeszcze porozmawiać z osobami, które w ośrodku odpowiadają za ochronę?

– Szefem ochrony jest David Brennan. Tak, oczywiście. Moja asystentka zaprowadzi państwa do jego biura.

Kiedy policjanci wyszli, Macleod długo wpatrywał się w drzwi, jakby oczekiwał, że w każdej chwili mogą wrócić.

– Dlaczego mam wrażenie, że ta sprawa bardzo źle się skończy?

– Nie wiem, Stuart – odparł Karounis. Usiadł za biurkiem, wziął do ręki plik dokumentów, przez chwilę wpatrywał się w nie ze zmarszczonym czołem, po czym je odłożył. – Ja natomiast czuję, że to w ogóle nie będzie miało końca i nigdy się nie dowiemy, dlaczego płód był tak straszliwie zdeformowany i co się z nim stało. Wydaje mi się, że nie poznamy już odpowiedzi na te pytania. Prędzej spoczniemy dwa metry pod ziemią.

– Och, mnie to nie dotyczy. Chcę zostać skremowany. Nigdy nie bawiła mnie myśl, że po śmierci zostanę pożarty przez robaki.

Profesor odchrząknął dziwnie, jak zaskoczony pies.

– Czyli że nie zamierzasz przeznaczyć ciała na cele naukowe? Zdziwiasz mnie. Przecież przed chwilą powiedziałeś, że za poszczególne narządy można dostać całkiem dobre pieniądze.

Zaraz po wyjściu z gabinetu profesora Macleod zadzwonił do żony. Beverly wyszła już z biblioteki w Peckham i jechała do domu w Dulwich. Szczerze przyznała, że jest zmęczona i nie ma ochoty wychodzić nigdzie na kolację.

– Dobrze, kochanie – zgodził się. – Może innym razem.

Po rozmowie z policjantami on także stracił apetyt.

Poszedł jeszcze do pani Edwards, żeby sprawdzić, jak się czuje po cięciu cesarskim, które przeprowadził u niej tego popołudnia. Była senna, lecz uśmiechnięta. Został przy niej męża, który z wdzięczności obdarzył go tak serdecznym uściskiem dłoni, że niemal połamał mu palce.

Doktor Macleod zbliżał się już do stojącego na parkingu samochodu, kiedy odezwał się jego smartfon. Znów zaczął siąpić deszcz, najpierw więc pobiegł do swojego mercedesa i wskoczył na miejsce za kierownicą. Dopiero wtedy odebrał rozmowę. Telefonował doktor Bhaduri. Był niezwykle przejęty i zdawało się, że brakuje mu tchu.

– Doktorze Macleod? Jedź pan już do domu?

– Właśnie miałem ruszać. O co chodzi?

– Chodzi o Susan Nicholls. Tę młodą kobietę, u której przedwcześnie oddzieliło się

łożysko.

– Tak, przypominam sobie.

Doktor Macleod zajmował się Susan Nicholls zaledwie poprzedniego dnia. Straciła dziecko w dziewiętnastym tygodniu ciąży, co zdarzało się niezwykle rzadko na tak późnym etapie ciąży. Historia była smutna, ale zabieg się udał i u pacjentki nie wystąpiły powikłania. Doktor rozszerzył szyjkę macicy i przeprowadził łyżeczkowanie, a stan pani Nicholls był na tyle dobry, że następnego dnia rano miała zostać wypisana do domu.

– Mniej więcej dwie godziny temu zaczęła narzekać na ostry ból podbrzusza – powiedział doktor Bhaduri. – Ból stał się tak silny, że wkrótce nie była w stanie mówić, kazałem więc jej podać kroplówkę ze środkiem przeciwbólowym. Poza tym wymiotowała, więc zacząłem się zastanawiać, czy nie mam do czynienia z niedokrwieniem tętnicy kręzkowej. Kazałem natychmiast wykonać USG.

– Dlaczego nie powiedział mi pan o tym wcześniej?

– Ponieważ przebywał pan w sali operacyjnej. No i postanowiłem poczekać na wyniki ultrasonografii.

– W porządku, doktorze Bhaduri. Uspokójmy się. Ma pan już te wyniki?

Macleod usłyszał, jak Bhaduri nerwowo wciąga powietrze. Zabrzmiało to tak, jakby miał się zaraz rozpłakać.

– Ona jest w ciąży. To jest, chciałem powiedzieć, ma płód w macicy.

– Doktorze Bhaduri, ta kobieta nie może być w ciąży. Przecież niecałe czterdzieści osiem godzin temu poroniła. Jest pan pewien, że nie pomyłono wyników badania USG z wynikami innej pacjentki? Takie rzeczy już się zdarzały.

– Ale to wygląda na ten sam płód, panie doktorze. Ten, który usunął pan z macicy pani Oduwole. Ten płód, który nam zniknął.

– To niemożliwe. Przez pomyłkę otrzymał pan wyniki pani Oduwole. Na pewno właśnie tak się stało.

– Nie, panie doktorze. Dokładnie to sprawdziłem. Poszedłem z fotografią do techników, a oni potwierdzili mi stanowczo, że trzymam w ręce wynik badania Susan Nicholls.

Macleod poczuł, jak go oblewa zimny pot. Mimo że miał na sobie ciepły płaszcz, zadrżał.

– Zaraz wracam – powiedział. – Gdzie w tej chwili jest Susan Nicholls?

– W pokoju dwieście trzy. Przeniosłem ją z sali ogólnej, ponieważ mogłaby wywierać niepożądany wpływ na inne matki.

Doktor Macleod wysiadł z samochodu i wśród siąpiącego deszczu przeszedł z powrotem do centrum. Gdy z marsową miną kierował się w stronę wind, recepcjonistka obdarzyła go pytającym spojrzeniem. Kiedy jechał na drugie piętro, popatrzył na swoje odbicie w lustrze umieszczonym w windzie i pomyślał: Przecież to nie może się dziać naprawdę. To nie może być prawda. Przecież to jest historia rodem z horroru.

Doktor Bhaduri czekał na niego na korytarzu w towarzystwie doktor Symonds i siostry Rudd. Bez słowa wręczył mu tekturową teczkę zawierającą wyniki badania

USG wraz ze zdjęciami i skinął głową w kierunku otwartych drzwi pokoju numer 203.

Doktor Macleod wszedł do środka. Na łóżku leżała na plecach Susan Nicholls, z kroplówki powoli sączył się do jej żyły środek przeciwbólowy. Miała dwadzieścia trzy lata i była całkiem ładną punkową. Jej nastroszone ciemne włosy miały jasne końcówki, nos ozdabiał metalowy ćwiek, a na lewym przedramieniu miała wytatuowaną syrenę. Siedziała przy niej pielęgniarka, która na widok doktora Macleoda natychmiast wstała.

– Teraz śpi – powiedziała siostra Ruud. – Przez ponad pół godziny dosłownie wiała się w okropnym bólu i to ją wykończyło.

– Stan? – zapytał Macleod.

– Ma trochę podwyższone ciśnienie tętnicze, sto czterdzieści na dziewięćdziesiąt, ale poza tym wszystko w normie.

Doktor Macleod otworzył teczkę, popatrzył na zdjęcie USG i znów zadrżał. Płód skulony w macicy Susan Nicholls wyglądał dokładnie tak jak zdeformowane dziecko, które niedawno wyjął z łona Chiasoki Oduwole. Pajęczne kończyny miał owinięte dookoła głowy, przez co nie można było dostrzec jego anielskiej twarzy, ale nie było wątpliwości – jeżeli nie miał do czynienia z tym samym stworzeniem, to przynajmniej z jego bliźniakiem. Płód miał identyczne zewnętrzne płuca i identyczne drobniutkie genitalia.

Doktor Bhaduri zwrócił uwagę na to, jak płód był wczepiony w ścianę macicy.

– Widzi pan? Zapewne tkwi tam dopiero od kilku godzin, a już jest mocno zagnieżdżony. Zgaduję, że niebawem zacznie się żywić substancjami odżywczymi i oddychać tlenem krążącym we krwi pani Nicholls jak normalny płód.

– Czy ona zdaje sobie sprawę, że nosi w sobie płód?

– Jeszcze nie – odparła doktor Symonds. – Uznaliśmy, że powinniśmy najpierw porozmawiać z panem. Dopiero co straciła dziecko, i to w połowie ciąży... dziecko, którego ruchy już wyczuwała... To na razie mogłoby być dla niej za wiele.

– Będzie musiała się dowiedzieć. Jedynym sposobem na wyciągnięcie z niej tego intruza jest cięcie cesarskie, a przecież nie możemy go przeprowadzić bez jej zgody. Chyba że zagrożone będzie jej życie, ale obecnie raczej nie ma takiej obawy, mimo że sytuacja jest co najmniej dziwaczna.

– Nie rozumiem, jak to się w niej znalazło – powiedział Bhaduri. – To znaczy... przepełzło z pokoju numer dwieście siedem do sali poporodowej? I co dalej? Przecież to się zachowuje jak jakiś okropny pasożyt.

Doktor Macleod popatrzył na siostrę Ruud.

– Musimy to jak najszybciej usunąć. Niech pacjentka na razie śpi. Proszę zawiadomić anestezjologa i przygotować salę operacyjną. Kiedy się obudzi, porozmawiam z nią i spróbuję wyjaśnić, w jaki sposób to coś znalazło się w jej brzuchu. No i zawiadomię ją o konieczności przeprowadzenia zabiegu.

– A potem? Co z tym zrobimy? – zapytała doktor Symonds.

– To, co powinienem był zrobić już za pierwszym razem. Przeprowadzimy eutanazję.

– Czyli nie mówimy już „on”, tylko „to”?

Doktor Macleod nie odpowiedział na to pytanie. Oddał teczkę Bhaduriemu i poszedł zawiadomić profesora Karounisa, że płód się odnalazł i że sprawa jego zaginięcia bardziej nadaje się dla egzorcysty niż dla policji.

W siedzibie Crane's Drains, budynku z czerwonej cegły, stojącym przy Copeland Road, Jerry i Dżamila zostali zaprowadzeni do łazienek, żeby wziąć długi gorący prysznic. Jednak Jerry, nawet kiedy dwukrotnie się namydlił i opłukał, nie był pewien, czy wciąż nie unosi się wokół niego odór ścieków.

Kiedy z mokrymi włosami wyszli z łazienki, czekał na nich Jim Feather. Jerry obwąchał palce, aby się upewnić, że nie cuchnie. Na ten widok Jim powiedział:

– Już wszystko w porządku, stary. To tylko omam węchowy. Wszyscy nasi kanalarze doświadcniają tego od czasu do czasu.

– To znaczy...?

– Po prostu człowiekowi wydaje się, że śmierdzi, a tymczasem to tylko jego mózg wywołuje odór, którego się obawia i który utrzymuje się wyłącznie w jego wyobraźni. Prawdopodobnie poczujesz go znowu za kilka dni, lecz możesz mi wierzyć, będzie istniał jedynie w twojej wyobraźni.

– Cholera jasna. Ale dobre i to.

Gwiżdżąc przez zęby, Jim poprowadził Jerry'ego i Dżamilę do gabinetu Martina Elliota. Gemma zdążyła już skontaktować się z Johnem Crane'em, założycielem i właścicielem firmy. Opowiedziała mu, co się wydarzyło, i przekazała aktualne informacje o stanie poszukiwań Martina, żywego lub martwego.

Kiedy Jerry i Dżamila weszli do środka, wciąż rozmawiała z nim przez Skype'a; twarz Crane'a widoczna była na pięćdziesięciopięciocalowym ekranie telewizora ustawionego w kącie gabinetu. Była to szeroka twarz człowieka z północy Wielkiej Brytanii, z głębokimi bruzdami wokół ust i o wyraźnie zarysowanym podbródku. Crane miał siwe włosy zaczesane do tyłu wzorem graczy w krykieta z lat pięćdziesiątych i mówił z dobrze rozpoznawalnym akcentem mieszkańca Yorkshire.

– Cokolwiek dzieje się w kanałach, dziecińco, zawsze można to logicznie wyjaśnić – twierdził. – Czasami ludzie widują rzeczy, które biorą za latające duchy, wydaje im się, że słyszą krzyki i zawodzenie. Kiedyś w Beckton nastąpił samoistny zapłon i ścieki nagle eksplodowały ogniem. Widziałem to na własne oczy. Ale powtarzam, wszystko można logicznie wyjaśnić. Uznaliśmy, że samozapłon ścieków spowodowany został przez nieodpowiedzialny zrzut do kanału płynu, który nigdy nie powinien tam trafić, co było sprawką pewnej firmy z Barking. Wylali do ścieków tysiące litrów nielegalnego paliwa przemysłowego, bo chcieli się go po kryjomu pozbyć. Potem ktoś prawdopodobnie wrzucił do kratki kanalizacyjnej niedopałek papierosa i bum!

– Doskonale rozumiem pańskie stanowisko – powiedział Newton. – Jednak nie potrafię w żaden logiczny sposób wyjaśnić, dlaczego światła ledowe nagle zaczęły się palić na zielono.

– Owszem, teraz nie potrafisz, stary. Zapewniam cię jednak, że nie spowodowała

tego magia. Magia nie wywołała też wiatru w kanale.

Dżamila usiadła przy stole konferencyjnym obok Gemmy i przedstawiła się:

– Panie Crane, kłania się detektyw sierżant Dżamila Patel. Jestem członkiem zespołu prowadzącego dochodzenie w sprawie zniknięcia Martina Elliota. Obok stoi mój partner, detektyw posterunkowy Pardoe.

– Witam państwa. Jeżeli w jakikolwiek sposób mogę wam pomóc, proszę tylko powiedzieć.

– Panie Crane, widzieliśmy te zielone światła na własne oczy, czuliśmy także ten silny podmuch, ale chciałabym wskazać na coś jeszcze. Kiedy wracaliśmy do wjazdu, zostaliśmy obrzuceni kluczami.

John Crane mocno zmarszczył czoło.

– Kluczami? Takimi kluczami do zamków w drzwiach?

– Dokładnie, proszę pana. Metalowymi kluczami. Uderzały w nas ze znaczną siłą, jakby ktoś nimi rzucał z zamiarem wyrządzenia nam krzywdy albo przynajmniej przegonienia nas z kanału.

– Cóż, klucze... Przyznam, że jestem zaskoczony. Jednak musi istnieć racjonalne wyjaśnienie także i tego zjawiska. Nie wiem, może w kanale nastąpił nagły wzrost energii magnetycznej? Te miejsca są zawsze pełne niespodzianek i żadna z nich nigdy nie jest przyjemna. Nie wiadomo, co zacnie latać w powietrzu, kiedy zejdziecie tam po raz kolejny.

– Jutro z samego rana skompletuję ekipę techniczną – wtrącił się Jim. – Zatelefonuję do Dale'a Roberta z ochrony, Lenny'ego Machina z laboratorium i może ściągnę także Kena Williama. Ken wie wszystko o wentylacji. Zrobimy dokładną analizę atmosfery w kanale, starannie sprawdzimy instalację elektryczną, no i zbierzemy próbki ścieków z różnych miejsc, od wjazdu aż po zator.

– To dobry pomysł – stwierdziła Dżamila. – Ponieważ kiedy skończycie, natychmiast wprowadzimy do kanału techników policyjnych. Oczywiście jeżeli wcześniej nas zapewnicie, że będzie to dla nich bezpieczne.

– Przyznam, że o takich zjawiskach, jakich doświadczyliście na dole, jeszcze nie słyszałem – powiedział John Crane. – Ale w ciągu tych wszystkich lat dowiedziałem się o ściekach przede wszystkim tego, że są nieprzewidywalne. Nigdy nie można przewidzieć, co ludzie tam wpuszczą i w jaki sposób będzie to reagować z innymi substancjami i odpadami. Proszę się jednak nie martwić, pani detektyw, panujemy nad sytuacją. Jeśli chodzi o zarządzanie ściekami, nasza firma nie ma sobie równych.

Dżamila i Jerry wrócili na komisariat, żeby złożyć sprawozdanie Waltersowi. Nadinspektor właśnie zamierzał pójść do domu i kiedy opowiadali mu o zielonych światłach, podmuchach wiatru oraz o latających kluczach, stał przy biurku w płaszczu, bawiąc się kluczami od samochodu. Nie wyglądał na zainteresowanego ich relacją.

– No cóż – powiedział i popatrzył na zegarek. – Uważam, że to wszystko ostatecznie usprawiedliwia zaangażowanie was do tego śledztwa, w końcu macie już doświadczenie z podobnymi dziwactwami.

– Pan Crane jest głęboko przekonany, że te zjawiska mają jakieś oczywiste

logiczne wyjaśnienie – zauważyła Dżamila.

– A dla mnie to wszystko jest jednak bardzo dziwne. Ktoś rzucał w was kluczami? Nie widzieliście, kto to był? No chyba przyznacie, że to jest jednak dziwaczna sprawa. A może rzeczywiście zadziałały tam jakieś siły nadprzyrodzone?

– Technicy Crane’a zejdą do kanału jutro rano i jeśli stwierdzą, że na dole jest bezpiecznie, wyślemy tam również naszych ludzi. Myślę, że zdołają co nieco ustalić.

– Racja. Dobrze. Czekam więc na wiadomości. Tymczasem niestety muszę was pożegnać. Gościmy dziś na kolacji rodziców mojej żony.

– Każdemu według gustu – powiedział Jerry. – Jeśli chodzi o mnie, zamierzam zjeść w restauracji.

Kiedy nadinspektor wyszedł, Dżamila popatrzyła na Jerry’ego i odezwała się:

– On naprawdę nie chce się mieszać w tę sprawę, co? Jestem pewna, że według niego nigdy nie znajdziemy Martina Elliota i nadinspektor nie chce, żeby Pierwszy Zespół Śledczy zapisał na swoim koncie nierozwiązaną sprawę.

– Pożyjemy, zobaczymy. Tymczasem jestem głodny jak wilk. Kiedy tutaj jechałem, zauważyłem po drodze indyjską restaurację. Zjesz ze mną czy masz dosyć hinduskiego jedzenia?

Dżamila przyjęła jego zaproszenie. Jerry zauważył, że brak zainteresowania sprawą ze strony Waltersa mocno ją zdenerwował. On sam już dawno przestał się przejmować zachowaniem starszych oficerów. Nauczył się tego w czasie pracy w Nowym Scotland Yardzie, kiedy się zorientował, ilu spośród nich bierze łapówki od przestępców. Nie zwolnili go ze służby, ponieważ ryzykowaliby, że pójdzie z tym do mediów, ale zesłali go na przedmieścia, gdzie nie mógł sprawiać nadmiernych kłopotów.

Pojechali na Holly Grove, małą uliczkę w dzielnicy willowej. Na rogu, w budynku o żółtej fasadzie, mieściła się indyjska restauracja. Zaparkowali samochód tuż przed wejściem.

– Ganapati – powiedziała Dżamila, spoglądając na nazwę restauracji wypisaną nad drzwiami. – To inne imię Ganeśa, boga z głową słonia.

– Znałem kiedyś na Kremlu faceta z głową słonia – odparł Jerry. – Ale miał na imię Gordon.

Restauracja była urządzona skromnie, w środku ustawiono tylko drewniane stoliki i funkcjonalne krzesła, ale miłą atmosferę tworzyło ciepłe oświetlenie. Z sufitów zwisały klosze z kolorowego szkła, a w powietrzu unosiły się zapachy aromatycznych przypraw, dzięki którym mózg Jerry’ego natychmiast zapomniał o smrodzie kanału ściekowego. Kiedy jednak zdjął marynarkę i usiadł przy stole, zobaczył swoje odbicie w lustrze na ścianie i pomyślał, że wygląda na faceta, który ma za sobą naprawdę ciężki dzień.

Przez chwilę obserwował Dżamilę, która uważnie studiowała menu.

– No i co o tym wszystkim myślisz, pani sierżant? – zapytał. – Naprawdę uważasz, że dostaliśmy tę robotę, bo ktoś potrzebuje kozłów ofiarnych?

– Nie jestem tego pewna. Być może. Mówiłeś mi, że nadinspektor Kelley próbuje pokrzyżować ci plany, odkąd opuściłeś Yard, prawda? Ja z kolei niestety narobiłam

sobie wielu wrogów w społeczności pakistańskiej w Redbridge. To mężczyźni, którzy nie lubią być krytykowani za to, w jaki sposób traktują kobiety. – Umilkła. Przez chwilę bawiła się pierścieniem z turkusem, który nosiła na małym palcu lewej ręki. –

Po tym, jak razem rozwikłaliśmy sprawę Jakobusa Liepy i jego wirusa przenieszonego przez ubrania, nie można było nas tak po prostu zwolnić, bo przecież mnóstwo pisała o nas prasa.

– No i?

– Nie jestem pewna, o co chodzi. Ale to jednak nie jest przypadek, że tak szybko skierowano nas do tej sprawy w kanałach. Jakby nasi przełożeni tylko czekali na to, żeby przydzielić nam coś dziwnego. Jeżeli nie posuniemy się do przodu, zostaniemy oskarżeni o niekompetencję. Albo usłyszymy od szefostwa, że obnosimy się z reputacją łowców duchów, bo pragniemy przeprowadzić śledztwo, które może nam przynieść jeszcze większą sławę, mimo że to przełożeni skierowali nas do tej roboty, a my w ogóle o nią nie zabiegaliśmy.

– Cóż, pewnie masz rację. Przypuśćmy jednak, że w grę rzeczywiście wchodzi działanie nieczystych sił. To, co przydarzyło się nam w kanale ściekowym... chyba przyznasz, że było absolutnym szaleństwem. Szczególnie te klucze latające w powietrzu niczym rój cholernej szarańczy.

Dżamila wyciągnęła z bordowej skórzanej portmonetki staromodny klucz, który wyniosła z kanału ściekowego. Położyła otwartą dłoń na stoliku przed Jerrym, on jednak w pierwszej chwili nie chciał wziąć od niej klucza.

– Niczego się nie obawiaj – powiedziała. – Zanim poszłam pod prysznic, dokładnie wyszorowałam ten klucz w gorącej wodzie. Jest czysty.

Jerry podniósł klucz i dokładnie mu się przyjrzał. Mniej więcej czternastocentymetrowy, miał bogato zdobiony uchwyt w kształcie gwiazdy i długi trzon. Był wykonany z żelaza, mocno skorodowany i bez wątpliwa bardzo stary, choć Jerry nie potrafił dokładnie określić jego wieku.

– Musimy znaleźć ślusarza, który rzuci na niego okiem – powiedział, oddając przedmiot Dżamili. – Znam kierownika Kevin's Keys na Broadwayu. Jeżeli powie nam, do jakiego rodzaju zamka pasuje, może łatwiej będzie nam zgadnąć, dlaczego rzucano w nas takimi kluczami.

– Tak, zapewne. A ja poproszę Gemmę Bright, żeby jutro wyniosła z kanału trochę więcej tych kluczy. Niemniej jednak to są chyba przedmioty zabytkowe i pierwszy lepszy facet, który żyje z dorabiania kluczy, raczej nam wiele nie powie. Potrzebny nam jest raczej ekspert od starych zamków i kluczy.

Podszedł do nich uśmiechnięty kelner i zapytał, czy zdecydowali już, co chcą zamówić. Dżamila wybrała thali wegetariańskie, a Jerry poprosił o jagnięcinę z kozieradką, pomidorami i zielonymi papryczkami chili. Zamówił także kwartę jasnego ale Fourpure warzonego w Bermondsey, natomiast Dżamila zadowolona się szklanką wody stołowej. Jerry wiedział, że nie powinien pić na służbie, ale uznał, że po opuszczeniu budynku Crane's Drains w gruncie rzeczy zakończył dzień pracy.

– Może ten cały Crane ma rację i rzeczywiście da się to wszystko logicznie wyjaśnić – powiedział, krojąc papad na pół i wsuwając kawałek do ust. – Widzisz,

facet w końcu pracuje w tym biznesie od niepamiętnych czasów i nikt lepiej od niego nie wie, co ludzie potrafią splukiwać w kiblu.

– Na razie jestem otwarta na wszelkie teorie – odparła Dżamila. – Moja nauczycielka często powtarzała, że część małp stała się ludźmi, a te małpy, którym na takiej przemianie nie zależało, wciąż skaczą po drzewach i się z nich nabijają.

– Naprawdę? Moja nauczycielka bezustannie prosiła mnie, żebym przestał przyskać atramentem na kolegów.

Czekali na główne dania, kiedy zadzwonił telefon Dżamili.

– Detektyw sierżant Patel przy telefonie. Tak. Tak, jestem jeszcze w Peckham. Zrobiłam sobie przerwę na szybką kolację i zaraz wracam do Redbridge – powiedziała. Potem już tylko słuchała, a jej oczy z każdą sekundą robiły się coraz większe. Popatrzyła na Jerry’ego takim wzrokiem, jakby ktoś ją właśnie poinformował, że w restauracji znajduje się bomba i mają tylko parę minut na to, żeby bezpiecznie ją opuścić. – Tak, tak – powiedziała w końcu. Wyciągnęła długopis i zapisała coś na serwetce. – Natychmiast. Oczywiście. Tam się zobczymy.

– Co się stało? – zapytał Jerry, kiedy skończyła rozmowę. – Tylko mi nie mów, że kolejna osoba zaginęła w kanałach.

– Znaleziono Martina Elliota. Robotnicy z Tideway natknęli się na niego w kanale ściekowym jakieś osiemset metrów na północ od przepompowni w Greenwich.

– Rozumiem, że martwego?

– Nie. Żyje. Jest jednak poważnie ranny. Stracił obie nogi i wzrok. Jest już w King’s College Hospital.

– Stracił obie nogi, wzrok, spędził mnóstwo czasu w ściekach i nadal jest wśród żywych? Cholera jasna. Mój wujek Henry przewrócił się po wyjściu z pubu, walnął czaszką o beton i już następnego poranka pofrunął do nieba.

– Daj spokój – powiedziała Dżamila. Wstała i ściągnęła kurtkę z oparcia krzesła. – Jak najszybciej musimy się z nim zobaczyć.

Jerry także wstał, a kelner w tej samej chwili przyniósł dania.

– Przykro mi, proszę pana, ale musimy już iść – rzekł Jerry. Wyciągnął z portfela trzy banknoty dziesięciofuntowe i wsunął je kelnerowi do kieszeni koszuli. – Reszta dla pana. Tylko niech pan nie wyda wszystkiego na zdraпки.

Niemal pobiegł za Dżamilą i po chwili już siedział za kierownicą swojego samochodu. Na dworze było przenikliwie zimno i przednia szyba powoli zaczynała zamarzać. Zanim włączył się do ruchu, przez kilka minut czekał z włączonym silnikiem, żeby ją podgrzać.

– Widziałas to żarcie? – zapytał Dżamilę. – Wyglądało niezmiernie. Czulaś ten zapach? Gdyby tylko nozdrza mogły zapewnić orgazm!... Dlaczego nie znaleźli tego Elliota pół godziny później?

– Taką mamy robotę, Jerry, doskonale o tym wiesz. A na pewno nie chciałbyś wysiadywać codziennie w jakimś biurze od dziewiątej do piątej, prawda?

– Głowa mówi mi, że nie, ale mój żołądek jest w tej chwili przeciwnego zdania, uwierz mi.

Do King’s College Hospital na Denmark Hill dotarli już po dziesięciu minutach.

Recepcjonistka natychmiast skierowała ich do zimnej poczekalni, gdzie dwaj młodzi policjanci z komisariatu w Lewisham siedzieli ze znudzonymi minami przy akwarium pełnym apatycznych złotych rybek. Jeden z nich był niski i krępy, a drugi wysoki i chudy i miał strasznie ponurą minę. Jerry pomyślał, że wyglądają jak para kiepskich komików.

Dżamila się przedstawiła, a potem poprosiła policjantów o krótkie streszczenie sytuacji.

Niski i krępy odezwał się pierwszy. Od czasu do czasu kręcił nerwowo głową, jakby oganiał się od natrętnej muchy.

– Krótko po siedemnastej piętnaście otrzymaliśmy informację od Thames Water, że ofiarę znaleziono w nowym kanale ściekowym, który powstał jako fragment konstrukcji Tideway.

– Osobiście zeszliście do kanału?

– Zeszliśmy, owszem. Ten kanał faktycznie jeszcze nie funkcjonuje, poszliśmy tam więc razem z ludźmi z karetki. Ofiara leżała na półce studzienki prowadzącej do kanału. Brakowało jej nóg i ktoś najwyraźniej wydlubał jej oczy. Szczerze mówiąc, aż nie chciało się wierzyć, że ten człowiek żyje i jest w stanie rozmawiać.

– Mówi pan, że brakowało mu nóg. Znaleźliście je gdzieś w pobliżu?

– Nie, nigdzie ich nie było, i to jest w tym wszystkim najzabawniejsze – wtrącił chudy policjant smutnym głosem. – To znaczy, nic w tej sprawie nie jest zabawne, ale chyba rozumie pani, o co mi chodzi? Przeszukaliśmy cały kanał aż do wylotu i nie znaleźliśmy nawet śladu tych nóg.

Jerry i Dżamila wciąż rozmawiali z umundurowanymi policjantami, kiedy do poczekalni wszedł lekarz. Był Bengalczykiem, niewiele wyższym od Dżamili. Miał haczykowaty nos przywodzący na myśl dziób papugi i nosił okulary bez oprawki.

– Przepraszam, że musieliście państwo czekać. Nazywam się Sandżaj Gupta i jestem konsultantem w dziedzinie medycyny ratunkowej. Pan Elliot znalazł się u nas w stanie krytycznym. Dwukrotnie musieliśmy go reanimować, ale wydaje się, że jego stan się ustabilizował.

– Jest przytomny? – zapytała Dżamila.

– W tej chwili nie. Wprowadziliśmy go w stan śpiączki farmakologicznej, ponieważ cierpiał z powodu ogromnego bólu. Jego obrażenia są skrajnie drastyczne. Musimy oczyścić i opatrzyć rany, wdrożyliśmy też antybiotykoterapię. Ale kiedy pacjenta do nas przywieziono, był przytomny.

– Naprawdę? – zapytał Jerry. – Mówił coś?

– Nic spójnego. Bardzo głośno krzyczał, jakby był na kogoś zły. Powtarzał, że to nie jego wina, choć nie wiadomo, co miał na myśli. „To nie była moja wina, to nie ja się ich pozbyłem!” Tak właśnie krzyczał. Bardzo głośno.

– Nie sprecyzował przypadkiem, czego się nie pozbył? Albo kogo?

– Nie. Ale powtórzył to zdanie wielokrotnie. Jeśli weźmiemy pod uwagę jego obrażenia, trudno przypuszczać, żeby wypowiedziane, czy raczej wykrzyczane, przez niego słowa miały w ogóle jakiś sens. Zaprowadzę was na OIOM i sami zobaczycie, co ten człowiek przeżywa.

Doktor poprowadził Jerry'ego i Dżamilę do wind. Kiedy jechali na drugie piętro, Dżamila zapytała:

– Jak pan ocenia jego szanse?

– W tej chwili trudno powiedzieć. Jednak mówiąc szczerze, jestem wstrząśnięty tym, że pacjent przeżył. Jego obrażenia są skrajnie ciężkie, jak sami państwo to zobaczycie.

Zanim doktor Gupta wprowadził ich na oddział, podeszła do nich pielęgniarka i podała im jasnozielone fartuchy, a także maseczki i czapeczki chirurgiczne.

– Czuję się jak bardzo higieniczny złodziej, który napada na banki – powiedział Jerry głosem przytłumionym przez maseczkę.

Martin Elliot leżał na łóżku z lekko uniesionym wezgłowiem, oddzielnym od reszty pomieszczenia zasłonami w kolorowy wzór w romby. Do wenflonów w jego rękach podłączone były kroplówki z lekami i krwią. Przy łóżku stała pielęgniarka. Obserwowała monitory kontrolujące parametry życiowe pacjenta i robiła notatki. Na łóżku obok, również osłoniętym z trzech stron, leżała młoda kobieta. Popiskiwała jak szczeniak, który się zagubił, i co chwilę wołała: „Mamo, mamo!”.

– Siostrzo, gdyby pani mogła... – Doktor Gupta wskazał ruchem głowy, aby ściągnęła prześcieradło zakrywające Martina aż po klatkę piersiową.

Kiedy pielęgniarka wykonała polecenie, skinął na Dżamilę i Jerry'ego.

Tułów Martina spowijały białe bandaże, a jego dolną część osłaniała pielucha. Obie nogi miał odcięte tuż nad kolanami. Pozostały mu tylko dwa krótkie kikuty owinięte grubą gazą. Opatrunki zakrywały również jego oczy.

– Zabezpieczyliśmy rany, by zapobiec zakażeniu – wyjaśnił doktor Gupta. – Kiedy go znaleźniono, nie krwawił, mimo że przecięto mu mięsień prosty uda i tętnicę udową. Brak krwawienia wynikał z tego, że jego kikuty wcześniej zostały skauteryzowane, być może rozgrzanym do czerwoności żelazem.

Z podajnika obok łóżka wziął parę rękawiczek chirurgicznych i włożył je, poruszając palcami, jakby przygotowywał się do przedstawienia lalkowego. Następnie ostrożnie zdjął opatrunek z prawej nogi Martina, dzięki czemu Dżamila i Jerry mogli obejrzeć kikut. Mięsień był niemal czarny i suchy, niczym stek, który zbyt długo leżał na grillu. Kość udowa została starannie przepięłowana, a naczynia krwionośne skauteryzowane. Pośrodku widoczny był strup pozostały po spalonym szpiku kostnym.

Doktor Gupta ostrożnie opatrzył ranę na nowo.

– Obie nogi wyglądają tak samo. Jeśli zapytalibyście mnie, czego użyto do amputacji, byłbym skłonny odpowiedzieć, że była to piła tarczowa. Kiedy go do nas przywieziono, przyszło mi do głowy, że nogi odcięły mu koła pociągu, ale kiedy go zbadałem, natychmiast wykluczyłem tę możliwość. Pociąg lub jakikolwiek inny pojazd wywoła u ofiary makabryczne obrażenia, a już na pewno nie przetnie mięśni i kości z taką precyzją, z jaką mamy do czynienia u pana Elliota. Widywałem tu pacjentów z kończynami odciętymi przez pojazdy szynowe i w niektórych przypadkach ich tkanki były spalone po zetknięciu ciała z trzecią szyną, tą pozostającą pod napięciem. Ale tutaj kauteryzacja nie nastąpiła przypadkowo. Wysoka

temperatura została zastosowana identycznie w przypadku obu kikutów, zbyt fachowo i zbyt precyzyjnie, aby uznać to za przypadek. Ktokolwiek to zrobił, nie chciał, aby ofiara umarła.

Dżamila popatrzyła na Jerry'ego.

– Ktoś odciął mu nogi i go oślepił, ale nie chciał, żeby umarł? Dlaczego więc tak okrutnie go okaleczył? Jak myślisz, czy to jakaś rytualna zemsta? Może to był odwet? Szariat w Pakistanie pozwala sądowi ukarać oślepieniem człowieka, który oślepił inną osobę.

– Obrażenia tułowia również są zastanawiające – kontynuował doktor Gupta. – Nie chcę ścierać opatrunków, ale zrobiłem fotografie, które pozwolą państwu dobrze się zorientować, jak go torturowano.

Poprowadził policjantów do stołu w innej części sali i otworzył laptop. Okazało się, że wykonał prawie trzydzieści zdjęć klatki piersiowej i brzucha Martina. Kilka z nich zaprezentował w dużym powiększeniu. Na skórze widniały głębokie nacięcia w kształcie litery V. Było ich około czterdziestu i układały się w jodełkę od szyi aż po włosy łonowe.

– Każde takie nacięcie ma po pięć linii – zauważył Jerry. – Wykonano je więc albo widelcem o pięciu zębach albo długimi i ostrymi paznokciami.

– Z kilku nacięć pobraliśmy materiał do badań DNA – odparł doktor Gupta. – Przekażemy go specjalistom z zakresu medycyny sądowej. Uważam, że pańska druga sugestia ma największe cechy prawdopodobieństwa; skłonny jestem uznać, że rany zadano paznokciami. Dokładne oględziny pozwalają dostrzec, że odległości pomiędzy nacięciami nie są równe, co wyklucza prawdopodobieństwo, że użyto widelca albo jakiegoś innego narzędzia.

Po chwili wyświetlił na ekranie fotografie twarzy Martina z pustymi, czarnymi oczodołami. Z jednego z nich zwisały jeszcze strzępy nerwów wzrokowych.

– Jezu – rzucił Jerry. – W jaki sposób wydłubano mu oczy?

– Uważam, że po prostu ręką. Z wielką siłą. Palcami o długich i bardzo ostrych paznokciach, tak jak w wypadku innych ran.

– Skontaktuję się z patologami i poproszę, żeby jak najszybciej tutaj przyjechali – powiedziała Dżamila. – Widział pan już kiedyś podobne rany?

Doktor Gupta pokręcił głową.

– To jest niepodobne do niczego, z czym miałem do czynienia wcześniej, nawet kiedy praktykowałem w szpitalu Apollo w Kolkacie. Leczyłem tam mężczyzn, którym odcięto nosy i uszy za niespłacanie długów, i kobiety, które zmasakrowano, napiętnowano lub oślepieno za cudzołóstwo, ale niczego podobnego nigdy nie spotkałem. Nigdy. Moim zdaniem tego człowieka okaleczył jakiś szaleniec.

Jerry i Dżamila zostali jeszcze przy Martinie Elliocie przez jakieś dwadzieścia minut, ale jego stan nie ulegał zmianie, a doktor Gupta stwierdził, że pacjent będzie utrzymywany w śpiączce jeszcze przez wiele godzin. Dżamila poprosiła go, żeby skontaktował się z nią niezwłocznie, jeżeli w sytuacji Martina nastąpi jakiś gwałtowny przełom – na lepsze lub na gorsze – po czym razem z Jerryem wyszła ze szpitala.

Nad parkingiem unosiła się marznąca mgła, a światła uliczne wyglądały z daleka

jak dmuchawce.

– W jaki sposób chcesz się dostać do Redbridge? – zapytał Jerry.

– Nie martw się o mnie. Skorzystam z Ubera.

– Spotkamy się więc jutro. O której godzinie?

– Niech będzie ósma. Mam nadzieję, że korki mnie nie zatrzymają.

Jerry zauważył, że Dżamila zadrżała, nie tylko z zimna. Była wstrząśnięta, podobnie jak on. W tej chwili nie miało znaczenia, ile okaleczonych ciał widział do tej pory; nigdy nie przywykł do takiego widoku i za każdym razem, kiedy patrzył na poranionych ludzi, uświadamiał sobie na nowo, jak łatwo można człowieka pobić, pociąć, podpalić, rozczłonkować albo rozerwać na strzępy.

Miał ogromną ochotę objąć Dżamilę, przytulić ją i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Pragnął chronić ją przed wszystkim, co najgorsze na tym świecie – zaczynał zdawać sobie sprawę, że bardzo ją lubi i prawie się w niej zakochał. Jednak ona była wyższa stopniem, a w dodatku pracowali razem nad rozwiązaniem poważnej sprawy kryminalnej, a paragraf 2.3 kodeksu etycznego policji londyńskiej wyraźnie mówił, że funkcjonariuszom „nie wolno w czasie służby utrzymywać relacji seksualnych ani pozwalać sobie na inne formy niewłaściwego zachowania”.

Poza tym nie miał pojęcia, czy Dżamila chociaż w małej części podziela jego uczucia.

– Wejź do szpitala i tam poczekaj na kierowcę Ubera. W środku jest ciepło – powiedział. Po chwili zapytał: – To do jutra, tak?

Kusiło go, aby dodać słowo „kochanie”.

Jenny siedziała na kanapie z podkurczonymi nogami i oglądała *Keviną samego w domu*, kiedy usłyszała chrobot klucza w zamku i głos Micka:

– Nance?

– Tu jestem.

Stanął w progu salonu, nie zdjawszy jasnobrązowego płaszcza.

– Nie przywitasz się ze mną jak należy? – zapytał.

Jenny popatrzyła na podłogę.

– Boję się, że to wciąż gdzieś tutaj pełza.

Mick rozejrzał się i po chwili powiedział:

– Niczego nie widzę, najdroższa. – Wszedł do salonu i pocałował ją. Jenny natychmiast wybuchła płaczem. – Och, przestań – rzekł Mick, ale usiadł obok kobiety i objął ją ramieniem. – Zaraz osobiście przeszukam całe mieszkanie. Mówisz, że to wyglądało jak wielki pająk? Nie wierzę, że zabiło Persefonę.

– Pełzało po mieszkaniu jak pająk, ale to nie był pająk – załkała Jenny. – Powiedziałam ci już przez telefon, że miało twarz. Twarz dziecka. I było tak odrażające, że po prostu nie potrafię tego opisać. Wyszło do przedpokoju i tam po prostu rozerwało Persię na strzępy.

– Jesteś pewna, że to była twarz, a nie złudzenie? Przecież coś podobnego mają pewne ćmy... jak one się nazywają? A, trupie główki.

– Nie, Mick, przysięgam. To była prawdziwa twarz, z ustami i oczami, które ten stwór wbijał we mnie przez cały czas, kiedy rozrywał Persię. Mnie też podrapał. Popatrz na moje ręce! Poszłam po kij golfowy, żeby go uderzyć, ale kiedy wróciłam, zniknął.

– Co zrobiłaś z Persią?

– Jest w plastikowej torbie w kuchni. Najpierw chciałam zejść na podwórko i zakopać ją, ale bałam się. Zresztą pomyślałam, że powinienes na własne oczy zobaczyć, co zrobił z naszą kotką.

Mick mocno przytulił Jenny i jeszcze raz ją pocałował.

– Żałuję, że mnie tu nie było, Nance. Naprawdę. Ale posłuchaj, muszę przekonać się na sto dziesięć procent, czy ten potwór wciąż się nie kryje gdzieś w mieszkaniu, a jutro rano chyba zadzwonię na policję i powiem, co się tutaj wydarzyło. Może komuś po prostu uciekł pająk z domowego terrarium, jakaś tarantula czy coś podobnego. Boże wszechmogący, jeżeli zabił Persię, co mogłoby się stać, gdyby zaatakował dziecko?

– To nie był pająk, Mick! To przypominało ludzką dłoń, z której wyrastała dziecięca twarz! Pełzało jak pająk, ale na pewno nie było pająkiem!

„Mamo? Tato?” – odezwał się z telewizora Macaulay Culkin. Mick wziął do ręki pilota i wyłączył dźwięk.

– Skoro był aż taki duży, w jaki sposób zdołał zniknąć?

– Nie wiem, Mick – odparła Jenny, wycierając oczy w rękaw szlafroka. – Idź i obejrzyj Persię, a zrozumiesz, że sobie tego wszystkiego nie wymyśliłam.

– Kochanie, wierzę ci. Oczywiście, że ci wierzę. Pozwól, że trochę rozejrzę się po mieszkaniu.

Mick zdjął płaszcz i poszedł do przedpokoju, żeby powiesić go na wieszaku.

– Kotka jest w plastikowej torbie na krześle! – krzyknęła za nim Jenny.

Mick wszedł do kuchni i nastąpiła długa cisza. Kiedy wrócił do salonu, popatrzył na Jenny szeroko otwartymi oczami. Był zszokowany.

– Cholera, Nance. Kiedy powiedziałaś, że kotka została rozerwana na strzępy... wyobrażałem sobie, że ma poszarpane futro albo coś takiego. Nie myślałem, że... cholera, te wnętrzności... właściwie żadna część jej ciała nie pozostała nietknięta.

Jenny pokiwała głową i znowu zaczęła płakać. Mick usiadł przy niej, jeszcze raz mocno ją uściśnął i powiedział:

– A teraz przeszukam całe mieszkanie. Jeżeli ten potwór wciąż tutaj jest, to go zmiążdżę. Rozetrę, kurwa, na proch. Naprawdę.

Jenny została na kanapie i obgryzała paznokcie, a tymczasem Mick poszedł do sypialni. Zajrzał pod łóżko, otworzył wszystkie drzwi komody i wszystkie szuflady. Przyniósł z kuchni taboret i wszedł na niego, żeby sprawdzić, czy stwór nie ukrył się przypadkiem na szafie z ubraniami.

Po przeszukaniu sypialni sprawdził łazienkę, szafkę do suszenia bielizny i kuchnię. W końcu wrócił do salonu i także tutaj przeprowadził staranne poszukiwania. Zajrzał pod kanapę a potem rozłożył ją do najdrobniejszych elementów. Pod półkami z książkami znajdowały się dwie szuflady i wyciągnął je, żeby się przekonać, czy nic nie kryje się za ich tylnymi ściankami.

– Masz rację, kochanie – powiedział w końcu. – Cokolwiek przebywało w naszym mieszkaniu, już sobie stąd poszło.

– Przede wszystkim nie rozumiem, jak to się tutaj dostało. Drzwi do mieszkania były zamknięte na klucz, a uchylone okno miałam jedynie w sypialni, i to tylko mały lufcik na samej górze. Przecież zobaczyłabym albo usłyszała, gdyby coś chciało się przedostać przez to okienko do środka.

– Może gdzieś się ukryło już wczoraj? Może przeszło niepostrzeżenie przez próg, kiedy otwierałem drzwi przed wyjazdem do Sheffield? Może znajdowało się w mieszkaniu już od kilku dni i czekało na właściwy moment, żeby wyjść z ukrycia, na przykład kiedy będziesz sama?

– Och, przestań. Jeszcze bardziej mnie przerażasz.

– Posłuchaj, kochanie, jak by na to nie spojrzeć, stwora już u nas nie ma, możemy więc się trochę uspokoić. Jutro rano przed pracą zaniosę biedną Persię na komisariat i opowiem, co się wydarzyło. W tej chwili po prostu padam z nóg ze zmęczenia. Chętnie wypiję piwo i coś zjem, a potem pójdziemy do łóżka i porządnie się wyśpimy. Co ty na to?

Jenny opuściła nogi z kanapy i wsunęła stopy w pluszowe klapki.

– A co z Persią?

– Wyniosę ją na korytarz i zamknę w skrytce pod schodami. Nawet jeśli to coś wciąż krąży po kamienicy, tam jej nie znajdzie.

– Zostało jeszcze trochę wędzonej szynki. Przygotuję ci kanapki.

– A co ty zjesz?

– Wciąż mam ściśnięty żołądek, więc raczej nic nie przełknę, Mick. Chyba straciłam apetyt na cały tydzień. Wciąż widzę w wyobraźni tę twarz. Wyglądała jak buzia małego dziecka. No i te jego oczy. Jakby chciał powiedzieć: „Wystraszę cię na śmierć, a potem rozerwę na strzępy twojego kota i nic na to nie poradzisz”.

Mick zaniósł plastikową torbę ze szczątkami Persefony do skrytki pod schodami. Kiedy wrócił, Jenny stała przy stole kuchennym i smarowała masłem kanapki. Mick zatrzymał się na progu i przez dłuższą chwilę obserwował swoją przyjaciółkę. Gdyby się w tej chwili odwróciła, prawdopodobnie odgadłaby jego myśli: Pająk o twarzy dziecka? A może Nance cierpi na jakieś zaburzenia psychiczne, może miała halucynacje? Może to ona w tak okrutny sposób zabiła Persię, a potem podrapała sobie dłonie, żebym uwierzył, że to nie jest jej sprawka?

Dopiero po pierwszej w nocy położyli się wreszcie do łóżka. Jenny nalegała, żeby zostawić w przedpokoju zapalone światło, a drzwi do sypialni nie domknąć do końca. Nie chciała leżeć w sypialni w całkowitym mroku, a gdyby stwór znowu wyszedł z jakiejś nieodgadnionej kryjówki, chciała go od razu usłyszeć. Mocno wątpiła, czy uda jej się zasnąć.

Mick objął ją ramieniem.

– Daj spokój, kochanie. Spróbuj się przespać. Zobaczysz, że rano poczujesz się lepiej.

Wreszcie odwrócił się do niej plecami i po kilku minutach usłyszała jego równomierny, głęboki oddech, a potem ciche chrapanie. Wpatrywała się w czerwone cyferki na tarczy budzika elektronicznego, które w absolutnej ciszy równomiernie się zmieniały, aż pokazały godzinę drugą, a później drugą trzydzieści sześć. Jenny zaczęła rozmyślać, czy jeszcze kiedykolwiek w życiu uda jej się zasnąć, ale kiedy była trzecia dziewięć, wreszcie zmorzył ją sen.

Śniła, że znajduje się w dziwnym domu, w którym nie ma dywanów ani mebli, a w każdym pomieszczeniu zwisa z sufitu jedynie naga żarówka. Zatrzymała się w holu i usłyszała miauczącą Persefonę.

– Persia? Gdzie jesteś?! – zawołała.

Wchodziła do kolejnych pokoi, ale nigdzie nie zauważyła kotki. Wróciła do holu i znowu usłyszała miauczenie, tym razem dobiegające z piętra. Chciała tam pójść, ale napotkała ruchome schody poruszające się w przeciwną stronę i po każdym kroku w górę wracała na poziom podłogi. Nie miała żadnej szansy, żeby znaleźć się na piętrze.

Stała nieruchomo i zaczęła się zastanawiać, co innego może zrobić, żeby uratować Persefonę. Niespodziewanie poczuła zimny podmuch i obejrzała się, żeby sprawdzić, czy ktoś przypadkiem nie otworzył drzwi frontowych. Podmuch osłabł, po kilku sekundach jednak poczuła z kolei wilgoć między nogami i odniosła wrażenie, że

ktoś wsuwa w nią palce, rozchylając jej wargi sromowe.

A potem nagle poczuła, że coś śliskiego wciska się do jej pochwy, i się obudziła.

– Mick! – zawołała i uderzyła dłonią w pościel. – Nie teraz, Mick, jestem zbyt zmęczona i nie mam nastroju!

Lecz niemal natychmiast zdała sobie sprawę, że Mick leży obok, odwrócony do niej plecami, i śpi. Krzyknęła i odrzuciła kołdrę. Chwyciła obiema rękami za rąbki koszuli nocnej i ją uniosła. Szeroko rozłożyła nogi i w ostatniej chwili złapała coś, co już prawie w całości w nią weszło. Pomiedzy wargami sromowymi poczuła coś na kształt drobnych palców. Spróbowała wyszarpnąć stwora na zewnątrz, ale był zbyt śliski, nie mogła go utrzymać, a on wpychał się coraz głębiej, rozszerzając się i kurcząc jak muskuły wioślارza płynącego pod prąd.

Mick gwałtownie usiadł na łóżku.

– Co jest? Co się dzieje?

Przechylił się i zapalił lampkę na stoliku nocnym, ale zaraz zrzucił ją na dywan. Jenny krzyczała jak szalona i podskakiwała na łóżku, wciąż starając się wyrwać z siebie stwora.

– Wyjmij to! Mick! Wyjmij to! Boże, Mick, wyjmij to ze mnie!

Mick uklęknął przy niej i Jenny rozszerzyła wargi sromowe tak szeroko, jak tylko mogła. Wtedy Mick zobaczył ni to palce, ni to kończyny stopniowo znikające w jej pochwie. Spróbował je złapać, ale były zbyt silne, zbyt ruchliwe i zbyt lepkie, by zdołał zacisnąć na nich palce.

Jenny nagle przestała krzyczeć, a Mick się nie odezwał. Nagle rozdarł powłokę swojej poduszki, chwycił ją od wewnątrz lewą ręką i potraktował jak rękawicę. Wepchnął dłoń pomiędzy rozwarte wargi sromowe Jenny i chwycił jedną z kończyn stwora. Wtedy, używając prawej ręki opartej na udzie Jenny jak dźwigni, powoli, centymetr po centymetrze, zaczął wyciągać z niej intruza. Nie było to łatwe, ponieważ ten mocno wczepił się w Jenny, wił się i wyrywał, lecz w końcu, przy odgłosie zasysanego powietrza, Mick wy dobył go na zewnątrz. Kiedy tylko stwór opadł na pościel, wysunął szpony, a gdy Mick chciał go podnieść, podarł nieco powłoczkę. Wreszcie Mick rzucił nim o ścianę i stwór odbił się od niej, a potem spadł na dywan obok lampki nocnej.

Jenny, cicho jęcząc, opuściła koszulę nocną na kolana i położyła się na boku, mocno zacisnąwszy uda.

Mick zeskoczył z łóżka. Stwór leżał na dywanie twarzą w dół, a jego palconogi drżały jak kończyny pająka po spryskaniu środkiem owadobójczym.

– Kurwa mać – zaklął Mick. Ciężko oddychał, ale raczej z powodu szoku niż ze zmęczenia. – To się, kurwa, dzieje naprawdę... Jak się czujesz, kochanie? Czy on ci zrobił krzywdę?

Jenny z trudem odzyskiwała równowagę.

– Nie – powiedziała przez łzy. – Bolało mnie tylko wtedy, kiedy go wyciągałeś.

Dłonią wciąż owiniętą w powłoczkę Mick ostrożnie odwrócił stwora. W świetle przewróconej lampki dostrzegł na podłodze to, co zobaczyła Jenny, kiedy stwór zaatakował i zabił Persefonę – jego dziecięcą twarz i bystre niebieskie oczy, otwory

nosowe, które rozwierały się i zamykały, gdy oddychał, oraz wyduęte wargi.

Stwór popatrzył na Micka i wydał z siebie cienki skrzek, niewyraźny i cichy jak szept.

– Co my z tym zrobimy? – zapytała Jenny. – To wciąż żyje, prawda? Może powinniśmy to zabić?

Stwór zaczął powoli pełznąć po dywanie w kierunku drzwi.

– Kochanie, mogłabyś pójść do kuchni i przynieść mi największe z naszych plastikowych pudełek do żywności?

Jenny usiadła na łóżku.

– Co zamierzasz zrobić?

– Chcę zadzwonić na policję. Co innego nam pozostało? Przecież nie wiemy nawet, z czym mamy do czynienia. Ten stwór pod pewnym względem przypomina człowieka, nie chcę więc go zabijać. Ale jeżeli to jest zwierzę... nie wiem, może Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami będzie wiedziało, co z tym zrobić. W każdym razie to coś cię zaatakowało, kochanie. On cię, kurwa, zaatakował, i jest niebezpieczny.

Jenny zeszła z łóżka i pokuśtykała do kuchni, przez cały czas wpatrując się w stwora, pełna obawy, że niespodziewanie się na nią rzuci. Wróciła z największym plastikowym pudłem, jakie znalazła w kuchni, podała je Mickowi, a potem szybko wskoczyła na łóżko i przycisnęła poduszkę do nóg. Mick zdjął pokrywkę, przez kilka sekund trzymał pojemnik nad stworem, po czym nagle postawił go na dywanie, zamykając intruza w pułapce. Stwór skoczył w bok, ponieważ zdołał się zorientować, co zamierza Mick, ale zrobił to za późno i jedynie zderzył się z plastikową ścianką. Mick wsunął pod pudło pokrywkę, a potem odwrócił je i zamknął.

Stwór szamotał się, uderzając bezsilnie w ścianki pudła. Z pewnością zrzuciłby pokrywkę, gdyby Mick nie przytrzymał jej obiema rękami. Pośpiesznie zaniósł pudło do kuchni, wyciągnął z szuflady taśmę klejącą i dwukrotnie okleił pudło dookoła, nie dając już stworowi szansy na wyswobodzenie się z zamknięcia. Następnie śrubokrętem przebił pokrywkę w sześciu miejscach, starając się jednak nie zranić przy tym więźnia.

Wrócił do sypialni i naciągnął dzinsy oraz sweter.

– Pozwól mi się teraz obejrzeć – powiedział do Jenny. – Chcesz, żebym wezwał lekarza?

Jenny uniosła koszulę nocną. Po wewnętrznej stronie prawego uda miała trzy zadrapania, ale nie krwawiła i nic nie wskazywało na to, żeby odniosła jakieś inne obrażenia.

– Przeszukałeś całe mieszkanie – powiedziała przez łyżę, opuściwszy koszulę nocną i ukrywając się za poduszką. – Jak to się stało, że on znowu się tutaj dostał?

– Nie wiem, nie pytaj mnie o to – odparł Mick i wziął do ręki telefon. – Może policja będzie w stanie to wyjaśnić. – Wystukał numer alarmowy. Zanim zgłosiła się telefonistka, zakrył dłonią mikrofon i zapytał Jenny: – Do diabła, co ja mam im właściwie powiedzieć?

Po powrocie do swojego zimnego mieszkania na parterze przy Prentis Road w Tooting Jerry wziął kolejny długi prysznic, tak gorący, że od strumieni wody poczerwieniała mu skóra. Był głodny, ale nie wyobrażał sobie, co mógłby zjeść o tak późnej godzinie. Może powinien był poprosić kelnera z Ganapati o zapakowanie dań na wynos? Przecież kilka minut dodatkowego czekania nie miałyby żadnego znaczenia. Przypomniawszy sobie jednak Martina Elliota z pustymi oczodołami, z nacięciami na tułowiu, z zabandażowanymi kikutami nóg i zaczął wątpić, czy zdołałby po takim widoku przełknąć o godzinie drugiej nad ranem porcję zimnej jagnięciny.

Położył się do łóżka, musiał się jednak zmuszać do zamknięcia oczu, a i tak nie był w stanie zasnąć. Po trzydziestu minutach poszedł wreszcie do salonu i włączył telewizor. Zaczął oglądać na Netflixie dramat kryminalny pod tytułem *Nightstalker*, ale był zbyt zmęczony i zbyt głodny, aby śledzić akcję filmu. Poza tym główny bohater, detektyw, był tak niekompetentny, że aż chciał do niego krzyknąć: Ty debilu, nie dotykaj klamek gołymi rękami, włóż najpierw nitrylowe rękawiczki!

O czwartej dziesiątej wyłączył telewizor, wysikał się i znów zaległ w pogniecionej pościeli. Zwykle zasypiał w jednej chwili i nigdy nic mu się nie śniło – a przynajmniej nic takiego, co nad ranem jeszcze by pamiętał. Jednak śledztwo, które prowadził z Dżamilą, było tak surrealistyczne, że teraz nie mógł się powstrzymać przed jego bezustannym roztrząsaniem, a poza tym był pewien, że dłonie wciąż mu cuchną odorem z kanałów. Te świecące postaci zdeformowanych i wypatroszonych dzieci... czy istniały naprawdę, czy były wytworem masowej halucynacji, *folie à plusieurs*? Jakim cudem światła ledowe rozwieszane wzdłuż kanału nagle zaczęły świecić na zielono? Skąd wziął się ten silny podmuch, który z upiornym wyciem ścigał ludzi w kanale? No i kto obrzucił ich gradem kluczy?

O piątej dwadzieścia siedem, kiedy niespodziewanie zadzwonił telefon, wciąż nie spał. Sięgnął po komórkę, zrzucił ją na podłogę i musiał się przechylić, żeby po nią sięgnąć.

– Jerry?

– Tak. Kto mówi?

– Declan.

– Declan?

– Declan O'Brien z Pierwszego Zespołu Śledczego. Słyszałem, że wczoraj razem z detektyw sierżantem Patel byłeś u naszego zaginionego w King's College Hospital.

– Zgadza się, byliśmy tam. I muszę ci powiedzieć, że facet jest w tragicznym stanie. Odpiłowano mu obie nogi, wydłubano oczy, a na tułowiu ma mnóstwem nacięć. Lekarz nie ma pojęcia, jakim sposobem on to wszystko przetrwał. Wiadomo jednak, że ktoś skauteryzował naczynia krwionośne czymś cholernie gorącym, żeby

się nie wykrwawił na śmierć. – Jerry przetarł oczy i zamrugał. – Od rana nie kontaktowałem się jeszcze ze szpitalem, ale też nikt nie dzwonił z informacją, że facet wyzionął ducha.

– Jezu – jęknął Declan. – To brzmi tak, jakby ktoś miał z kimś mocno na pieńku i ten ktoś postanowił dać mu nauczkę, prawda? Dlaczego po prostu nie poderżnięto mu gardła? Kilka sekund i byłoby po wszystkim.

– Nie pytaj mnie o to, stary – powiedział Jerry. Zerknął na budzik. – Cholera jasna, jest dopiero wpół do szóstej. Dzwonisz w jakiejś konkretnej sprawie czy po prostu chciałeś usłyszeć najświeższe informacje?

– Próbowaliśmy się skontaktować z sierżantem Patel, ale nie odebrała telefonu, więc nadinspektor Walters powiedział, że bym zadzwonił do ciebie. Chodzi o to... nie chcemy zwalić ci za dużo na głowę, rozumiesz, wygląda jednak na to, że doszła nam kolejna dziwaczna sprawa i cóż... bardzo by się nam przydała twoja fachowa wiedza.

– Fachowa? Wiesz co? Potrafię sobie wyobrazić, co tak naprawdę powiedział Walters. „Ta sprawa jest tak popieprzona, że najlepiej będzie, jeżeli oddamy ją naszym pogromcom duchów. Przecież tak naprawdę nie wiadomo, od której strony się do niej zabrać”.

– W gruncie rzeczy coś takiego powiedział. Chciałem wyrazić się bardziej eufemistycznie.

– Eufemistycznie? Nie martw się, ostatnio żadna pigułka nie jest dla mnie zbyt gorzka. Cóż to więc za dziwaczna sprawa? Pamiętaj, że jest nas tylko dwoje, sierżant Patel i ja, i nie zjadłem jeszcze wczorajszej kolacji, a co dopiero dzisiejszego śniadania.

– Wczoraj wieczorem zadzwonili do nas z Centrum Medycznego Warren BirthWell. To blisko King's College Hospital, właściwie część tego samego kompleksu budynków.

– Tak, wiem. Moja znajoma barmanka urodziła tam trojaczki. Mów dalej.

– Przedwczoraj przyjęto do ośrodka pewną Nigeryjkę z silnymi bólami podbrzusza. Twierdziła, że niedawno przeszła aborcję, ale badanie USG wykazało, że wciąż jest w ciąży. I to samo badanie wykazało, że jej płód jest ciężko zdeformowany, więc błyskawicznie wykonano cięcie cesarskie.

– Czytasz to z kartki? Co to znaczy „ciężko zdeformowany”?

– Pokażę ci fotografię. Według lekarza miał normalną twarz, ale nogi wyrastały mu z tyłu głowy jak u ośmiornicy, a wszystkie narządy wewnętrzne, jak serce, płuca czy żołądek, znajdowały się na zewnątrz, poza ciałem. Personel medyczny nie był w stanie uwierzyć, że to coś po wydobyciu z łona matki wciąż żyje. Włożyli to inkubatora i ten zdeformowany płód nadal oddychał, a jego serce wciąż biło.

– Zgadza się z tobą, stary, że sprawa jest dziwaczna. Jednak ci lekarze z BirthWell... bez wątplenia przez cały czas mają do czynienia ze strasznymi deformacjami. Mam na myśli bliźnięta syjamskie, dzieci o dwóch głowach albo takie, które rodzą się z połową mózgu. To są dobrze znane problemy medyczne. Dlaczego w tym wypadku uznali problem za nietypowy?

– Bo on zniknął. Ten płód. Wychodzi na to, że został na kilka minut pozostawiony

bez nadzoru i przepadł, a oni nie potrafili go znaleźć. Z Walworth przyjechało dwoje policjantów, ale oni także nie zdołali niczego się dowiedzieć.

– Ktoś to buchnął ze szpitala?

– Być może. Ale ten płód wkrótce znów się pojawił. Właśnie to jest w tym wszystkim najdziwniejsze i dlatego nadinspektor Walters chce, żebyście zajęli się tą sprawą. Płód znaleziono w macicy innej pacjentki, kobiety, która poroniła i następnego dnia miała zostać wypisana do domu. Teraz lekarze planują wykonanie cięcia cesarskiego. Na razie odłożyli zabieg, ponieważ u kobiety stwierdzono zaburzenia rytmu serca.

– Chwileczkę. Nie wiem, czy dobrze cię rozumiem. Ten okrutnie zdeformowany płód został wyjęty z pewnej kobiety i umieszczony w inkubatorze, po czym zniknął i teraz ujawnił się w brzuchu innej kobiety?

– Wiem, że to brzmi jak opowieść pomyłeńca. Ale sprawa naprawdę jest poważna, to nie są żarty. I zgłosili ją do nas poważni ludzie. Pierwszym był dyrektor BirthWell, profesor Karounis. To on poinformował policję o zaginięciu płodu. Jako drugi zatelefonował lekarz, który wykonał cesarskie cięcie u Nigeryjki. Stwierdził, że wykonał badanie USG tej drugiej kobiety i uznał, że z całą pewnością w jej macicy znajduje się ten sam płód, który wydobyl z Nigeryjki.

– Stary, nie wiem, co powiedzieć. Naprawdę. Posłuchaj... spróbuję się skontaktować z sierżantem Patel. Zobaczymy, co ona powie. Później od razu do ciebie zadzwonię, dobrze?

– Zdaje się, że nadinspektor Walters życzy sobie, żebyście działali błyskawicznie, Jerry, głównie dlatego, że obawia się wycieku informacji do prasy, zanim na dobre zorientujemy się, o co właściwie w tej sprawie chodzi. Wręcz panicznie obawia się kamer telewizyjnych i tłumów dziennikarzy zadających nam pytania, na które nie będziemy znali konkretnej odpowiedzi. Jezu, my przecież nie mamy pojęcia, dlaczego nastolatki biegają po ulicach i dźgają się nawzajem nożami, więc skąd mamy wiedzieć, dlaczego nienarodzone dzieci atakują niewinną kobietę? W każdym razie natychmiast wyślę ci fotografię tego płodu, żebyś sam go zobaczył.

Declan przerwał połączenie, ale po kilku sekundach rozległo się krótkie piknięcie i na ekranie telefonu Jerry'ego pojawiła się fotografia płodu. Wpatrywał się w nią przez prawie dwadzieścia sekund, nie potrafiąc pojąć, co właściwie widzi. Patrzyła na niego słodka, anielska twarz otoczona płataniną kończyn. Osadzone w niej błagalne oczy jakby chciały przeniknąć do jego myśli i prosiły o miłość i zrozumienie.

Jerry zatelefonował do Dżamili. Nie odebrała, więc poszedł do kuchni i uruchomił czajnik elektryczny, żeby przygotować sobie kawę. Za oknami było jeszcze ciemno i widział swoje odbicie w szybie. Wyglądał jak duch ubrany w pizamę w niebieskie paski.

Zalawszy kawę rozpuszczalną przegotowaną wodą, zadzwonił do Dżamili jeszcze raz. Teraz odebrała niemal natychmiast.

– Jerry? Co się dzieje? Wiesz, która jest godzina? W nocy prawie nie zmrużyłam oka.

– Przepraszam, pani sierżant, ale przed chwilą zatelefonował do mnie O’Brien z Pierwszego Zespołu Śledczego.

Opowiedział jej o „ciężko zdeformowanym” płodzie, o tym, jak zniknął z inkubatora i jak odkryto go w macicy kolejnej pacjentki. Przekazał jej też, że nadinspektor Walters jednoznacznie zasugerował, że właśnie Jerry i Dżamila powinni zająć się tą sprawą.

Dżamila przez kilkanaście sekund milczała.

– Pani sierżant? Jesteś tam?

– Posłuchaj, to, co mi teraz opowiadasz o tym płodzie... Czy to prawda? Czy może jakiś dziwaczny żart?

– O’Brien przesłał mi jego zdjęcie i zaraz wyślę ją także do ciebie. Nie uwierzysz w to, co zobaczysz. Prawdę powiedziawszy, ja sam nie dowierzam własnym oczom, zapytałem O’Briena, czy mnie nie podpuszcza, ale przysiągł, że to nie żarty. Zresztą jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, żeby dyrektor najlepszej kliniki położniczej w kraju robił takie dowcipy policji. Chyba się ze mną zgodzisz, że to niemożliwe?

– Może lekarze popełnili jakiś poważny błąd w sztuce i teraz próbują w jakiś pokręcony sposób chronić swoje tyłki? Wiesz, jacy oni są, zdarza im się amputować zdrową nogę albo wszczepić człowiekowi płuca na odwrót. Mój wujek w Pakistanie miał raka w prawym jądrze, ale lekarze usunęli mu lewe.

– Ależ to musiały być jaja, co?

– Jerry!

– Tak, przepraszam. Jednak lekarze z BirthWell raczej nie mają w zwyczaju przeprowadzać nieskutecznych aborcji, prawda? Poza tym po ich pierwszym wezwaniu w klinice pojawiło się dwoje policjantów, którzy wydają się pewni, że w tej sprawie nie ma drugiego dna.

– Jerry, w tej chwili mamy roboty po uszy. Musimy się dowiedzieć, kto, w jaki sposób i dlaczego okaleczył Martina Elliota, a także zrozumieć, co tak naprawdę stało się w tym kanale. Za kogo Walters nas uważa? Za superbohaterów? Wymyśla nam zajęcia, jakbyśmy i tak nie mieli już dość zagadek do rozwiązania. A ja sama mam jeszcze więcej własnych problemów. Wczoraj wieczorem dostałam na Twitterze siedem wpisów z groźbami, że jeśli nadal będę aresztowała Azjatów za nękanie nieletnich białych uczennic, zostanę zgwałcona i zamordowana.

– Tak... nie, masz rację, pani sierżant. Ale kiedy Elliot odzyska przytomność, będziemy musieli natychmiast pojechać do szpitala, żeby z nim porozmawiać, więc moglibyśmy przy okazji zahaczyć o BirthWell. Po prostu rozejrzelibyśmy się tam. Kiedy popatrzysz na zdjęcie, na pewno się zgodzisz.

Dżamila znowu przez długą chwilę milczała. Wreszcie powiedziała:

– Zdaje się, że to cię bardzo zaintrygowało, co, Jerry? To znaczy ten płód.

– Masz rację, nie mogę zaprzeczyć. Trochę mi to przypomina Quatermassa.

– Co to jest „Quatermass”? Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Mówię o starym serialu science fiction, który kiedyś nadawała brytyjska telewizja.

– To nie fikcja, Jerry, lecz fakty. I w tej chwili musimy przede wszystkim odkryć,

kto porwał Elliota w kanale ściekowym, kto go oślepił i odciął mu nogi. Niedługo zatelefonuję do Gemmy Bright, żeby się dowiedzieć, jakie postępy odnotowali inżynierowie od kanalizacji. Chcę jak najszybciej wysłać na dół naszych techników.

– Ty jesteś szefem.

– Tak, jestem, i szef mówi ci teraz, żebyś zjadł porządne śniadanie, bo przed tobą długi dzień pracy. Odezwę się, kiedy tylko uzyskam jakieś wiadomości ze szpitala.

– Jasne, pani sierżant. Rozłączam się. Ale koniecznie zobacz to zdjęcie. Nie jestem pewien, czy potem będziesz miała ochotę na śniadanie.

Po chwili Jerry zatelefonował do O'Briena i powiedział mu, że kiedy tylko znajdą czas, przyjadą do Warren BirthWell. Poprosił go też, aby bezzwłocznie przekazywał mu wszelkie nowe informacje o sytuacji w szpitalu.

Była dopiero piąta czterdzieści, godzina zdecydowanie zbyt wczesna na kolejne telefony, które zamierzał wykonać. Przede wszystkim chciał zadzwonić do Jeżozwierza Malletta i dowiedzieć się, czy wyznaczono już datę pierwszego przesłuchania Rusula Gorai przed sądem. Później skontaktuje się z byłą żoną, Nancy, i ustali, o której godzinie będzie mógł w sobotę odebrać od niej córkę, Alice. Planował, że pójdą do kina, kupią popcorn i obejrzą jej ulubiony japoński film animowany, *Mary i kwiat czarownicy*, chociaż widzieli go już pięć razy.

Alice znała już na pamięć wszystkie dialogi. „Dzisiaj jestem prawdziwą czarownicą!”

Hamid Sanghawi, pałaszując płaski chlebek bakarchani, odwrócił się i zapytał żonę:

– Gdzie jest Dżoja? Spóźni się, jeżeli nie zejdzie natychmiast na śniadanie.

Farita oderwała wzrok od pikantnego omleta, którego smażyła na patelni.

– Jak tylko to przygotuję, pójdę na górę i zobaczę, czemu się tak grzebie.

– Nie będę mógł na nią czekać. Dokładnie o szóstej trzydzieści muszę otworzyć sklep i odebrać poranne gazety. Jeśli Dżoja naprawdę się nie pośpieszy, będzie musiała pojechać autobusem.

– Wczoraj wieczorem powiedziała mi, że nie czuje się najlepiej. Może się przeziębiła?

– Przecież może wypić lemsip albo coś podobnego. Będę jej dzisiaj potrzebował. Amar przywiezie mnóstwo towaru, a Ibrahim będzie mógł mi pomóc dopiero po południu.

Farita wyłączyła gaz pod patelnią i podeszła do męża, żeby zsunąć omlet na jego talerz.

– Chyba za bardzo wykorzystujesz tę biedną dziewczynę.

– Przynajmniej trzymam ją z daleka od kłopotów. Z daleka od tych nic niewartych chłopaków jak Rusul albo Attaf. Ale kiedy wyjdzie za Faisala, nie będzie mi pomagała w sklepie, prawda? Chcę więc wykorzystać jej pomoc do maksimum, dopóki jeszcze mieszka w naszym domu.

– Attaf nie żyje, Hamidzie. Nie mów o nim źle.

– Nie był taki zupełnie najgorszy, muszę to przyznać. No, ale śmierć była ceną, jaką zapłacił za chodzenie z Dżoją. Powinien był zdawać sobie sprawę, że godne małżeństwo zaaranżują dla niej rodzice.

Farita zamilkła. Wiedziała o ciąży Dżoi i o aborcji, ale nawet słowem nie wspomniała o tym mężowi. Nie była dziewicą, kiedy wyszła za Hamida, ale utrzymała to w tajemnicy przed nim, przed ojcem i matką. W noc poślubną skaleczyła się w palec i umazała krwią pościel w hotelowym łóżku, dzięki czemu Hamid uwierzył, że był jej pierwszym mężczyzną.

Zostawiła Hamida z jego śniadaniem i poszła na górę. Kiedy stanęła na półpiętrze, usłyszała, że Dżoja cicho jęczy. Szybko pokonała ostatnie stopnie schodów i otworzyła drzwi sypialni. Jej córka klęczała na podłodze w koszuli nocnej i kołysała się do tyłu i do przodu z dłońmi przyciśniętymi do brzucha.

– Dżoja! Co się dzieje?! – zapytała Farita.

Na widok matki dziewczyna się wyprostowała i wtedy Farita zobaczyła, że jej koszula nocna przesiąknięta jest krwią, że ma zakrwawione dłonie, a plamy krwi pokrywają gęsto również bladozielony dywan. Na podłodze obok komody leżał piętnastocentymetrowy nóż kuchenny.

– Mamo – wyszeptala Dżoja, wyciągając rękę w kierunku Farity. – Mamo, nie

mogę go z siebie wyciągnąć.

Farita padła na kolana obok córki i uniosła jej wilgotną koszulę nocną. Brzuch Dżoi był poprzecznie rozcięty i z dziewczyny wypływały już wnętrzności; część z nich także była przecięta. Dziewczyna broczyła krwią, która śliską warstwą pokrywała już jej uda.

– Hamid! Hamid! – krzyknęła Farita. – Dzwon po pogotowie ratunkowe! Hamid! Natychmiast wezwij karetkę!

Po chwili ciszy Hamid zawołał z dołu schodów:

– Karetkę? O czym ty mówisz? Co się stało? Chciałbym dokończyć śniadanie.

– Dżoja jest ranna! Bardzo poważnie ranna! Dzwon po pogotowie, bo umrze!

Hamid zaczął się wspinać po schodach i po chwili stanął w drzwiach. Popatrzył na Dżoję i klęczącą obok niej żonę, obie już mocno zakrwawione. Z przerażenia bezwiednie otworzył, a potem zamknął usta.

– Hamid!

– Co się stało? Kto jej to zrobił?

– Nikt! Sama to zrobiła! Dzwon po karetkę, bo na zawsze stracisz córkę!

Mężczyzna jeszcze przez chwilę się wahał, wciąż oszołomiony, lecz wreszcie odwrócił się i niezdarnie zbiegł po schodach. Dżoja jęknęła, zakaszlała i wypuła długi strumień krwawej flegmy. Farita chwyciła córkę za ramiona, delikatnie odwróciła i ułożyła ją na boku. Następnie wyprostowała jej nogi i obróciła ją na plecy. W brzuchu Dżoi widoczna była okropna dziura, więc Farita zdjęła z głowy chustę, złożyła ją kilkakrotnie i wsunęła w ranę, żeby zatamować krwawienie.

– Już wszystko dobrze, Dżoja, twój ojciec właśnie dzwoni po pomoc. Leż tylko spokojnie, nie ruszaj się. Kocham cię, najdroższa córeczko, proszę, nie umieraj. Dlaczego to zrobiłaś?

Dżoja nie odpowiedziała. Straciła przytomność, ale drżała, jakby było jej bardzo zimno. Chusta szybko przesiąkła krwią, a Farita wystarczająco dużo wiedziała o udzielaniu pierwszej pomocy, by zdawać sobie sprawę, że jeśli córka straci więcej niż dwa litry krwi, nie będzie już można jej uratować.

– Hamid?

– Zadzwoiłem po karetkę. Wciąż mam na linii telefonistkę. Mówi, że pogotowie przyjedzie za dziesięć minut.

Hamid stał na podeście, trzymając telefon przy uchu.

– Ta kobieta mówi, żeby zacisnąć ranę, że jej oczyszczenie jest teraz najmniej ważne. I żeby wyżej ułożyć jej nogi. Co z nią?

– Straciła mnóstwo krwi. Proszę cię, powiedz, że pomoc potrzebna jest natychmiast.

Farita mocniej nacisnęła brzuch Dżoi i wtedy poczuła, że coś się tam przesuwają. Przypomniała sobie, jak w dziewiętnastym tygodniu ciąży Dżoja po raz pierwszy się poruszyła. Jeszcze mocniej nacisnęła palcami i już bardzo wyraźnie wyczuła w brzuchu córki jakąś bryłkę – bryłkę, która kołysała się z boku na bok, jakby chciała uwolnić się spod jej ucisku.

– Ona ma coś w brzuchu – powiedziała do męża. – Coś żywego.

Hamid przyklęknął obok niej, z telefonem wciąż przyciśniętym do ucha. Drugą dłoń położył na czole Dżoi.

– Coś żywego? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jakby dziecko.

– To niemożliwe! Dżoja jeszcze nigdy nie była z chłopakiem, w każdym razie nie w taki sposób. To muszą być jakieś skurcze mięśni. Ona jest w szoku. Wychłodzona i spocona. – Przez chwilę słuchał telefonistki, a potem powiedział: – Tak, tak. Wyjdę na ulicę. – Pocałował córkę w czoło, a potem wstał i zwrócił się do żony: – Karetka będzie za pięć minut, może szybciej. Zejdę na dół i otworzę drzwi.

– Hamid, coś się w niej porusza, przysięgam. Czuję to.

– Może to jakiś guz? Czytałem kiedyś o dziewczynie, która myślała, że jest w ciąży, a tymczasem w jej brzuchu rósł wielki guz.

Farita chciała coś powiedzieć, ale w tym momencie Dżoja podskoczyła, jakby ktoś nią gwałtownie potrząsnął, otworzyła oczy i wrzasnęła z bólu. Farita także krzyknęła wraz z córką. W ranie na brzuchu Dżoi pojawiła się mała zakrwawiona ręka, jakby rączka niemowlaka, tyle że zakończona ostrymi, zakrzywionymi szponami. Szpony rozerwały ścianę macicy i natychmiast dorwały się do chusty Farity, żeby ją rozedrzeć. Farita chwyciła jednak te szpony i chociaż raniły jej palce, zaczęła wyciągać intruza z ciała córki.

Hamid wrócił do pokoju i natychmiast pochylił się obok żony. Bez wahania podciągnął rękaw koszuli i wsunął prawą rękę do krwawej rany w brzuchu Dżoi. Stękał i walczył z przeciwnikiem przez kilka sekund, ale zdołał wyjąć stwora z łona Dżoi. Z impetem rzucił go na dywan.

Dżoja znowu straciła przytomność i leżała bez ruchu. Jej twarz była trupio biała, a usta sine, niemniej jej klatka piersiowa wciąż unosiła się i opadała.

– Co to jest? – zapytała udręczona Farita. – Jak coś takiego mogło się znaleźć w jej brzuchu?

Hamid był w stanie jedynie kręcić głową. Stwór, którego wyciągnął z Dżoi, miał kształt i rozmiary dopiero co narodzonej wiewiórki, ale był pozbawiony ogona i miał dwie skarłowaciałe ręce zakończone dłońmi o pięciu palcach zwieńczonych szponami. Miał także dwie karłowate nogi, a po obu jego stronach ciała półprzezroczysta skóra łączyła ręce i nóżki od nadgarstków po kostki.

Leżał teraz nieruchomo na dywanie, uwalany krwią. Wydawał się martwy.

– Zabierz to stąd – powiedziała Farita. – Proszę, zabierz to stąd i wyrzuć. Gdzie jest ta karetka?

Hamid wstał.

– Myślę, że powinni to zabrać lekarze. Przecież będą chcieli wiedzieć, co się stało z naszą córką, a jak im to wytłumaczymy, jeżeli nie pokażemy im tego dziwoląga?

Zaraz potem zadzwonił dzwonek przy drzwiach i Hamid popędził po schodach, żeby wpuścić do domu ratowników. Farita znów przyciskała dłonie do rany Dżoi, teraz jeszcze mocniej, gdyż stwór okrutnie porozrywał jej ciało. Chusta była już ciężka od krwi.

– Och, Dżoja – jęknęła bardzo cicho kobieta, jakby odmawiała modlitwę. – Proszę,

nie zostawiaj mnie. Jesteś taka młoda, moja ukochana.

Leżący na dywanie stwór jakby ją usłyszał, otworzył jedno bladoniebieskie oko, potem drugie, i zaczął niespodziewanie świdrować ją przenikliwym spojrzeniem. Zaniepokojona Farita zerknęła na niego, ale była tak wytrącona z równowagi, że zabrakło jej siły, by zawołać Hamida. Tymczasem do sypialni wreszcie wbiegli dwaj ratownicy. Pierwszy z nich dźwigał wielką torbę z wyposażeniem, a drugi niósł defibrylator. Stwór powoli zamknął oczy.

Jerry nie zdążył nawet przeczytać rubryki piłkarskiej na ostatniej stronie „The Daily Mail”, ponieważ doktor Gupta niemal natychmiast przyszedł do poczekalni i powiedział:

– Dzień dobry. Mam dobrą wiadomość dla państwa: pan Elliot odzyskał przytomność.

Dżamila wstała, a Jerry złożył gazetę.

– A jaki jest jego stan ogólny? – zapytała Dżamila.

– Jeśli wziąć pod uwagę obrażenia, a także uraz psychiczny wywołany odkryciem, że jest niewidomy, jest w znacznie lepszej formie, niż można by się spodziewać. Oczywiście wciąż jest w dużym szoku i wątpię, czy już zdał sobie w pełni sprawę z ogromu nieszczęścia, jakie mu się przydarzyło. – Doktor Gupta zdjął okulary i zmarszczył czoło. – Tak jak wczoraj powiedziałem, odnoszę wrażenie graniczące z pewnością, że ktokolwiek go okaleczył, bardzo się starał zachować go przy życiu. To wyjątkowo dziwna sprawa. Wiele wskazuje na to, że raczej poddano go operacji chirurgicznej, a nie okaleczono celowo, chociaż został potraktowany w niezwykle okrutny sposób. Dlaczego jednak amputowano mu nogi i wydłubano oczy, a potem podjęto wszelkie możliwe środki zaradcze, żeby nie umarł? Naprawdę nie mam zielonego pojęcia.

– Czy pacjent mówi? – zapytał Jerry.

– Tak. Jak w malignie, muszę przyznać, ale sądzę, że powrót do tamtych przeżyć pomoże mu się z nimi oswoić. Oczywiście to, co pacjent powie, może okazać się użyteczne dla waszego śledztwa, ale dla mnie nie jest to najważniejsza sprawa. Jestem pewien, że państwo to rozumiecie.

– Tak, oczywiście, panie doktorze, nie chcemy jednak, żeby coś podobnego przydarzyło się kolejnej osobie – powiedział Jerry. – A pan zapewne nie chciałby, żeby łóżka w pańskim szpitalu zapełniły się kolejnymi ślepyimi facetami bez nóg, prawda? Cholera jasna, to by wyglądało jak restauracja Queen’s Arms w sobotni wieczór.

Doktor Gupta posłał mu słaby uśmiech, który wskazywał, że nie zrozumiał dowcipu, ale świadczył zarazem, że ceni zrozumienie Jerry’ego dla tego, co jest w szpitalu priorytetem.

– Proszę ze mną – powiedział. – Umieściliśmy pana Elliota w jednoosobowym pokoju. Jest tam spokojniej, rzecz jasna, a poza tym widok pacjenta w tak okropnym stanie wprowadzał w zakłopotanie osoby odwiedzające innych chorych.

– A czy Elliota ktoś już odwiedził?

– Mieliśmy kilka telefonów od najbliższej rodziny i współpracowników, ale nie zezwalamy na wizyty, dopóki nie będziemy mieli pewności, że jego stan się stabilizuje... albo dopóki nie dojdziemy do przekonania, że pozostało mu już niewiele

życia.

– A więc wciąż balansuje na granicy życia i śmierci?

– Sami się państwo przekonacie.

Doktor Gupta wprowadził policjantów do windy, a potem korytarzem na pierwszym piętrze przeszli do pokoju, w którym leżał okaleczony mężczyzna. Zanim otworzył drzwi, uniósł rękę i powiedział:

– W tej chwili jest spokojny. Jeśli jednak sytuacja gwałtownie się zmieni, będę musiał państwa poprosić o natychmiastowe opuszczenie pokoju. Jego stan psychiczny ma ogromne znaczenie w procesie leczenia.

– Jasne – odparł Jerry.

Martin Elliot leżał na łóżku z lekko uniesionym wezgłowiem. Za pośrednictwem kroplówek wciąż podawano mu różne leki, ale nie dostarczano mu już krwi, a kikuty nóg zabezpieczone były metalowymi stelażami, na które luźno narzucono koc. W kącie pomieszczenia siedziała przy stoliku ładna młoda pielęgniarka pochodzenia filipińskiego i zapisywała coś w karcie choroby.

Doktor Gupta podszedł do Elliota i dotknął jego ramienia.

– Martin... przyprowadziłem tych policjantów, o których już ci mówiłem. Stoją obok mnie. Jeżeli czujesz się dobrze i zechcesz z nimi rozmawiać, zamienią z tobą kilka słów.

– Tak, tak, oczywiście – powiedział Martin zduszonym głosem.

Dzamilą stanęła tuż przy łóżku i teraz ona położyła dłoń na jego ramieniu.

– Panie Elliot... mogę się zwracać do pana po imieniu? Tak będzie prościej. Detektyw sierżant Dzamilą Patel, a obok mnie stoi detektyw posterunkowy Jerry Pardoe. Wiemy, jakie okropne obrażenia odniosłeś, i bardzo ci współczujemy.

– Tyle że ja ich nie widzę – odparł Martin. – I nigdy nie zobaczę.

– Jesteś w stanie odpowiadać na nasze pytania? Rozmawialiśmy już z twoimi kolegami z pracy: Gemmą Bright, Jimem Featherem i Newtonem Akambą. W miarę dokładnie opowiedzieli nam, co zaszło w kanale ściekowym przed twoim zniknięciem. Teraz musimy się dowiedzieć, co się działo z tobą.

– Powiedzieli wam, że nagle zapadły kompletne ciemności?

– Tak, powiedzieli. Zeznali też, że w kanale pojawiły się jakieś postaci, które świeciły.

– Wyglądały jak dzieci... i owszem, świeciły, ale jeden Bóg wie dlaczego. Mówię o nich „dzieci”, ale tylko dlatego, że były takiego wzrostu jak dzieci. Bo poza tym wyglądały bardzo dziwnie. Jedna z tych postaci była garbata, z innej wypływały wnętrzości. To było coś zdecydowanie nierealnego. To było... no, nie potrafię tego opisać.

– Martinie, twoi współpracownicy opisali nam te postaci dość dokładnie. Nawet je narysowali. Opowiedzieli o tym, jak was zaatakowały i próbowały zerwać wam z głów kaski.

Martin zaczął machać ręką, jakby chciał się opędzić od kogoś z tych stworów.

– One były takie silne... Jasne, nie były większe od dzieci, ale chwyciły mnie za rękawy, pociągnęły za pasek i nie mogłem się uwolnić. Słyszałem, jak koledzy do

mnie krzyczą, Gemma i Jim, szarpałem się, walczyłem, żeby się ich pozbyć, ale nie byłem w stanie.

Jerry przeszedł na drugą stronę łóżka i przesunął krzesło, aby usiąść jak najbliżej.

– No i co się wtedy stało, kolego? – zapytał. – Pamiętasz coś, choćby niejasno?

Martin odwrócił twarz w jego stronę, mimo że oczy miał owinięte grubą warstwą białego bandaża.

– Jeszcze raz usłyszałem, że do mnie krzyczy Gemma, ale już wtedy miałem wrażenie, że jest daleko. I wówczas znowu zapadł mrok. Kompletny mrok. To była absolutna ciemność. Zniknęła nawet poświata bijąca wcześniej od tych dzieci, one jednak wciąż mnie ciągnęły. Nie powiem, ile ich było, ponieważ ich nie widziałem, ale wydawało mi się, że są ich całe dziesiątki; ścisnęły mój kombinezon, pasek, buty, włosy. Wtedy straciłem kask. Nie wiem, co się z nim stało.

Martin mówił monotonnym, cichym, lekko chrapliwym głosem dziwnie pozbawionym emocji, jakby czytał raport z funkcjonowania kanałów ściekowych przed zarządem Crane's Drains. Jerry przypuszczał, że bardzo chce dojść do punktu kulminacyjnego swojej opowieści, lecz jego ścisły umysł nie pozwalał mu opuszczać szczegółów ani też zignorować chronologii zdarzeń.

– Musiały przeciągnąć mnie nad tą bryłą tłuszczu, ponieważ czułem, że się o nią ocieram. Dotknąłem ramieniem cegieł na suficie kanału. Zacząłem jednak także odnosić wrażenie, że przez ten zator przebiega cała sieć tuneli, ponieważ chwilami sunąłem w dół pod całkiem ostrym kątem, a później te istoty ciągnęły mnie do góry. Część tuneli wydawała się łatwa do przebrnięcia, bo były stosunkowo szerokie, wreszcie jednak dotarłem do tunelu długiego i wąskiego, naprawdę klaustrofobicznego. Dzieci z wysiłkiem przepychały mnie przez niego, nogami do przodu. Z trudem oddychałem i oczywiście okropnie tam śmierdziało. Bałem się, że w końcu utknę w środku tej bryły tłuszczu i się uduszę.

– Jak długo to trwało, Martin? Potrafisz to określić?

– Nie jestem pewien. Jednak wydawało mi się, że mijają całe godziny. Jak już powiedziałem, panowała absolutna ciemność, a ja straciłem wszelką orientację. Wiedziałem, że zator ciągnie się mniej więcej z południa na północ, ale kilka razy skręciliśmy ostro w prawo lub w lewo. Niekiedy w ogóle nie czułem tłuszczu i taszczyli mnie przez płynne ścieki. Byłem zanurzony w nich po szyję i niemal je łykałem.

Martin spróbował usiąść, ale kiedy się wyprostował, zacisnął zęby z bólu, a po chwili opadł z powrotem na poduszki.

– Dobrze się czujesz? Może poprosić pielęgniarkę, żeby się tobą zajęła? – zapytała Dżamila.

Martin pokręcił głową.

– Wszystko w porządku. Po prostu czasami zapominam, że już nie mam nóg.

Jerry i Dżamila czekali, aż Martin dojdzie do siebie. W pomieszczeniu panowała niemal absolutna cisza. Popiskiwały jedynie monitory kontrolujące stan pacjenta, a zza drzwi docierały odgłosy wózków ciągniętych przez pielęgniarki. Drobne krople zimnego deszczu uderzały w szyby, jakby duchy próbowały dostać się do szpitala

albo przynajmniej chciały przypomnieć żywym, że one także kiedyś cieszyły się życiem.

Jerry wziął ze stolika szklanę z wodą i wsunął ją w dłoń Martina. Kiedy Martin upił kilka łyków i odchrząknął, podjął:

– W końcu te dzieci się zatrzymały. Zdołałem usiąść, chociaż po pas byłem zanurzony w ścieku. Początkowo nadal było ciemno, ale słyszałem te stwory. Taplały się i rozmawiały.

– Słyszałeś, o czym mówiły?

– Niestety nie. Porozumiewały się szeptem, tak jak to robią dzieci, kiedy nie chcą, żeby słyszeli je dorośli. Uchwyciłem kilka pojedynczych zwrotów, ale mówiły z bardzo dziwnym akcentem.

– Potrafisz nam powiedzieć, co to był za akcent? Możesz go opisać?

– Nie wiem. Staram się przypomnieć sobie ich słowa. Jestem skłonny uznać, że był to akcent amerykański albo południowo-zachodni. Słyszałem rotyczne „r”. Wiecie, niemal wymawiały je tak, jak podobno robili to piraci.

– Jasne – przytaknęła Dżamila. – Co się stało później?

Martin obliznął usta i przez chwilę milczał.

– Później... – zaczął. – Później...

Czekali. Jerry popatrzył na Dżamilę, ponieważ stało się jasne, że Martinowi będzie bardzo trudno opowiedzieć, co się z nim działo w następnych chwilach. Jego ręce kilkakrotnie podskoczyły na prześcieradle, jakby poddane lekkim wstrząsom elektrycznym, zadrżał także jego tułów.

Doktor Gupta, który przez cały czas stał przy oknie, odezwał się cichym głosem:

– Przykro mi, proszę państwa... Myślę, że powinniście już zmierzać z tym przesłuchaniem do finału.

Jerry wstał i odsunął krzesło. W tym samym momencie Martin zaczął ciężko dyszeć, z każdą chwilą szybciej, jakby nie był w stanie za jednym razem wciągnąć do płuc wystarczającej ilości tlenu.

– Światło... po lewej stronie... widzę je w kanale z lewej strony. Jakby tańczy... podskakuje... jest zielone. Tak jakby ktoś szedł kanałem, niosąc zieloną lampę. I widzę teraz... Widzę, że siedzę w komorze, która łączy dwa kanały ściekowe. Wygląda... wygląda jak komora pod New Cross Road. Jestem tego pewien.

Jerry znowu przyciągnął krzesło i usiadł. Martin zaczął gwałtownie błędzić ręką po prześcieradle, aż znalazł dłoń Jerry'ego i mocno ją uściśnął. Wciąż gwałtownie dyszał, a co kilka chwil jego ciałem wstrząsał dreszcz. Jerry zdał sobie sprawę, że pod bandażami, które spowijały jego puste oczodoły, właśnie wizualizował to, co przydarzyło mu się w komorze pomiędzy kanałami ściekowymi, i oczyma wyobraźni widział to teraz tak wyraźnie jak wtedy, gdy te wydarzenia działy się w rzeczywistości. Jego palce były zimne jak lód, ale po policzkach spływały grube krople potu.

– To nadchodzi... nadchodzi z kanału... i zielone światło oświetla teraz wszystko... jaskrawozielone światło, które sprawia, że wszystko ma kolor zielony. Zielone są ściany i ścieki. Moje dłonie są zielone. Wszystko jest zielone.

– Co to jest, Martin? – zapytała łagodnie Dżamila. – Co takiego widzisz?

– Proszę państwa... – powtórzył doktor Gupta.

Zrobił krok do przodu, ale Dżamila uniosła rękę i zatrzymał się w miejscu.

– Myślę... myślę, że to jest kobieta – powiedział Martin, tak cicho, że Jerry zdołał zrozumieć te słowa tylko dzięki obserwacji ruchów jego warg. – Wysoka, wysoka kobieta. Nie widzę jej twarzy, ponieważ ukrywa ją pod kapturem... Ma kaptur i płaszcz tak długi, że jego poły nikną głęboko w ściekach. Podchodzi do mnie bliżej, ale ja wciąż nie widzę jej twarzy...

Martin uniósł głowę i przez niemal pół minuty milczał, wciąż gwałtownie wciągając powietrze przez nos.

– Sądzę, że to naprawdę wszystko, co pan Martin może wam w tej chwili powiedzieć – oznajmił doktor Gupta. – Być może powie więcej, kiedy nabierze sił. Zatem... naprawdę zechcą państwo wybaczyć...

Jerry znowu spróbował wstać, ale Martin nie puszczał jego ręki. Jerry starał się ją oswobodzić, ale zanim mu się to udało, Martin potrząsnął głową i wyszeptał:

– Ona ma piłę.

– Mów dalej, Martin – zachęciła go Dżamila. – Jaka to jest piła?

– To... to grzbietnica... ale na końcu ma ostry szpikulec. Kobieta wyciąga ją spod fałdów płaszcza i trzyma w ten sposób.

Martin puścił dłoń Jerry'ego i uniósł prawe ramię niczym starter, który ma rozpocząć zawody biegowe.

– Podchodzi bliżej i mówi do mnie... ale nie rozumiem co. To nie ma żadnego sensu. Jest mi strasznie zimno i ścieki są strasznie zimne, drętwieję i nie mogę się ruszać... Dlaczego nie mogę się ruszać?

Martin, wciąż unosząc prawą rękę, zaczął powoli kręcić głową z boku na bok.

– Podchodzą i stają za nią... te dzieci... te stworzenia, które wyglądają jak dzieci... jest ich mnóstwo... pełzają przez ścieki, przynajmniej niektóre... inne skaczą jak wielkie ropuchy... o mój Boże!

Zaczął się gwałtownie trząść, kilkakrotnie uderzając głową o ramę łóżka, tak że aż zadrzało. Martin wymachiwał rękami tak gwałtownie, że wyrwał z nich wenflony. Dżamila i Jerry cofnęli się, a doktor Gupta i pielęgniarka podbiegli do łóżka, żeby zapanować nad pacjentem. Pielęgniarka przymocowała jego ręce do ramy, a doktor Gupta szybko otworzył podręczną szafkę z lekarstwami i wyciągnął z niej strzykawkę. Napełnił ją jakimś płynem z małej, przezroczystej buteleczki i zrobił Martinowi zastrzyk.

– Fenytoina – wyjaśnił. – Przeciwdrgawkowa.

Ciałem Martina rzuciło jeszcze kilka razy, ale wkrótce się uspokoił, a jego głowa znieruchomiała na poduszce. Zaczął chrapać.

Gupta popatrzył na Jerry'ego i Dżamilę, jakby chciał powiedzieć: Przepraszam, ale sami państwo widzicie, w jakim stanie jest pacjent. Ma szczęście, że w ogóle żyje.

– Zapewne przyjdziemy później. Mamy do niego jeszcze dużo pytań – oświadczyła Dżamila.

– Cóż, możecie państwo spróbować. Wołałbym jednak, żebyście poczekali do jutra.

Najbliższa noc będzie decydująca, chociaż dla niego noc będzie już trwała zawsze, bez chwili przerwy.

Kiedy jechali windą, Jerry zapytał:

– No i co, pani sierżant? Co o tym sądzisz?

– Naprawdę nie wiem, Jerry. Po prostu nie wiem.

– Postawmy sprawę w ten sposób: gdyby pozostała trójka nie przysięgła, że oni także widzieli te świecące dzieci, uznałbym, że Martin majaczy. Albo kompletnie zwariował.

– Muszę przyznać, że też mi coś takiego chodzi po głowie. Popatrz jednak, co się z nim stało. Zdaniem doktora ktoś go okaleczył celowo. Musimy więc najpierw zadać sobie pytanie: dlaczego ktoś amputował temu mężczyźnie nogi i wydlubał oczy? Czy to była kara? A może ostrzeżenie?

– Niewykluczone. Mógł go jednak także dorwać zboczeniec, którego podnieca okaleczanie ludzi. Ci, co lubują się w sado-maso, są zdolni do wszystkiego. Parę miesięcy temu mieliśmy przypadek nauczyciela ze Streatham... Nazywał się Billings. Zapłacił swojej dominującej partnerce za to, żeby obcięła mu palec, bo pragnął...

– Jerry, nie chcę tego słuchać. Nie sądzę, aby to, co stało się z Martinem Elliotem, miało cokolwiek wspólnego z sadomasochizmem. Może miał halucynacje? Sam powiedział, że przez długi czas ciągnięto go dusznym tunelem, w którym powietrze było bardzo zanieczyszczone. Być może było w nim dużo metanu. Poza tym mógł po prostu sobie wymyślić tę zakapturzoną kobietę z piłą, chociaż nie potrafię logicznie uzasadnić, dlaczego miałby nas okłamywać. Przecież w jakiś sposób stracił nogi, nawet jeśli nie obcięła mu ich ta kobieta. Jak wiesz, potrafię zazwyczaj bezbłędnie rozpoznać kłamstwo. Widzę, jak oczy kłamców ciemnieją. Martin Elliot jednak nie ma oczu, więc nie jestem pewna.

Wyszli z windy i przecięli hol szpitalny. Jakiś siwowłosy starzec w marnym brązowym tweedowym płaszczu patrzył na nich, kiedy go mijali, tak jakby ich rozpoznał. Jerry uznał, że to dziwne. Kiedy dotarli do drzwi, odwrócił się, a starzec posłał mu szeroki uśmiech odsłaniający bezzębne dziąsła.

Dżamila nie zauważyła go. Zapinając płaszcz, kontynuowała:

– Jednak to, co powiedział o zielonym świetle... to mi wygląda na prawdę. Bo w gruncie rzeczy mówił o takich samych zielonych światłach, jakie oboje widzieliśmy w kanale, a przecież nie mógł nic wiedzieć o naszych doświadczeniach.

– Właśnie. Powiedział też, że kiedy pojawiła się ta koszmarna kobieta i w kanale rozbłysło światło, wiedział, gdzie się znajduje: w komorze pod New Cross Road, która łączy dwa kanały ściekowe. Gemma też musi znać to miejsce. Możemy posłać techników, żeby je sprawdzili.

– Też mi to już przyszło na myśl – powiedziała Dżamila. – Lekarz uważa, że kikuty nóg Martina skauteryzowano, prawdopodobnie za pomocą rozgrzanego do czerwoności żelaza. Przy odrobinie szczęścia znajdziemy tam jakieś ślady i ustalimy, jak tego dokonano. Może natrafimy na przypalone cegły, resztki łatwopalnych materiałów albo popiół. Możemy również odnaleźć DNA Martina Elliota, krew albo

fragmenty kości. Kto wie? Albo nawet jego odcięte nogi.

– Nie wiem. Być może. Mam jednak przeczucie, że odcięto mu nogi, ponieważ były tej kobiecie potrzebne. Podobnie jak oczy.

– Naprawdę? Po co?

– Nie pytaj mnie. Mam takie przeczucie, i tyle. Może ta kobieta chce złożyć z fragmentów różnych ciał potwora, jak doktor Frankenstein?

Jerry otworzył drzwi, aby Dżamila mogła wyjść na skąpany w deszczu chodnik. Postawiła wysoko kołnierz płaszcza i powiedziała:

– Wiesz co, Jerry? Czasami trudno mi uwierzyć, do jakich okrucieństw ludzie są zdolni się posunąć, by wyrządzić innym ludziom krzywdę. Czasami mam ochotę rzucić tę robotę, zaszyć się w domu, siedzieć przy kominku i czytać dobre książki, trzymając na kolanach rozkosznie mruczącego kota.

– Nie wiedziałem, że masz kota.

– Nie mam.

Jerry popatrzył na zegarek.

– Posłuchaj, mamy jeszcze dużo czasu. Podejdźmy do ośrodka Warren BirthWell i sprawdźmy tę wiadomość Waltersa o dziwnym płodzie.

– Ja naprawdę nie chcę brać kolejnej sprawy, Jerry. Przecież już i tak mamy nadmiar roboty.

– Widziałaś zdjęcie.

– Tak, oczywiście. Tylko trudno mi uwierzyć, że przedstawia coś, co istnieje naprawdę. A nawet jeśli tak jest, nie widzę powodu, dla którego ty i ja mielibyśmy się tym zająć. W Pakistanie rodzi się wiele zdeformowanych dzieci, z różnych przyczyn, ale lekarze nie dzwonią z tym na policję.

– Oczywiście. Nic złego jednak się nie stanie, jeżeli to sprawdzimy, prawda?

– Ależ ty jesteś ciekawski.

– Ciekawość to chyba część naszej pracy. Ciekawość i wścibianie nosa tam, gdzie nas nikt nie chce.

Susan Nicholls już nie spała, chociaż wciąż znajdowała się pod wpływem midazolamu, który doktor Macleod kazał jej podać na uspokojenie. Wzrok miała mętny i mówiła rozmarzonym szeptem, jakby z rozkoszą kołysała się na falach morskich. Jednak jej tętno i oddech wróciły już niemal do normy i doktor Macleod chciał jak najszybciej ją operować, zanim płód jeszcze bardziej zagnieździ się w błonie śluzowej macicy.

Pokój anestezjologiczny był cichy i słabo oświetlony. Kiedy doktor Macleod i doktor Bhaduri weszli do środka, przy Susan stała rudowłosa pielęgniarka i rozmawiała z nią, trzymając ją za rękę.

Macleod podszedł do łóżka i się uśmiechnął.

– Cześć, Susan. Jak się czujesz?

– Jakbym śniła. Wciąż nie wierzę, że znowu jestem w ciąży.

– Już wcześniej mówiłem, że jesteś i zarazem nie jesteś. To nie jest prawidłowa ciąża. To wygląda raczej na inwazyjną tkankę, którą trzeba usunąć, i to jak najszybciej.

– Ale to nie jest rak, prawda? Powiedziałby mi pan, gdyby to był rak?

– Nie, przyrzekam, to nie jest rak. Musimy to jednak natychmiast usunąć z twojej macicy, żeby uwolnić cię od ogromnego cierpienia i od fatalnego wpływu, jaki wywiera na stan twojego zdrowia.

– To nie jest dziecko? Nie jest to bliźniak tego dziecka, które poroniłam?

Doktor Macleod znów się uśmiechnął i pokręcił głową. Zanim podano Susan środki uspokajające, próbował jej wyjaśnić, dlaczego będzie musiał przeprowadzić cięcie cesarskie. Powiedział, że to pilne, ale dotąd nie poinformował jej, że nosi w sobie płód o twarzy anioła i o kończynach poskręcanych jak u potwora morskiego.

Otworzyły się drzwi do sali operacyjnej i wszedł anestezjolog Duncan, ocierający usta papierową chusteczką. Doktor Macleod jeszcze nigdy nie widział u niego tak poważnej miny. Nie było w tym jednak nic dziwnego w końcu Duncan dobrze wiedział, co zagnieździło się w macicy Susan Nicholls, bo już się zetknął z tym płodem, kiedy na stole leżała Chiasoka Oduwole. I było to przeżycie traumatyczne.

– Jesteś gotowa na małą drzemkę? – zapytał jak najbardziej pogodnie, zacierając rękę.

– Ale nic złego mi się nie stanie, prawda, doktorze? – Susan zapytała doktora Macleoda, unosząc głowę. – Będę mogła potem mieć jeszcze dzieci, prawda?

– Oczywiście, Susan. Nic ci nie grozi. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Przyjdę do ciebie później, kiedy będziesz gotowa do zabiegu.

Macleod i Bhaduri opuścili pokój anestezjologiczny. Szli właśnie do pomieszczenia sanitarnego, kiedy brzdęknął iPhone doktora Macleoda. Ten odczytał esemesa i dowiedział się, że w recepcji czeka dwoje detektywów, którzy chcą z nim

porozmawiać.

„Zaraz wchodzę do sali operacyjnej. Niech wróć za godzinę” – odpisał.

– Policja – powiedział do Bhaduriego.

– Myślałem, że nie chciał pan zawiadamiać policji.

– Nie chciałem, ale profesor Karounis się obawia, że ukrywając problem, moglibyśmy zostać oskarżeni o błąd w sztuce lekarskiej, a może nawet o napaść seksualną albo dzieciobójstwo.

– Profesor Karounis jest dobrym dyrektorem, ale... sam nie wiem... czasami bywa nadmiernie ostrożny. Zastanawiam się, czy nie przydarzyło mu się coś podobnego w przeszłości i dlatego tak się boi.

– Ja w każdym razie o niczym takim nie słyszałem. A nasza rada nadzorcza bardzo wysoko go ceni. Niemniej doświadczenie podpowiada mi, że także nadmiar ostrożności może być przyczyną kłopotów. Osobiście uważam, że powinniśmy byli poddać płód eutanazji, kiedy tylko wyciągnęliśmy go z pani Oduwole. Mogliśmy jej po prostu powiedzieć, że dziecko było martwe. Ale za ten błąd odpowiadam wyłącznie ja. Wytrąciło mnie z równowagi spojrzenie tego płodu i jego słodka, prześliczna twarz. Przypomniała mi moją córkę, jak była niemowlęciem. No i ten płacz. Miałem dzisiaj koszmarny sen. Przyśniło mi się, że się obudziłem, a obok mnie zamiast Beverly leżał na poduszce właśnie ten płód.

Weszli do pomieszczenia sanitarnego i powiesili marynarki w szafkach. Doktor Bhaduri milczał zakłopotany, ponieważ Macleod nigdy wcześniej nie zdradzał mu tak intymnych szczegółów.

– Po dzisiejszym dniu jednak nie spodziewam się już żadnych koszmarów – powiedział doktor Macleod, przystąpiwszy do mycia dłoni i przedramion.

Przez chwilę przyglądał się swojej twarzy w lustrze nad umywalką. Wydął pogardliwie dolną wargę, jakby wyzywając samego siebie do walki.

W sali operacyjnej czekały już doktor Symonds i dwie pielęgniarki. Była tam także najbardziej doświadczona położna centrum BirthWell, Janet Horrocks. Pacjentka spała na stole operacyjnym. Oświetlona lampami o natężeniu dwóch tysięcy luksów leżała jakby na ołtarzu.

Ze swojego miejsca przy końcu stołu operacyjnego Duncan pokazał doktorowi Macleodowi uniesiony kciuk. Obok instrumentów chirurgicznych stała przygotowana duża nerkowata miska. A jeśli on znowu popatrzy na mnie błagalnie, tak jak ostatnio? – pomyślał Macleod. Jeżeli zacznie płakać? Nie wiem nawet, czy to jest człowiek, ale ma ludzką twarz. Czy będę w stanie zabić go z zimną krwią?

– Dobra – powiedział. – Zaczynajmy.

Jedna z pielęgniarek uniosła jasnoniebieskie prześcieradło, którym przykryto brzuch Susan. Był mocno wydęty, ale tego akurat należało się spodziewać po brzuchu kobiety, która straciła dziecko w dziewiętnastym tygodniu ciąży. Druga pielęgniarka podała Macleodowi skalpel, a on przyłożył go do skóry Susan, przygotowując się do wykonania pierwszego nacięcia.

Zaledwie przyłożył skalpel i po brzuchu Susan spłynęła pierwsza cienka strużka

krwi, gdy zamigotały lampy. Doktor zawahał się i popatrzył z ukosa na Duncana, a następnie na doktora Bhaduriego.

– Chyba mamy jakąś awarię? – stwierdził.

– Może coś się dzieje za stykami? – zasugerował Duncan. – W każdym razie problem dotyczy jedynie lamp. Monitory funkcjonują bez zakłóceń.

Doktor Macleod wciąż czekał. Lampy migotały coraz szybciej, a kolor światła stopniowo przechodził z bieli w jaskrawą zieleń. Macleod cofnął się od stołu operacyjnego i uniósł w górę obie ręce, jakby właśnie go aresztowano.

– Na miłość boską, co się dzieje, Duncan?

– Nie mam pojęcia. Wszystkie monitory działają prawidłowo. Trzeba zatelefonować do działu technicznego. Jeszcze nigdy w życiu nie zetknąłem się z czymś podobnym.

Całą salę operacyjną spowijało teraz migoczące zielone światło, które wywoływało wrażenie, że wszystko dookoła podskakuje – monitory, stół operacyjny, a nawet zgromadzony wokół śpiącej pacjentki zespół operacyjny. Jedna z pielęgniarek wyłączyła główne zasilanie oświetlenia, ale w ogóle nie zmieniło to sytuacji, lampy nadal migotały jaskrawym zielonym blaskiem. Jeszcze dwukrotnie nadusiła przycisk wyłącznika, ale bez skutku.

– Przepraszam, panie doktorze – powiedziała. – To po prostu nie działa.

– Jasne. Uważam, że musimy przerwać operację i jak najszybciej zabrać stąd pacjentkę. Duncan? Połączyłeś się z technicznym?

Duncan wysoko uniósł słuchawkę telefonu.

– Słyszę tylko jakieś trzaski. Zdaje się, że lampy zakłócają w tej chwili łączność telefoniczną.

– Siostró Harris, proszę osobiście sprowadzić tutaj elektryka. Natychmiast – powiedział doktor Macleod. – Janet, siostró Yeom, Duncan odłączamy pacjentkę od systemów monitorujących i przenosimy ją do sali pooperacyjnej.

Siostra Harris podeszła do podwójnych drzwi prowadzących na zewnątrz, ale kiedy je pchnęła, nawet się nie poruszyły. Naparła na nie jeszcze raz, znacznie mocniej, ale także nie zareagowały. Podeszedł doktor Bhaduri i z całej siły pchnął drzwi ramieniem. Bez skutku. Przy drugiej próbie praktycznie się na nie rzucił; krzyknął z bólu, zderzwszy się z twardym drewnem. Następnie trzykrotnie kopnął w drzwi, lecz nie zdołał ich otworzyć.

– Jakby ktoś je zamknął na klucz. Ale w tych drzwiach nie ma zamka, w którym można by przekręcić klucz.

Macleod już miał obejść dookoła stół operacyjny, aby pomóc Bhaduriemu, lecz nagle zdał sobie sprawę, że w kącie sali wiruje jakiś dziwny cień. Zatrzymał się w pół kroku i ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w ten cień w migoczącym zielonym świetle. W pierwszej chwili odniósł wrażenie, że to dym, cień jednak stopniowo zaczął się układać w sylwetkę człowieka. Doktor Macleod dotknął ramienia doktor Symonds, aby zwrócić jej uwagę na to osobliwe zjawisko.

W ciągu kilku sekund wirujący cień zamienił się w istotę, która wyglądała jak zakapturzona kobieta w długim płaszczu, mimo że kontur postaci wciąż nie był ostry,

a płaszcz był na tyle przezroczysty, że wciąż można było dostrzec białą metalową szafkę w kącie za plecami wirującej postaci.

Kobieta uniosła dymiącą lewą rękę, jakby celując nią w Susan Nicholls, która wciąż spała na stole operacyjnym. Susan drgnęła. Jej ręce podskoczyły i niespodziewanie dziewczyna zaczęła dygotać od głowy po stopy. Nagle – tak jakby ktoś niewidzialny chwycił ją za ramiona i podparł od tyłu – usiadła.

Janet Horrocks zrobiła krok w jej kierunku, kierowana obawą, że Susan zechce zejść ze stołu operacyjnego i zrobi sobie krzywdę, ale doktor Macleod ją powstrzymał.

– Poczekaj... Nie wiem, co się tutaj dzieje, Janet, ale poczekaj.

Duncan powoli wstał i wbił spojrzenie w upiorną postać w kącie.

– Doktorze...

– Poczekaj, Duncan.

Macleod odniósł wrażenie, że cały świat, jaki do tej pory znał, rozpada się na drobne kawałki. Zazwyczaj był człowiekiem spokojnym, racjonalnym i systematycznym: musiał być taki, bo wymagało tego dobro pacjentek. Jednak to, czego był teraz świadkiem w sali, w której jeszcze przed chwilą zamierzał przeprowadzić operację – migotanie zielonych świateł, tajemnicza blokada drzwi, sposób, w jaki Susan Nicholls usiadła na stole – zakrawało przecież na szaleństwo. I chociaż postrzegał to jako szaleństwo, jego logiczny umysł podpowiadał mu, że nic się nie dzieje bez powodu i że wszyscy obecni w tej sali powinni powstrzymać się od wszelkich gwałtownych reakcji, żeby rozpoznać przyczynę niesamowitych zdarzeń.

Susan otworzyła oczy. Odwróciła głowę w kierunku doktora Macleoda. Pogardliwie wydeła wargi.

– Ani się waż mnie dotknąć – powiedziała chrapliwie. – Nie otworzysz mnie.

Doktor Macleod zrobił krok w jej kierunku.

– Susan?

– Precz ode mnie! Odejdź! I odłóż ten skalpel.

– Kto to mówi, Susan? Przecież nie ty, prawda?

– Nie otworzysz mi brzucha. Jeżeli spróbujesz mnie otworzyć i będziesz chciał się dobrać do mojego piskłęcia, będziesz tego żałował do końca swoich dni.

– Jeszcze raz cię zapytam, Susan. Kto każe ci to mówić? – Wskazał mroczną postać w kącie sali operacyjnej. – Ona?

Susan nie odpowiedziała. Po kilku sekundach opadła z powrotem na stół operacyjny – ostrożnie, jakby wspierał ją jakiś niewidzialny pomocnik.

Kiedy tylko położyła się na plecach i zamknęła oczy, powietrze przeszły przenikliwy trzask i wszystkie lampy w jednej chwili popękały, rozpryskując się na setki drobnych szkiełek. Na kilka sekund pomieszczenie pogrążyło się w absolutnych ciemnościach. Siostra Harris krzyknęła.

Wkrótce zapaliły się światła awaryjne. Kiedy to się stało, sala wyglądała tak normalnie, że niemal zaszokowało to wszystkie osoby, które się w niej znajdowały. Mroczna postać w kapturze zniknęła, a Susan Nicholls wciąż leżała z zamkniętymi oczami, oddychając cicho i spokojnie. Jedynym dowodem na to, że przed chwilą

zdarzyło się tutaj coś niezwykłego, były rozrzucone wszędzie okruchy szkła ze stłuczonych lamp.

Doktor Macleod i wszyscy inni popatrzyli po sobie nawzajem, skonsternowani i oniemiaли.

W końcu doktor Symonds wyszeptała:

– O mój Boże... O Boże. Co to było? Ja wciąż się trzęsę.

– Nie wiem, co to było. Może jakaś halucynacja?

– Jaka halucynacja, skoro wszyscy widzieliśmy to samo?

– A może zobaczyliśmy ducha? – zasugerował Bhaduri. – Ducha osoby, która umarła, lecz nie zdołała opuścić Ziemi. Moja babcia czasami opowiadała mi o takich zjawach.

– Cokolwiek się tu zdarzyło, ta biedna młoda kobieta wciąż ma w sobie to, co chcieliśmy z niej wyjąć – zauważyła doktor Symonds. – Jak ona to nazwała? Chyba „pisklę”? Nie możemy tego w niej zostawić, prawda? Kto może wiedzieć, jaką krzywdę jej zrobi, kiedy się powiększy?

Doktor Macleod przyłożył dłoń do ust. Nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Doktor Symonds miała rację: nie można było zostawić obcego stwora w macicy Susan Nicholls, i to nie tylko dla dobra jej samej, ale także dla dobra tej nieszczęsnej istoty. Należało natychmiast przystąpić do zabiegu i niczego się nie obawiać. W końcu doktor Macleod w swojej karierze usuwał płody znacznie mniej zniekształcone niż ten, a jego śliczna twarz nie była żadnym argumentem przemawiającym za tym, żeby takiemu potworowi pozwolić żyć.

Nie potrafił jednak odsunąć od siebie myśli o groźbie, którą usłyszał, wyrażonej albo przez Susan Nicholls, albo przez przemawiającą poprzez nią zakapturzoną zjawę. „Jeżeli spróbujesz mnie otworzyć i będziesz chciał się dobrać do mojego pisklęcia, będziesz tego żałował do końca swoich dni”.

Jerry i Dżamila siedzieli już od godziny w poczekalni, kiedy zadzwonił telefon Dżamili. Gemma Bright chciała ją poinformować, że inżynierowie z Crane's Drains zakończyli już oględziny kanału ściekowego od Peckham High Road do południowego skraju bryły tłuszczu.

Inżynierowie uznali, że kanał jest bezpieczny i policyjni technicy mogą do niego zejść, żeby przeprowadzić badania, które uznają za konieczne. Oświetlenie ledowe działało bez zakłóceń i wszystkie lampy świeciły białym światłem. Poziom metanu i siarkowodoru mieścił się w granicach bezpieczeństwa. Pod ziemią nie wiał żaden tajemniczy wiatr, nie było też słychać żadnych odgłosów, których pochodzenia nie można by wyjaśnić. Nie wykryto także żadnych uszkodzeń w konstrukcji kanału, które mogłyby grozić jego zawaleniem.

Inżynierom kategorycznie zabroniono zagłębiać się w bryłę tłuszczu. Nie wolno im też było przemieszczać żadnych przedmiotów, nawet tych, które wydawałyby się im dziwne, dlatego nie próbowali szukać odciętej ręki ani nie podnosili kluczy, wciąż zalegających w ściekach na dnie kanału. Oświetlili silnymi lampami przestrzeń pomiędzy zatorem a sufitem kanału, ale nie dostrzegli tam nic nadzwyczajnego, jedynie otłuszczone cegły i skrawki papieru toaletowego.

Dżamila zatelefonowała więc do laboratorium kryminalistycznego przy Lambeth Road i powiedziała, że można już wysłać ekipę do kanałów.

– Prawdopodobnie pojadą tam jutro rano – poinformowała Jerry'ego.

– Dobrze, że to oni tam zejdą, a nie ja, pani sierżant. Do końca życia nie zejdem już do żadnego kanału ściekowego. – Popatrzył na zegarek. – Co robimy? Poczekamy jeszcze czy skończymy na dzisiaj?

– Myślałam, że cholernie ci zależy na uzyskaniu informacji o tym nadzwyczajnym płodzie.

– To prawda, ale jestem głodny jak pies. Mój żołądek jest gotów uznać, że ktoś poderznął mi gardło i dlatego nic nie jem.

– Przecież mówiłam ci, żebyś zjadł porządne śniadanie.

– Gdyby nie skończył mi się w domu bekon, zjadłbym jajka na bekonie, pod warunkiem że nie skończyłyby mi się jajka. Dysponowałem jedynie kilkoma czerstwymi herbatnikami.

– Poczekajmy jeszcze dziesięć minut. Muszę przyznać, że ja także chciałabym się dowiedzieć, o co chodzi z tym płodem.

Jerry właśnie sięgał po egzemplarz „Country Life”, gdy do poczekalni wszedł profesor Karounis. Ubrany był w ciemnozielony trzyczęściowy garnitur, na szyi miał pomarańczowy krawat i mocno pachniał wodą po goleniu od Christiana Diora. Jerry odgadł, że wrócił z jakiejś narady, która odbyła się poza terenem szpitala.

– Państwo są z policji? Pozwólcie, że się przedstawię. Nazywam się Barak

Karounis i jestem dyrektorem Centrum Medycznego Warren BirthWell.

– Dzień dobry panu. Jestem detektyw sierżant Patel, a to jest detektyw posterunkowy Pardoe. Poinformowano nas, że zawiadomił pan policję o raczej nietypowym problemie medycznym i że wcześniej rozmawiało z panem dwoje funkcjonariuszy z Walworth.

– Zgadza się. Powiedzieli nam, że przekażą sprawę specjalistom, i zakładam, że właśnie was mieli na myśli. Jeżeli zechcecie państwo przejść do mojego gabinetu, przekażę wam trochę więcej szczegółów. Muszę jednak od razu zaznaczyć, że przez minione pół godziny sytuacja przestała być jedynie nietypowa. Mówiąc szczerze, stała się krytyczna.

Profesor Karounis poprowadził policjantów do gabinetu. Był tam już doktor Macleod. Siedział na krześle przed biurkiem profesora. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, ponieważ zaledwie przed minutą ściągnął z głowy czepek chirurgiczny. Błady i roztrzęsiony był wyraźnie w kiepskiej formie.

– Proszę, usiądźcie państwo – powiedział Karounis do policjantów. – To jest doktor Macleod, nasz specjalista w zakresie medycyny matczyno-płodowej. On najlepiej wyjaśni, co się wydarzyło.

Macleod skinął głową Dżamili i Jerry’emu, po czym pochylił się, splatając dłonie na kolanach. Kiedy mówił, nie patrzył na nich – wpatrywał się w dywan i od czasu do czasu rozglądał się po ścianach. Jego postawa i sposób wysławiania się podpowiedziały Jerry’emu, że mężczyzna jest w szoku. Zachowywał się jak świadek śmiertelnego wypadku samochodowego, który wciąż nie potrafił uwierzyć w to, co przed chwilą widział.

– Zakładam, że wiedzą państwu o zdeformowanym płodzie, o tym, że zniknął, aby wkrótce pojawić się w macicy kolejnej pacjentki.

– Tak, wiemy – odpowiedziała Dżamila. – Widzieliśmy również zdjęcia. Nie wiemy jednak, co o tym myśleć. To jakaś nadzwyczajna zagadka.

– Nadzwyczajna? Osobiście użyłbym o wiele mocniejszych słów, pani detektyw. Próbowaliśmy przeprowadzić aborcję, ponieważ ten płód stanowił zagrożenie dla zdrowia fizycznego i psychicznego naszej pacjentki, pani Susan Nicholls. Niedawno poroniła, i to na późnym etapie ciąży.

Macleod umilkł i oblizał wargi, jakby zaschło mu w ustach.

– Powiedział pan: „próbowaliśmy” – odezwał się Jerry. – Czyżby więc zabieg nie przebiegł zgodnie z założeniem?

– Jeżeli to jest sugestia, że go nie dokończyłem, to ma pan absolutną rację. Bardzo trudno mi opisać, co się wydarzyło, ponieważ nigdy wcześniej niczego podobnego nie doświadczyłem. Gdybym nie miał sześciorga świadków, dwojga asystujących mi lekarzy położników, anestezjologa, położnej i dwóch pielęgniarek, skłonny byłbym uwierzyć, że miałem jakieś nagłe załamanie psychiczne.

– Bardzo prosimy, doktorze, niech nam pan o tym opowie – zachęciła go Dżamila.

– Kiedy wykonałem pierwsze cięcie, zaczęły migotać lampy nad stołem operacyjnym, z każdą chwilą szybciej. W pierwszej chwili pomyślałem, że doszło do zwarcia instalacji elektrycznej, ale lampy wkrótce zaczęły świecić zielonym światłem.

Nie mam najmniejszego pojęcia, jak to się mogło stać.

– Zielonym? – zapytał Jerry trochę zbyt gwałtownie.

Zerknął pośpiesznie na Dżamilę, a ta spojrzała na niego. W jej oczach zobaczył błysk, który na własny użytek określał spojrzeniem „o cholera”, bo Dżamila nigdy nie używała podobnych słów.

– Tak, to było takie jasnozielone światło... I wciąż migotało. Potem w kącie sali operacyjnej zjawiała się kobieta. Właściwie powinienem powiedzieć „zmaterializowała się”. Początkowo wyglądała tak, jakby składała się wyłącznie z dymu. Była przejrzysta nawet wtedy, kiedy przyjęła konkretne, wyraźne kształty.

– Jak wyglądała? Mam na myśli jej twarz. Byłby pan w stanie pomóc nam w stworzeniu portretu pamięciowego?

– Nie. Nie widziałem jej twarzy. Miała na sobie płaszcz z wysokim, spiczastym kapturem, który zasłaniał jej twarz. Jak już powiedziałem, była częściowo przejrzysta.

– Skoro nie widział pan twarzy, a sama postać była w zasadzie niematerialna, to skąd pan wie, że chodzi o kobietę? – zapytała Dżamila.

– Wywnioskowałem to z jej sylwetki i sposobu poruszania się. Jak na kobietę była bardzo wysoka, ale miała zdecydowanie niemęskie ramiona, a kiedy wyciągnęła przed siebie rękę, odebrałem ten ruch jako bardzo kobiecy. Owszem, to mógł być mężczyzna, ale tam, w sali operacyjnej, z jakiegoś powodu nie miałem cienia wątpliwości co do tego, że to jest kobieta.

– Widziały ją wszystkie pozostałe osoby, które tam przebywały?

– Tak. I wszyscy zgodzili się ze mną, że to była kobieta.

– Niech mi pan powie, doktorze, jakim sposobem ta kobieta mogła, jak pan to ujął, zmaterializować się w sali operacyjnej? Dopuszcza pan myśl, że to było złudzenie wywołane grą światła? Skoro lampy zaczęły migotać i zmieniły barwę na zieloną, może kobieta, którą zobaczyliście, była tylko iluzją optyczną?

Doktor Macleod wciąż wpatrywał się w dywan, ale stanowczo pokręcił głową i odparł:

– Nie. Nie mogę jej określić jako postaci z krwi i kości, ale ona naprawdę tam była. Przypuszczam, że mógł to być hologram, lecz przecież do odtworzenia hologramu potrzebny jest rzutnik, prawda? Dym mógł działać jako ekran dla hologramu, ale skąd ten dym się wziął, jeżeli to w ogóle był dym? Niezależnie od tego, jaka materia się na nią składała, ta kobieta wiła się i obracała, lecz nie rozproszyła się w taki sposób, w jaki rozprasza się dym.

– Powiedział mi pan, doktorze, że pacjentka w pewnej chwili usiadła i przemówiła, prawda? – wtrącił Karounis. – Mówił pan, że zakazała panu kontynuować operację, zabroniła panu usunąć płód.

– Tak. Powiedziała, że jeśli przeprowadzę aborcję, będę tego żałował do końca życia. Nazwała płód „moim pisklęciem”... Zabrzmiało to tak, jakby uważała się za zastępczą matkę.

– A więc ten płód wciąż się znajduje w brzuchu Susan Nicholls? – zapytał Jerry. – Co się stanie, jeżeli nie usunie pan ciąży i pozwoli temu płodowi się rozwijać?

– To absolutnie nie wchodzi w grę. Przecież już w tej chwili mamy do czynienia

z monstrem. Jeden Bóg wie, w co się przekształci, jeżeli przetrwa całą ciążę.

– Czy nie odczuwa pan obaw w związku z groźbą pacjentki?

– Nie bardzo sobie wyobrażam, co mogłaby mi zrobić... albo co mogłaby mi zrobić ta zakapturzona kobieta. Mam wrażenie, że to właśnie ona do mnie przemawiała, kobieta w kapturze, wykorzystując Susan Nicholls, tak jak bruchomówcy używają lalek. Lecz nawet jeśli istnieje naprawdę i nie jest halucynacją, jaka materia się na nią składa? Musiała się uformować z ektoplazmy, tak jak to było w przypadku duchów wywoływanych przez media w czasach wiktoriańskich. A ektoplazma nie może mi zrobić krzywdy, prawda? – Doktor Macleod uniósł głowę i dodał: – Kiedy tylko przygotujemy salę operacyjną numer dwa i upewnię się, że Susan Nicholls jest w stanie znieść kolejne znieczulenie ogólne, będę operować.

– Co robi pan z płodem? – zapytała Dżamila. – Ostatnim razem pozwolił mu pan żyć i proszę, co się narobiło.

– Właśnie. I jest to jedna z przyczyn, które skłoniły mnie do poinformowania policji o całej sytuacji – odezwał się profesor Karounis. – Czy w świetle prawa ten płód jest ludzką istotą, czy nią nie jest? Nie jesteśmy w stanie ustalić, kiedy pojawił się w łonie pani Oduwole. Przerwała ciążę w kwietniu, zatem na pewno nie jest to bliźniak, który przetrwał aborcję. Zresztą coś takiego zdarza się na świecie raz na kilka milionów przypadków. Pani Oduwole poinformowała nas, że po aborcji nie odbywała stosunków seksualnych, ale jeżeli nie powiedziała nam prawdy, płód może mieć więcej niż dwadzieścia cztery tygodnie, a ten okres stanowi określoną przez prawo granicę dopuszczalności przeprowadzania aborcji.

– Oczywiście skonsultujemy to z prawnikami – powiedziała Dżamila. – Jak można jednak sądzić po fotografii, którą obejrzelśmy, jest bardzo mało prawdopodobne, aby terminacja ciąży wiązała się z jakimiś reperkusjami wobec lekarzy.

Profesor Karounis popatrzył na Macleoda.

– A zatem, Stuart, masz zielone światło. Możesz przystąpić do pracy.

– A skoro już mówimy o zielonych światłach, doktorze Macleod – odezwała się Dżamila – to radzę, aby po przeprowadzeniu tego zabiegu jednak pan na siebie uważał.

– Nie bardzo rozumiem, pani detektyw. Chyba nie sugeruje pani, że powinienem potraktować te groźby poważnie? Jak mówiłem, nie widzę możliwości, by mogła ją spełnić.

– Powiem panu tylko tyle, że policja bada niedawne incydenty, być może powiązane z tym, co zaszło w sali operacyjnej. Chodzi o tę kobietę w kapturze i światła, które nagle zmieniają barwę na zieloną. Nie mogę w tej chwili stwierdzić z całą pewnością, czy te sprawy rzeczywiście się łączą. Być może nie zachodzi pomiędzy nimi żaden związek. Mimo to sugerowałabym, aby miał pan uszy i oczy szeroko otwarte na wszelkie nadzwyczajne zjawiska.

– Jakie zjawiska?

– Takie jak na przykład kobieta w kapturze, która nagle pojawia się znikąd – odpowiedział Jerry. – Gdybym to ja ją zobaczył, pewnie narobiłbym pod siebie.

Kiedy jechali samochodem z powrotem do Peckham, Dżamila powiedziała:

– Ten lekarz mówił prawdę. I Martin Elliot również.

– Rzeczywiście, też tak pomyślałem. Wyznam ci coś jednak w sekrecie: czułbym się o wiele lepiej, gdyby ci dwaj to wszystko zmyślili.

– Nie tylko ty, Jerry. Kiedy zobaczyłam zdjęcie tego płodu, natychmiast zaczęłam się zastanawiać, czy ma on jakiś związek ze zdeformowanymi dziećmi, które zaatakowały Martina Elliota, Gemmę Bright i ich współpracowników. Po tym, co dzisiaj usłyszeliśmy, muszę przyznać, że to jest całkiem możliwe. Co o tym myślisz?

– Sam nie wiem. Im więcej poznajemy szczegółów, tym bardziej to wszystko wydaje się zwariowane.

– Kiedy to my zesliśmy do kanału, nie zobaczyliśmy ani dzieci, ani kobiety w kapturze. Słyszeliśmy jednak potworne jęki, czuliśmy ten silny podmuch i rzucono w nas kluczami. No i oczywiście światła zmieniły kolor na zielony. Trudno mi uwierzyć, że to przypadek.

– Cóż, zgadzam się z tobą. Obaj, Martin Elliot i doktor Macleod, widzieli zakapturzoną kobietę oświetloną zielonym światłem. Najbardziej istotna różnica pomiędzy tymi spotkaniami jest chyba taka, że kobieta nie odcięła Macleodowi nóg ani nie wydlubała mu oczu. Nasz doktor powinien za to dziękować Bogu.

Minęli pub Crooked Well i zatrzymali się przed czerwonymi światłami na skrzyżowaniu z Peckham Road. Przez długą chwilę oboje milczeli. Ciszę przerwała Dżamila.

– Jedno słowo szczególnie przykuło moją uwagę – powiedziała. – Wiesz oczywiście, że takie sytuacje zdarzają się w naszej robocie? Przesłuchujesz podejrzanego, a on nagle wypowiada jedno słowo, które jest kluczem do rozwiązania sprawy, nawet jeżeli w pierwszej chwili sobie tego nie uświadamiasz.

– Jasne. Wiem, o co ci chodzi. Ale jakie to jest słowo w tym przypadku?

– „Pisklę”. Ono zasugerowało mi, że płód ma taką opiekę, jaką ptasia matka sprawuje nad swoimi nieopierzonymi pisklakami. Nie musi samodzielnie walczyć o przetrwanie, w przeciwieństwie chociażby do chrząszcza, który próbuje uciekać, kiedy czuje, że ktoś chce na niego nadepnąć.

– I sądzisz, że jego opiekunką jest kobieta zrodzona z dymu?

– Przecież doktor Macleod odczuł bardzo mocno, że to nie pacjentka przestrzega go przed kontynuowaniem zabiegu, ale właśnie ta kobieta. Pamiętaj, że Susan Nicholls była pod narkozą, a jednak zdołała usiąść i przemówić.

– No, nie wiem – rzekł Jerry. Światła zmieniły się na zielone i skręcił w prawo, w Peckham Road. – To wszystko nie jest po prostu szalone, ale szalone podwójnie. Potrójnie. Szalone do nieskończonej potęgi.

Kiedy tylko wjechali w zakręt, Dżamila dotknęła jego ramienia i powiedziała:

– Popatrz. Tam, na rogu.

– Trzymaj się! – zawołał Jerry, ponieważ jadąca przed nimi furgonetka gwałtownie zahamowała.

Przed jej maską przebiegł włochaty czarny kundel. Pędził po mokrym asfalcie,

jakby ściagały go wszystkie demony tego świata.

– Co za sprint. Chętnie postawiłbym na tego psiaka na wyścigach.

– Nie o niego chodzi. Popatrz – powiedziała Dżamila. – O tam, w drzwiach.

Jerry spojrział we wskazanym kierunku i zobaczył pięcioro dzieci zgromadzonych w wejściu do sklepu Elite Shoes. Dwoje z nich było dość wysokich, miało dziesięć lub jedenaście lat. Pozostała trójka była znacznie niższego wzrostu. Wszystkie jednak były w jakiś sposób zdeformowane. Jedno z najmniejszych dzieci miało nienaturalnie dużą głowę, jakby cierpiało na wielkogłowie, a lewe ramię najstarszego położone było znacznie wyżej od prawego i wystawało z barku pod ostrym kątem.

Najbardziej jednak Jerry'ego zaskoczyło to, że dzieci miały na sobie jedynie brudne koszule nocne. Były bose, mimo że siąpił nieprzyjemny deszcz, a temperatura powietrza nie mogła być wyższa niż osiem albo dziewięć stopni.

– Zatrzymaj się – powiedziała Dżamila.

Jerry nie czekał na jej polecenie i już wcześniej włączył światła awaryjne, po czym zaczął skręcać w kierunku krawężnika. Zatrzymał samochód, oboje pośpiesznie wysiedli i przebiegli przez ulicę. Dżamila uniosła wysoko rękę, zatrzymując ruch pojazdów, który zagrażał ich bezpieczeństwu.

Kiedy jednak dotarli do chodnika, piątka dzieci rzuciła się do biegu i skręciła w najbliższą przecnicę, w Grove Lane. Policjanci ruszyli za nimi, ale kiedy dobiegli do skrzyżowania, już ich nie zobaczyli. Ulica była mokra, od nawierzchni odbijały się światła lamp, lecz ujrzeni tam tylko dwa samochody, których kierowcy czekali na zmianę świateł, i starszą kobietę ciągnącą wózek z zakupami. Po dzieciach nie było żadnego śladu, mimo że nie mogły się ukryć na długim odcinku ulicy – nie było tam żadnych sklepów, ogrodów przed domami ani bocznych alejek.

Jerry zatrzymał się, a Dżamila po chwili do niego dołączyła. Oboje ciężko oddychali.

– Dokąd one pobiegły, Jerry? Przecież nie mogły rozplynać się w powietrzu, to niemożliwe.

Przeszli kawałek dalej i znowu przystanęli.

– To nie ma sensu. Dokądkolwiek te dzieciaki uciekły, nie damy rady ich znaleźć – powiedział Jerry.

– Ale dlaczego one w ogóle uciekały? Przecież były mokre, przemarznięte, zabiedzone, nie miały nawet butów na nogach. Wyglądały tak, jakby potrzebowały pomocy.

– Myślę, że wiedziały, kim jesteśmy, i dlatego uciekły.

– A niby w jaki sposób nas rozpoznały? Przecież nie mamy na sobie mundurów policyjnych.

– Cóż, przede wszystkim, należy zadać sobie pytanie, co one robiły przed tym sklepem? Wszystkie patrzyły w naszym kierunku, prawda? Wyglądało to tak, jakby nas obserwowały. Śledziły nas wzrokiem, żeby sprawdzić, co robimy.

– To śmieszne.

– Wiem, ale czy przyjrzałaś się tym dzieciom? Wszystkie były ułomne, tak jak dzieci, które porwały Martina Elliota. Jedno wyglądało dokładnie tak jak dziecko

z rysunku Gemmy Bright, to z cholernie wielką głową.

Zawrócili, przeszli przez jezdnię i wsiedli do samochodu.

– Co teraz? – zapytał Jerry.

– Nie wiem. Możemy wysłać grupę mundurowych na poszukiwania, ale obawiam się, że to nic nie da. Stracilibyśmy tylko czas i pieniądze.

Jerry włączył silnik, ale zanim ruszył, Dżamila zapytała:

– Widziałeś film *Trzeci człowiek*?

– Słyszałem o nim, ale nigdy go nie oglądałem. Grał w nim Orson Welles, prawda?

– Właśnie. Welles grał Harry'ego Lime'a, który krótko po drugiej wojnie światowej handluje w Wiedniu lekarstwami. Lime jest śledzony, ale zawsze potrafi zniknąć ludziom, którzy depczą mu po piętach. Pstryk, i już go nie ma! A znika zawsze w kanałach ściekowych i tam w końcu zostaje złapany.

– Mam złe przeczucia – powiedział Jerry. – Złe, okropne przeczucia, że jeszcze wiele razy będziemy musieli schodzić do tych wstrętnych, śmierdzących ścieków, zanim zrozumiemy, co się dzieje, do cholery. Moja siostra często mi powtarzała, że pewnego dnia skończę w gównie. Nie przypuszczałem, że wcale nie była daleka od prawdy.

Następnego dnia rano, zaledwie pięć minut po pojawieniu się na komisariacie, Dżamila odebrała telefon od Glynis, sekretarki doktora Macleoda.

– Doktor poprosił mnie, żebym pani przekazała, że postanowił opóźnić drugą próbę operowania Susan Nicholls. Pacjentka po wczorajszej narkozie wciąż ma bardzo wysokie ciśnienie. Niewykluczone, że doktor podejmie próbę jeszcze dzisiaj, ale trochę później, jeśli jej stan ulegnie poprawie.

– Rozumiem. Proszę mnie jednak natychmiast poinformować, kiedy decyzja zapadnie. Chciałabym wtedy być w pobliżu. Tak na wszelki wypadek.

Dżamila usiadła i zdjęła pokrywkę z cappuccino, które przyniosła ze Starbucksa. W nocy przespała tylko dwie godziny, ponieważ nie mogła przestać myśleć o zdeformowanych dzieciach, które ona i Jerry widzieli na ulicy, ani o zakapturzonej kobiecie, która wyłoniła się z dymu w sali operacyjnej, a którą tak dokładnie opisał doktor Macleod.

Najbardziej niepokoiło ją to, że zakapturzona kobieta pasowała do historii, które kiedyś w Peszawarze opowiadała jej babcia, do historii o czarownicach zwanych ćurelami. Były to duchy kobiet, które zmarły w ciąży albo podczas porodu i później powstawały z grobów, aby prześladować tych, którzy przyczynili się do ich śmierci i do śmierci ich dzieci.

Ćurele potrafiły zmieniać postać. Czasami ukazywały się jako zwierzęta albo jako piękne młode dziewczęta w białych sukniach, ale kiedy indziej objawiały się jako ohydne wiedźmy z twarzami ukrytymi za długimi zmierzwionymi włosami. Niekiedy materializowały się również jako smugi czarnego dymu.

Tak czy owak, powiedziała sobie, były to tylko baśnie. Miała owarty umysł i akceptowała istnienie dziwnych zjawisk, których nie da się racjonalnie wyjaśnić, ale była również funkcjonariuszem policji i przede wszystkim polegała na niezbitych dowodach, niezależnie od tego, jak niesamowite i osobliwe wydawałyby się na pierwszy rzut oka.

W drzwiach stanął Jerry, równie zmęczony jak Dżamila. W jednej ręce trzymał nadgryzioną kanapkę z kurczakiem i grzybami, a w drugiej egzemplarz „Expressu”. Na stojaku za drzwiami powiesił płaszcz przeciwdeszczowy, a potem ciężko usiadł na krześle naprzeciw Dżamili i powiedział:

– Cholera jasna. Pieprzone koszmary. Miałem sen, że kupiłem rybę z frytkami, a kiedy otworzyłem torebkę, na frytkach leżał ten płód i na mnie patrzył. Po chwili wyskoczył z niej na podłogę i gdzieś pobiegł.

Dżamila pokiwała głową ze współczuciem.

– Ja też prawie nie spałam w nocy.

– Wcale ci się nie dziwię. Wciąż nie potrafię tego wszystkiego ogarnąć. Na przykład po co ktoś to robi? Przecież nawet za najbardziej dziwnym

przestępstwem kryje się jakiś motyw. Pamiętam pewnego geja, który zabił męża, bo ten bezustannie wkładał drewniane łyżki do zmywarki.

– W tej chwili chyba nie motyw jest najważniejszy, Jerry, ale to, żebyśmy zrozumieli, co właściwie się dzieje. Na pewno w niczym nam to nie pomoże, jeżeli z góry potraktujemy ostatnie wydarzenia jako nadprzyrodzone. Nie możemy do nich podejść w ten sposób, zanim wykluczemy wszelkie inne możliwości. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że to, co widzieliśmy w kanale ściekowym, ten płód i dzieci na ulicy, to wszystko jest w jakiś sposób powiązane. I wydaje mi się, że kluczem do rozwiązania zagadki są ścieki.

– Masz więc jakąś teorię?

– Oczywiście będziemy musieli jeszcze poczekać na ekspertyzy lekarzy sądowych, ale nie zdziwię się, jeżeli wkrótce się dowiemy, że w kanałach pojawiły się jakieś związki chemiczne, które spowodowały uwalnianie się gazu toksycznego, na przykład takiego jak w Bhopalu w Indiach w grudniu 1984 roku. Katastrofa nastąpiła wówczas po przedostaniu się do atmosfery izocyjanianu metylu z fabryki pestycydów, ale u nas może to być unoszący się w powietrzu talidomid, który straszliwie deformuje nienarodzone dzieci. Po tamtych wydarzeniach w Bhopalu i okolicach urodziło się mnóstwo martwych dzieci, a te, które przeżyły poród, miały niedorozwinięty układ mięśniowy, kostny i uszkodzenia mózgu. Może gaz, z którym teraz mamy do czynienia, wywołuje również masowe halucynacje. Dowodem niech będzie chociażby ta zakapturzona kobieta, którą, jak twierdzą, widzieli Martin Elliot i doktor Macleod.

– To jest chyba możliwe. Jednak halucynacja nie może przeciągnąć człowieka ponad kilometr przez kanał ściekowy, a potem odciąć mu nóg i wydłubać oczu.

– Oczywiście, że nie może. Ale to może być sprawka realnie istniejącej osoby, którą oszołomiony Martin Elliot uznał za zjawę.

– Cóż, takie założenie można przyjąć. Ale kanał ściekowy to jedno, a inna sprawa, to jak ten gaz przedostał się do sali operacyjnej w BirthWell i wywołał halucynacje również u doktora Macleoda.

– Nie mam pojęcia, Jerry. Wysuwam jedynie kolejne teorie. Wychowałam się na opowieściach o demonach i złych duchach, więc wiem, że są one głównie wymówką dla ludzkiego okrucieństwa, niedbalstwa i zuchwalstwa. To nie duchy zabiły w Bhopalu szesnaście tysięcy niewinnych ludzi. Zabiła ich bezmyślność innych ludzi, którzy wypuścili do atmosfery chmurę izocyjanianu metylu.

– A klucze? Jak wyjaśnisz rzucanie kluczami?

Rozległ się dźwięk zapowiadający Dżamili rozmowę przez Skype'a, więc pochyliła się nad laptopem. Na ekranie pojawiła się twarz detektywa posterunkowego O'Briena. Siedział za biurkiem w koszuli z krótkim rękawem. Za jego plecami stał detektyw nadinspektor Walters. Rozmawiał przez telefon i wymachiwał ręką uzbrojoną w długopis, jakby dyrygował chórem kościelnym.

– Detektyw sierżant Patel? Dzień dobry. Detektyw Pardoe powiedział mi wczoraj, że wydarzenia w BirthWell nie do końca potoczyły się zgodnie z planem.

– Rzeczywiście. Nie potoczyły się. Powiedział panu dlaczego?

– W każdym razie nie ze szczegółami. Dowiedziałem się tylko tyle, że lekarz

musiał wstrzymać operację.

Dżamila zerknęła z ukosa na Jerry'ego, który kolejny raz ugryzł kanapkę i miał teraz pełne usta. W duchu ucieszyła się, że nie wyjawiał O'Brienowi, że wykonanie cięcia cesarskiego u Susan Nicholls uniemożliwiło pojawienie się ducha. Po zakończeniu przez Dżamilę i Jerry'ego pierwszego wspólnego śledztwa, kiedy to musieli się zmierzyć z zakażonymi ubraniami, które wydawały się żyć własnym życiem, część kolegów z policji wciąż uważała ich oboje za lekko zwariowanych. I to dlatego kolejną sprawę, z którą wiązały się jakieś niewytłumaczalne zjawiska, przydzielono właśnie im – Dżamila była tego pewna. Nikt inny nie zamierzał kłaść sobie życiorysu i tracić wielu tygodni na ściganie płodu o ośmiu nogach i zakapturzonych postaci zrodzonych z dymu.

– Zatem jak mogę ci pomóc? – zwróciła się Dżamila do O'Briena.

– Bardzo ci się to spodoba. Otrzymaliśmy właśnie informacje o dwóch kolejnych przypadkach. Z komisariatu w Streatham i z Camberwell.

– Jakich dwóch przypadkach?

– Chodzi o dwa kolejne płody. Niedokładnie takie same jak ten, który jest w BirthWell, ale dość podobne.

– Mówisz poważnie? Skąd się wzięły?

– Jeden z nich wyszedł z brzucha młodej Pakistanki. Wygląda na to, że próbowała sama sobie zrobić cesarskie cięcie, żeby się go pozbyć. Dziewczyna wciąż żyje, ale leży w krytycznym stanie na OIOM-ie w King's College Hospital. W ten drugi płód aż się nie chce wierzyć, szczerze mówiąc. Młoda biała kobieta utrzymuje, że zabił jej kota, a potem próbował wleźć do jej pochwy. Na szczęście jej chłopak był w domu i go wyciągnął.

– Zabił jej kota? – zawołał Jerry. – Jaja sobie z nas robisz?

– Ona tak powiedziała.

– Jak się czuje ta kobieta? – zapytała Dżamila.

– Oczywiście jest roztrzęsiona, ale nie stwierdzono u niej poważnych obrażeń.

– Gdzie są teraz te płody?

O'Brien pokazał fotografię istoty podobnej do wiewiórki, która wyszła z ciała Dżoi, a następnie kolejną, przedstawiającą niebieskooki płód, który Mick zdołał wyciągnąć z Jenny.

– O Boże – jęknęła Dżamila. – Nie powiesz chyba, że wciąż żyją? Gdzie się teraz znajdują?

– Oba przekazaliśmy do laboratorium medycyny sądowej w St George's Hospital. I owszem, z tego, co wiemy, te płody wciąż żyją i oddychają. Poprosiliśmy lekarza sądowego, doktora Poczomskiego, żeby im się przyjrzał. To nasz czołowy patolog, wykonuje nie tylko sekcje zwłok, ale bada również ofiary z poważnymi obrażeniami oraz poronione płody. Będzie w szpitalu około trzeciej. Podam wam numer jego telefonu na wypadek, gdybyście chcieli się z nim skontaktować.

Kiedy Dżamila wyłączyła Skype'a, Jerry ciężko westchnął.

– Totalne wariactwo. Kolejne dwa płody. Chyba masz rację i naprawdę gdzieś się ulotnił toksyczny gaz.

– Jeśli tak się stało, musimy się jak najszybciej dowiedzieć, co to za gaz. Być może niezbędna okaże się ewakuacja mieszkańców Peckham, ze szczególnym uwzględnieniem kobiet w ciąży. Na razie skontaktuję się z Lambeth i sprawdzę, jak postępuje praca naszych techników.

Dopiero po niecałych dziesięciu minutach Dżamili udało się połączyć z kompetentną osobą w laboratorium przy Lambeth Road, która mogła udzielić aktualnych informacji o pracy zespołu przydzielonego do zbadania kanału ściekowego pod Southampton Way. Laborantka mówiąca z silnym walijskim akcentem oznajmiła, że wysłano tam ośmioosobowy zespół. Niedawno jego członkowie przekazali wiadomość, że spodziewają się skończyć wstępne badania mniej więcej za godzinę.

– Dobrze – powiedziała Dżamila, skończywszy rozmowę telefoniczną. – Musimy się spotkać z technikami. A po południu pojedziemy do St George's i spotkamy się z tym doktorem Pośmiertnym, czy jak on się nazywa. Zobaczymy, co nam powie o tych płodach.

– W porządku. – Jerry przełknął ostatni kęs kanapki z kurczakiem i grzybami, po czym zatarł ręce. – Myślę, że to lepszy program działania niż bieganie po mieście za zdeformowanymi dzieciakami.

Zamierzali przejść pieszo z High Street na Southampton Street, ponieważ spacer nie mógł zająć im więcej niż dziesięć minut, ale niebo pociemniało niemal jak węgiel drzewny, a nad dachami budynków zaczęły tańczyć błyskawice wyładowań elektrycznych. Kiedy stanęli na progu komisariatu, niemal ogłuszył ich grzmot pioruna, który rozległ się dokładnie nad ich głowami. Lunał tak gwałtowny deszcz, że rynsztoki na ulicach w mgnieniu oka wypełniły się wodą, a z dachu budynku spływała ściana wody.

– Bogowie chyba są na coś źli – powiedział Jerry, kiedy wsiedli na parkingu do jego mondeo. – To prawdopodobnie przez Chelsea, które wczoraj wieczorem pokonało Arsenal cztery do jednego.

Skręcili w High Street, ale niemal natychmiast Jerry musiał zwolnić z powodu wlokącego się autobusu. Na przystanku – był gotowy przysiąc – zobaczył tego samego ponurego starego człowieka w brązowym tweedowym płaszczu, którego widział przy drzwiach King’s College Hospital, kiedy przyszedł tam z Dżamilą, żeby porozmawiać z Martinem Elliotem. Mężczyzna wpatrywał się w niego i zanim Jerry zdołał ruszyć za autobusem, posłał mu, podobnie jak w szpitalu, bezzębny uśmiech i poufale mrugnął okiem, jakby go znał.

– Chyba mam przywidzenia, pani sierżant – powiedział do Dżamili.

– W jakim sensie?

– Właśnie zobaczyłem tego samego starego dziada, którego widziałem wczoraj w szpitalu. Stał na przystanku autobusowym.

– Przypadek, Jerry. Albo to był po prostu ktoś podobny. Starzy ludzie bywają bardzo do siebie podobni. Wszyscy starcy w mojej wiosce wyglądają jak klony.

– Nie, to był ten sam facet.

– Jerry, nie ma żadnego prawa, które zabraniałoby starszemu jednemu dnia pójść do szpitala, a następnie czekać na autobus na przystanku.

– Wiem. Ale w tej chwili ocieramy się o świat dziwactw, prawda?

Deszcz był już tak gęsty, że Jerry całą Peckham Road musiał przejechać z wycieraczkami pracującymi z największą intensywnością. Kiedy dojechał na miejsce, zobaczył, że zespół techników postawił nad włazem do kanału duży namiot z niebieskiego winylu i że trzech z nich stoi nad nim w białych kombinezonach ochronnych z tyteku. Cztery należące do nich furgonetki parkowały rzędem przy krawężniku. Zatrzymał samochód przed pierwszą z nich.

Szybko pobiegli do namiotu, a któryś z techników uniósł wysoko niebieską płachtę, żeby mogli wejść do środka. Deszcz bijący w winyl tak huczał, żeby aby się wzajemnie słyszeć, musieli krzyżeć. Jerry znał dwoje spośród techników, Phila Mullinsa i Margaret Broadbent, więc przedstawił ich Dżamili. W namiocie byli też Gemma Bright i Jim Feather. Gemma była blada, wyglądała na przemęczoną

i zziębniętą. Kiedy Jerry zapytał ją, czy dobrze się czuje, zareagowała tylko obojętnym wzruszeniem ramion.

– Nie przesadzam, jest to najdziwniejsze cholerne miejsce przestępstwa, jakie kiedykolwiek musiałam oglądać – stwierdziła Margaret Broadbent. Pochodziła z Durham, więc mówiła z wyraźnym północnym akcentem. – Bywałam już w zasypanych kopalniach, ale jeszcze nigdy w zapchanym kanale ściekowym. Po tym doświadczeniu przez tydzień będę się kąpać w chanel numer 5, a i tak wciąż się będę obawiała, że śmierdę.

– A jak wam idzie w kanale? – zapytała Dzamila. – Mówiono nam, że prawie skończyliście.

– Pobraliśmy mnóstwo próbek, które zbadamy w laboratorium. Oczywiście mamy też klucze. Znaleźliśmy ich na dnie kanału ściekowego ponad sześćdziesiąt, na odcinku jakichś siedemdziesięciu pięciu metrów. Sześćdziesiąt, wyobrażasz sobie? Wszystkie są bardzo podobne do tego klucza, który sama wyniosłaś z kanału, ale różnią się niewielkimi detalami. Na części z nich znajdują się gwiazdy, na innych półksiężycy, a na kolejnych ludzkie twarze. Tak, dobrze usłyszałaś, powiedziałam: „twarze”. Wyślemy te klucze do Cullena, specjalistycznej firmy z Kensington, która zajmuje się antycznymi zamkami i kluczami.

– Znaleźliście tę odciętą rękę? Miała paznokcie pomalowane na pomarańczowo, a na palcu chyba złotą obrączkę ślubną.

Margaret pokręciła głową.

– Znaleźliśmy kilka sztuk biżuterii, a także zabawki dla dzieci, gadzety erotyczne i więcej zdechłych zwierząt domowych, niż możesz sobie wyobrazić. Nigdy nie rozumiem, dlaczego ludzie wrzucają niechciane kotki do toalety, zamiast oddawać je do schronisk.

– Zdaje się, że przez ten zator prowadzą jakieś przejścia lub tunele. Zorientowałaś się, w jaki sposób powstały? Ktoś je wykonał celowo czy wyłobily je ścieki?

– Część z nich na pewno powstała w sposób naturalny, ponieważ ścieki zazwyczaj same potrafią pokonać przeszkody, ale niektóre z nich sprawiają wrażenie, jakby rzeczywiście zostały sztucznie wykonane. W pewnych miejscach dostrzegłam w zmydlonym tłuszczu głębokie odciski ludzkich palców, a nawet kilka złamanych paznokci. Ostateczną opinię wydamy jednak dopiero po obejrzeniu zdjęć, które wykonaliśmy w kanale. Część zbadanych powierzchni wydrukujemy także w trzech wymiarach.

– Jutro, jeżeli pogoda pozwoli, rozpoczniemy likwidację bryły tłuszczu za pomocą węży wysokociśnieniowych – powiedziała Gemma. – Jednak dwie lub trzy osoby z zespołu techników policyjnych będą nam towarzyszyć, na wypadek gdyby pojawiły się jakieś istotne rzeczy. Oprócz kluczy i kotków.

Phil Mullins popatrzył na zegarek.

– Pięciu naszych ludzi kończy właśnie robotę na dole. Za kilka minut powinni do nas dołączyć – powiedział.

– Jest tam także Newton, nasz kamerzysta – dodała Gemma.

– Cholera jasna – westchnął Jerry. – Po tej zabawie i igrzyskach, jakich

doświadczyliśmy tam ostatnim razem? Muszę przyznać, że jestem dla niego pełen podziwu.

Mullins podszedł do otwartego włazu i krzyknął:

– Terry? Jak wam idzie?

Czekał przez chwilę z pochyloną głową, ale nie usłyszał odpowiedzi. Z kanału docierał jedynie szum płynących ścieków.

– Myślałem, że stoi prawie pod nami – powiedział i wyciągnął zza paska radiotelefon. – Terry? Gdzie jesteś, stary? Zdaje się, że miałeś już kończyć.

Z radiotelefonu rozległy się jedynie głośnie trzaski. Uniósł rękę, w której go trzymał, aby mimo intensywnego deszczu uderzającego w winylową plandekę trzaski dotarły do uszu wszystkich osób stojących pod namiotem.

– Jakieś zakłócenia – odezwał się Jim Feather. – My też się z nimi spotykamy, szczególnie w czasie burz.

– Tak, ale właściwie oni powinni już być na powierzchni. Kiedy ostatnio z nim rozmawiałem, cała ekipa zbierała sprzęt. – Uderzył w radiotelefon otwartą dłonią i znów zaczął wywoływać techników: – Terry? Janice? Halo, słyszycie mnie?

Wciąż słychać było tylko głośnie trzaski, ale nagle pod namiotem rozległ się inny dźwięk, który dobiegł bezpośrednio z włazu. Początkowo był to cienki, przenikliwy gwizd przypominający świst wiatru w burzową noc, ale nagle zamienił się w niskie, upiorne zawodzenie – takie samo, jakie rozległo się w kanale, kiedy przebywali w nim Jerry i Dżamila. Białe światła ledowe, które odbijały się w lustrze ścieków tuż pod otwartym włazem, nagle zaczęły migotać kwaśną zielenią.

– Mój Boże, znowu to samo! – zawołała Gemma. – Wydostańcie stamtąd swoich ludzi! Natychmiast!

Mullins ukląkł nad włazem i krzyknął:

– Terry! Słyszysz mnie? Wyłaź stamtąd, do diabła! Terry!

Z dołu jednak nikt mu nie odpowiedział. Zawodzenie z każdą chwilą było głośniejsze, a światła migotały szybciej i coraz jaśniej, wypełniając namiot epileptyczną zielenią. Zgromadzeni tam ludzie wyglądali tak, jakby każdy z nich rytmicznie podskakiwał.

Phil Mullins popatrzył na Margaret Broadbent i powiedział:

– Schodzę na dół. Pewnie nagle podskoczyło stężenie metanu i wszyscy padli bez przytomności.

– Weź naszą butlę z tlenem – poradził mu Jim Feather. – Zresztą zejść z tobą.

– A ja zadzwonię do straży pożarnej – postanowiła Gemma. – Jeżeli cała szóstka straciła przytomność, sami nie dacie rady wydobyć ich na powierzchnię.

Straż pożarna miała siedzibę w Peckham zaledwie po drugiej stronie ulicy, więc Gemma szybko uniosła połę namiotu, żeby osobiście sprowadzić pomoc. Ale gdy tylko zrobiła krok na zewnątrz, pod ziemią rozległ się jakby grzmot i z kanału do namiotu zaczęło napływać zimne cuchnące powietrze. Można było odnieść wrażenie, że tłoczy je podziemny pociąg, który mknie kanałem. Nagle z włazu wytrysnęła potężna fontanna ścieków. Przewróciła Gemmę i Mullinsa, a Dżamila, Jerry i Margaret Broadbent tylko z trudem utrzymali się na nogach. Namiot uniósł się

w powietrze, klekocząc aluminiowymi wspornikami, a na ulicę zaczęły się lać hektolitry śmierdzącej brązowej brei. Bryły kału i wszelkie inne odpady o różnych rozmiarach po krótkim locie spadały na ziemię. Część z nich od razu spływała z chodnika i jezdni do studzienek kanalizacyjnych.

– Co się dzieje? – zawołała Gemma do Jima Feathera.

Jim uniósł rękę, żeby osłonić się przed fekaliami wylatującymi z kanału. Pokręcił bezsilnie głową, ale po chwili krzyknął:

– Fala! To może być fala! Zapewne fala zwrotna, jeżeli zamknięto spust do Tamizy i ścieki się cofają.

– Jak możemy ją zatrzymać?

– Nie możemy! Nie da się zatrzymać fali!

Kolejna bryła spadła u stóp Jima, a kiedy na nią spojrzął, zrozumiał, że jest to ludzki korpus. Brakowało mu głowy, a z szyi jak z rury zwisały płuca i wątroba w kolorze czekolady.

Stojący obok Jima Jerry również to zobaczył, a kiedy uważniej rozejrzał się dookoła, zdał sobie sprawę, że wszystkie większe obiekty, które unoszą się w fontannie, są fragmentami ludzkich ciał. Zaczął rozróżniać głowy, dłonie, ramiona, nogi i stopy. Dostrzegł połowę klatki piersiowej i kobiecą miednicę owiniętą strzępami białego kombinezonu ochronnego. Rozpoznał ją dopiero po dłuższej chwili, tak bardzo była oblepiona lśniącymi brązowymi nieczystościami.

– O mój Boże! O mój Boże! O mój Boże! – wrzasnęła Gemma.

Nagle z trzaskiem wylądowała u jej stóp kamera Newtona z wciąż zapaloną lampą. Niemal natychmiast upadła na nią jego ręka wyrwana z tułowia, owinięta zakrwawionym rękawem jego szarej koszulki.

Ruch samochodów na Peckham Road nagle zamarł, a w pewnej odległości zaczął się gromadzić niewielki tłum ciekawskich, którzy początkowo nie rozumieli, z czym mają do czynienia. Dopiero kiedy ścieki zaczęły spływać po asfalcie i rozszedł się wstrętny odór, ludzie zaczęli uciekać – początkowo tylko kilka osób, lecz wkrótce pobiegli za nimi wszyscy pozostali. W tłumie rozległy się krzyki przerażenia.

Dżamila i Jerry cofnęli się na drugą stronę Southampton Way. Oboje, niezależnie od siebie, zadzwonili na komisariat po wsparcie. Wszystkie drzwi remizy strażackiej uniosły się i zaczęły z nich wyjeżdżać czerwone wozy. Nie mogły jednak skręcić, ponieważ przejazd blokowała im wielka ciężarówka z kontenerem na gruz, a na ulicy zrobił się zator aż po Camberwell Green, tak że kierowca nie miał w tej chwili żadnej możliwości manewru.

Z włazu wyleciały kolejne fragmenty ciał. Upadły na asfalt i jeszcze przez chwilę toczyły się w kierunku Jerry'ego. Dostrzegł, że te zwłoki wyglądają raczej na pokrojone niż na rozerwane, a kręgosłup i tułów przecięte są równo i starannie w poprzek.

– Jezu Chryste! Wszystkich ich poszatkowano na kawałki – powiedział, opuszczając rękę z telefonem.

– Tak, też mam takie wrażenie. I chyba naprawdę spotkało to wszystkich ludzi, którzy byli w kanale – przytaknęła Dżamila. Jej głos drżał z przerażenia. –

Doliczyłam się... trzech, czterech, pięciu... części przynajmniej z sześciu różnych ciał.

– Ale jak to się mogło stać, pani sierżant? Tylko mi nie mów, że zrobiła to jedna dziwna kobieta z piłą. Przecież to niemożliwe, sama nie dałaby rady.

Fontanna brązowego płynu z każdą chwilą słabła, aż wreszcie unosiła się jedynie kilka centymetrów ponad poziom wjazdu. Od czasu do czasu ciecz bulgotała, gdy pękały w niej bańki gazu, i wtedy wciąż jeszcze z kanału wylatywały różne ochłapy. Sześciu strażaków przebiegło przez jezdnię, ale mogli tylko stanąć przed włazem obok Gemmy i Jima i beczynnie obserwować bulgoczącą w wylocie kanału breję. Wypompowywanie nie miałoby najmniejszego sensu, ponieważ nawet nie było gdzie jej odprowadzić.

Jerry usłyszał zbliżające się od strony Lewisham i Walworth wycie syren policyjnych radiowozów; wsparcie ruszyło z najbliższych komisariatów. Dżamila wezwała też Pierwszy Zespół Śledczy z Peckham. Detektyw nadinspektor Walters zdążył już skończyć służbę, ale posterunkowi O'Brien i Pettigrew wciąż byli w pracy i natychmiast zareagowali na jej telefon. Najważniejszym zadaniem policji było teraz odblokowanie ruchu i odgrozdzenie miejsca tragedii.

Do Jerry'ego i Dżamili podjechał radiowóz z wyjącą syreną i migoczącymi światłami na dachu. Cofając się, Dżamila obejrzała się do tyłu. Jej wzrok przyciągnęła mała grupa postaci stojących na chodniku w odległości mniej więcej dwustu metrów, blisko skrzyżowania z Charles Coveney Road. Zmarszczyła czoło, a następnie osłoniła oczy dłonią, żeby nie raziły jej światła uliczne. Z niewiadomego powodu sylwetki były bardzo niewyraźne.

– Jerry – powiedziała i pociągnęła go za rękaw.

Jerry także się odwrócił. Dostrzegł siedem lub osiem postaci. Ich kontury były zamazane, wszystkie jednak ubrane były na biało – albo w długie koszule, albo w stroje nocne. Wciąż padał gęsty deszcz utrudniający dokładną ocenę odległości i uniemożliwiający określenie ich wzrostu – Jerry nie mógł odgadnąć, czy ma do czynienia z dorosłymi czy z dziećmi. Wszystkie postaci były stłoczone i się kołysały, jakby w porywistym wietrze z trudem utrzymywały się na nogach.

– O cholera. Ich jest więcej – powiedział Jerry. – Znacznie więcej tych dziwnych dzieciaków.

Przez chwilę się wahał, ale zaraz ruszył w ich kierunku, z każdym krokiem zwiększając prędkość.

– Jerry! – zawołała Dżamila. I ona przez kilka sekund zastanawiała się, co robić, lecz w końcu poszła za nim. – Jerry, tylko bądź ostrożny!

Gdy podeszli bliżej, zdali sobie sprawę, że Jerry miał rację i że to rzeczywiście są dzieci. Kilkoro z nich było wyższych – jakby miały po osiem albo dziewięć lat – ale większość nie przekroczyła trzeciego lub czwartego roku życia. Ich buzie były białe jak twarze klaunów, a oczy wyglądały jak czarne plamy na twarzach. Wszystkie były mniej lub bardziej zdeformowane. Jedno dziecko miało dziwacznie długą głowę i zapadniętą szczękę, przez co jego język zwisał pomiędzy zębami. Kolejne miało jedynie otwartą trójkątną dziurę w miejscu, w którym powinien znajdować się nos.

Jedno z mniejszych dzieci, stojące w pierwszym rzędzie, miało twarz jak mały Jezus ze średniowiecznych obrazów, ale pod jego mokrą koszulą nocną widoczne były nieproporcjonalnie szerokie biodra, a kostki u nóg i stopy były tak duże jak u dorosłego człowieka.

Po drugiej stronie ulicy stała pod parasolem para młodych ludzi z wózkiem dziecięcym i z przemoczonym czarnym labradorem na smyczy. Oboje wpatrywali się w zdeformowane dzieci jak sparaliżowani. Pies schował się za nogami właścicieli, bez wątplenia przerażony.

Jerry nie miał pojęcia, co zrobi, kiedy już do nich podejdzie. Mokra grzywka przyłgnęła mu do czoła, a krople deszczu spływały za kołnierzyk, ale adrenalina tak buzowała w jego żyłach, że z trudem tylko wierzył, że to wszystko dzieje się naprawdę. Znajdował się w odległości co najmniej stu metrów od dzieci, kiedy te nagle zbiły się w jeszcze ciasniejszą gromadę i zaczęły uciekać.

– Stójcie! – krzyknął. – Zatrzymajcie się! Natychmiast! Musimy z wami porozmawiać! Stójcie!

W tym momencie ze szczelin pomiędzy płytkami chodnikowymi uniosła się w powietrze wstęga czarnego dymu. Dym z każdą chwilę gęstniał i nagle otoczył dzieci, jakby zamierzał je chronić.

Jerry przebiegł jeszcze kilka metrów i przystanął. Dym przybrał kształt zakapturzonej postaci. Była wysoka, wyższa niż Jerry; rozłożyła szeroko ramiona, jakby mu groziła i ostrzegała, żeby się nie zbliżał.

Dzamila dogoniła Jerry'ego i także się zatrzymała.

– Wygląda tak, jak ją opisał ten lekarz – powiedziała.

– To nie jest halucynacja, pani sierżant. I to nie jest także żaden gaz toksyczny.

– Nie wiem. A może jednak jest? W Bhopalu chmura gazu zakłóciła percepcję wzrokową w promieniu wielu mil.

Mijały sekundy. Nikt się nie ruszał i nikt nic nie mówił. Postać w kapturze stała przed dziećmi z rozłożonymi ramionami, a lśniące krople deszczu jakby przez nią przenikały. Dzieci tłoczyły się za nią w ciasnej grupie, wciąż się kołysząc. Późne burzowe popołudnie wypełniały odgłosy syren radiowozów i karettek pogotowia, które rozlegały się ze wszystkich kierunków.

– Proszę, nie odchodźcie! – zawołał Jerry i wysoko uniósł obie ręce, żeby pokazać dzieciom, że nie zrobi im krzywdy. – Jesteśmy policjantami i musimy się dowiedzieć, kim jesteście i co tutaj robicie.

– Pada deszcz, a wy nie macie płaszczy – dodała Dzamila. – Nie macie też butów. Nie możemy pozwolić, żebyście chodziły po mieście w takim stanie.

Zakapturzona postać wyciągnęła rękę w kierunku Dzamili i Jerry'ego, a ci nagle usłyszeli kobiecy głos. Jednak nie dobiegał do nich z ust tej postaci. To przemówiła młoda kobieta, która stała z wózkiem dziecięcym na chodniku po przeciwnej stronie ulicy. Nie był to jednak głos młodej kobiety, tylko jakby skrzek starej i schorowanej baby.

– Zawróćcie! Słyszycie mnie? Odejdźcie i zostawcie nas w spokoju! To są moje pisklęta i nikomu nie wolno ich dotknąć!

Dżamila popatrzyła ze zdumieniem na młodą kobietę, ona jednak sama wydawała się bardzo zdumiona. Przyłożyła dłoń do piersi, jakby nie wierzyła, że przed chwilą coś powiedziała. Jej partner też patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Jennie? – zawołał i potrząsnął jej ramieniem. – Jennie, co z tobą, kurwa?

– Zawróćcie! – powtórzyła młoda kobieta, tym razem naprawdę głośno, i cisnęła parasol na ulicę. – Zawróćcie i zostawcie nas w spokoju! Dotknijcie tylko moich piskląt, a będziecie cierpieć tak, jak cierpieli wasi przyjaciele!

– Jennie! – wrzasnął jej partner. – Kurwa mać, Jennie!

Ich dziecko obudziło się i zaczęło płakać, a labrador zaskowyczał, po czym położył się na chodniku i zaczął cicho popiskiwać.

– Cholera jasna! – zawołał Jerry. – Dosyć tej maskarady!

Ruszył w kierunku zakapturzonej postaci, niemal pewien, że po prostu przez nią przejdzie w taki sam sposób, jak przenikał przez nią deszcz. Zanim jednak zdołał się do niej zbliżyć, postać wydała przenikliwy gwizd niemal rozrywający bębunki w uszach. Zakręciła się jak burza pyłowa, machnęła rękami w lewo i w prawo, po czym dwukrotnie uderzyła go w piersi, tak, że zachwiaił się i na chwilę stracił oddech. Ramiona postaci wyglądały tak, jakby były zrobione z dymu, ale Jerry odniósł wrażenie, że z całej siły został grzmotnięty plecionym skórzanym batem. Osłabiony usiadł ciężko na krawężniku, przyłożył dłonie do mostka i pochylił się, żeby zapanować nad przenikliwym bólem.

– Jerry?

Dżamila rozejrzała się po High Street, aby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma umundurowanych policjantów, którzy mogliby zapewnić im wsparcie. Na ulicy jednak panował kompletny chaos, na który składały się błyskające światła radiowozów i ambulansów, biegający we wszystkich kierunkach strażacy i ratownicy medyczni oraz zakrwawione fragmenty ciał leżące na chodniku i na asfalcie. Scena przywodziła na myśl średniowieczną wizję piekła.

Odwróciła się w stronę zakapturzonej postaci. Nie była uzbrojona, nie miała nawet paralizatora, zresztą wątpiła, czy pocisk wystrzelony z pistoletu albo wyładowanie elektryczne mogłyby wyrządzić tej dziwnej istocie jakąkolwiek szkodę. Dzieci znowu zaczęły uciekać. Część z nich kuśtykała, część ni to biegła, ni skakała, nierówno kręcąc biodrami. Postać w kapturze jeszcze przez chwilę stała nieruchomo, ale po kilku sekundach wreszcie ruszyła za nimi. Chcąc osłonić dzieci, szeroko rozłożyła poły płaszcz niczym parę wielkich, ciemnych skrzydeł.

Dżamila także zaczęła biec, ale gromada oddalała się od niej tak szybko w gęstym deszczu, że zwątpiła w to, czy zdoła ją dogonić, a nawet gdyby jej się to udało, nie miała pojęcia, jak mogłaby ją zatrzymać. Dotarła do rogu Charles Coveney Road akurat w chwili, gdy zakapturzona postać odwróciła się i zobaczyła, że Dżamila nie zaniechała pościgu. W tym momencie Dżamila dostrzegła jej białe oczy błyszczące pod ciemnym kapturem jak diamenty. Zatrzymała się i nie zrobiła już ani kroku dalej, a tymczasem dzieci zniknęły z jej pola widzenia za kolejnym rogami. Kiedy to się wydarzyło, zakapturzona postać zadrzała i rozplynęła się w powietrzu, jakby była zwykłym dymem wznoszącym się z komina, rozproszonym przez silny wiatr.

Dżamila wróciła do Jerry'ego, który wciąż siedział na krawężniku. Strasznie kaszlał i próbował odzyskać równomierny oddech.

– Dobrze się czujesz, Jerry? Nie połamala ci kości?

Jerry pokręcił głową. Wciąż z trudem łapał powietrze.

– Jedyne braku mi tchu. Ale, cholera jasna, myślałem, że to coś składa się wyłącznie z dymu.

Dżamila poklepała go po ramieniu i przeszła na drugą stronę ulicy. Podeszła do pary młodych ludzi z wózkiem. Kobieta pochylała się nad nim, próbując uspokoić zapłakane dziecko. Młody człowiek głaskał psa.

– Co to, kurwa, miało znaczyć? – zapytał Dżamilę. – Te dzieciaki... ludzie, przecież one wyglądały jak pieprzone duchy! No i dlaczego Jennie tak wrzeszczała?

– Nie mam pojęcia – przyznała Dżamila. – Ale dzieci, które pan widział, mogą wcale nie być tym, czym się zdają. Obawiam się, że nie rozumiem, dlaczego pana partnerka zaczęła krzyczeć. Będę jednak wdzięczna, jeśli poda mi pan numer swojego telefonu, na wypadek gdybym musiała państwa przesłuchać w sprawie dzisiejszego zdarzenia. Sugeruję również państwu, żebyście się jak najszybciej udali na ostry dyżur do najbliższego szpitala albo do lekarza rodzinnego na szczegółowe badania. Możliwe, że to, co tutaj widzieliśmy i słyszeliśmy, jest rezultatem działania trującego gazu.

– Jakiego gazu? Chyba gazu śmiechu? – Miał na myśli podtlenek azotu, czyli popularny gaz rozweselający.

– Być może. Na razie trudno to określić.

Młody człowiek podyktował Dżamili numer telefonu, po czym ruchem głowy wskazał scenę przy włączu do kanałów ściekowych.

– Co tam się dzieje? – zapytał. – Ktoś kogoś zadźgał czy co?

– W tej chwili nie mogę panu powiedzieć, ale jeśli zamierzali państwo iść w tamtym kierunku, to radzę znaleźć inną drogę do domu.

Młody człowiek popatrzył na partnerkę, która wyjęła dziecko z wózka i mocno przyciskała je do piersi.

– To jest jakiś pieprzony koszmar – powiedział.

– Zgadzam się – odparła Dżamila. – Sama także jestem skłonna określić tę sytuację takimi słowami, jakich pan właśnie użył.

Doktor Macleod rzucił palenie przed dwudziestoma laty, ale kiedy przygotowywał się do drugiej próby usunięcia zdeformowanego płodu z macicy Susan Nicholls, gotów był oddać niemal wszystko za papierosa.

Założył na twarz maskę chirurgiczną i popatrzył na swoje odbicie w lustrze nad umywalką, próbując dostrzec, czy jego oczy zdradzają jakieś oznaki zaniepokojenia. Zdziwił się, kiedy dostrzegł, że są spokojne i właściwie beznamietne. Wyciągnął także przed siebie obie ręce, aby sprawdzić, czy drżą; nic takiego się nie działo.

– Dobra, Stuart – powiedział do siebie głosem lekko słumionym przez maskę. – Duchy czy nie duchy, wyciągniesz z niej to cudactwo. Kropka.

Usilnie sobie wmawiał, że to, co pojawiło się wczoraj – ta dymna zjawa – było jedynie iluzją wywołaną przez stres. Iluzją, którą jednocześnie zobaczyło kilka osób, owszem, co było niezmiernie rzadkim przypadkiem – ale tak czy owak iluzją.

Wczoraj po południu personel techniczny ośrodka sprawdził w sali operacyjnej skrzynkę z bezpiecznikami oraz całą instalację elektryczną, ale nie znalazł żadnej usterki, która mogłaby wyrzucić wpływ na oświetlenie. Technicy zdemontowali na czynniki pierwsze także system klimatyzacji, ale nawet po jego szczegółowym zbadaniu nie potrafili wyjaśnić, jakim sposobem do sali operacyjnej przedostał się ciemny dym.

Doktor Macleod pchnął łokciami drzwi wahadłowe, które prowadziły z pomieszczenia sanitarnego do sali operacyjnej. Susan Nicholls już spała. Leżała na stole operacyjnym podobnie jak wczoraj, jasno oświetlona, niczym ułożona na katafalku ludzka ofiara dla bogów. Doktor Bhaduri i doktor Symonds czekali po dwóch stronach stołu, a położna Janet Horrocks siedziała w rogu po prawej stronie razem ze swoją pomocnicą, Kisi Adomako.

Anestezjolog uniósł w górę kciuk i powiedział do doktora Macleoda:

– Wszystkie parametry w normie. Możecie zaczynać.

– Zaobserwowałeś jakieś ruchy płodu?

– Parametry życiowe płody są bez zmian – odezwał się doktor Bhaduri. – Ostatnie badanie USG wykazuje, że płód wczepił się w błonę śluzową ściany macicy, ale nie odnotowaliśmy żadnych ruchów. Być może czeka na nas. Być może śpi.

Macleod zerknął na niego z ukosa, lecz nie skomentował jego słów. W swojej wyobraźni wyraźnie zobaczył natomiast anielską twarz płodu, jego zamknięte oczy i okalające głowę kończyny przywodzące na myśl macki ośmiornicy. To makabryczne wspomnienie sprawiło, że przebiegł go dreszcz. Wiedział, że za kilka minut będzie musiał dotrzeć do tego płodu, zmierzyć się z nim i tym razem bez wahania odebrać mu życie. Siostra Harris przygotowała już strzykawkę z trzymiligramową dawką fentanylu; taka porcja wystarczyłaby do zabicia dorosłego człowieka, więc bez problemu uśmierci niewielki płód.

– Uwaga, wszyscy – powiedział doktor Macleod. – Zaczynamy.

Doktor Symonds odsunęła prześcieradło, które do tej pory zakrywało brzuch Susan Nicholls. Doktor Macleod podszedł do stołu operacyjnego i wyciągnął rękę po skalpel, aby wykonać pierwsze nacięcie. Jeszcze przez moment się wahał i popatrzył na lampy, żeby się upewnić, że nie migoczą i nie zaczynają zmieniać koloru, te jednak emanowały mocnym białym światłem, bez śladu zieleni.

Kiedy zdjęto z brzucha Susan opatrunek, przeciął szwy, którymi doktor Bhaduri tymczasowo zamknął poprzednie nacięcie. Z rany zaczęła się sączyć krew, ale siostra Harris szybko ją starła. Wtedy doktor Macleod otworzył macicę pacjentki. Był przygotowany na to, że płód będzie się bronił, wił, wyrwał i może nawet spróbuje uciekać. Ale kiedy tylko rozwarł ściany macicy, płód jakby wpadł w furję, zaczął machać i uderzać niewykształconymi kończynami, a jego mięśnie kurczyły się i rozszerzały w potężnych spazmach. Przez ułamek sekundy doktor Macleod dostrzegł za mackami niebieskie oczy wpatrujące się w niego przez błonę śluzu. Było to spojrzenie pełne skrajnej nienawiści.

Susan Nicholls dostała napadu drgawek – jej ciało podskakiwało na stole operacyjnym, uderzając w niego głową i kończynami.

– Przytrzymajcie ją! – zawołał Macleod. – Na miłość boską, musicie ją unieruchomić!

Pielęgniarki przycisnęły do stołu kolana i stopy pacjentki, a doktor Symonds i doktor Bhaduri przytrzymali jej ramiona. Susan jednak nadal grzmociła w stół głową, kręcąc nią we wszystkich kierunkach.

Doktor wziął głęboki oddech i wsunął rękę do macicy. Objął palcami wijące się kościste macki płodu, chcąc go jak najskuteczniej unieruchomić. Śliskie macki toczyły zażartą walkę, ale szybkimi, wprawnymi cięciami Macleod zaczął je odcinać od nabłonka macicy.

Kiedy w końcu oddzielił płód od ścian macicy, na chwilę przerwał pracę, ciężko oddychając i zbierając siły do dalszego działania. Wreszcie powoli zaczął wydobywać płód na zewnątrz. Każdemu ruchowi towarzyszył obrzydliwy dźwięk, gdyż płód wciąż próbował przyssać się do macicy Susan. Ale wreszcie Macleod uniósł go wysoko nad stół operacyjny. Płód nadal wił się i drżał w jego dłoni.

– Siostro! – Macleod ruchem głowy dał znak pielęgniarce, aby podała mu nerkowatą miskę.

Tymczasem Susan uspokoiła się i leżała teraz prawie bez ruchu, chociaż dygotała, jakby jej organizm stracił dużo ciepła. Doktor Symonds i doktor Bhaduri zaczęli oczyszczać ranę i przygotowywali się do jej zaszycia. Janet Horrocks i jej pomocnica podeszły do stołu operacyjnego, gotowe pomóc doktorowi Macleodowi w walce z płodem. Chociaż wydawało się to nieludzkie, miały zadbać o to, żeby wijąca się zdeformowana masa jak najmniej cierpiała przed nieuchronnym zabiegiem eutanazji.

Siostra Yeom postawiła miskę na skraju stołu. Doktor Macleod przytrzymał nad nią płód, odrywając jedną po drugiej jego kończyny od rękawic. Siostra Harris stała tuż przy nim, trzymając w gotowości strzykawkę ze śmiertelną dawką fentanylu.

– No, już dobrze, ty obleśny mały dziwolągu – wyszeptał doktor Macleod przez

zaciśnięte zęby.

Trudno mu było uwierzyć, że płód jest aż tak silny, że potrafi tak mocno trzymać się jego palców.

Już miał odłożyć płód, gdy ten niespodziewanie uwolnił się z jego pięści. Prześlizgnął się na nadgarstek i zanim Macleod zdołał go chwycić, przedostał się pod elastycznym mankietem do rękawa. W ułamku sekundy zniknął z pola widzenia i doktor poczuł, jak drobne, lecz ostre szpony rozdzierają mu skórę na przedramieniu, a płód wspina się coraz wyżej, w kierunku łokcia.

– Jezu Chryste! – krzyknął, niezgrabnie machając lewą ręką i uderzając w wyrzuszenie pod rękawem fartucha.

Płód jednak wciąż wpiął się po jego ręce, minął łokieć i wkrótce znalazł się blisko barku. Zadawał mu przy tym niesamowity ból, niczym rozwścieczony kot. Doktor Macleod czuł, że po ręce spływa mu krew.

Doktor Bhaduri obiegł stół operacyjny i zdołał zacisnąć dłoń na płodzie wijącym się na ramieniu jego przełożonego. Szarpnął go kilkakrotnie, ale stwór wbił już przynajmniej dziesięć pazurów w skórę doktora Macleoda i trudno było przypuszczać, że dobrowolnie się podda.

– O Boże, przestań! – krzyknął doktor Macleod do Bhaduriego. – Przecież rozerwiesz mi ramię!

Doktor Bhaduri cofnął się i bezradnie opuścił ręce. Macleod sięgnął ku tacy z narzędziami chirurgicznymi i niezgrabnie zabrał z niej skalpel, przy okazji zrzucając kilka instrumentów na posadzkę. Uniósł prawą rękę do góry i kilkakrotnie dźgnął skalpelem płód. Ten na każdy cios reagował spazmatycznymi skurczami, wciąż jednak przywierał do skóry doktora, a kiedy Macleod rozerwał rękaw fartucha chirurgicznego, aby lepiej wymierzyć kolejne ciosy, płód nagle wszedł na jego bark, po czym zaczął schodzić w dół po jego plecach.

Zataczający się doktor Macleod kilkakrotnie próbował sam się dziabnąć w plecy, aż wreszcie podał skalpel doktorowi Bhadurimu i wrzasnął:

– Zabij to, Kumar! Na miłość boską, zabij to!

Siostra Harris podeszła ze strzykawką.

– Doktorze, bardzo proszę... Niech pan go dźgnie tym!

Ten potrząsnął głową.

– Nie, nie... to zbyt ryzykowne. Gdybym nie trafił i wbił igłę w doktora, straciłby życie w ciągu kilku sekund.

– Po prostu to zabij, Kumar! Zerwij to ze mnie!

Doktor Macleod padł przed współpracownikami na kolana i pochylił nisko głowę, niczym pokutnik. Widzieli przesuające się wyrzuszenie pod jego fartuchem. Płód powoli pełzał po jego łopatce. Doktor Bhaduri zaczął skakać dookoła doktora, starając się przyjąć taką pozycję, by móc dźgnąć płód skalpelem, nie raniąc szefa. Kiedy jednak już uniósł skalpel, doktor Macleod wrzasnął i gwałtownie pomachał rękami.

– Nie! Nie! Nie rób tego! Jezu, co on mi robi? Aaaach! Nie! Aaaach!

Na jego fartuchu pojawiła się krew, najpierw zaledwie kilka kropli, lecz zaraz potem wykwitła na nim wielka czerwona plama. Doktor Macleod przewrócił się,

kopał i bił rękami w posadzkę, dygocząc tak samo jak wcześniej Susan Nicholls na stole operacyjnym. Krzyczał i drżąc, przetaczał się z boku na bok.

Duncan podszedł do niego, przyklęknął i powiedział do doktora Bhaduriego:

– Kumar... pomóż mi uwolnić go od tego!

Wspólnie ułożyli Macleoda na brzuchu, dzięki czemu Bhaduri mógł teraz przeciąć fartuch na jego plecach od pasa po szyję. Z powodu bólu nieszczęśnik nie był w stanie ani na moment się uspokoić, trząsał się i wyrывał, zdołali jednak centymetr po centymetrze ściągnąć fartuch z jego ramion i w końcu odsłonić je na całej długości. Pod spodem doktor Macleod miał biały T-shirt, teraz nasiąknięty krwią, i jasnoniebieskie bokserki. Wybrzuszenie wciąż się przemieszczało. Płód pełznął teraz po dolnej części pleców Macleoda, zmierzając w stronę kręgosłupa.

Doktor Macleod wciąż wrzeszczał i bił pięściami w posadzkę, ale doktor Bhaduri zdołał rozerwać na plecach jego koszulkę. Wtedy zrozumiał, dlaczego doktor tak straszliwie cierpi. Płód rozciął szponami jego plecy nad lewą łopatką i zaczął drążyć tunel. Oddzielona od warstwy mięśni skóra zwisała luźno na jego lewym boku, okropnie pomarszczona, a poprzez półprzezroczyste warstwy tkanek Duncan i Bhaduri dostrzegali zarys płodu pełznącego nad kręgosłupem. Także go słyszeli, ponieważ odrywany naskórek wydawał głośne trzaski.

Doktor Bhaduri znowu dźgnął kilkakrotnie płód skalpelem. Po każdym dźgnięciu ten na chwilę kulił kończyny, ale potem kontynuował wędrówkę po plecach doktora Macleoda.

– Morfina powinna zadziałać – powiedział Duncan. – Damy mu cholernie dużą dawkę morfiny. Siostrzo, proszę bliżej, niech pani go przytrzyma.

Siostra Harris uklęknęła na lewym łokciu doktora Macleoda, złapała go za nadgarstek i mocno przycisnęła do posadzki. Duncan szybko wstał i wrócił na swoje stanowisko. Jego ręce drżały, ale zdołał napełnić strzykawkę roztworem siarczanu morfiny. Pośpiesznie wrócił do doktora Macleoda i uklęknął obok siostry Harris. W tym momencie płód przedzierał się pod skórą prawego biodra lekarza, który monotonicznie zawodził z bólu.

Duncan zlokalizował przez jego skórę jedną z kończyn płodu, prowizorycznie unieruchomił ją pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym i przygotował się do wbicia igły. Ale zanim zdołał to zrobić, niespodziewanie rozległ się głośny trzask i cała sala operacyjna w jednej chwili pogrzyła się w totalnej ciemności.

Duncan na ślepo spróbował dźgnąć płód, usłyszał jednak trzask pękającej igły, a stwór błyskawicznie uwolnił się z jego uścisku. Mógł więc tylko – razem z siostrą Harris i doktorem Bhadurim – przyciskać doktora Macleoda do posadzki.

– Otwórzcie drzwi! – krzyknął i usłyszał, jak Janet Horrocks i Kisi Adomako wpadają w ciemnościach na wózek z instrumentami chirurgicznymi.

Po chwili rozległ się krzyk Janet Horrocks:

– Nie mogę!

– Co? – zawołał Duncan.

– Są zamknięte na klucz! Tak jak poprzednio! Nie mogę ich otworzyć!

– Spróbujcie przez pomieszczenie sanitarne!

– Właśnie się szarpie z tymi drzwiami! – odezwała się z kolei siostra Yeom. – One też są zamknięte.

Duncan wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy. Spróbował włączyć w nim latarkę, ale aparat nie zareagował.

– Kto ma telefon? Potrzebne nam światło!

– Nie mam swojego – powiedziała Janet Horrocks. – Nigdy nie zabieram telefonu do sali operacyjnej.

– Chwileczkę – powiedziała doktor Symonds. – Ja mam telefon. Ale... nie, on nie działa.

Doktor Macleod przestał się szarpać i zawodzić; wydawał z siebie już tylko piskliwy charkot. Leżał spokojnie, tylko od czasu do czasu jego ciałem wstrząsały drgawki. Duncan stwierdził, że na razie nic nie działo, i wstał. Wyciągnął rękę w kierunku stołu operacyjnego, żeby jakoś się zorientować w przestrzeni. Przeszedł nad nogami doktora Macleoda i szurając butami, ruszył do drzwi z obiema rękami wysuniętymi do przodu. Ciemność była wszechogarniająca, do sali operacyjnej nie wpadał z korytarza nawet najsłabszy promień światła. Zderzył się z Janet Horrocks, lecz po chwili dotarł do drzwi. Mocno na nie naparł, ale te nawet nie drgnęły.

– Nie do wiary – powiedział.

Cofnął się o dwa kroki i rzucił na drzwi z pełnym impetem. Uderzył w nie ramieniem, ale się nie otworzyły.

Zaatakował je jeszcze raz, usłyszał jakiś trzask, lecz ponownie nic nie działo. Sfrustrowany kilkakrotnie kopnął w nie z całej siły.

– Hej! – zawołał. – Ludzie! Jesteśmy tu uwięzieni! Sala operacyjna numer dwa! Czy ktoś mnie słyszy? Drzwi się zatrasnęły i nie możemy ich otworzyć!

– Jak to w ogóle jest możliwe? – zapytała Janet Horrocks drżącym głosem, a Duncan odniósł wrażenie, że jest bliska paniki.

Tymczasem w ciemnościach rozległ się głos doktora Bhaduriego:

– Ten płód... Nie czuję go już. Pełzał pod skórą uda, ale nie wiem, gdzie się teraz podział.

– Ludzie, słyszycie mnie? – znowu wrzasnął Duncan. – Ktoś nas tutaj zamknął! Nie mamy światła i nie możemy się stąd wydostać! Wszystkie drzwi są zatrzaskowane!

Obdarzył drzwi jeszcze kilkoma soczystymi kopniakami, niczego jednak nie wskórał. Nagle przypomniał sobie o gaśnicy wiszącej na haku przy drzwiach do pomieszczenia sanitarnego. Przesuwając dłońmi po ścianie, ruszył w ich kierunku. Gdy dotarł do gaśnicy, wypiął ją z uchwytu, uniósł i skierował się z powrotem do głównych drzwi. Przez cały czas Janet Horrocks i Kisi Adomako rozpaczliwie wołały o pomoc. Można było odnieść wrażenie, że znajdują się na najwyższym piętrze płonącego budynku.

– Pomocy! Pomocy! Jesteśmy w pułapce! Pomocy!

– Janet... Kisi... gdzie jesteście? – zapytał Duncan. – Cofnijcie się od drzwi. Spróbuję je rozwalić gaśnicą.

Stanął przed drzwiami na szeroko rozstawionych nogach, po czym wziął szeroki zamach i grzmotnął w nie gaśnicą jak taranem. Drzwi jakby drgnęły i znowu usłyszał

trzask. Doszedł do wniosku, że jeśli będzie konsekwentny, zdoła wyrwać je z zawiasów i droga na zewnątrz stanie otworem.

Ustawił się do kolejnego uderzenia, lecz zanim zaatakował, podwójne drzwi niespodziewanie otworzyły się do wewnątrz. Uderzony ich skrzydłami Duncan padł na posadzkę, a gaśnica uderzyła go w głowę tuż nad lewym okiem, niemal pozbawiając go przytomności.

Chociaż drzwi się otworzyły, w sali operacyjnej nadal panowała całkowita ciemność. Coś jednak weszło do środka, coś, czego Duncan nie zobaczył, ale co wyczuł i usłyszał. W pomieszczeniu rozszalał się świszczący wiatr, początkowo dość łagodny, lecz z każdą chwilą mocniejszy i gwałtowniejszy. Po chwili rozległo się niskie zawodzenie, które także stopniowo nabierało mocy, aż wkrótce pod jego wpływem zaczęły drgać szklane fiolki i instrumenty na wózku. W sali operacyjnej zrobiło się tak głośno, że ludziom trudno było usłyszeć własne myśli.

Niskie zawodzenie przeszło w wysoki pisk i końcu zabrzmiało jak śpiew.

– Co się dzieje, Duncan? – krzyknął doktor Bhaduri. – Co się dzieje?

– Ktoś tutaj wszedł! – zawołała Janet Horrocks. – Mój Boże, ktoś tutaj wszedł!

Duncan odrzucił gaśnicę, która z łoskotem spadła na posadzkę. Uniósł się na łokciu i spróbował przebić wzrokiem ciemność. Podmuchy powietrza były już tak silne, że rozwiewały mu czuprynę i powodowały łzawienie oczu. Wciąż był ogłuszony, ale czuł w pomieszczeniu fizyczną obecność jakiejś ogromnej postaci; coś, co się kręciło i wirowało, niewidocznego w ciemności, lecz potężnego jak piorun na niebie w środku nocy.

Czuł też jakiś zapach. Kwaśny jak dym z palonego drewna, a jednocześnie kojarzący się z cytrynami.

– Duncan! – zawołała nagle siostra Harris. – Duncan, pomocy! Chodzi o doktora Macleoda! On... Duncan, ja nie mogę go utrzymać!

– Ja również! – krzyknął doktor Bhaduri. – Ktoś chce mi go wyrwać!

Duncan spróbował stanąć na nogach, ale zanim złapał pion, ciało doktora Macleoda prześlizgnęło się gwałtownie po posadzce, uderzając jego stopy i ponownie go przewracając. Zorientował się jednak, że doktor Macleod wciąż leży na brzuchu. Spróbował złapać go za rękę, za skrawek fartucha albo coś innego, ale ciało doktora z niewiadomej przyczyny przesunęło się dalej, poza jego zasięg.

Minęło kilka sekund. Umilkło zawodzenie, ucichł także świszczący wiatr. Światła w sali operacyjnej zamigotały, zabrzęczały i wreszcie przy akompaniamencie dziwnego trzasku się zapaliły.

Siedem osób spoglądało po sobie z niedowierzaniem. Siostra Harris i doktor Bhaduri wciąż klęczeli, ale doktor Macleod zniknął. Na beżowej epoksydowej posadzce widoczne były równoległe smugi krwi – prowadziły do szeroko otwartych drzwi. Duncan wyszedł na korytarz i zobaczył, że ciągną się jeszcze przez jakieś dwadzieścia metrów i nagle się urywają, jakby ktoś podniósł ciało doktora z podłogi.

Usłyszał dźwięki marimby dobiegające z telefonu doktor Symonds.

– Natychmiast wezwij ochronę – powiedział do niej. – Może nie wyniesiono go jeszcze z budynku. I musimy zatelefonować po policję.

– Ja to zrobię – oznajmiła siostra Harris.

Wstała, podeszła do drzwi prowadzących do pomieszczenia sanitarnego i pchnęła je, a one bez problemów się otworzyły.

Doktor Symonds popatrzyła na Susan Nicholls, która wciąż spała na stole operacyjnym. Na brzuchu miała otwartą ranę.

– Kumar, musimy ją zamknąć – powiedziała beznamiętnie do doktora Bhaduriego.

– Ten dym... – rzucił Bhaduri. – Wciąż czuję zapach tego dymu.

Nachylił się, żeby zebrać z posadzki porzucane instrumenty. Zanim skończył, Susan Nicholls niespodziewanie poruszyła powiekami i po chwili otworzyła oczy. Doktor Symonds podeszła do stołu operacyjnego.

– Jak się masz, Susan? Mieliśmy mały problem i otrzymasz teraz jeszcze jedno znieczulenie, tym razem tylko miejscowe.

Susan Nicholls zmarszczyła czoło. Po chwili wyszeptała:

– Gdzie jest moje dziecko?

Niebo zaczęło przybierać blady fioletoworóżowy kolor, kiedy Dżamila powiedziała:

– Chyba na razie nic tu po nas, Jerry. Najlepiej zrobimy, jak wrócimy do domów i trochę wypoczniemy. Spotkamy się o drugiej po południu.

– Musimy jednak sprawdzić te dwa płody w St George’s Hospital, prawda? Poza tym zastanawiam się, czy doktor Macleod zdołał wydobyć z Susan Nicholls jej płód podobny do ośmiornicy.

– Wszystko w swoim czasie, Jerry. W tej chwili przede wszystkim muszę się przespać.

– W sumie masz rację, pani sierżant. Ja też jestem cholernie zmęczony.

Deszcz przestał padać krótko po północy, ale ulice wciąż były mokre. Aż do wczesnych godzin porannych policyjni technicy w białych kombinezonach w ciszy przemierzali ulicę tam i z powrotem niczym gromada zagubionych bałwanów. Oznaczali i fotografowali wszystkie części ciał, które zostały wyrzucone z kanału ściekowego, a następnie umieszczali w plastikowych pokrowcach. Pokrowce przewożono do kostnicy, gdzie jak najszybciej miała zostać przeprowadzona identyfikacja zwłok złożonych z fragmentów.

Po zebraniu ludzkich szczątków ponad dwudziestu policjantów dokładnie, nierzadko na czworakach, znów przeszukało chodniki i asfalt. Obszar poszukiwań intensywnie oświetlono lampami ledowymi i reflektorami samochodów straży pożarnej. Ścieki mniej więcej godzinę po eksplozowaniu ze studzienki powróciły do normalnego poziomu, bulgocząc i tworząc bańki na powierzchni, a wtedy policja skończyła pracę, strażacy najpierw splukali ulicę czystą wodą, a następnie dodali do niej środki dezynfekcyjne. W porannym powietrzu unosił się drażniący siwy dym wylatujący z rur wydechowych ich samochodów oraz odór środków biobójczych.

Jerry dostrzegł, że za odgrodzonym obszarem ustawiły się tłumy reporterów, a wzdłuż krawężników zaparkowały furgonetki BBC, ITN i Sky News. Nad miejscem tragedii pojawiły się także helikoptery stacji telewizyjnych. A jeden z nich wyjątkowo długo i nisko krążył nad Camberwell Green, przez co policjanci musieli głośno krzyczeć, żeby się porozumieć.

Do Jerry’ego i Dżamili podszedł detektyw nadinspektor Walters w towarzystwie detektyw posterunkowej Pettigrew. Zatelefonowała do niego, kiedy tylko ona i O’Brien zobaczyli, co się dzieje, i zdali sobie sprawę, że mają do czynienia z okrutną zbrodnią, a nie z jakimś mało istotnym wypadkiem.

W szarym filcowym kapeluszu i szarym luźnym płaszczu nadinspektor Walters bardziej niż na co dzień wyglądał jak drapieżny ptak. Jerry jednak zauważył, że w skupieniu i z powagą rozmawia z zespołem badającym nawierzchnię ulicy oraz z ratownikami medycznymi, którzy starannie układali mniejsze fragmenty zwłok ludzkich w polietylenowych workach i torbach. Było oczywiste, że kiedy trzeba, jest

skrupulatnym, czujnym policjantem i nie należy do tych szefów, którzy dbałość o drobne szczegóły pozostawiają wyłącznie podwładnym.

– Miałem nadzieję, że jeszcze cię tu zastanę, sierżant Patel – powiedział do Dżamili z ledwie uchwytnym szkockim akcentem. – Przed chwilą wydałem oświadczenie dla dziennikarzy. Nie powiedziałem dużo, ale w końcu sami niewiele wiemy, prawda? Ty i detektyw Pardoe jesteście ekspertami od spraw nadprzyrodzonych. Macie już jakieś pomysły?

– A co pan powiedział tym dziennikarzom, jeżeli wolno zapytać?

– Powiedziałem, że w tej chwili nie wiemy jeszcze, co spowodowało tę potężną erupcję ścieków. Przyczyną mogła być niespodziewana eksplozja metanu, siarkowodoru albo jeszcze jakiegoś innego palnego gazu. Mógł też eksplodować niewypał, niemiecka bomba z czasów drugiej wojny światowej. Przecież Thames Water wykopało ich co najmniej siedem, od kiedy przystąpili do nowych wykopów pod tunel Tideway. Nie byłoby to więc nic dziwnego, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, ile dziesiątków tysięcy bomb Luftwaffe rzuciła na tę część Londynu w czasie wojny. Oczywiście zapytano mnie, co tutaj robi Pierwszy Zespół Śledczy, bo przecież mnie skojarzyli. Odpowiedziałem, że rozważamy także możliwość ataku terrorystycznego ze strony RIRA, Al-Kaidy, Extinction Rebellion albo jeszcze innej bandy szaleńców.

– Panie nadinspektorze, to jednak nie był ani wybuch gazu, ani bomby z czasów drugiej wojny światowej, prawda? – odezwał się Jerry.

– Ja to wiem i ty to wiesz. Wystarczy przecież tylko spojrzeć na poharatane zwłoki tych biedaków, żeby dojść do wniosku, że nie był to żaden wybuch. Zostali posiekani jak mięso w sklepie rzeźnickim, cała szóstka. Pokrojeni. A ta eksplozja ścieków... żadna bomba nie mogła spowodować czegoś takiego. Zatem bez względu na to, co powiesz o siłach nadprzyrodzonych, sierżant Patel, oraz o braku wiary w duchy i cały ten pozaziemski majdan, jakoś nie przychodzi mi w tej chwili do głowy żadne logiczne i naturalne wytłumaczenie zaistniałej sytuacji. A tobie? Bardzo chciałbym poznać twoje zdanie na temat tego wszystkiego.

Dżamila popatrzyła na zegarek. Była szósta siedem.

– Detektyw Pardoe i ja pojedziemy teraz do domu. Jesteśmy zbyt zmęczeni, aby logicznie myśleć. Zobaczymy się wczesnym popołudniem na komisariacie. Musimy dokładnie przeanalizować fakty, a później spróbować ustalić, co się tutaj stało i dlaczego. Oczywiście rozważymy też wariant z udziałem sił nadprzyrodzonych, chociaż, jak pan wie, bardzo niechętnie używam tego sformułowania.

– Zapomnij na razie o swoim sceptycyzmie i załóż, że jednak mieliśmy do czynienia z siłą nadprzyrodzoną. Możesz odgadnąć jaką? Może pojawił się jakiś złośliwy duch, który potrafi rzucać ludźmi i przedmiotami?

– W wielu różnych kulturach spotykamy opowieści o mściwych duchach, panie nadinspektorze. I niektóre z nich są nawet przekonujące. Niemal połowa muzułmanów, w tym większość mojej rodziny, wierzy w czary i różne złe dżiny. Z ich punktu widzenia to, co się tutaj wydarzyło, mógł spowodować mściwy duch.

Nadinspektor Walters zdjął kapelusz, popatrzył na niego i zmarszczył czoło, jakby

dotąd nie zdawał sobie sprawy, że miał go na głowie. Otrząsnął jednak z rona krople wody i wystudowanym ruchem ponownie go nałożył.

– Mściwy duch?

– Tak, panie nadinspektorze. No bo co my tutaj mamy? Mamy sześcioro zamordowanych niewinnych ludzi i już na pierwszy rzut oka widać, że ich ciała zostały celowo rozczłonkowane. Jeżeli jest to zdarzenie z gatunku nadprzyrodzonych, a nie jakiś prosty wypadek, musi wchodzić w grę nadzwyczajny motyw właściwy działaniu duchów, a nie ludzi. Jeżeli zdołamy poznać ten motyw, wtedy z czasem zdołamy odkryć, kto lub co jest sprawcą tej makabry.

– Mściwy duch – powtórzył nadinspektor Walters, wpatrując się w Dżamile.

Jerry nie potrafił odgadnąć, czy mówi te słowa z sarkazmem, czy też naprawdę uznaje, że to pierwszy krok do rozwiązania tajemnicy najbardziej zagadkowego zbiorowego morderstwa, z jakim kiedykolwiek się zetknął.

Jerry i Dżamila rozmawiali jeszcze przy samochodzie, kiedy podbiegła do nich Gemma.

– Przepraszam – powiedziała zdyszana. – Zanim odjedziecie, chcę tylko powiedzieć, że prawdopodobnie będę mogła wam pomóc.

– Uwierz mi, Gemmo, będziemy wdzięczni za każde wsparcie – odparła Dżamila.

– Zaczęłam się nad tym wszystkim zastanawiać. Krok po kroku zbadaliśmy georadarem wszystkie znane kanały ściekowe na obszarze trzystu hektarów wokół Peckham Rye, ale do tej pory nie znaleźliśmy niczego, co pozwoliłoby dotrzeć do źródła dzisiejszych wydarzeń.

– A czego właściwie szukaliście?

– Nie wiem. Czegokolwiek. Pękniętych rur gazowych, wszelkich możliwych źródeł toksycznych wycieków. Początkowo zastanawiałam się nad ewentualnością, że jakaś fabryka wypuściła do ścieków zakazane chemikalia, które następnie zmieszały się z jakimiś innymi substancjami i powstał jakiś związek halucynogeny. Pomyślałam, że właśnie dlatego wydawało nam się, że widzimy te przerażające dzieci i te sztuczki ze światłem.

– Cóż, my także już o tym myśleliśmy – odparł Jerry. – Jednak żaden gaz nie rozcina ludzi na kawałki, nie rzuca kluczami, nie wrzeszczy, nie wyje i nie strzela hektolitrami ścieków na ulicę.

– Oczywiście, że nie. Ścieki... Jim uważa, że to zjawisko mogła spowodować cofająca się fala, ale ja się z tym nie zgadzam. Przecież przepływ ścieków w kanale w dziewięćdziesięciu procentach blokował zator znajdujący się pomiędzy włazem, z którego eksplodowały, a Tamizą. To jest po prostu niemożliwe.

– Masz jakieś własne wyjaśnienie?

– Sama nie wiem. Po prostu nie wiem. Może tam, na dole, mieszkają jacyś szaleńcy, którzy zarzynają każdego, kto się do nich zbliży? Ale przecież sprawdziliśmy kanały bardzo dokładnie i nie natrafiliśmy na ślady niczyjej obecności.

– Zatem myślisz, że... słucham.

– Nie mam pewności. Jestem tym wszystkim wstrząśnięta i na razie muszę iść do

domu. Jednak na szkoleniach, w których uczestniczyłam, zanim podjęłam pracę, usłyszałam chyba coś istotnego... Muszę odszukać notatki.

– Cóż, my także na razie się stąd zbieramy. O drugiej po południu spotykamy się z Pierwszym Zespołem Śledczym, więc jeśli przyjdą ci do głowy jakieś nowe teorie, przyjedź po południu na komisariat w Peckham. Wiesz, gdzie to jest, prawda? Na rogu Meeting House Lane.

– Okej. Jeżeli do tego czasu dokopię się do moich notatek, zabiorę je ze sobą. Ale na pewno przyjdę. Może się zdziwicie, ale kanały ściekowe to cały mój świat. To, co się stało, wszystkie te dziwne i straszne zdarzenia, odbieram tak, jakby ktoś najechał na ten mój świat i mi go odebrał. Bo w tej chwili zejścia do kanałów boję się tak samo jak śmierci.

Kiedy Gemma odeszła, Jerry zapytał Dżamilę:

– Dzwoniłaś po taksówkę?

– Tak. Powinna przyjechać za kilka minut.

– Jak się czujesz?

– Jestem otumaniona. A ty?

Jerry popatrzył na dziewczynę i z zalem pomyślał, że oboje są policjantami na służbie i nie może jej tak po prostu przytulić.

– Jakoś sobie radzę, pani sierżant – powiedział ze znużeniem. – Zobaczymy się później. Bardzo mnie interesuje, co chodzi po głowie tej Gemmie. Muszę przyznać, że to bystra dziewczyna... jak moja Alice. To znaczy wcale nie chcę, żeby moja córka zatrudniła się w miejskiej kanalizacji. Pewnie któregoś dnia zechciałaby, żebym odwiedził ją w pracy.

Począł, aż Dżamila wsiadzie do taksówki, po czym usiadł za kierownicą swojego samochodu i włączył silnik. Właśnie miał odjechać, kiedy zadzwonił jego telefon.

– Detektyw posterunkowy Pardoe? Mówi inspektor Bullock z komisariatu w Camberwell. Rozumiem, że to pan bada wypadek w Centrum Medycznym Warren BirthWell na Denmark Hill?

– Zgadza się. Jeden z lekarzy zgłosił wtargnięcie intruza do sali operacyjnej w trakcie zabiegu. Wraz z moją partnerką mieliśmy się tam pojawić wczoraj po południu, ale pochłonęła nas, dosłownie i w przenośni, ta krwawa jatka przy studziencie ściekowej na High Street w Peckham. Dopiero teraz stąd wyjeżdżam.

– Ten lekarz... to był może doktor Stuart Macleod?

– Zgadza się. Jest tam naczelnym położnikiem, o ile mi wiadomo.

– Cóż, był naczelnym położnikiem. Jego zwłoki znaleziono godzinę temu w zaroślach na terenie parku Max Roach.

– Żartuje pan.

– Niestety nie. Jakiś facet wyprowadzał psa na poranny spacer i pies wywęszył zwłoki. Nie mogę panu jeszcze podać szczegółów, ponieważ w tej chwili zeznania świadków wydają się bardzo zagmatwane i niespójne. Ale wiadomo na pewno, że nastąpiła awaria instalacji elektrycznej w sali operacyjnej, kiedy doktor Macleod przeprowadzał cesarskie cięcie.

- Kiedy to się stało? Wczoraj po południu?
- Zgadza się, pomiędzy szesnastą trzydzieści a szesnastą czterdzieści. Kiedy światło zgasło, doktor Macleod po prostu zniknął.
- Nie bardzo rozumiem. Wyszedł z sali?
- Dwoje świadków twierdzi, że został z niej wywleczony przez nieznaną osobę lub osoby. Oczywiście nikt sprawców nie widział, ponieważ było ciemno.
- Wywleczony?
- Na posadzce sali operacyjnej znajdowały się krwawe smugi; musimy jeszcze ustalić, czy to jego krew. Wszystko wydarzyło się zaraz po operacji. Ale, co jest jeszcze dziwniejsze, usunięty płód również zniknął. Nie ma po nim śladu. Mamy tylko zwłoki doktora Macleoda.
- Dlaczego nikt nie zawiadomił natychmiast mnie albo sierżant Patel?
- Przykro mi, Pardoe, ale aż do wczesnych godzin porannych nie wiedzieliśmy, że zajmujecie się tą sprawą. Zresztą i tak byliście pochłonięci tym wypadkiem na High Street...
- Wypadkiem? To była pieprzona katastrofa! Zginęło pięcioro policyjnych techników i fotograf.
- Tak. Widziałem już raporty, a poza tym w telewizji nie mówią o niczym innym. Tragedia. Po prostu tragedia.
- Stało się, inspektorze. Proszę mi opowiedzieć o tym Macleodzie.
- Awaria prądu trwała kilka minut i kiedy tylko zasilanie powróciło, inny lekarz zadzwonił na numer alarmowy. Nasi ludzie byli na miejscu po piętnastu minutach. Ale, jak już mówiłem, doktor Macleod zniknął i nie wiadomo, czy wyszedł stamtąd dobrowolnie czy pod przymusem.
- Może wideonadzór coś zarejestrował?
- Niestety nie. Kamery również wtedy nie działały. Całkowita awaria zasilania.
- Gdzie są teraz zwłoki. W St Thomas's Hospital?
- Nie, w St George's. Konieczna jest sekcja zwłok, ale nie rozpoczniemy jej wcześniej niż jutro, może nawet pojutrze, i Bóg jeden wie, jak długo potrwa.
- Nie znamy zatem przyczyny zgonu?
- Cóż, i tu jest problem. Kiedy znaleziono doktora Macleoda, był nagi. A właściwie trochę bardziej niż nagi. Ktoś go obdarł ze skóry.
- Obdarł ze skóry?
- Co do centymetra. Od twarzy po pięty.
- Co za diabeł mógłby coś takiego zrobić?
- Powiedziano mi, że to pana specjalność, Pardoe. Pana i sierżant Patel. Diabły, które coś takiego robią.
- Och, niech pan przestanie. Owszem, daliśmy sobie radę z szaleństwem w Tooting, ale to wcale nie znaczy, że jesteśmy już ekspertami od wszelkich dziwacznych przestępstw.
- Cóż, zapewne. Nikt jednak nie ma na razie pojęcia, kto i w jaki sposób uprowadził lekarza z sali operacyjnej, a potem go obdarł ze skóry. Mamy natomiast nadzieję, że nam pomożecie.

– Nie tak od razu. Na razie jadę na kilka godzin do mojej chałupy, bo potrzebuję przynajmniej odrobiny snu. Później muszę porozmawiać z sierżant Patel. Ma zdecydowanie więcej doświadczenia w podobnych sprawach. Poza tym rozsądek nakazywałby poczekać na wyniki sekcji zwłok i dopiero potem ruszyć z poważnym śledztwem. Może sekcja wykaże przynajmniej, w jaki sposób obdarto go ze skóry. Cholera jasna. Już samo myślenie o tej makabrze przyprawia mnie o dreszcze.

– Nie dziwię się. Niech pan jednak pamięta o naszej rozmowie. I proszę o kontakt jeszcze dzisiaj.

– Jasne, inspektorze. Specjalnie się nie zdziwię, jeżeli dopadną mnie senne koszmary.

Doktor Pocztomski spóźnił się ponad godzinę, ponieważ kiedy jechał do pracy, ktoś rzucił się pod metro przy Clapham Junction. Gdy więc wszedł do laboratorium w St George's Hospital, jego asystent i dwie studentki z wydziału patomorfologii już na niego czekali.

Na stole przed nimi stały dwa przenośne inkubatory z zielonego i białego plastiku. W jednym z nich leżał płód z karłowatymi rękami i nogami, który wyjęto z brzucha Dżoi Sanghawi. W drugim znajdował się płód przypominający kraba, ten, który próbował wtargnąć do pochwy Jenny Gibbons.

Doktor Pocztomski zdążył już obejrzeć trójwymiarowe fotografie obu płodów, przejrzał odczyty z informacjami o ich funkcjach życiowych, więc wiedział, czego się spodziewać. A jednak serce zabiło mu mocniej, kiedy zobaczył je w inkubatorach, wciąż żywe, wciąż oddychające. Wszystko, co dotąd wiedział o deformacjach płodów ludzkich, podpowiadało mu, że żaden z nich nie powinien był przeżyć nawet pięciu minut po opuszczeniu macicy.

– Widział pan już kiedyś coś podobnego do tej pary, doktorze? – zapytał Firash, jego asystent.

Doktor Pocztomski powoli pokręcił głową.

– Nie widziałem tak zdeformowanych płodów żywych. Nigdy. I do dzisiaj mógłbym stawiać funty przeciwko kamieniom, że nigdy nie zobaczę.

Doktor Pocztomski był wysokim i kościstym mężczyzną. Miał bujne włosy w kolorze słomy, zaczesane od czoła do tyłu, i spiczasty nos. Nosił okulary o okrągłych szklach. Firash był przysadzistym Malajczykiem o miłej, okrągłej twarzy. Jego czarne włosy ścięte na jeża sterczały tak prosto, jakby ich właściciel przed chwilą włożył palce do gniazdka elektrycznego.

Jedna ze studentek była szczupłą brunetką o lekko wydętych wargach i włosach związanych w koński ogon, a druga – potężnie zbudowaną młodą rudą dziewczyną. Przypominała Pocztomskiemu siostrę przyrodnią, która mieszkała w Polsce. Firash przedstawił mu obie dziewczyny.

– To jest Melanie, czyli Mel, a to Sinead.

Doktor Pocztomski ostrożnie podniósł plastikową pokrywę inkubatora, w którym leżał płód Dżoi. Ten natychmiast zadrżał, jakby dręczyły go koszmarne sny, ale nie otworzył oczu i oddychał równomiernie, chociaż z trudem.

– Czy policyjny medyk sądowy z laboratorium w Lambeth przekazał jakieś dodatkowe informacje na temat tych płodów? – zapytał doktor Pocztomski.

– Tylko to, że oba pojawiły się na świecie w wyniku nielegalnych aborcji. Płód A jest rezultatem działania matki, która sama wykonała cięcie cesarskie. Płód B został usunięty ręcznie przez partnera kobiety. Poza tym powiedziano mi, że to pan dokładnie je zbada i do tego czasu mają być zamknięte w inkubatorach.

Doktor Pocztomski przez długą chwilę uważnie oglądał płody.

– To niemal niepojęte, że oba wciąż żyją. Tak, płód A został wydobyty z macicy matki za pomocą szkaradnego cesarskiego cięcia, ale płód B... jego matka twierdzi, że swobodnie biegał po mieszkaniu, a potem na siłę chciał się dostać do jej narządów rodnych. Używam słowa „matka”, ale jeśli jej historia jest prawdziwa, co, nawiasem mówiąc, uważam za bardzo nieprawdopodobne, była zaledwie czasowym i bardzo krótkotrwałym gospodarzem dla płodu B.

– Uzyskałem informację, że młoda kobieta, która sama sobie wykonała cięcie cesarskie, została przewieziona na oddział ratunkowy w King’s College Hospital – wtrącił Firash. – Według ostatnich informacji jej stan jest poważny, ale nie krytyczny.

– Cóż, chociaż jedna dobra wiadomość – odparł Pocztomski. – Teraz musimy zatem ustalić, co spowodowało taką deformację tych płodów. A co z tą drugą kobietą?

– Z panią Gibbons? Odniosła drobne rany i przeżyła wstrząs, ale poza tym ma się dobrze.

– Nadzwyczajna sprawa. Nadzwyczajna. Musimy się dowiedzieć, skąd przybył ten jej płód... i dlaczego próbował się zagnieździć w jej drogach rodnych. No i oczywiście jak to się stało, że oba płody przetrwały tak długo po aborcji, skoro są tak skrajnie zniekształcone.

– Pobrałem już krew, próbki tkanek i zleciłem badania DNA, tak jak pan prosił – powiedział Firash. – Powiedziałem w laboratorium, że to wyjątkowo pilna sprawa, ale wyniki otrzymamy dopiero jutro albo nawet pojutrze. Mam jednak wyniki USG.

Doktor Pocztomski wziął od niego teczkę ze zdjęciami i rozłożył je na blacie, po czym każde z nich unosił na wysokość oczu i studiował ze zmarszczonym czołem.

– Wygląda na to, że płód A ma około dwunastu tygodni, a płód B trzynastie lub czternaście. Oba mają mózg, serce, płuca i wątrobę, mimo że wszystkie te narządy są katastrofalnie zdeformowane. Możemy także ustalić ich płeć. Płód A jest rodzaju żeńskiego, a płód B męskiego.

– Masa i długość ciała są takie, jakich należałoby się spodziewać na tym etapie rozwoju – powiedział Firash. – Płód A ma sześćdziesiąt jeden milimetrów wysokości i waży jedenaście gramów. Płód B ma siedemdziesiąt jeden milimetrów i waży trzynastie gramów.

Doktor Pocztomski chciał się ponownie odezwać, ale stół nagle zadrżał i plastikowa pokrywa inkubatora płodu Dżoi spadła na podłogę.

– Mam nadzieję, że to nie było trzęsienie ziemi – powiedział i ponad oprawkami okularów popatrzył na Firasha oraz dwie studentki. – Bo w Tooting chyba nie zdarzają się trzęsienia ziemi, co?

Firash nie zdążył mu odpowiedzieć, ponieważ stół znowu się zatrząsł, a po chwili wszyscy obecni w laboratorium odnieśli wrażenie, że podłoga drży i przesuwana się pod ich nogami. Z regału pod ścianą spadły szklane słoje; trzy lub cztery z nich rozbiły się w zlewie. Probówki zatrzęsły się w drewnianych stojakach, a lampa przegubowa na biurku zakółysała się niczym ptasi szkielet i z brzękiem runęła na posadzkę.

– A jednak to jest trzęsienie ziemi! – zawołał doktor Pocztomski.

Wstrząs znowu się powtórzył, tym razem gwałtowniejszy, i żeby zachować równowagę, doktor Pocztomski musiał przytrzymać się blatu stołu, przy którym stał. Sinead zachwiała się i oparła o Mel, po czym obie wpadły na ścianę.

Wstrząsy stopniowo zaczęły słabnąć. Gdy jednak ucichł stukot, lampy zaczęły migotać niczym świeczki na wietrze. Pomiędzy najwyższymi półkami a sufitem znajdował się rząd małych okien i ich szyby zaczęły szarzeć, jakby właśnie zapadała noc – trzy godziny za wcześnie. Po krótkiej chwili okna były już czarne.

– Firash, co się dzieje, do diabła? – zapytał doktor Pocztomski, wciąż trzymając się stołu, na wypadek gdyby posadzka zaczęła ponownie się trząść. – Przerwa w dostawie prądu czy co?

Firash obszedł stół i zbliżył się do drzwi, ale kiedy spróbował je otworzyć, okazało się to niewykonalne. Kilkakrotnie energicznie szarpnął klamką, drzwi jednak nie ustąpiły.

– Zadzwoń do recepcji – polecił doktor Pocztomski. – Niech przyślą ekipę techniczną.

Firash wyciągnął z kieszeni telefon i spróbował wystukać numer do recepcji, lecz po chwili zrobił zdziwioną minę.

– Telefon nie działa, doktorze. Jest w pełni naładowany, ale... niech pan popatrzy.

Uniósł telefon komórkowy na wysokość oczu doktora Pocztomskiego, żeby ten mógł osobiście zobaczyć czarny ekran.

Pocztomski wyciągnął z kieszeni własny telefon, ale jego ekran także był czarny jak smoła. Podszedł więc do telefonu wiszącego na ścianie i chwycił za słuchawkę, lecz kiedy przyłożył ją do ucha, usłyszał tylko słabe szmery, jakby ktoś szurał nogami w grubej warstwie jesiennych liści.

– To nie ma sensu. Jeszcze raz spróbuj otworzyć drzwi.

Firash znów kilkakrotnie szarpnął klamkę. Wreszcie puściły śruby, klamka odpadła i potoczyła się na podłogę.

– Cóż, ugrzęźliśmy tutaj na dobre – powiedział doktor Pocztomski.

Obie studentki także spróbowały użyć telefonów, ale żaden z nich nie działał.

– Co teraz zrobimy? – zapytała Mel. Była bliska łez. – Co się stanie, jeżeli nikt nas stąd nie wypuści?

– Przecież to oczywiste, że prędzej czy później zostaniemy uwolnieni – zapewnił ją Pocztomski. – Jeśli nikt inny, to w końcu pojawią się sprzątaczkę.

– Ale co się dzieje? Dlaczego zrobiło się tak ciemno?

Światła fluorescencyjne na suficie migotały raz jaśniej, raz ciemniej, ale w gruncie rzeczy w laboratorium panował półmrok.

– Może spróbuję rozwalić te drzwi? – zasugerował Firash.

Doktor Pocztomski nie odpowiedział. Odniosł wrażenie, że dostrzega jakiś ruch tuż przy zlewie. Mimo ciemności zdołał wyłowić wzrokiem coś, co wyglądało jak wirujący czarny dym. Pociągnął Firasha za rękaw i powiedział:

– Popatrz tam, Firash. Co to jest?

Czarny wir z każdą chwilą gęstniał, robił się jednocześnie wyższy i szerszy, aż doktor Pocztomski zdał sobie sprawę, że przybiera formę postaci ludzkiej. Dym był

na tyle gęsty, że dokładnie widział jego kontury, lecz jednocześnie był w stanie przebić go wzrokiem na wylot. Za ciemną postacią wyraźnie widoczny był srebrny lśniący kran, a także błyszczący pęknięty słoć na ociekaczu.

– O mój Boże, co to jest? O Boże! – Dwie studentki także zobaczyły wirujący dym i zaczęły się cofać, tuląc się do siebie nawzajem. Były przerażone, a z gardła Sinead wyrwał się przeciągły jęk. Migotające światła przybrały mdły zielony odcień i zaczęły świecić mocniej. Doktor Pocztomski zobaczył, że postać w kącie laboratorium odziana jest w płaszcz z szerokimi rękawami, a na głowie ma wysoki spiczasty kaptur. Przywodziła na myśl członka jakiegoś zakonu religijnego albo czarownicę.

Czy ona istnieje naprawdę? – pomyślał. Może to tylko iluzja optyczna? Doktor Pocztomski uważał się za człowieka twardo stąpającego po ziemi, obdarzonego umysłem pragmatycznym aż do bólu – taki był już od urodzenia, a lata pracy naukowej dodatkowo wykształciły w nim te cechy. W tej chwili był gotów założyć, że jacyś studenci robią mu właśnie niesmaczny kawał, prezentując dziwną postać wygenerowaną komputerowo.

Miał właśnie do niej podejść i skończyć z głupimi żartami, ale zanim zrobił krok, w laboratorium rozległ się wysoki chrapliwy głos – kipiący złością głos kobiety. Ku jego zaskoczeniu dobiegał on nie od dziwnej postaci z dymu, lecz od Mel. Niemal zgięła się w pół, obie dłonie zacisnęła w pięści. Sinead wpatrywała się w nią z przerażeniem.

– Nie waż się dotknąć moich piskląt! Nie waż się zrobić im krzywdy, bo jeśli je tkniesz, przysięgam, będziesz cierpieł tak, jak jeszcze nigdy w życiu nie cierpiełeś!

– Kim ty jesteś? – wykrztusił z siebie doktor Pocztomski. Bardzo chciał, aby jego głos brzmiał zdecydowanie i władczo, sam jednak usłyszał w nim fałszywą nutę.

– Nie okradniesz ich z przyszłego życia! Bóg i ich matki odwrócili się do nich plecami, porzucili ich, ale ja nigdy tego nie zrobię! Teraz są moimi pisklętami!

– Pytałem, kim jesteś! Albo czym!

– Chcesz się dowiedzieć, jakie życie mógłbyś im odebrać, moim pisklętom? No to patrz!

Zakapturzona postać pochyliła się i pomachała rękami. Wyglądało to tak, jakby dawała komuś sygnały dwiema czarnymi chorągwiami. Doktor Pocztomski wyczuł w podmuchu kwaśny odór dymu z palonego drewna. Powietrze nad inkubatorami jakby zadrżało, podobnie jak postać w kapturze.

W tym drżącym powietrzu nabrały kształtów dwie małe sylwetki. Każda pochylała się nad innym inkubatorem, a w obu wciąż leżały płody, nadal oddychające szybko i bardzo płytko. Te sylwetki były teraz wyraźnie widoczne, choć przejrzyste jak hologramy. Doktorowi Pocztomskiemu dziwnie przypomniały hologram księżniczki Lei z *Gwiezdnych wojen*.

Sylwetka przy płodzie Dżoi miała ogromną głowę, ale pod kantem wydętego czoła widoczne były błękitne czyste oczy i niemal anielska twarz o okrągłych policzkach i pełnych wargach. Jej ramiona opadały pod ostrym kątem już od szyi, ręce były niewiele większe od kikutów, a palce wyglądały jak małe brodawki. Wydęty był również jej brzuch. Sterczał z niego pępek, który wyglądał jak skomplikowany supeł

na końcu szpagatu. Nogi miała równie krótkie jak ręce, zakończone malutkimi nierozwiniętymi palcami. Dwie błony przezroczystej skóry rozciągały się spod ramion i kończyły po zewnętrznej stronie jej stóp, przez co przywodziła na myśl latającą wiewiórkę.

Sylwetka przy płodzie Jenny miała mniejszą głowę i mocno wklęsłe czoło; można było odnieść wrażenie, że za nim nie ma już miejsca na mózg. Jej oczy były przekrwione i wybałuszone, jakby za chwilę miały wystrzelić z oczodołów. Brakowało jej nosa – zamiast niego widniały jedynie dwa duże trójkątne otwory, przez które można było dostrzec zatoki – a usta opadały w dół jak u niezadowolonego dziecka. Ciało przywodziło na myśl plastikowy worek do połowy wypełniony wodą. Na kończyny składały się jedynie rzędy wypustek, chociaż zarówno palce nóg, jak i rąk kończyły się ostrymi zaokrąglonymi pazurami.

– Tak się rozwiną moje pisklęta – rozległ się kobiecy głos, a doktor Pocztomski usłyszał w nim więcej spokoju i znacznie mniej złości niż przed chwilą. – Może ich nie pokochacie i może Bóg ich nie pokocha, ja jednak je Kocham, ponieważ one żyją. Brzydota może być przekleństwem, ale nie jest grzechem. Te pisklęta rozpoczęły życie, kiedy zostały poczęte, a ja będę je żywić i chronić, nie zważając na ich wielkie nieszczęście. To nie jest ich wina, że nigdy nie będą piękne, ani w waszych oczach, ani w oczach Boga. Zawsze będą piękne dla mnie.

Dwie sylwetki zadrżały i powoli rozpląnęły się w powietrzu. Zakapturzona postać pozostała, ale jej kontury były bardzo niewyraźne, przez co doktor Pocztomski doszedł do jeszcze głębszego przekonania, że składa się ona wyłącznie z dymu. Wyglądała jak dym i pachniała jak dym. Ale jak to się stało, że dym przeniknął do laboratorium, przybrał kontury człowieka, stworzył wizerunki holograficzne i przemawiał poprzez jedną ze studentek?

Doktor Pocztomski wziął głęboki oddech i odezwał się:

– Czyli... co chcesz mi powiedzieć? Że nie wolno mi dotknąć tych dwóch płodów? Co mam z nimi zrobić? Przecież są ofiarami aborcji. Nie zdołają utrzymać się przy życiu.

Mel była bliska omdlenia. Jej głowa się kołysała, kolana ugiwały się pod nią i Sinead usilnie starała się zapobiec upadkowi koleżanki twarzą na posadzkę. Popatrzyła rozpaczliwie na Pocztomskiego, ale ten stał jak sparaliżowany, jakby każde ścięgno w jego ciele zostało nagle zablokowane.

– Zaopiekuję się moimi pisklętami tak, jak to robiłam wcześniej – powiedziała Mel skrzekliwym głosem. – To są moje dzieci, a nie twoje. Nie należą do Boga, ale do mnie.

Nadeszła chwila, w której doktor Pocztomski odniósł wrażenie, że realny świat stracił kształty. Laboratorium jakby zaczęło się kręcić dookoła niego, Firash wydał mu się nagle nieprawdopodobnie chudy. Usłyszał wrzask Mel, ale był to teraz przenikliwy krzyk bólu, który nie miał już nic wspólnego z chrapliwymi wynurzeniami zakapturzonej istoty. Spróbował się odwrócić, ale wtedy laboratorium pogrążyło się w nieprzeniknionej ciemności.

– Fiiirrrashshsh! – zawołał, a jego głos zabrzmiał tak, jakby pochodził ze ścieżki

dźwiękowej filmu puszczonego w zwolnionym tempie. – Fiiirrrrashshsh, gdzieeee jeeesteee?

Ruszył na oślep przed siebie. Nagle rozległ się tępy, ogłuszający grzmot; uderzyły go drzwi, które właśnie wyleciały z zawiasów. Doktor Pocztomski zderzył się ze stołem, z nosa spadły mu okulary i pękły na pół, a drzwi spadły na niego. Jeden z pękniętych zawiasów rozdarł mu policzek.

Odrzucił drzwi na bok i w tej chwili światła zaczęły migotać. Nie na zielono, lecz normalnym białym blaskiem. Ranny i ogłuszony doktor Pocztomski stanął na nogach i zaczął się rozglądać za okularami. Wtedy jak przez mgłę zobaczył Firasha. Jego asystent siedział w kącie laboratorium, obok zlewu, jakby był pijany. Usłyszał też Sinead, która kuciała przy stole, oddychała spazmatycznie i płakała.

– Sinead? – odezwał się.

Zobaczył, że przezroczyste pokrywy obu inkubatorów zostały zerwane, a płozy zniknęły. Kiedy jednak Sinead zaszlochała, przestał się interesować inkubatorami. Obszedł ławkę i zobaczył, że Sinead pochyla się nad Mel, która leżała na plecach. Biały fartuch laboratoryjny dziewczyny był czerwony od świeżej krwi, a twarz Mel była szara i wykrzywiona z przerażenia.

Z jej tułowia sterczały oba ramiona, a raczej to, co z nich zostało. Zostały rozerwane w stawach łokciowych i wystawały z nich kości. Sinead próbowała zawiązać na kikucie lewego ramienia Mel strzęp rękawa, aby zadziałał jak opaska uciskowa. Miała jednak dłonie śliskie od krwi i także była w szoku, przez co z trudem panowała nad własnymi ruchami.

Doktor Pocztomski ponownie wziął do ręki telefon komórkowy i spostrzegł, że ten już funkcjonuje. Wystukał numer alarmowy, po czym rozpiął pasek i z głośnym trzaskiem jednym ruchem wyszarpnął go ze spodni.

– Firash! – krzyknął, klękając przy Mel.

– Tak, doktorze. Słyszę pana.

– Firash, biegnij po pomoc na SOR. Natychmiast! Mel jest ciężko ranna.

– Co? Co jej jest?

– Nie pytaj o nic, Firash, tylko idź!

– Tak, doktorze. Już idę. Już mnie tu nie ma.

Tymczasem w słuchawce rozległ się głos telefonistki:

– Centrala, słucham. Z jaką służbą chce się pan połączyć?

Doktor Pocztomski szybko wyjaśnił, co się stało i gdzie się w tej chwili znajduje. Nie interesowało go teraz, czy pomoc dla Mel zapewni mu SOR, czy służby szybciej zareagują na zgłoszenie telefoniczne, potrzebował jej natychmiast. Odłożył telefon i mocno zacisnął pasek na prawym przedramieniu dziewczyny. Nie stanowiło to doskonałego zabezpieczenia, ale przynajmniej gwarantowało spowolnienie krwotoku do czasu przybycia ratowników.

– Mel, zostań z nami, kochanie – powiedziała Sinead. Powieki Mel drżały i dziewczyna nie zareagowała. – Mel, nie odchodź od nas. Pomoc już jest w drodze.

Doktor Pocztomski przycisnął palce do szyi studentki, żeby wyczuć jej tętno. Było słabe, co nie mogło dziwić, gdyż Mel straciła dużo krwi. Jej serce jednak wciąż biło.

– Ja nie... ja w ogóle nie rozumiem, co się tutaj stało – powiedziała Sinead.

Pocztomski rozejrzał się w poszukiwaniu oderwanych przedramion Mel, ale ich nie dostrzegł. Zobaczył natomiast na ławce wielką niekształtą plamę krwi, przypominającą trochę bukiet róż. Jeszcze większa plama krwi widniała na ścianie tuż przy drzwiach. Czy to ta zakapturzona postać tak okrutnie potraktowała dziewczynę? Ale jak to się mogło stać? Przecież coś, co składało się wyłącznie z dymu, nie mogło tak po prostu oderwać młodej kobiecie obu przedramion i wynieść ich z laboratorium. Nie mogło też przy okazji zabrać ze sobą dwóch zdeformowanych płodów.

– Ja też niewiele z tego rozumiem – odparł. – Mam nadzieję, że wciąż jestem w domu, we własnym łóżku, i za chwilę się obudzę. Ale chyba nic z tego. Wiem, że to nie jest sen. Matko Boska, doskonale to wiem.

Po drodze na komisariat w Peckham Jerry zatrzymał się w McDonalddie przy Rye Lane i zamówił big maca z frytkami. Już od tygodnia nie miał czasu na zakupy i w lodówce znalazł tylko przeterminowaną surówkę coleslaw oraz słoik z marynowaną cebulą.

Zdawał sobie sprawę, że czekająca go odprawa z przełożonymi może potrwać wiele godzin, a bardzo nie chciał, żeby w jej trakcie głośno burczało mu w pustym brzuchu.

Podszedł z tacą do ustronnego stolika przy oknie i zapytał siedzące przy nim dwie młode kobiety, czy nie będą miały nic przeciwko temu, że do nich dołączy.

– Jeżeli pozwolisz nam skubnąć trochę frytek – rzuciła jedna z nich.

– Nie krępuj się, kochana. Możesz skubać na zdrowie.

Kiedy jadł, sprawdził w iPhone, czy nie ma nowych wiadomości o technikach, którzy zginęli w kanale ściekowym. Nie było. Zdołał połączyć się z Dżamilą, kiedy już jechała do domu, i powiedział jej o doktorze Macleodzie. Do tej pory nie otrzymał od inspektora Bullocka informacji o tym, w jaki sposób porwano go ze szpitala, nie zanosilo się też na to, że sekcja jego odartych ze skóry zwłok zostanie przeprowadzona dzisiaj czy jutro. Do tego czasu policja zamierzała utrzymywać zbrodnię w tajemnicy przed opinią publiczną.

Ugryzł zaledwie dwa kęsy hamburgera, gdy usłyszał, że ktoś stuka w szybę. Podniósł głowę i zobaczył siwego starca w zniszczonym brązowym tweedowym płaszczu, który stał na chodniku przed barem, odsłaniając bezzębne dziąsła w krzywym uśmiechu.

Jerry powoli odłożył hamburgera na stół. Starzec wciąż się do niego uśmiechał, wreszcie pokiwał głową i uniósł wyciągnięty kciuk, jakby obaj byli dobrymi kumplami, którzy przypadkowo spotkali się w mieście. Dwie młode kobiety popatrzyły na starego człowieka, a potem na Jerry'ego, jakby wyczuły, że dzieje się coś dziwnego.

Jerry podniósł telefon i błyskawicznie kilkakrotnie sfotografował starca. Następnie powiedział do dziewcząt:

– Popilnujcie mojego hamburgera, drogie panie? Muszę pogawędzić z tym dziadem.

– To nie jest twój ojciec?

– Na Boga, nie. Ostatni raz widziałem mojego ojca w trumnie. A potem zakopano go na cmentarzu przy Blackshaw Road.

– Och, przepraszam.

Jerry wybiegł z baru frontowymi drzwiami. Ale kiedy znalazł się na zewnątrz, po starym człowieku nie było nawet śladu. Na chodniku stała jedynie kobieta z wózkiem dziecięcym, a dwaj chłopcy w wieku szkolnym się boksowali, raczej dla żartu niż na

poważnie.

Szybko podszedł do skrzyżowania z Elm Grove. Ulica była pusta. Stał przez chwilę z nadzieją, że starzec właśnie przechodzi przez jezdnię i chwilowo zasłoniła go parkująca furgonetka, ale go nie dostrzegł. Wrócił więc na Holly Grove, na drugą stronę McDonalda. Jakiś mężczyzna w kapturze siedział na krześle campingowym i sprzedawał podrabiane walizki od Louisa Vuittona i plecaki od Prady. W oddali zobaczył kobietę z pudłem na smyczy i nikogo więcej.

Wrócił do baru i usiadł przy stoliku. Jedna z dziewczyn znowu go przeprosiła, ale machnął ręką na znak, że nic złego się nie stało. Przecież i tak się z ojcem nie dogadywał.

Sprawił fotografie w telefonie. Wykonał ich pięć, ale starego człowieka na nich nie było.

Właśnie miał po raz trzeci ugryźć hamburgera, ale powoli odłożył go z powrotem na talerz. Starzec stał przecież za szybą tuż przed nim, był tego pewien. Jak to możliwe, że nie znalazł się na żadnym zdjęciu?

Popatrzył na dziewczyny i odezwał się:

– Widziałyście go, prawda?

– Kogo? Tego starca?

– Tak. Nie widziałyście, w którą stronę poszedł?

Obie dziewczyny pokręciły głowami.

– Nie patrzyłyśmy, gdzie idzie.

– Ale go widziałyście?

– Tak. Przecież gdybym go nie widziała, nie pytałabym, czy jest twoim ojcem.

Jerry jeszcze raz sprawdził telefon, ale na zdjęciach zobaczył to samo co przed chwilą. Sfotografował kobietę z wózkiem, a dwaj chłopcy wtedy jeszcze nie dotarli do McDonalda. Na żadnym zdjęciu nie było też starego człowieka.

Nagle stracił apetyt. Wstał i zdjął kurtkę z oparcia krzesła.

– Idziesz już? – zapytała jedna z dziewcząt. – A twoje frytki?

– Nie zjem ich, kochana. Są twoje. Od dzisiaj przechodzę na dietę.

Kiedy przyjechał na komisariat, Dżamila już na niego czekała.

– Masz jakieś nowe wiadomości z Camberwell? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Nie. Ani słówka.

– Po tym, co mi powiedziałaś o Macleodzie, sama zatelefonowałam do inspektora Bullocka. Wydaje się całkowicie zdezorientowany, nie ma pojęcia, w jaki sposób uprowadzono go z sali operacyjnej. Myślę, że kiedy skończymy na komisariacie, będziemy musieli pojechać do BirthWell i osobiście porozmawiać ze świadkami.

– Nie dziwię się, że Bullock jest zdezorientowany. Jezu, to wszystko z każdą kolejną minutą jest coraz bardziej szalone. I posłuchaj... nie uwierzysz, kogo właśnie widziałem.

Miał właśnie opowiedzieć Dżamili o tym, co się wydarzyło w McDonalddie, ale otworzyły się drzwi i w holu komisariatu stanęła Gemma Bright. Ubrana była w elegancki szary kostium. W ręce trzymała neseser, a pod pachą długą kartonową

tubę.

– Przepraszam, chyba trochę się spóźniłam. Korki.

– Nie ma sprawy – odparła Dżamila. – Chodźmy na górę.

Wjechali windą na piętro i weszli do wysokiego pomieszczenia, na którego umeblowanie składało się jedynie duże biurko i kilka krzeseł biurowych. Było tu duszno, w powietrzu unosił się stęchły odór zawilgoconej starej drewnianej boazerii. Gemma wyciągnęła z tuby kilka starych map i rozłożyła je na biurku.

– Przede wszystkim chcę wam pokazać najnowszą mapę. Zaznaczono na niej wyraźnie, które kanały ściekowe nie zmieniły się od czasu, kiedy Joseph Bazalgette zaprojektował je w tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym roku.

– Chyba nie potrzebuję mapy, żeby stwierdzić, jak stare są te kanały – zauważył Jerry. – Smród zdradza ich wiek.

Gemma posłała mu ponury uśmiech.

– Tutaj... tutaj narysowany jest kanał przy Battle Bridge, który obsługuje obszar Peckham, a tutaj z kolei mamy kanał burzowy w Southwark i Bermondsey, który odbiera nadmiar wody, kiedy poziom ścieków jest zbyt wysoki. Oba przetrwały tak długo, ponieważ Bazalgette kazał wydrążyć kanały o dwukrotnie większej przepustowości, niż to wówczas było potrzebne, i wymógł, aby przy budowie wykorzystywano wyłącznie cement z Portland. Jest on nadzwyczaj twardy i wodoodporny.

Jerry pochylił się nad mapą i przez chwilę wpatrywał się w nią ze zmarszczonym czołem. Następnie popatrzył na Gemmę.

– Powiedziałaś, że masz jakieś teorie, które mogłyby wyjaśnić, co wywołało erupcję tej cholernej wielkiej fontanny ścieków. No i co sprawiło, że nasi ludzie zostali bezlitośnie zaszlachtowani. Nie możemy też zapomnieć o wszystkich innych dziwnych zjawiskach, których także my dwoje doświadczyliśmy w kanale ściekowym. O tych światłach, które nagle zmieniły kolor, o jękach, przeraźliwym zawodzeniu i kluczach, którymi w nas rzucano.

– Owszem, mam kilka teorii – odparła Gemma. – Długo się nad wszystkim zastanawiałam i po prostu nie wierzę, że mieliśmy do czynienia z zupełnie naturalnymi zjawiskami. Jestem przekonana, że ktoś, jedna osoba lub wiele osób współpracujących w grupie, specjalnie to wszystko zrobił.

– Ale w jakim celu? – zapytała Dżamila.

– W jakim niesamowitym i zbrodniczym celu? – dodał Jerry.

– Nie mam pojęcia – powiedziała Gemma. – I nie potrafię sobie wyobrazić, jakich środków trzeba było użyć, żeby do tego wszystkiego doprowadzić. Nasz główny kanalarz zasugerował, że erupcję ścieków mogły wywołać nadzwyczaj wysoka fala i jednoczesne zamknięcie Thames Barrier.

– Ty tak nie uważasz?

– Nie. Ta ogromna ilość ścieków nie miała prawa przebrnąć przez zator blokujący kanał. Po prostu miejsca dla ich przepływu jest zbyt mało. Poza tym jak to się stało, że mój fotograf i wasi technicy zostali posiekani na kawałki? Czegoś takiego nie spowodowałyby nawet woda płynąca pod wielkim ciśnieniem. Trzeba by też wyjaśnić

kwestię tych okaleczonych dzieci, zielonych świateł i kluczy. Także przypadek biednego Martina, oślepionego i pozbawionego nóg. Przecież to wszystko przypomina tani horror, nie? A wydarzyło się naprawdę. Oboje byliście tego świadkami, i ja również. To są fakty. I skoro tak jest, to stoi za nimi ktoś rzeczywisty.

– Jednak przeszukaliście kanały georadarem i na nikogo nie natrafiliście, prawda?

– Właśnie dlatego przyszły mi do głowy nowe teorie. Jestem głęboko przekonana, że należałoby je sprawdzić.

Dzamilą popatrzyła na zegar ścienny.

– Jest już wpół do trzeciej... Mamy teraz spotkanie z nadinspektorem Waltersem i z pozostałymi detektywami Pierwszego Zespołu Śledczego. Gemmo, może przedstawiś swoje teorie od razu całej grupie? Dzięki temu nie będziesz musiała opowiadać o nich dwukrotnie.

Gemma schowała mapy do tekturowej tuby i wszyscy troje poszli do dużego zimnego gabinetu, który nadinspektor Walters zajął na czas tego śledztwa. Był już na miejscu, siedział u szczytu lśniącego orzechowego stołu. Ręce miał uniesione, jakby czekał na boską reakcję na modlitwę, którą właśnie skończył odmawiać. Identyczną pozycję przyjęli detektywi posterunkowi O'Brien i Pettigrew. Kolejny mężczyzna siedział po prawej ręce Waltersa. Wyglądał jak typowy profesor uniwersytecki: miał potargane siwe włosy, nosił okulary o małych szklach, a ubrany był w poprzecieraną sztruksową marynarkę w bladym beżowym kolorze, ze skórzanymi łątami na łokciach. Pod szyją miał czerwoną muszkę przekreśloną co najmniej o czterdzieści pięć stopni.

– Ach, Mulder i Scully – odezwał się Walters.

– Detektyw sierżant Patel i detektyw Pardoe – poprawiła go chłodno Dzamilą.

– Pozwoliłem sobie na mały żart, sierżant Patel. Proszę nie bierz tego do siebie.

W rzeczy samej powinnaś uznać to porównanie za komplement.

– Dziękuję, panie inspektorze. Zaczekajmy jednak z komplementami, dopóki nie doprowadzimy śledztwa do końca. Jeżeli w ogóle będziemy w stanie je zakończyć. Tymczasem przedstawiam państwu Gemmę Bright, inżyniera z Crane's Drains. Do jej obowiązków należy nadzór nad kanałem, w którym doszło do tych tragicznych zdarzeń. Twierdzi, że rozważa pewne teorie, które mogłyby nam pomóc w rozwiązaniu zagadki.

– Tak – potwierdziła Gemma. – Jestem o tym przekonana.

– Doskonale zatem. Doceniamy pani gotowość do współpracy, pani Bright – powiedział nadinspektor Walters do Gemmy, choć nawet na nią nie spojrział.

Zdaniem Jerry'ego jego głos zabrzmiał tak, jakby Walters szczerze wątpił, że kobieta może coś wiedzieć o kanałach ściekowych, zwłaszcza kobieta tak atrakcyjna jak Gemma.

– Proszę, usiądźcie – kontynuował nadinspektor. – Z kolei ja pragnę przedstawić Alana Pattinsona z firmy Cullen, specjalizującej się w konserwacji starych zamków i kluczy. Prawdopodobnie jest w naszym kraju najlepszym specjalistą w swojej dziedzinie. Napisał nawet książkę o zamkach i kluczach, prawda, panie Pattinson?

– W rzeczy samej dwie książki, panie nadinspektorze. Pierwsza z nich traktuje

o starych zamkach, a druga o starych kluczach. Jednak nie zwykłem chwalić się tym wszem i wobec.

Wszyscy usiedli przy stole. Dżamila nalała sobie wody do szklanki, a Jerry zaczął żałować, że w McDonalddie zostawił niedopite cappuccino.

– Panie Pattinson, niech pan powtórzy nowo przybyłym to wszystko, co zdążył już pan przekazać nam. Uważam, że rzucił pan właśnie nowe światło na tę paskudną sprawę.

Na stole przed Alanem Pattinsonem leżała pojemna torba na narzędzia, wykonana z zielonego płótna. Mężczyzna rozwiązał zabezpieczający ją węzeł i położył otwartą torbę na stole. W każdej z szesnastu kieszeni, które normalnie powinny mieścić klucze francuskie i śrubokręty, teraz znajdował się jeden z kluczy znalezionych w ściekach.

– Po raz pierwszy zetknąłem się osobiście z takimi kluczami. W starych książkach widywałem ich rysunki, wspomina o nich też kilka dawnych traktatów o ślusarstwie. Spotyka się je tak rzadko ze względu na ich przeznaczenie.

– Zakładam, że te klucze służyły do otwierania zamków w drzwiach – powiedział Jerry. – Dlaczego są więc tak rzadkie?

– Ach! – zawołał Alan Pattinson i uniósł wskazujący palec. – Myli się pan, używano ich tylko do zamykania, a już nie do otwierania. Kiedy zamknięto nimi jakieś drzwi, klucz pozostawiano na stałe w zamku. Zwane były kluczami kwarantanny. Wszystkie symbole, które może pan dostrzec na ich uchwytach, mają znaczenie okultystyczne... każdy jest inny. Nazywamy je sigilami.

Wziął do ręki jeden z kluczy i uniósł na wysokość głowy. Na jego uchwycie po obu stronach widniały krzyżyk oraz półksiężyc. Symbole otaczały litery, składające się na słowo MURMUR.

– Ten sigil przeznaczony jest dla Murmura, który był jednym z siedemdziesięciu dwóch demonów wymienionych w *Mniejszym kluczu Salomona*, dziele należącym do najważniejszych ksiąg demonologicznych, pochodzącym z połowy siedemnastego wieku. Księga ta oparta jest na materiale o setki lat starszym. Murmur był wielkim księciem i hrabią piekła, dowodził trzydziestoma dziewięcioma legionami pomniejszych demonów. Gdyby któryś z was był czarodziejem i potrafił przywołać na ziemię Murmura, demon sprawiłby, że bylibyście w stanie samodzielnie wskrzeszać umarłych i zmuszać ich do odpowiadania na pytania. Na przykład gdyby zmarły nie zdążył powiedzieć potomnym, gdzie ukrył swoje skarby... cóż, wskrzeszanie odbywało się w taki sposób, że człowiek wyrwany ze szponów śmierci nigdy nie odmówił wyjawienia żądanej informacji. – Pattinson odłożył klucz i wziął do ręki następny. Na jego rękojeści widoczna była kula pistoletowa z odwróconym krzyżem oraz dwiema parami nożyczek. – Ten sigil wykonano dla Malfasa, który był wielkim księciem piekła i zastępcą szatana. Miał pod swoim dowództwem pięćdziesiąt legionów z demonami. Ktoś, kto przywołał Malfasa, uzyskiwał moc, która sprawiała, że wszystkie budynki należące do jego wrogów obracały się w zgliszcza, a ich umysły pustoszały do tego stopnia, że pozbywali się myśli o zemście i w gruncie rzeczy tracili zdolność do abstrakcyjnego myślenia. Jedyne problem z Malfasem polegał na tym, że nigdy nie było można mu ufać i każda osoba, która go przywołała, musiała się

obawiać, że Malfas również jej odbierze umiejętność myślenia.

– Czy wszystkie klucze noszą symbole demonów? – zapytała Dżamila.

Pattinson uniósł po kolei trzy następne klucze.

– Każdy z nich – odparł. – Przysłaliście do mnie sześćdziesiąt cztery klucze, więc mogę tylko założyć, że nie znaleźliście wszystkich. Ten klucz ma na rękojeści sigil Beleta. Kolejny przeznaczony jest dla Asmodeusza. Następny dla Marchosjasa. I tak dalej. Jak już powiedziałem, wszystkie te demony wymienione są w *Mniejszym kluczu Salomona*, ale ich listę pierwotnie zestawiał w tysiąc pięćset siedemdziesiątym siódmym roku holenderski lekarz i okultysta Johann Meyer. Osobiście nie wierzył on w czary i po łacinie nazwał swoją listę *Pseudomonarcia Daemonum*, czyli *Fałszywą monarchią demonów*. Jednak wiele czarownic, mediów i wyznawców czarnej magii wierzyło, że demony z jego listy naprawdę istnieją i za pomocą odpowiednich zaklęć można je przywoływać na ziemię, po czym angażować do dowolnego łotrostwa.

– Alanie, proszę się nie obrazić, ale przemawia pan do nas w taki sposób, jakby sam wierzył pan w te demony.

Alan Pattinson niespodziewanie wybuchnął śmiechem, który zabrzmiał jak rżenie konia.

– Ujmę to tak, detektywie. W moim biznesie zawsze trzeba mieć otwarty umysł. Zdziwiłby się pan, gdybym panu powiedział, jakie zastosowania miały niekiedy klucze i zamki w drzwiach. Część z tych zastosowań była wyjątkowo pikantna. Mógłbym rozprawiać o tym godzinami.

– Jestem tego pewien. Skoncentrujmy się jednak na tych kluczach. Dlaczego nazywano je kluczami kwarantanny?

– Nazywano je tak dlatego, że wykonywane były specjalnie dla egzorcystów, aby mogli na resztę wieczności ukryć w trwale zamkniętych trumnach martwe ciała czarownic i czarowników. Trumny opasywane były siedemdziesięcioma dwoma żelaznymi kręgami, z których każdy zabezpieczano kłódką. Potem zamykano każdą kłódkę kluczem oznaczonym sigilem jednego z siedemdziesięciu dwóch demonów i zostawiano je w kłódkach, kiedy trumny zakopywano w ziemi. Egzorcyci wierzyli, że jeśli klucze tkwią w kłódkach, nikt nie jest już w stanie ich przekręcić ani wyciągnąć. To dlatego nad każdym kluczem odprawiano egzorcyzmy, których głównym elementem była modlitwa paralizująca sibil demona. Inaczej mówiąc, dzięki modlitwom klucze blokowały się w kłódkach tak skutecznie, jakby zalano je najmocniejszym klejem na świecie. Był to więc taki duchowy superklej.

– Lecz, jak rozumiem, te klucze ktoś powyciągał? Nie tylko powyciągał, ale potem ciskał nimi w nas.

– Aha... I właśnie tutaj cała sprawa robi się interesująca. Według *Mniejszego klucza Salomona* nieliczni wybrańcy mają jednak zdolność przekręcania kluczy i otwierania kłódek. Na przykład niektórzy wyświęceni księża. Albo ludzie, którzy zostali przywróceni do życia, choć ich serca przestały bić. I dzieci czarownic lub czarodziejów znajdujących się w trumnach, naturalne albo adoptowane, także potrafią je otwierać.

– A więc trumny można otwierać – powiedział Jerry. – Ale co potem?

– Osobę, która w niej leży, można przywrócić do życia. Przynajmniej tak napisane jest w księdze. I nie ma znaczenia, od jak dawna ta osoba nie żyje.

– Co zatem to wszystko znaczy? – zapytała Dżamila. – Chce pan nam powiedzieć, że obrzucenie nas kluczami w kanale ściekowym dowodzi, że uwolniono z trumny jakąś czarownicę? I przywrócono ją do życia?

Alan Pattinson wzruszył ramionami, jakby był zawstydzony.

– Owszem, jeżeli wierzy pani w takie rzeczy.

– Przecież Jezus Chrystus zmartwychwstał, prawda? – odezwał się Jerry. – Wierzy w to wielu ludzi. Dlaczego więc nie mogła zmartwychwstać jakaś czarownica? Szefie, a co pan o tym myśli?

Nadinspektor Walters zrobił zakłopotaną minę, która miała wskazać podwładnym, że nie wyrobił sobie jeszcze własnej opinii na ten temat.

– Musimy przyznać, że dzieje się coś skrajnie dziwnego. Niezależnie od przypuszczeń mamy w tej chwili pięcioro martwych policyjnych techników i martwego pracownika Crane's Drains, a także kolejnego pracownika tej firmy straszliwie okaleczonego i oślepionego. Wszystko, co się wydarzyło, na pierwszy rzut oka wydaje się spowodowane działaniem sił jakichś elementów nadprzyrodzonych. Właśnie dlatego zaprosiłem do udziału w śledztwie ciebie i sierżant Patel. Ale, jak wskazał pan Pattinson, facet, który pierwszy ułożył listę tych wszystkich demonów, sam w demony nie wierzył, więc jest bardzo prawdopodobne, że te klucze i cała reszta, efekty świetlne i tak dalej, i tak dalej, to robota kogoś, kto pragnie nas ogłupić i skłonić do uznania, że dookoła dzieją się rzeczy nie z tej ziemi, mimo że posługuje się jedynie sprytnymi trikami. Uważam to za działanie bliskie temu, czego dokonują na scenie tak zwani magicy, kiedy na przykład na oczach setek widzów przepiłowują kobietę.

– Ale w naszym przypadku ktoś naprawdę odpiłował biedakowi nogi i poćwiartował na drobne kawałki sześć kolejnych osób – powiedział Jerry.

Chciał uzmysłowić nadinspektorowi Waltersowi, że jego analogia jest co najmniej nie na miejscu.

Gemma uniosła rękę, żeby przyciągnąć uwagę.

– Zgadzam się z nadinspektorem. Zostałam zaatakowana przez te dziwaczne dzieci i jakoś nie sędzę, żebym miała do czynienia z duchami. One były prawdziwe, chociaż straszliwie zdeformowane. Poczułam na sobie ich pazury, próbowały zerwać mi z głowy kask, a przecież duchy nie mają takich możliwości, prawda? Uważam, że mamy do czynienia z inscenizacją i przestępcami, którzy użyli specjalnych kostiumów. Proszę państwa, przecież żadne dziecko nie może żyć z wnętrznościami na wierzchu. Zwłaszcza w kanałach ściekowych.

– Muszę jednak ponowić moje zasadnicze pytanie – powiedziała Dżamila. – Dlaczego ktoś zastosował aż tak skrajne środki, żeby doprowadzić do tych cudaczných zdarzeń? Co jest jego celem? Nadinspektorze Walters, mówił pan o magiku. Owszem, jestem w stanie zaakceptować, że światła, kostiumy i efekty dźwiękowe zostały celowo wykreowane przez przestępcę, aby nas zdezorientować. Ale ten wiatr w kanale? Skąd on się wziął? Poza tym kto potrafiłby rzucać

dziesiątkami kluczy naraz, i to z prędkością przewyższającą prędkość najsilniejszej wichury? Kto potrafiłby poćwiartować sześć osób, a następnie wyrzucić je na ulicę przez właz kanalizacyjny razem z tysiącami litrów ścieków? I co najważniejsze, po co to zrobił?

Nadinspektor Walters pokiwał głową.

– To są dobre pytania, sierżant Patel. Naprawdę bardzo dobre pytania. Sam je sobie zadaję już od dłuższego czasu. Brak odpowiedzi na nie sprawił, że przekazuję śledztwo w ręce specjalistów, takich jak obecny tu pan Pattinson, ty i detektyw Pardoe. Szczerze mówiąc, cholernie mi zależy nad tym, aby jak najszybciej rozwikłać tę zagadkę.

Gemma rozwinęła jedną z map, które przyniosła ze sobą. Był to reprint mapy z 1847 roku, o pożółkłych rogach, składany i rozkładany już tak wiele razy, że w wielu miejscach wzmocniono go przezroczystą taśmą samoprzylepną.

– Z mojego punktu widzenia przede wszystkim musimy dotrzeć do osoby, która to wszystko spowodowała. Dopóki jej nie złapiemy, nie poznamy motywów jej działania. Może się też okazać, że sprawca nie kieruje się żadnym racjonalnym motywem. Tak bywa zapewne również w wypadku części morderców.

– To prawda. – Dżamila skinęła głową. – W ubiegłym miesiącu zajmowałam się śmiercią młodej kobiety zaszytowanej w Redbridge. Wydawało się, że rzeczywiście nie było motywu, ale kiedy lekarz sądowy uważnie przyjrzał się ranom ofiary, okazało się, że ciosy zostały zadane nożem Mahasabha.

– Co to takiego?

– To szczególny rodzaj finki, którym posługują się do obrony wyłącznie młodzi Hindusi. Ta kobieta miała tylko jednego bliskiego przyjaciela pochodzenia hinduskiego. Kiedy go przesłuchaliśmy, przyznał się do popełnienia morderstwa. Twierdził, że zabił pająka pośrodku jego sieci.

– Cóż, więc dostała to, na co zasługiwała. Tyle że nikt nie może już oczekiwać, że zabijanie pajaków ujdzie mu na sucho. Rety!

– Niczego nie rozumiesz. Przyjaciel tej dziewczyny był żarliwym, pobożnym hinduistą, a dla Hindusów pająk jest twórcą złych iluzji i reprezentuje maję, czyli siły nadprzyrodzone współodpowiedzialne za stworzenie świata. I to był jego motyw. Bał się, że jeśli nie ukarze dziewczyny, zostanie uznany za współnika znienawidzonego pająka i po śmierci urodzi się w kolejnym wcieleniu jako chrząszcz albo szczur.

– Kiedy zacznie się jego proces? Chciałbym się dowiedzieć, jaką linię obrony przyjmie jego adwokat.

Gemma położyła mapę na stole. Mimo że była wyblakła, Jerry rozpoznał na niej dziewiętnastowieczne Peckham Rye i najbliższą okolicę.

– Tej mapy używał pan Clarke, który prowadził firmę oczyszczającą miasto, czyli zatrudniał ludzi, którzy nocami jeździli po mieście i oczyszczali doły kloaczne lub, jak powiedzielibyśmy dzisiaj, po prostu szamba. Nazywano ich „ludźmi nocy”. W ramach tej profesji obowiązywał szczegółowy podział zadań. „Dolarz” schodził do dołu kloaczego z drewnianym kubłem i łopatą, po czym wybierał do kubła ludzkie odchody, „liniarz” wyciągał kubeł na sznurze, a dwaj „kublarze” przenosili wiadra z odchodami do furmanki. Następnie przewozili urobek do posiadłości pana Clarke’a, a on mieszał to wszystko z obornikiem i zgniłymi warzywami, po czym sprzedawał lokalnym rolnikom jako nawóz.

– Nic w przyrodzie nie może się zmarnować – zauważył detektyw O’Brien.

– Ma pan rację – zgodziła się Gemma. – Beczka ludzkich ekskrementów

wystarczała do użyczenia pola o powierzchni jednego akra. Proszę... Na mapie możemy zobaczyć, że pan Clarke oznaczał domy swoich klientów krzyżykami, zapisywał też daty opróżniania ich kloak. Części z nich nie trzeba było opróżniać przez lata, ale nigdy nie należało dopuścić do tego, aby ich zawartość wylała się do ogrodu albo na podłogę domu. Samuel Pepys przeżył niemiłą przygodę, kiedy szambo jego sąsiada z parteru eksplodowało aż po sufit. Z jego zapisków wynika, że kiedy zszedł na dół po butelkę brandy, niespodziewanie aż po kostki zanurzył nogi w balaskach. To jego słowa, nie moje.

Jerry zerknął na nadinspektora Waltersa. Odniósł wrażenie, że Gemma zainteresowała go i że uważnie jej słucha. Detektyw Pettigrew przyłożyła dłoń do ust i zmarszczyła nos, jakby naprawdę do jej nozdrzy dotarł odór dziewiętnastowiecznych dołów kloaczych.

– Kiedy zbadaliśmy kanały ściekowe georadarami – ciągnęła Gemma – nie natrafiliśmy na nic nadzwyczajnego. Jednak uważnie przeanalizowałam wszystkie odczyty i odkryłam, że w kilku miejscach z kanałami łączą się od dawna nieużywane kloaki. Albo ktoś celowo rozbił ceglane ściany murów, albo do tych połączeń doszło w miejscach, w których ściany zgniły ze starości. Oznaczyłam te kloaki kolorowym papierem samoprzylepnym. W sumie doliczyłam się pięciu.

– I wierzy pani, że duchy, te zdeformowane dzieci lub zjawy, kimkolwiek są, kryją się w jednej lub w większej liczbie tych nieużywanych dołów kloaczych? – zapytał nadinspektor Walters.

– Dopuszczam taką możliwość. No bo gdzie miałyby się kryć?

– Jak pani wie, detektyw Pardoe i ja widzieliśmy te dzieci już dwukrotnie na ulicach – powiedziała Dżamila. – A przynajmniej tak nam się zdawało. Jednak w obu przypadkach uciekały za najbliższy róg i znikwały nam z pola widzenia. Możemy jedynie zakładać, że otwierały włazy do kanałów ściekowych i w nich się ukrywały. Nie mogły uciec nigdzie indziej.

– Właśnie – przytaknęła Gemma. – A skoro wróciły do kanałów, mogły bez trudu wchodzić do dawnych kloak. Nie przyszło nam przecież do głowy, aby sprawdzić je georadarem. Najbliżej High Street w Peckham takie miejsce znajduje się na rogu Talfourd Place. Wiele okolicznych ulic zostało zbombardowanych w czasie drugiej wojny światowej i mnóstwo budynków zostało zrównanych z ziemią, ale wciąż tam stoją dwa duże domy, które wybudowano około tysiąc osiemset trzydziestego roku, zanim przystąpiono do drążenia kanałów.

– Co więc pani proponuje? – zapytał nadinspektor Walters.

– Na początek chciałabym sprawdzić georadarem pięć porzuconych dołów kloaczych, a jeżeli badania wskażą coś godnego uwagi, podjąć tam dokładniejsze prace. Wstępne badania zakończylibyśmy już jutro wczesnym rankiem.

– A jeżeli georadar nie wykaże niczego nadzwyczajnego? Co wtedy?

– Cóż, nie mam pojęcia, nadinspektorze – odparła Gemma. – Może zabrzmiało to dziwnie, ale kanały ściekowe są dla mnie całym światem. To, co się teraz dzieje, te dziwactwa i cały ten horror, odbieram jako najazd na mój świat i jego okupację. Dlatego zrobię wszystko, żeby ten świat odzyskać.

Kiedy jechali High Road, Jerry powiedział Dżamili, że przed McDonalodem znów widział dzisiaj starca w brązowym tweedowym płaszczu.

– Jerry, jestem pewna, że to był przypadek.

– Albo przypadek, albo ten człowiek zaczął mnie prześladować.

– Ale dlaczego? I skąd za każdym razem wiedziałyby, gdzie cię znaleźć?

Skręcili właśnie w kierunku Denmark Hill, gdy zadzwonił telefon Jerry'ego. Wyciągnął go z kieszeni i podał Dżamili.

– Jerry? Tu Jeżozwierz.

– Kto? Detektyw Pardoe właśnie prowadzi samochód.

– Ach, przepraszam. Mam przyjemność z detektyw sierżant Patel? Przy telefonie detektyw posterunkowy Mallett z Tooting.

– Tak, tu Patel. Czym mogę służyć?

– W St George's Hospital doszło do poważnego wypadku związanego z dwoma płodami, które miał zbadać doktor Jakiśtam, medyk sądowy.

– Co za wypadek?

– Ktoś włamał się do laboratorium medycyny sądowej i skradł płody, zanim doktor zdążył się nimi zająć. Co gorsza, poważnie zranił jedną ze studentek, które w ramach praktyk miały obserwować przebieg badania. Wszyscy twierdzą, że złodziej miał na sobie czarny płaszcz z kapturem, ale bardziej przypominał słup dymu niż człowieka o wyraźnych konturach.

– Słup dymu? Tak samo doktor Macleod opisał intruza, który uniemożliwił mu przeprowadzenie cesarskiego cięcia w Centrum Medycznym Warren BirthWell. Mówił, że wyglądał jak dym.

– Właśnie. Zdaje się, że obaj ci lekarze wypalili wcześniej coś mocnego, co? Jednak jeden i drugi niezależnie od siebie opowiedzieli to samo.

Jerry zerknął na Dżamile, a ona uniosła rękę, sygnalizując, że za chwilę przekaze mu szczegóły.

– Ta studentka... przeżyje?

– Prawdopodobnie tak. Doktor Jakiśtam zatamował krwotok, ale dziewczyna prawdopodobnie do końca życia będzie potrzebowała protez rąk. Jej przedramiona zostały wyrwane ze stawów łokciowych i może nawet dałoby się z powrotem je przyszyć, ale nigdzie nie znaleziono oderwanych kikutów. Wszystko wskazuje na to, że ten ktoś zabrał je ze sobą razem z płodami. Cholernie niewiarygodne, co?

– Być może. Dziękuję panu, Mallett. Jedziemy właśnie do BirthWell, żeby porozmawiać z pracownikami. Następnie skierujemy się do Tooting.

Dżamila oddała telefon Jerry'emu.

– Tylko mi nie mów, że straszna zakapturzona postać z dymu znowu zrobiła demolkę – powiedział.

– Zabrała dwa płody, których badanie miał właśnie rozpocząć patolog, a poza tym pozbawiła jedną ze studentek obu przedramion. Mówię ci, Jerry, to wszystko wymknęło się już spod kontroli.

– Cholera jasna. Oby Gemma miała rację i obyśmy coś znaleźli w tych dołach

kloacznych. Ale nawet jeśli znajdziemy tę osobę, to co dalej? Przecież nie aresztujemy czegoś, co składa się wyłącznie z dymu.

– Szkoda, że nie mogę o tym porozmawiać z pirem, który mieszkał niedaleko mojej wioski. Był świętym człowiekiem, który podobno potrafił uwalniać ludzi od złych duchów.

Jechali do góry przez Denmark Hill, aż dotarli do szerokiego skrzyżowania z Daneville Road. Bębniąc palcami w kierownicę, Jerry czekał, aż przez jezdnię przejdzie kilku przechodniów i światła zmienią się na zielone.

Włączył pierwszy bieg, żeby ruszyć, gdy przed maską samochodu przebiegł ostatni pieszy. Był to dobrze mu znany starzec w brązowym tweedowym płaszczu. Na wietrze trzepotały jego rzadkie siwe włosy. Odwrócił głowę, popatrzył na Jerry'ego i Dżamilę, po czym posłał im triumfujący uśmieszek i oblizał usta.

– To on! – zawołał Jerry. – I to już nie jest żadne cholerne przywidzenie.

Skręcił gwałtownie w Daneville Road i natychmiast zahamował przy krawężniku. Ale kiedy szarpnął za klamkę, ze zdziwieniem stwierdził, że drzwi nie chcą się otworzyć. Kilkakrotnie wduślił przycisk otwierania auta na kluczyku, ale nic to nie dało.

– O co chodzi? – zapytała Dżamila.

– Te pieprzone drzwi się zablokowały. Może otworzysz po swojej stronie?

Dżamila pociągnęła za klamkę, ale drzwi po stronie pasażera także ani drgnęły.

– Cholera, nie wierzę! – zawołał Jerry i się odwrócił.

Starzec w brązowym tweedowym płaszczu nie przeszedł przez jezdnię i w tej chwili stał na rogu ulicy, przed słupem sygnalizacji świetlnej, w odległości około dziesięciu metrów za samochodem Jerry'ego. Wciąż się uśmiechał.

Dżamila także obróciła się w fotelu.

– Dlaczego on jest taki zadowolony? Jak myślisz, to jego sprawka, że nie możemy wysiąść?

– A w jaki sposób by to zrobił? Ten cholerny grat znowu nawalił.

Jerry jeszcze kilkakrotnie szarpnął klamką. Po chwili jednak zrezygnował i uruchomił przycisk opuszczania szyby. Miał nadzieję, że zdoła otworzyć drzwi od zewnątrz, ale szyba się nie zsunęła. Dżamila spróbowała tego samego, z identycznym skutkiem.

Jerry ponownie popatrzył na starca. Mężczyzna stał przy słupie, lecz już się nie uśmiechał. Wskazującymi palcami obu rąk kreślił w powietrzu koła i krzyże, przestępując z nogi na nogę.

– Do diabła, co on wyrabia? Zachowuje się tak, jakby chciał sprowadzić cholerny deszcz z jasnego nieba.

– Nie wiem, co się dzieje – powiedziała Dżamila. – Ale mam wrażenie, że powinniśmy stąd odjechać, i to natychmiast. Choć nie mogę sobie wyobrazić, w jaki sposób zamknął nas w samochodzie, to lepiej stąd odjedźmy i znajdziemy jakiś warsztat, żeby wydostać się na zewnątrz. Od dziecka mam klaustrofobię.

Jerry przekręcił kluczyk w stacyjce, lecz silnik nie zadziałał, za to nastąpił wybuch. Maską samochodu uniosła się w powietrze, a przednia szyba popękała w tysiącach

miejsc, zamieniając się w błyszczącą mozaikę. Auto podskoczyło i opadło, jakby jezdnia zadygotała pod wpływem trzęsienia ziemi.

Dżamila krzyknęła, a Jerry napał ramieniem na drzwi, lecz znowu nie zdołał ich otworzyć. Rozległ się głośny zgrzyt rozdieranego metalu, a potem ostry trzask, i niemal natychmiast Jerry poczuł zapach benzyny, który nasilał się z każdą sekundą. Po chwili samochód znów zadrżał, coś nagle zasyczało i tył pojazdu stanął w pomarańczowych płomieniach, które rosły w oczach, jakby umyślnie dążyły do pożarcia ludzi zamkniętych w środku. Minęła zaledwie chwila i tylna szyba pękła, a płomień zaczęły się wdzierać do środka.

– Skrytka pod pulpitem! – krzyknął Jerry. – Tam jest młotek!

Dżamila otworzyła skrytkę i znalazła go na samym dnie, kiedy wyrzuciła na zewnątrz całą zawartość schowka. Jerry wziął od niej młotek i zaczął z całej siły walić nim w boczną szybę. Pękła dopiero po trzecim uderzeniu. Łokciem wypchnął pozostałości szyby z framugi, po czym uklęknął na fotelu i wyskoczył z samochodu głową do przodu. Upadł ramieniem na asfalt i potoczył się kilka metrów. Tłumek gapiów stał już po drugiej stronie ulicy. Kierowca, który zatrzymał autobus na widok pożaru, pomógł mu wstać.

Dżamila zdołała już wychylić się do połowy z samochodu. Jerry podbiegł, złapał ją pod ramiona i wyciągnął na zewnątrz. Oboje natychmiast cofnęli się na bezpieczną odległość od auta, które pochłonęły już płomień. Otoczyli ich współczujący przechodnie i zaczęli wypytywać, czy są ranni.

– Dziękujemy, nic nam się nie stało – powiedziała Dżamila, chociaż Jerry widział, że jest wstrząśnięta. – Wszystko jest z nami w porządku.

– Już zatelefonowałem po straż pożarną – powiedział kierowca autobusu. – Chciałem skorzystać z mojej gaśnicy, ale okazała się pusta. I ktoś cholernie za to beknie, mówię panu.

Jerry objął Dżamilę ramieniem i uspokajająco ją uściskał. Drżała, a przecież wiedział, że jest silną kobietą. Oboje wpatrywali się jeszcze przez chwilę w płonący samochód, po czym Dżamila nagle odwróciła się i zapytała:

– Gdzie on jest? Ten starzec. Nie mógł daleko odejść.

Jerry przeniósł wzrok na skrzyżowanie. Stary człowiek nadal stał przy słupie sygnalizacji świetlnej, a kiedy zobaczył, że Jerry na niego patrzy, uniosł rękę i się uśmiechnął.

Jerry uwolnił Dżamilę z uścisku i powiedział:

– Tam jest. Dorwę go!

Zaczął przechodzić przez jezdnię, ale gdy zrobił kilka kroków, starzec wykonał ręką taki ruch, jakby wyprowadzał cios karate, i płonący samochód eksplodował wielką kulą ognia. Gorący podmuch zatrzymał Jerry'ego w miejscu. Musiał unieść dłoń, żeby osłonić twarz.

Samochód wybuchł jeszcze raz, a potem ponownie, i w powietrzu uniosły się dwie kule ognia. Jednak tym razem ogień miał kolor zielony i była to taka sama krzykliwa zieleń, jaką widzieli w kanale ściekowym. Samochód płonął teraz jasnozielonymi płomieniami, z każdą chwilą gwałtowniej, chociaż przestał już przypominać pojazd

i był jedynie czarną, wypaloną metalową skorupą.

Nad skrzyżowaniem uniósł się gęsty dym i nie można już było dostrzec sklepów po drugiej stronie ulicy. Starzec cofnął się i zniknął w nieprzeniknionym dymie, a kiedy Jerry dobiegł do rogu, nie było po nim śladu. Wrócił pośpiesznie do Dżamili. Od Wren Road jechał już radiowóz policyjny, błyskając niebieskimi światłami na dachu, a z przeciwnego kierunku zbliżały się na sygnale wozy straży pożarnej.

– Lepiej późno niż wcale – mruknął Jerry.

– Zadzwońłam już do Waltersa – powiedziała Dżamila. – Skontaktuje się z Lambeth Road, przyśle techników na miejsce eksplozji i zabiorą stąd wrak. Za kilka minut przyjedzie też samochód po nas.

– Dobrze się czujesz?

Dżamila popatrzyła na niego nieprzeniknionym wzrokiem.

– Skaleczyłaś się w policzek – powiedział. – Nie... w ten drugi.

Przetarła ranę palcami.

– Przeżyję.

Gdyby byli kochankami, Jerry wyciągnąłby teraz chusteczkę i wytarłby krew z jej policzka, a potem by ją pocałował. Przed nim stała jednak detektyw sierżant Patel, jego przełożona, i takie zachowanie byłoby absolutnie niestosowne.

Wozy strażackie dojechały na skrzyżowanie i zatrzymały się z włączonymi silnikami. Zielony ogień nie szalał już, nad wrakiem samochodu Jerry'ego unosiło się tylko kilka małych zielonych płomyków. Dym także rzednął, chociaż wciąż wiał w kierunku Jerry'ego i Dżamili.

Jerry pociągnął nosem. W kłębach dymu unosił się odór palonego drewna i jakiś inny cierpki zapach.

Jerry jeszcze raz wciągnął nosem powietrze i zapytał Dżamile:

– Czujesz to?

Zrobiła wdech, zamknęła oczy i po chwili powiedziała:

– Tak. Czuję. Cytryny.

– To wszystko musi się ze sobą wiązać, prawda? Zapach cytryn unosił się także w kanałach. No i ten dziad w brązowym płaszczu. Pojawia się znikąd, zawsze kiedy coś się dzieje. To się łączy. Na pewno. Tylko nie wiem jak.

Popatrzył na szkielet swojego samochodu, który strażacy właśnie zaczęli spryskiwać pianą.

– Nie wiem też, co powiem mojemu ubezpieczycielowi. „Jakiś dziad pogroził mi palcem i mój samochód wybuchnął”?

Louise miała bardzo niepokojący sen.

Śniło jej się, że zabłądziła w lesie, w którym rosły wysokie drzewa, i że padał tam gęsty, zimny deszcz. Ściółka pomiędzy drzewami była porośnięta paprociami, które pochylały się, kiedy spadały na nie ciężkie krople. Louise miała wrażenie, że oprócz niej w lesie są przeróżne stwory, że pod paprociami skrywają się szczury i wielkie karaluchy. Słyszała je, ale ich nie widziała.

Wiedziała, że przysłała do tego lasu z jakiegoś powodu, ale nie mogła go sobie przypomnieć. W tej chwili chciała jedynie znaleźć drogę powrotną.

Z trudem przecisnęła się pomiędzy jeżynami, boleśnie drapiąc ręce i nogi. Za krzakami jeżyn natrafiła na przejrzystą sadzawkę. Krople deszczu tworzyły kółka na jej powierzchni. Kiedy stanęła nad jeziorkiem, usłyszała płacz z przeciwnego brzegu. Był to płacz dziecka. Po chwili nasłuchiwania doszła do wniosku, że to dwoje dzieci płacze w melancholijnej harmonii.

Wtedy przypomniała sobie, dlaczego się tutaj znajduje. Przecież szukała swoich dzieci. Rano poszła do ich pokoju, żeby je obudzić, ale łóżeczka były puste, pościel wymięta, i instykt Louise od razu podpowiedział jej, że dzieci poszły do lasu.

Ruszyła wzdłuż brzegu sadzawki. Szła z trudnością, ponieważ ziemia miejscami była grząska, jej stopy ślizgały się i zapadały głęboko w błoto. W połowie drogi dostrzegła w gęstej trzcinie dwie blade sylwetki. Obie miały na sobie koszule nocne, od dołu już mocno przybrudzone. Po ich policzkach spływały łzy, a usta były wykrzywione w rozpacz, ale mimo że było im bardzo smutno, były też dziwnie piękne, niczym anioły ze średniowiecznych obrazów.

– Co tutaj robicie? – zawołała Louise. Jej głos okazał się mocno przytłumiony, jakby krzyczała wprost w poduszkę. – Musicie wrócić do domu!

Dwoje dzieci zaczęło przedzierać się w jej kierunku przez trzciny i pokrzywy, a gdy się zbliżyły, Louise zobaczyła, że jedno z nich ma kończyny cienkie jak u pająka, a drugie macha rękoma przypominającymi szczypce homara.

Ogarnął ją lodowaty chłód. Wiedziała, że to są jej dzieci i że powinna się nimi zaopiekować, ale one wyglądały jak monstra, jak potwory. Kiedy podeszły jeszcze bliżej, Louise nagle się załamała. Odwróciła się i ruszyła biegiem przez pokrzywy i jeżyny, rozgarniając je obiema rękami, mimo że parzyły ją i raniły niemilosiernie.

Usłyszała, jak dzieci wołają za nią, wystraszone i zdziwione:

– Mamo! Mamo! Dokąd idziesz?

Ona jednak z uporem przedzierała się przez las, aż wreszcie wybiegła na otwartą przestrzeń, na deszcz, i w tym momencie się obudziła.

Otworzyła oczy i natychmiast uniosła ręce, żeby zobaczyć, czy są podrapane. Na nadgarstku nosiła piękną srebrną bransoletę, którą podarowała jej babcia. Poza niemal niewidocznymi szramkami, pozostałościami po latach szkolnych, skóra na jej rękach

nie miała żadnych skaz, była zupełnie gładka. Louise wciągnęła nosem powietrze. Wyczuła w sypialni nieznany zapach, jakby dymu, ale pomyślała, że może ogrodnik zatrudniony w domu spokojnej starości rozpałił ognisko.

Usiadła. Pomarańczowe jutowe zasłony na oknach były zaciągnięte, a na dworze świeciło słońce. Dzisiaj skończyła pracę na nocnej zmianie w domu spokojnej starości w Wittington – czuwała od północy do godziny ósmej – i po śniadaniu od razu poszła spać. W ubiegłym miesiącu świętowała trzydzieste czwarte urodziny i piątą rocznicę pracy w Whittington. Przebywający tu starzy ludzie uwielbiali ją, ponieważ okazywała nieskończoną cierpliwość nawet tym mieszkańcom, którzy mieli demencję starczą lub chorobę Alzheimera albo nie kontrolowali czynności fizjologicznych. Mimo że główną cechą jej charakteru była wielka życzliwość dla ludzi, miała w życiu tylko jednego chłopaka, rudowłosego księgowego o imieniu Alan, który porzucił ją dla młodzieńca o imieniu Grzegorz.

Wstała i poszła do łazienki. Czuła, że jej żołądek jest przepełniony, jakby stanowczo za dużo zjadła na śniadanie, ale spędziła na toalecie prawie pięć minut i zdołała jedynie trochę się wysikać. W końcu zrezygnowała z daremnego wysiłku, umyła ręce i stanąwszy przed lustrem, poprawiła fryzurę.

Matka zawsze jej mówiła, że ma piękne zielone oczy, ale Louise już dawno straciła wiarę w to, że piękne zielone oczy wystarczą, żeby zwrócił na nią uwagę mężczyzna – to nie wystarczało, jeżeli kobieta miała podwójny podbródek, wielkie piersi i wypukły brzuch. Wciąż stosowała dietę. Także dzisiaj zjadła na śniadanie tylko dwa kawałki chrupkiego pieczywa z odtłuszczonym serkiem i popiła je filiżanką herbaty cytrynowej. Dieta jednak nie mogła dodać jej urody. Zapobiegała tylko jeszcze większemu tyciu.

Znowu usiadła na łóżku i wzięła do ręki zegarek z nocnego stolika. Była czternasta czterdzieści siedem, a więc wreszcie przespała bez przerwy przynajmniej pięć i pół godziny. W łazience brakowało już pasty do zębów i płynu do kąpieli, zdecydowała więc, że się ubierze i pójdzie do sklepu. Postanowiła jednak chwilę odczekać z nadzieją, że wzdęcia w końcu miną. Położyła się i z ponurą miną zaczęła masować żołądek.

– Marto, pnąca różo z dziczy... – zaśpiewał ktoś słabym głosem zza drzwi.

Wiedziała, kto to jest: Leonard Bassett, któremu do setnych urodzin brakowało zaledwie sześciu miesięcy. Leonard grał kiedyś główne role w Camberwell Palace Theatre, ale teatr zburzono trzydzieści lat temu, a Leonard nie pamiętał już nawet własnego imienia i nazwiska.

Była zaskoczona tym, że Leonard chodzi sam po korytarzu, więc postanowiła wstać, ale w tej chwili poczuła straszliwe skurcze w brzuchu. Opadła z powrotem na poduszki, tłumiąc krzyki bólu, zaciskając jedną dłoń na brzuchu, a drugą na pluszowej narzucie. Coś się w niej poruszało, rozciągało, uderzało w nią i drapało od wewnątrz. Kiedy podciągnęła koszulę nocną, zobaczyła, że jej brzuch jest wypukły i faluje, jakby była w ciąży i jakby dziecko kopało.

Znowu spróbowała usiąść, ale dopadł ją kolejny skurcz, tak silny, że syknęła i zgięła się wpół. Jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyła tak ogromnego bólu.

Zacęła się zataczać z boku na bok, wbijała palce w brzuch, żeby zatrzymać skurcze, i pod palcami poczuła jakiś twardy kształt turlający się w łonie. Odniosła wrażenie, że to jakby skorupa kraba. Wkrótce wymacała drugi kształt; oba jakby się szczepiły i przemieszczały w niej, drapiąc nabłonek macicy tak gwałtownie, jak we śnie drapały ją jeżyny.

Szeroko otworzyła usta, żeby krzyknąć, ale jej zmysły blokował ból i nawet jeśli z jej ust wydobył się jakiś dźwięk, nie usłyszała go. Po chwili jednak powoli uchyliły się drzwi i w progu stanął Leonard, chudy jak szkielet, o długich siwych włosach, w białym szlafroku. Podszedł do łóżka i pochylił się nad Louise. Zmarszczył w zatroskaniu czoło nad krzaczastymi brwiami, a jego usta się poruszyły.

Louise wyciągnęła ku niemu rękę, żeby dać mu do zrozumienia, że z bólu nie może mówić. Wzrokiem błagała go, żeby jak najszybciej wezwał pomoc. Była pewna, że jeśli Leonard tego nie zrobi, przepotężny ból w ciągu kilku minut ją zabije.

– Ach, nie śpisz już – rozległ się męski głos.

Louise kilkakrotnie zamrugnęła. Rozejrzała się i stopniowo zaczęło do niej docierać, że leży w słabo oświetlonej sali szpitalnej, że na zewnątrz jest noc i palą się tylko lampy na ulicach. Po obu stronach łóżka stało dwoje lekarzy, którzy uśmiechali się do niej. U jej stóp pielęgniarka w zielonym fartuchu coś zapisywała w dokumencie przypiętym do twardej podkładki.

– Gdzie ja jestem? – zapytała.

Usta miała suche, dlatego trudno jej było mówić, a w jej oddechu można było wyczuć zapach lakieru do drewna.

– Jesteś w King's College Hospital – powiedział lekarz. – Na oddziale Beverley, gdzie zajmujemy się pacjentkami, które czeka trudny poród. Nazywam się Sandżaj Gupta. Jestem konsultantem w zakresie medycyny ratunkowej. Ta pani to doktor Clarissa Edwards, konsultant w dziedzinie położnictwa. W istocie jest naszym głównym położnikiem.

Louise czuła tępy ból głowy i miała nudności. Bolały ją również biodra.

– Trudnego porodu? – zapytała chropawym głosem. – Jakiego trudnego porodu? Przecież nie jestem w ciąży.

– Mam nadzieję, że ta wiadomość nie będzie dla ciebie dużym szokiem – powiedziała doktor Edwards – ale owszem, jesteś w ciąży.

– Nie mogę być w ciąży. Przecież z nikim nie byłam. Nie mam nawet chłopaka.

– Jesteś pewna, że nie miałaś z nikim żadnych związków seksualnych? To niekoniecznie musiał być regularny stosunek. Możliwe, że ktoś cię wykorzystał, kiedy spałaś albo za dużo wypiałaś.

– Nie piję alkoholu. I nie potrafię jakoś sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł mnie wykorzystać seksualnie, kiedy spałam. Do domu spokojnej starości, gdzie mieszkam i pracuję, nikt nie może wejść bez przepustki, a wszyscy nasi mężczy podopieczni... cóż, te sprawy mają już dawno za sobą.

– Jakkolwiek do tego doszło, Louise, bez wątplenia jesteś w ciąży. Kiedy cię tutaj przywieziono, natychmiast wykonaliśmy badanie USG. W gruncie rzeczy, muszę cię

poinformować, choć czynię to bez entuzjazmu, że nosisz w sobie nie jeden płód, lecz dwa.

– Bliźniaki? To niemożliwe. To jest po prostu niemożliwe. – Louise przycisnęła dłoń do brzucha i skrzywiła się, ponieważ wciąż był obolały. – Od jak dawna tutaj jestem? Która jest godzina?

– Dwudziesta trzecia piętnaście. Przywieziono cię krótko po piętnastej.

– Ale aż do dzisiejszego popołudnia nic mnie nie bolało i nie czułam w brzuchu żadnych ruchów, absolutnie żadnych. I w zeszłym tygodniu miałam okres. Jak mogę być w ciąży, skoro w zeszłym tygodniu miałam okres?

Doktor Edwards zerknęła na doktora Gupta. Miała teraz bardzo poważną minę.

– Nosisz w macicy dwa żywe płody, Louise. Problem jest jednak trochę bardziej skomplikowany. Nie ma sensu ukrywać faktów. Musisz się więc dowiedzieć, że ultrasonografia wykazała bardzo poważne deformacje obu płodów.

– Co to znaczy? Co z nimi nie tak?

– Wygląda na to, że znajdujesz się prawie w połowie drugiego trymestru. Jesteś w ciąży od osiemnastu tygodni, może trochę dłużej. Ale chociaż płody są niezwykle aktywne, po prostu nie rozwinęły się prawidłowo. Mają mózgi i serca, i wszystkie inne narządy wewnętrzne, ale ich ciała i kończyny są skrajnie zniekształcone. Wszystko wskazuje na to, że deformacje, jakie wykształciły się u tych płodów, już się nie cofną.

– Chce mi pani wmówić, że od osiemnastu tygodni jestem w ciąży? Nie, to jest niemożliwe!

– Rozumiem, że jesteś zdezorientowana, Louise – powiedział doktor Gupta. – Jednak wyniki badania USG są jednoznaczne. Chcielibyśmy jeszcze przeprowadzić biopsję kosmówki. To znaczy, że pobierzemy komórki z łożyska i zbadamy je pod kątem zmian genetycznych. W zwykłych okolicznościach takie badanie w nielicznych przypadkach grozi poronieniem, ale jeśli chodzi o ciebie...

– Proszę, niech pan mówi. Czym się różnię od innych przypadków?

– Muszę być z tobą szczerą. W twoim przypadku jest bardzo nieprawdopodobne, że utracisz któreś z dzieci, a to ze względu na sposób, w jaki one są z tobą połączone, gdyż przywarły nie tylko do błony śluzowej macicy. Ich układ nerwowy jest połączony z twoim, podobnie układ krwionośny. Nigdy dotąd niczego takiego nie widzieliśmy.

Louise poczuła, że płody zmieniły pozycję, i jej macicę przeszył bolesny skurcz. Zaciśnęła zęby i jęknęła. Popatrzyła z rozpaczą na doktor Edwards.

– Powiedzieliście, że ich nie stracę... ale możecie je usunąć, prawda?

– Zanim zaczniemy rozważać aborcję, Louise, obawiam się, że będziemy musieli przeprowadzić o wiele dokładniejsze badania – odezwała się doktor Edwards. – Jak już wspomniał doktor Gupta, oba płody połączyły się z tobą tak kompleksowo, że nie możemy tak po prostu podać ci odpowiednio dużej dawki mifepristonu czy też chirurgicznie ich usunąć. Gdybyśmy tego spróbowali, w ogromnym stopniu zagrozilibyśmy także twojemu życiu.

– Inaczej mówiąc, aborcja mogłaby zabić nie tylko płody, ale także ciebie –

stwierdził doktor Gupta. – A przynajmniej tak to według nas wygląda w tej chwili. Będziemy jednak usilnie szukać dobrego rozwiązania.

Louise się rozplakała. Jej oczy zaszklily się łzami i zaczęła tak gwałtownie szlochać, że po chwili zabrakło jej tchu. Poczula w brzuchu kolejny skurcz, jeszcze potężniejszy od poprzedniego, a wzdłuż jej kręgosłupa przebiegł zimny dreszcz.

Doktor Edwards wyciągnęła chusteczkę i wytarła oczy Louise. Następnie przytrzymała jej dłoń i powiedziała:

– Louise, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby przeprowadzić aborcję. Na razie będziemy ci regularnie podawać środki przeciwbólowe. Ale muszę być z tobą zupełnie szczerą. W tej chwili wydaje nam się, że twoją ciążę należy doprowadzić do końca i że będziesz musiała urodzić w sposób naturalny.

– Ale to przecież nie ma nic wspólnego z naturą! To są jakieś dziwadła! Widziałam je we śnie!

– Słucham? Widziałas je we śnie?

Louise gwałtownie pokiwała głową.

– Wiem, że to one. Po prostu wiem. Jedno z nich było podobne do pająka, a drugie miało szcypce jak homar. Ale ich buzie były prześliczne.

Doktor Edwards zerknęła na kolegę. Nic nie powiedziała, ale Gupta sięgnął po teczkę leżącą na nocnym stoliku i wyciągnął z niej dwa zdjęcia trójwymiarowe wykonane w trakcie badania USG. Uniósł je, żeby Louise mogła na nie popatrzeć. I wtedy zobaczyła swoje dzieci splecione w uścisku, te same, które widziała we śnie. Na zdjęciu były mniejsze, nagie, i miały zamknięte oczy, wyraźnie jednak widziała anielską twarz płodu podobnego do pająka. Jego ręce i nogi oplatały opiekuńczo płód o rękach jak szcypce.

– O dobry Boże – wyszeptala Louise. – O dobry Boże, nie mogę w to uwierzyć. Jak one będą wyglądały, kiedy się urodzą? I co z nimi zrobicie, kiedy już przyjdą na świat? Zabijecie je?

Dżamila i Jerry dotarli do Centrum Medycznego BirthWell krótko po siedemnastej. Na dworze znów zaczynało padać.

Po pożarze samochodu Jerry'ego na Daneville Road przyjechał po nich detektyw O'Brien. Zawiózł ich na komisariat w Peckham. Oboje wzięli prysznic i później przez dwie godziny dochodzili do równowagi, pijąc herbatę i oglądając popołudniową telewizję.

Nadinspektor Walters zasugerował, że jeśli nie czują się na siłach, mogą odłożyć wizytę w szpitala do jutra. Dżamila podziękowała mu za troskę, lecz uznała, że z ludźmi, którzy widzieli porwanie doktora Macleoda, należy porozmawiać jak najszybciej. Policyjne doświadczenie podpowiadało jej, że z upływem czasu świadkowie nieświadomie cenzurują lub inaczej interpretują to, z czym zetknęli się w miejscu przestępstwa, zwłaszcza gdy dotyczy to wydarzeń krwawych i traumatycznych. Miała już do czynienia ze świadkami, którzy przysięgali, że widzieli ludzi, których tam w ogóle nie było, a nawet wymyślali numery tablic rejestracyjnych, które nie istniały.

Kiedy Jerry wyciągał Dżamilę z samochodu, wyrwał rękaw z jej kurtki, pożyczyła więc ciemnobrązowy anorak od detektyw Pettigrew, za duży na nią o co najmniej dwa rozmiary.

– Przykro mi to mówić, pani sierżant – powiedział do niej Jerry – ale wyglądasz w tej kurtce jak sierota.

Dżamila popatrzyła na swoje odbicie w lustrze.

– Moi rodzice zeszli już z tego świata, a więc w gruncie rzeczy masz rację, jestem sierotą.

Profesor Karounis wyjeżdżał właśnie na kolację z bankierami, więc oddał im do użytku własny gabinet. Po kolei przesłuchali wszystkie osoby, które znajdowały się w sali operacyjnej, kiedy doktor Macleod został okaleczony i wywleczony w niewiadomym kierunku przez płód usunięty z brzucha Susan Nicholls. Nie mogli porozmawiać z Susan, ponieważ leżała na OIOM-ie i była pod wpływem środków nasennych. Siostra Yeom natomiast otrzymała zwolnienie lekarskie.

Zarówno doktor Bhaduri, jak i doktor Symonds wyglądali na wyczerpanych i zrozpaczonych. Doktor Bhaduri bezustannie kaszłał, ale był to kaszel na tle nerwowym. Zeznania obojga na temat przebiegu operacji były niemal identyczne. Podobnie opisywali również to, jak płód wdarł się do rękawa doktora Macleoda, a później zaczął sobie torować drogę pod jego skórą.

Siostra Harris zrelacjonowała, jak przycisnęła doktora Macleoda do podłogi, Janet Horrocks opowiedziała, że wpadła w panikę, kiedy się zorientowała, że nie jest w stanie otworzyć drzwi, a Duncan opisał swoje próby rozbicia drzwi za pomocą gaśnicy.

Wszyscy mówili o ciemności, zawrocie głowy i dziwnym śpiewie. Opowiedzieli, co czuli, kiedy ogromna niewidzialna siła rozbiła drzwi i wywlekła doktora z sali operacyjnej.

Jedynie Kisi Adomako oznajmiła, że zrozumiała wyśpiewywane słowa.

Była ostatnim spośród przesłuchiwanym świadków. Usiadła z rękami na kolanach, z pochyloną głową, i co jakiś czas zerknęła na detektywów wielkimi, smutnymi oczami.

– Naprawdę wychwyciła pani konkretne słowa? – zapytała spokojnie Dżamila. – Wszyscy inni słyszeli śpiew... ale nikt nie rozumiał słów.

– Ktoś śpiewał bardzo wysokim głosem, tak wysokim, że prawie niesłyszalnym. To przypominało skowyt psa. Wiedziałam, że ten, kto śpiewa, znajduje się bardzo blisko mnie. Jestem pewna, że czułam na twarzy jego oddech.

– A jakie słowa pani usłyszała?

– Powstańcie, cienie, i przylećcie, wrony.

– To wszystko? – zapytał Jerry.

Kisi Adomako pokiwała głową.

– Ona zaśpiewała to kilkakrotnie, przynajmniej trzy razy. Powstańcie, cienie, i przylećcie, wrony.

– „Ona”? – zapytała Dżamila.

– Jestem pewna, że to była kobieta. Śpiewała bardzo wysokim głosem. A jej śpiew wcale nie brzmiał jak prośba o to, żeby cienie i wrony przybyły jej z pomocą. Ona im rozkazywała i jednocześnie groziła, że słono zapłacą, jeżeli nie wykonają jej rozkazu. Mężczyźni w ten sposób nie śpiewają.

– W porządku, Kisi. Dziękujemy pani. Jeszcze nie wiem, w jaki sposób, ale prawdopodobnie bardzo nam pani pomogła.

– Wciąż ją słyszę. Wciąż mam ten śpiew w uszach. Jeszcze nigdy w życiu nie byłam tak przerażona – powiedziała Kisi.

Skończywszy przesłuchania, Jerry i Dżamila usiedli w fotelach i popatrzyli po sobie. Deszcz uderzał w okna gabinetu tak, jakby chciał im coś ważnego powiedzieć.

– Myślisz, że naprawdę wychwyciła poszczególne słowa? – zapytał Jerry.

– Dlaczego miałyby zmyślać?

– Nie wiem. Może po prostu się przesłyszała? Czasami źle słyszymy słowa różnych przebojów. Przez całe lata myślałem, że „wznieśliśmy to miasto na rock and rollu” to „wznieśliśmy to miasto na szczerym polu”.

– Ona jednak na pewno słyszała jakieś słowa, co oznacza, że wyśpiewywała je konkretna osoba, kobieta, jeśli ma nadprzyrodzoną moc, nawet jeśli jest duchem albo widmem.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że to ta sama upiorna postać, która zabrała płuca ze szpitala i wyrwała ręce tej biednej dziewczynie? Ta sama, którą widzieliśmy na ulicy w towarzystwie zdeformowanych dzieci?

– Moim zdaniem bardzo wysokie. I skoro skończyliśmy już przesłuchanie, jedźmy teraz do St George’s Hospital.

Kiedy czterdzieści minut później przyjechali do szpitala, doktor Pocztomski natychmiast zaprowadził ich do laboratorium, w którym jeszcze niedawno zamierzał badać dwa zniekształcone płody. Byli już tam dwaj policyjni technicy. Ubrani w szeleszczące kombinezony ochronne zbierali z posadzki próbki krwi. Zniszczone drzwi oparli o ścianę i fotografowali je w nadfiolecie.

– Jeszcze kilka minut i skończymy – powiedział jeden z nich do Dżamili, ściągnąwszy maskę. Miał starannie przycięte wąsy, jak Herkules Poirot. – Muszę jednak powiedzieć, jeszcze zanim pojedziemy z próbkami na Lambeth Road, że zauważyliśmy tutaj coś bardzo dziwnego.

– A czy w tej sprawie cokolwiek jest normalne? – zapytał Jerry.

– Nie... popatrzcie jednak na posadzkę tuż przy zlewie. Widzicie? W tym miejscu ofierze wyrwano przedramiona. I popatrzcie teraz na odciski obuwia we krwi. Wszystkie pasują do butów, jakie nosił zespół patologów: lekarz, jego asystent i dwie studentki. Ale to już wszystko. Sprawca nie zostawił na posadzce nawet jednego śladu.

Dżamila wskazała dwa przenośne inkubatory, wciąż otwarte.

– A czy na nich są jakieś odciski palców albo ślady DNA? – zapytała.

– Tak, oczywiście, i natychmiast zaczniemy je porównywać z odciskami personelu szpitalnego, ze wszystkimi osobami, które mogły dotykać tych inkubatorów. Jednak nie natrafiliśmy na nich na ślady krwi, które powinny tam być, gdyby sprawca je otworzył po okaleczeniu studentki.

Po zakończeniu krótkich oględzin w laboratorium doktor Pocztomski poprowadził Dżamilę i Jerry'ego do małej, cichej poczekalni z wyściełaną sofą i dwoma źle dobranymi fotelami. Na ścianie wisiała wypłowiała reprodukcja obrazu przedstawiającego Ofelię w strumieniu, a na małym stoliku leżały wystrzępione egzemplarze „Country Life” i „OK!”.

– Nie jestem przesądny – powiedział doktor Pocztomski. – Moja babcia wierzyła w duchy i przysięgała, że potrafi rozmawiać ze zmarłymi, ale uważam, że to były jedynie starcze urojenia. Powiem państwu jednak, że to, co dzisiaj widziałem w laboratorium... Uważam, że musiał nawiedzić nas duch, inaczej tego wszystkiego nie potrafię wyjaśnić.

– Potrafi pan go opisać? – zapytała Dżamila.

– Już go opisywałem policjantom, którzy pierwsi tutaj przyjechali. Wyglądał jak dym, czarny dym. Pojawił się znikąd, tak po prostu, wkrótce przyjął jednak postać kapłanki czy wiedźmy w spiczastym kapturze. I mówił do nas, a właściwie na nas krzyczał, choć nie własnym głosem. Wykorzystał Mel, tę nieszczęsną dziewczynę, która straciła przedramiona. Użył jej tak, jak brzuchomówcy wykorzystują lalki. –

Doktor Pocztomski z pamięci zacytował słowa zakapturzonej postaci: – „Bóg i ich matki odwrócili się do nich plecami, porzucili ich, ale ja nigdy tego nie zrobię! Teraz są moimi piskletami!”.

– Czy po pojawieniu się tej postaci poczuł pan jakiś zapach?

– Tak, rzeczywiście. Ta postać nie tylko wyłoniła się z dymu, ale również pachniała jak dym. Jak dym z ogniska.

– Wyczuł pan coś jeszcze w tym zapachu?

– Sam nie wiem. Może jakąś ledwo uchwytną kwaskowość...

Dżamila i Jerry w milczeniu wymienili spojrzenia, ale nie zapytali Pocztomskiego, czy ta kwaskowość nie skojarzyła mu się z cytrynami.

– Te dwa płody, które zamierzał pan zbadać... domyśla się pan, co mogło je tak zdeformować?

– Naprawdę wiele płodów ulega deformacjom w łonie matki, znacznie więcej, niż sobie wyobrażacie. W skrajnych przypadkach organizm matki najczęściej samoistnie pozbywa się płodu. Jeśli tak się nie stanie, a położnik dojdzie do wniosku, że dziecko urodzi się z upośledzeniami, z którymi nie da się żyć, zaleca przerwanie ciąży.

– Ale te dwa płody... wciąż żyły i oddychały, prawda? Mimo aborcji?

– Tak. Ale oczywiście zostały wykradzione, zanim zdołałem je zbadać, więc udało mi się ustalić, jak to było możliwe. I przede wszystkim nie mam pojęcia, jak to się stało, że doświadczyły aż tak głębokich deformacji. W całej karierze nie widziałem płodu, który byłby podobny do tych dwóch. I nigdy się nie spotkałem z taką postacią jak ta w kapturze. Jak to się stało, że zdołała tak okaleczyć Mel? A także wyrwać drzwi z zawiasów i rzucić nimi we mnie? Jak to się stało, że postać zrodzona wyłącznie z dymu działała z tak wielką siłą?

– Robimy wszystko co w naszej mocy, żeby odpowiedzieć na to pytanie – stwierdziła Dżamila. – Tymczasem, panie doktorze, muszę pana poprosić o wstrzymanie się z wszelkimi komentarzami dla dziennikarzy w związku z tym wypadkiem. Częściowo dlatego, że od dziennikarzy sprawca mógłby się dowiedzieć, czy wpadliśmy już na jego trop... a zapewne zorientowałyby się, że nasze śledztwo utknęło w martwym punkcie. Poza tym nie chcemy wywoływać zbędnej paniki wśród ludzi, szczególnie wśród przyszyłych rodziców.

– Niech się pani nie martwi – uspokoił ją doktor Pocztomski. – Nie mam najmniejszego zamiaru z nikim na ten temat rozmawiać. Ludzie mogliby pomyśleć, że zwariowałem.

Z poczekalni poszli długim korytarzem do prosektorium. Było tam chłodno i cicho, a jedna z żarówek fluorescencyjnych chaotycznie migotała, przywodząc na myśl nieregularne bicie serca.

Zaskakująco rubaszny asystent z dredami poprowadził ich w najdalszy kąt pomieszczenia i wysunął szufladę, w której leżały zwłoki doktora Macleoda, zamknięte w białym worku. Asystent otworzył worek przy akompaniamencie nieprzyjemnego chrzęstu rozlepianych rzepów. Po krótkiej chwili Dżamila i Jerry mogli się przekonać, że doktor Macleod został obdarty ze skóry do żywego mięsa.

– Sekcję zwłok przeprowadzi doktor Kendrick – oznajmił asystent. – Wciąż jeszcze pracuje nad technikami, którzy zginęli w kanale ściekowym, ale powiedział nam, że również tymi zwłokami chce się zająć osobiście. Znacie państwo doktora Kendricka? Specjalizuje się w przypadkach, w których ofiary przestępstw zostały poćwiartowane lub skrajnie okaleczone. Pamiętacie, jak w zeszłym roku pewien mężczyzna z Croydon posiekał żonę, upiekł jej nogę i zjadł w pierwszy dzień Bożego Narodzenia? To dzięki doktorowi Kendrickowi poszedł za kratki.

Gdy wracali na parking, Jerry powiedział:

– Jest mi niedobrze.

– Mnie też – dodała Dżamila.

Opuścili szpital i pojechali z powrotem do Peckham. Większość podróży spędzili w milczeniu, ale na High Street Dżamila odezwała się:

– Tak sobie myślę...

– O czym? Może zastanawiasz się, co zjesz na Boże Narodzenie?

– Nie, Jerry. Jestem muzulmanką. Myślę o tym, co powiedziała nam położna o słowach piosenki. „Wstawajcie, cienie, i przylećcie, wrony”. To dla mnie brzmi jak początek jakiejś inwokacji.

– Przepraszam, ale nie nadążam – odparł Jerry. – Co to właściwie jest „inwokacja”?

– Mam nam myśli wezwanie na pomoc jakiejś siły duchowej. To coś podobnego do modlitwy skierowanej do Boga albo bogów, w zależności od tego, kto w co wierzy. W modlitwie możesz błagać o wyleczenie ojca z raka, o jedzenie, kiedy jesteś głodny, albo o szczęście. W innego rodzaju modlitwie możesz prosić szatana albo innego demona o to, żeby zniszczył twoich wrogów, żeby zapewnił ci bogactwo albo żeby sprowadził ci na noc sto nagich kobiet.

– Ta ostatnia propozycja bardzo mi się spodobała – stwierdził Jerry. – Nie znasz przypadkiem stosownej inwokacji?

– Nie. I nie znam też tej z cieniami i wronami, ale kiedy wrócimy na komisariat, usiądę przed komputerem i sprawdzę w Google’u, czy nie jest to jakieś powszechnie stosowane zaklęcie. Może przybliży nas to do rozwiązania zagadki? Kto wie?

Dzień budził się powoli do życia, kiedy Gemma i Jim Feather wraz z zespołem pięciu specjalistów obsługujących georadar wyszli z budynku Crane's Drains i zajęli miejsca w dwóch białych furgonetkach oznaczonych symbolem żurawia.

Chmury płynęły tak nisko nad ziemią, że chociaż słychać było pomruk silników samolotów podchodzących do lądowania na lotnisku Heathrow, nie sposób było ich zobaczyć.

Gemma przygotowała schemat z zaznaczonymi pięcioma dawnymi dołami kloacznymi, połączonymi z kanałami ściekowymi, opierając się na mapie, której w XIX wieku używało przedsiębiorstwo usuwające fekalia. Część domów z oryginalnej mapy pana Clarke'a została zburzona lub zbombardowana w czasie wojny, zatem Gemma ją uaktualniła, umieszczając na swoim schemacie nowe budynki, pawilony i apartamentowce.

Najpierw pojechali do dużego domu z początków epoki wiktoriańskiej, stojącego na rogu Talfourd Place. Gemma już wcześniej skontaktowała się z jego właścicielami i poprosiła o pozwolenie zbadania zaplecza posiadłości, więc zespół szybko rozstawił sprzęt w ogrodzie.

– Mam nadzieję, że nie polujemy na yeti – powiedział Jim Feather, wchodząc razem z Gemmą do ogrodu.

– Może tak być, Jim. Wcale nie mam pewności, że to do czegoś doprowadzi. Kieruję się jedynie silnym przeczuciem. Wciąż się zastanawiałam, gdzie bym się schowała, gdybym była którymś z tych dzieci i mieszkałabym w miejskiej kanalizacji.

– Gdybym ja był takim dzieckiem, przede wszystkim w ogóle nie włączyłbym do ścieków. Dorastałem na powierzchni ziemi w Lewisham i to już było wystarczająco wstrętnym doświadczeniem.

– Po prostu starałam się wejść w ich skórę.

– Cóż, szanuję cię za to. Ja niestety nie potrafię sobie wyobrazić, jak można żyć w kanale ściekowym z łbem wielkości piłki lekarskiej i z wnętrznościami wylewającymi się na zewnątrz.

Sprawdzanie ogrodu zajęło prawie godzinę. Dół kloaczny nadal znajdował się pod ziemią, ale był całkowicie wypełniony urodzajną glebą, więc georadar wykrył w tym miejscu jedynie motykę z ułamanym trzonkiem oraz szkielety trzech kotów, prawdopodobnie pogrzebanych po śmierci przez właścicieli.

– W porządku, jedziemy do następnego punktu – zarządziła Gemma.

Kolejny zapomniany dół kloaczny znajdował się w Carlton Grove, na skrzyżowaniu z High Street. Kiedyś stała w tym miejscu imponująca rezydencja, której wnętrza w okresie międzywojennym podzielono na osiem odrębnych mieszkań. Latem 1943 roku budynek został uszkodzony w wyniku bombardowań, po czym go zburzono, a następnie postawiono na jego miejscu czteropiętrowy blok mieszkalny

z minimarketem spożywczym na parterze.

Gemma i ekipa z georadarem mieli szczęście, ponieważ placem za minimarketem dysponowali mieszkańcy bloku, parkujący na nim samochody. Technicy nie mieli więc problemów z rozstawieniem sprzętu we właściwych miejscach.

Ale niestety znowu niczego nie znaleźli. Zarys kloaki był dobrze widoczny na ekranach radarów, ale w trakcie budowy bloku dół wypełniono betonem i gruzem ze zbombardowanego budynku, wzmacniając w ten sposób jego fundamenty.

Kiedy wsiadali do furgonetki, Jim Feather milczał, ale Gemma doskonale wiedziała, co sobie myśli: cholerna strata czasu.

Trzeci budynek znajdował się dalej na wschód, w Tranquil Vale w Blackheath, a z jego okien rozpościerał się widok na wrzosowiska. Nad okolicą dominowała wysoka iglica kościoła Wszystkich Świętych. Imponująca posiadłość z 1829 roku miała pięć sypialni, fronton z płowej cegły i krążganek, którego dach wsparty był na białych filarach. Chociaż obecnie była pusta i wystawiona na sprzedaż, Gemma zdołała się skontaktować z agentem nieruchomości i uzyskała jego zgodę na wejście na zaplecze posiadłości, gdzie kiedyś znajdował się dół kloaczny.

– Powinnam była wziąć termos z herbatą, co? – powiedziała Gemma, zacierając ręce i przestępując z nogi na nogę.

– A ja powinienem być wziąć angielskie śniadanie – dodał Jim. – Jestem tak cholernie głodny, że zjadłbym niemowlaka, wsunąwszy głowę do kołyski.

Obserwowali, jak zespół systematycznie przesuwa sprzęt z miejsca na miejsce w ogrodzie, który miały urozmaicać ośmiokątny klomb z różami, niewielki zagon warzywny i zegar słoneczny. Ogród był jednak opuszczony i porośnięty chwastami. Zaczął siąpić drobny deszcz, a na niebie wciąż grzmiąły niewidoczne samoloty.

Mniej więcej po dwudziestu minutach szef zespołu głośno wywołał Gemmę i energicznie machnął ku niej ręką. Był niskim, łysym mężczyzną i nosił wielkie okulary w sztykretowych oprawkach, przez co wyglądał jak postać z kreskówki.

Gemma i Jim podeszli do płotu.

– O co chodzi, Norman? Tylko nie mów, że coś znalazłeś.

Norman wskazał ekran przymocowany do uchwyty skanera analizującego grunt.

– Sami zobaczcie. Dół kloaczny jest zakryty, ale nie zasypano go ziemią ani śmieciami, w przeciwieństwie do tego poprzedniego, w Carlton Grove. Popatrzcie teraz na to odgałęzienie po lewej stronie. Łączy dół bezpośrednio z głównym kanałem ściekowym przebiegającym pod Blackheath. Powiedziałbym, że to połączenie powstało pod wpływem działania dużej siły już po wybudowaniu kanału; albo to przypadek, albo ktoś zrobił to celowo.

Pozostali czterej technicy zgromadzili się dookoła i wszyscy teraz obserwowali Gemmę, czekając na jej reakcję. Norman odwrócił skaner radaru o dziewięćdziesiąt stopni i powiedział:

– Proszę. Czy tego właśnie szukamy?

Gemma pochyliła się, osłaniając ekran radaru dłonią, aby lepiej dostrzec kontury. Po prawej stronie w dole kloacznych zgromadzonych było przynajmniej dwadzieścia drobnych postaci, zbitych w jedną ciasną gromadę, obejmujących się rękami

i nogami. Radar nie mógł pokazać ich z dużą dokładnością, ale było oczywiste, że część z nich ma nadmiernie duże głowy, inne posiadają zdeformowane ciała i nogi powyginane pod dziwaczными kątami. Na ekranie cała grupa wyglądała jak koniki polne w gnieździe.

Nie widać było żadnego ruchu, Gemma założyła więc, że wszystkie śpią. Albo – jeśli nie śpią – są martwe.

– Tak – odpowiedziała Normanowi. Potrzebowała chwili, żeby zapanować nad emocjami. – Dokładnie tego szukamy. Dobra robota.

Jim Feather popatrzył na ekran radaru i głośno cmoknął.

– Cholera jasna – odezwał się. – I co teraz? Przecież nie możemy ich tam zostawić, prawda? Z kolei przecież to nie my odpowiadamy za to towarzystwo. Crane's Drains ma obowiązek zajmować się jedynie publicznymi kanałami ściekowymi i kanalizacją burzową. Nic nam do dawno zapomnianych dołów kloacznych na prywatnych posiadłościach.

– Jim, to są właśnie dzieci, które nas zaatakowały. To one porwały Martina, przez co stracił później nogi i oczy. Jeśli to rzeczywiście są dzieci, w co zaczynam wątpić. Ale to właśnie one uniemożliwiają nam realizację kontraktu i utrzymywanie kanałów w należyтым stanie technicznym, i z tego powodu niestety w pewien sposób jesteśmy za nie odpowiedzialni. Odpowiadamy przynajmniej za trwałe pozbycie się ich z systemu kanalizacyjnego.

– To znaczy, że mamy kopać i je stamtąd wygrzebać? A co później z nimi zrobimy?

– Nie będziemy kopać – odparła Gemma. – Ten dół ma przynajmniej dwa metry głębokości i kiedy nas usłyszą, prawdopodobnie spróbują uciec kanałami. Jeden Bóg wie, gdzie znajdą następną kryjówkę. Dlatego przede wszystkim zatelefonuję do detektyw sierżant Patel i powiem jej o tym znalezisku. Będziemy tu potrzebować policji i prawdopodobnie także ratowników medycznych. A żeby do nich dotrzeć, musimy zbliżyć się do dołu kloaczego przez kanał, tą samą drogą, którą i one się tam dostały. Niedaleko na wrzosowisku jest wjazd.

– A nie obawiasz się, że może się wydarzyć to samo, co się wydarzyło przy Southampton Way? – zapytał Jim Feather. – Przecież ścieki mogą znowu eksplodować, a my wszyscy prawdopodobnie zostaniemy posiekani na drobne kawałki.

– Nie wiem, co się stanie, Jim. Mam nadzieję, że unikniemy najgorszego. Będziemy jednak musieli postępować bardzo uważnie. Po pierwszym sygnale, że zbliża się wysoka fala, że wieje podziemny wiatr, że szaleją światła, będziemy musieli jak najszybciej uciec na powierzchnię. Jednak kanał jest tutaj położony znacznie bliżej powierzchni, a odległość pomiędzy dołem kloaczonym a wjazdem wynosi zaledwie dwieście metrów. No i nie możemy tych dzieci tak po prostu zostawić pod ziemią. Nie ma mowy.

– Skoro tak twierdzisz, proszę bardzo. Gdyby to zależało ode mnie, dodatkowo przysypałbym całą tę bezsensowną bandę cegłami i raz na zawsze zapomnielibym o tych kurewskich dziwolągach.

Jerry właśnie smażył jajecznicę w swoim mieszkaniu w Tooting, gdy telefon zagrał *My Old Man's a Dustman*.

– Jerry? Tu Dżamila. Znalazła je.

– Och, naprawdę. Kto i co znalazł?

– Gemma Bright. To jej przecucie związane z dołami kloacznymi... sprawdziło się. Dzisiaj rano wyjechali w teren z georadarem i znaleźli miejsce, w którym kryją się te dzieci. To zapomniany dół kloaczny pod domem na skraju Blackheath. Według Gemmy jest ich tam przynajmniej dwadzieścioro.

– W Blackheath? Elegancko. Przynajmniej nie będziemy się pałętać po jakichś bardziej podłych dzielnicach.

– Gemma nadal tam jest z tymi ludźmi od georadaru. Mówi, że teraz dzieci wyglądają, jakby spały, ale przez cały czas je obserwuje, bo chce mieć pewność, że się nie obudziły i nie próbują zmienić kryjówek. Sugeruje, żebyśmy weszli do kanału ściekowego przez najbliższy właz i zabrali te dzieci z dołu kloacznego tą samą drogą, którą tam zawędrowały.

– O nie. Już nigdy tam nie zejść. I skoro jest ich tam ze dwadzieścia... Jezu, przecież będziemy potrzebowali dużego wsparcia, przynajmniej dwudziestu mundurowych. A także ratowników medycznych, gdyby któreś z tych dzieci było chore albo zaczęło walczyć o wolność i odniosło rany. Ponadto dwa busy albo dwie furgonetki. Ale co z nimi zrobimy, kiedy już wydostaniemy je wszystkie na powierzchnię? Każde z nich wygląda na dziecko wymagające specjalnej troski, delikatnie mówiąc.

– Wiem, Jerry. Zaraz jednak się skontaktuję z nadinspektorem Waltersem i wszystko z nim ustalę. Musimy działać jak najszybciej.

– Przecież dzisiaj rano miałem się zająć Alice.

– Przykro mi. Musisz to odłożyć.

– Wspaniale. Moja była żona, która i tak już mnie nie kocha, wyrobi sobie o mnie jeszcze gorsze zdanie. A Alice czeka na mnie już od dwóch tygodni.

– Jeszcze raz cię przepraszam, ale Walters będzie się spodziewał naszej energicznej reakcji, no i my naprawdę musimy tam być. Pierwszy Zespół Śledczy sprawuje nad tą sprawą ogólny nadzór, ale to jest w końcu nasze śledztwo, twoje i moje.

– Tak naprawdę nie wierzyłem, że Gemma znajdzie te dzieci. Cóż... Musimy teraz pomyśleć o jeszcze jednej ważnej rzeczy. Co zrobimy, kiedy znowu zzielenieją światła, znowu pojawi się zakapturzona postać z dymu, zacznie w nas rzucać kluczami i zapragnie nas rozerwać na strzępy?

– Nie wiem, Jerry. Jednak nigdy nie zrozumiemy, co się dzieje w kanałach, jeżeli nie zrobimy wszystkiego co w naszej mocy, żeby się temu przeciwstawić. Posłuchaj, spotkamy się o godzinie dziesiątej na komisariacie. Do tego czasu Walters zapewne zgromadzi już niezbędne siły.

Przypalona jajecznica zaczęła dymić i tłumiąc w ustach przekleństwo, Jerry pośpiesznie zdjął patelnię z kuchenki.

- Jasne, pani sierżant. Do zobaczenia. A tak przy okazji, zdołałaś ustalić, czego dotyczy ta pieśń, „wstawajcie, cienie, i przylećcie, kruki” czy jak to tam brzmiało?
- Nie, jeszcze nie. Szukałam w Google’u, ale na nic nie natrafiłam.
- Mówiłem ci, ta położna na pewno coś pomyliła, jeżeli w ogóle coś słyszała, a te słowa nie powstały wyłącznie w jej wyobraźni.
- Nieważne. Do zobaczenia. Naprawdę przykro mi, że nie spotkasz się z córką, obawiam się jednak, że fundowanie takich rozczarowań naszym najbliższym jest częścią zawodu, który wykonujemy.
- Coś na ten temat wiem. Żałuję, że nie zostałem po prostu księgowym w jakimś mało ważnym urzędzie.
- Jerry, przecież ty nie potrafisz nawet policzyć napiwku dla kelnera w restauracji.
- Cóż, może powinienem więc zostać zawodowym golfistą? Albo masażystą? To jest całkiem sympatyczny zawód.
- Postaraj się przyjechać trochę wcześniej. Przygotowania zajmą nam sporo czasu.

O godzinie jedenastej piętnaście na komisariacie w Peckham czekało już w gotowości siedemnastu umundurowanych policjantów, sześciu ratowników medycznych oraz pięciu kanalarzy z Crane's Drains. Wszyscy byli wyposażeni w kaski ochronne, kombinezony, butle z tlenem i lampy ledowe. Sprzęt ten był niezbędny do względnie bezpiecznego poruszania się w kanale ściekowym pod Blackheath.

Cała grupa zebrała się w pokoju odpraw i kiedy już zajęli miejsca i przestali kaszleć i pochrząkiwać, detektyw nadinspektor Walters stanął przed nimi i pokrótce przedstawił sytuację. Mówił suchym, monotonnym głosem, jakby wygłaszał sprawozdanie skierowane do udziałowców z trudem wiążącej koniec z końcem sieci restauracji.

– Wszyscy wiecie o poważnym incydencie, do którego doszło dwa dni temu w Peckham, gdy z głównego kanału ściekowego pod wielkim ciśnieniem wystrzeliła ogromna porcja nieczystości. Miało to tragiczne skutki, gdyż śmiertelne rany odniosło pięcioro techników policyjnych oraz pracownik firmy obsługującej kanalizację. Nie słyszeliście jednak, że w ciągu kilku ostatnich dni nastąpiły inne poważne wypadki w tym samym kanale i w innych kanałach ściekowych na terenie Peckham. Stracili życie kolejni ludzie, doszło do brutalnych napaści i chociaż wszystkie te zdarzenia wydają się powiązane, utajniłiśmy je ze względu na ich nienaturalny charakter. Zebraliśmy was dzisiaj, ponieważ udało się ustalić miejsce pobytu dużej grupy podejrzanych o wywołanie tych zdarzeń. To około dwudziestu osób. Musimy zejść do kanałów, w których te osoby się kryją, i wyciągnąć je stamtąd. Nawet stosując rozwiązania siłowe, jeżeli to się okaże konieczne. Śledztwo w tej sprawie prowadzą detektywi Patel i Pardoe. Detektyw sierżant Patel najlepiej wyjaśni, czego możemy się spodziewać podczas realizacji zadania.

Dżamila wstała, a Jerry zauważył, że niektórzy policjanci przewracają oczami i robią takie miny, jakby pomyśleli: Mamy słuchać kobiety, i to na dodatek pochodzącej z Pakistanu?

Ich miny jednak się zmieniły, gdy Dżamila opisała, co się wydarzyło w kanale pod Southampton Way, i opowiedziała o porwaniu i okaleczeniu Martina Elliota. Niczego nie pominęła. Mówiła o pojawieniu się dzieci, zielonych światłach, kluczach, zawodzeniu i zakapturzonej postaci, która uformowała się z kłębow dymu.

Wyjaśniła też, w jaki sposób zabójcza eksplozja w kanale może się łączyć z wypadkami w laboratorium w St George's Hospital oraz Centrum Medycznym Warren BirthWell i z zamordowaniem doktora Macleoda.

Policjanci siedzieli w milczeniu. Widać było, że z wielkim trudem przyjmują do wiadomości informacje Dżamili.

– Doskonale rozumiem, że nie możecie w to uwierzyć – ciągnęła. – Jeszcze dzisiaj jednak zejdziecie do kanału i prawdopodobnie spotkacie się twarzą w twarz

niektórymi z tych zjawisk albo nawet ze wszystkimi. Należało więc was ostrzec. Dzieci, które macie wydostać z dołu kloacznego, są zdeformowane ponad wszelkie wyobrażenia. Mimo wszystko dysponują znaczną siłą. Są znacznie silniejsze od przeciętnych dzieci, zatem podchodźcie do nich z wielką ostrożnością i respektem. Przede wszystkim sugeruję wam, że jeżeli zobaczycie czy wyczujecie w powietrzu dym z palonego drewna, a zwłaszcza jeżeli wychwycicie w nim cierpki zapach cytryn, powinniście natychmiast przerwać wszelkie czynności i jak najszybciej wynosić się z kanału.

Kiedy Dżamila skończyła i usiadła, w pomieszczeniu przez kilkanaście sekund panowała zupełna cisza. Wreszcie któryś z funkcjonariuszy podniósł rękę i powiedział:

– Pani sierżant Patel, czy to nie jest jakiś żart? Może to jakieś ćwiczenie psychologiczne, które ma wykazać, ile bredni jesteśmy w stanie przełknąć bez mrugnięcia okiem? Nie mamy dzisiaj prima aprilis, więc nie wiem, jak można to inaczej wyjaśnić.

W sali rozległy się nerwowe śmiechy.

Dżamila znów wstała.

– Spodziewałam się takiej reakcji z waszej strony i nie mam o to pretensji. Ale dlatego właśnie sugeruję, abyście zajrzeli do YouTube’a na adres, który zapisałam na tablicy. Znajdziecie tam fragmenty filmów, które wykonano w kanałach pod Southampton Way. Zobaczycie także Martina Elliota, kierownika operacyjnego Crane’s Drains, leżącego w łóżku szpitalnym, zwłoki doktora Macleoda w prosektorium w St George’s Hospital oraz laboratorium medycyny sądowej zniszczone po wypadku, w którym młoda studentka częściowo straciła rękę.

Teraz zapadła znacznie dłuższa cisza. Policjanci opuścili głowy i po chwili wszyscy już oglądali nagrania, które wskazała im Dżamila. Wreszcie któryś z nich podniósł wzrok i powiedział:

– Cholera jasna.

Miny pozostałych świadczyły, że są w szoku.

– Kiedy tylko wydostaniemy te dzieci na powierzchnię, zabierzemy je do Evelina Children’s Hospital należącego do St Thomas’ Hospital – odezwał się nadinspektor Walters. – Do naszej wyłącznej dyspozycji przekazane zostanie ambulatorium na szóstym piętrze, niedawno oddane do użytku po zlikwidowaniu części pomieszczeń biurowych. Czekać tam na nas będą pediatrzy i natychmiast przeprowadzą badania.

– Obecni tu technicy z Crane’s Drains pomogą wam prawidłowo nałożyć kombinezony ochronne i kaski, a także pokażą, jak używać aparatów tlenowych – dodała Dżamila. – I jeszcze jedno. Nazywamy to operacją „Dopuszczenie”. To nawiązanie do słów: „Dopuszczcie dzieci i nie przeszkadzajcie im przyjść do Mnie”.

– Amen – powiedziała ratowniczka medyczna siedząca w ostatnim rzędzie.

Wszyscy wstali i rozpoczęli ostatnie pośpieszne przygotowania do wyjazdu. Dżamila zatelefonowała do Gemmy i powiedziała jej, że główne siły ruszają w drogę.

– Dzieci wciąż śpią – odparła Gemma. – Na pewno nie są martwe. Kilkoro z nich się poruszyło, jakby dręczyły je nocne koszmary.

– Niech pani nie spuszcza ich z oczu. Za jakieś piętnaście minut będziemy w Blackheath.

Jerry i Dżamila zeszli na parter, do magazynu broni. Oboje pobrali na operację po glocku 26, chociaż Jerry miał wątpliwości co do tego, czy pociski powstrzymają kogoś, kto zdaje się składać wyłącznie z dymu.

Kiedy czekali na pistolety i amunicję, zadzwonił telefon Dżamili. Odebrała połączenie i stanęła pomiędzy skrzyniami z długopisem w ręce, uważnie słuchając.

– Tak – powiedziała. A po chwili: – O nie, jakie to przykre. – Po kolejnej chwili: – Jasne. To wszystko?

– O co chodzi? – zapytał Jerry, kiedy schowała telefon do kieszeni.

– Dzwonił doktor Gupta z King’s College Hospital. Zmarł Martin Elliot. Mniej więcej przed godziną. Zatrzymanie akcji serca.

– O cholera. Biedny facet. Chociaż nie miał przed sobą wielkich perspektyw. Bez nóg, bez oczu.

– Doktor Gupta rozmawiał z pielęgniarką z nocnej zmiany. Mówiła, że Martin Elliot był bardzo poruszony i martwiła się o niego. Był chyba przekonany, że zapomniał nam powiedzieć o czymś ważnym.

– Naprawdę? I przekazał to pielęgniarce?

– Tak. Chociaż nic nie widział, zdołał zapisać to na kartce papieru. Pielęgniarka obiecała mu, że ta kartka na pewno do nas dotrze. Doktor Gupta wziął ją od niej, ale są tam jedynie dwa słowa. „Jaskinia” i „przyjaźń”.

– I Martin Elliot był zdenerwowany, bo zapomniał powiedzieć nam te dwa słowa? „Jaskinia” i „przyjaźń”?

– Na to wygląda.

– Może jego „jaskinia” to dół kloaczny, w którym kryją się dzieci? Ale nie podejmę się zgadywać, skąd wzięła się „przyjaźń”.

– Kto wie? Martin Elliot odszedł z tego świata i już nigdy o nic go nie zapytamy.

– Czy przypadkiem ten doktor z St George’s Hospital, którego nazwiska nie da się wymówić, nie opowiadał nam, że jego babcia potrafi porozumiewać się ze zmarłymi? Może poprosimy go, żeby nas z nią skontaktował?

– Jerry, doktor Pocztomski powiedział także, że jego babcia cierpi na starczą demencję. Zresztą to jest teraz nieważne, musimy się śpieszyć. Cokolwiek miał na myśli Martin Elliot, na razie o tym zapomnijmy. Jedźmy do Blackheath i uwolnijmy te dzieci.

Zanim Jerry, Dżamila i siedemnastoosobowy oddział policjantów przyjechali do Blackheath, kanalarze z Crane’s Drains zdążyli otworzyć właz do kanału na rogu Duke Humphrey Road i otoczyć go niebieskimi parawanami. Nad wrzosowiskiem wiał silny wiatr, przez co parawany nadymały się jak żagle na jachcie.

Wszyscy policjanci, podobnie jak Jerry, Dżamila i ratownicy medyczni, mieli odblaskowe żółte kamizelki na kombinezonach, a także białe kaski, rękawice i buty ochronne.

– Doskonale – powiedział Jerry, kiedy policjanci zgromadzili się przed włazem. –

Zdaje się, że uczestniczymy w dorocznym zlocie kanarków.

Gemma i Jim Feather także już tam byli. Zespół z georadarem został w ogrodzie nad dołem kloacznym, aby obserwować śpiące dzieci i uprzedzić ekipę o ich wszelkich ruchach.

– Sprawdziliśmy kanał na całej długości, stąd aż do budynku, za pomocą kamery Troglotechu – powiedziała Gemma. – Kanał ma trzy metry szerokości i jest w miarę czysty. Głębokość ścieków oceniamy w tej chwili na jedynie około dziewięciu centymetrów.

– A wyłom w murze i dół kloaczny? – zapytała Dżamila. – Jakiej są szerokości? Żaden z naszych ludzi nie jest anorektykiem, a przecież te kombinezony są dość grube. Nie chcę, żeby na miejscu się okazało, że nikt nie może iść dalej.

– Muszę przyznać, że będzie tam całkiem wąsko – powiedział Jim Feather. – Uważam, że pierwotnie wykonano po prostu niewielki przecisk, aby kloaka samoczynnie się opróżniała prosto do kanału. Zrobiono to prawdopodobnie w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku, a potem właściciel domu zainstalował nowoczesne toalety i system odprowadzania nieczystości z każdego piętra. Jednak ten przecisk został poszerzony, i to całkiem niedawno. Moim zdaniem ktoś chciał w ten sposób ułatwić dzieciom dostęp do dołu kloacznego.

Dżamila zwróciła się do otaczających ją policjantów:

– A zatem, panie i panowie, wejdziemy do kanału gęsiego. Pomiędzy nami, za każdą piątką, będzie szedł pracownik Crane's Drains z lampą ledową. Oczywiście wszyscy będziemy także korzystać z czołówek. Kiedy dotrzemy do dołu kloacznego, natychmiast do niego wejdziemy i go oświetlimy. To nam ułatwi poruszanie się, ale co ważniejsze, osłepi i zdezorientuje dzieci. Zależnie od tego, jak gwałtownie będą się przed nami bronić, będziemy je sobie kolejno przekazywać aż do wjazdu, skrepowane lub nieskrepowane. Jeżeli będą mogły siedzieć, przywiążemy je do foteli w busach. Jeżeli nie, przymocujemy je do noszy w ambulansach. Są jakieś pytania?

– Tak – odezwał się jeden z policjantów. – Czy to mi się śni?

– Jeżeli czujesz niekiedy w snach smród gówna, to prawdopodobnie tak – odpowiedział Jerry. – W przeciwnym wypadku nie śpisz i to wszystko dzieje się naprawdę. – Zacisnął pasek mocujący kask na głowie i dodał: – Wszyscy gotowi? To do roboty.

Pierwszy wszedł do studzienki krzepki policjant z komisariatu w Gipsy Hill. Nazywał się Eddie Green i w ubiegłym roku zajął drugie miejsce w policyjnych mistrzostwach Londynu w boksie. Jerry i Dżamila ruszyli zaraz za nim. Oboje postanowili, że wejdą do dołu kloacznego przed innymi policjantami, aby ocenić, które dzieci należy zabrać na powierzchnię w pierwszej kolejności, które mogą być agresywne, a nawet niebezpieczne. Eddie Green miał być dla nich wsparciem, gdyby dzieci rozpoczęły niespodziewany atak. Był bardzo dobrym bokserem, ale wyposażony został także w paralizator elektryczny i pałkę teleskopową. Jerry i Dżamila mieli, rzecz jasna, swoje glocki 26.

Ruszyli do przodu w jasno oświetlonym kanale, rozbryzgując ścieki. Widzieli przed sobą plecy Eddiego Greena, który się pochylał, żeby nie uderzyć głową w niską

ceglaną powałę. Jim Feather niemal deptał im po piętach, niosąc lampę ledową i kamerę.

Jerry wciągnął powietrze nosem. Czuł odór ścieków, ale nie docierał do niego ani zapach palonego drewna, ani cytryn. Nie rozmawiał z Dżamilą, ponieważ postanowili zachowywać absolutną ciszę aż do momentu, gdy znajdą się u celu; zależało im na tym, aby nie obudzić i nie zaalarmować dzieci. Serce biło mu szybciej niż zwykle, a plastikowa przyłbica przed oczyma, która stanowiła dodatkową ochronę, pod wpływem jego oddechu pokryła się parą wodną. Po raz pierwszy od długiego czasu zdał sobie sprawę, że jest przerażony, i to tak bardzo, że w krytycznej chwili mógłby chyba się zmoczyć.

Jego pierwsze doświadczenia w kanale ściekowym były zupełnie inne. Nawet wtedy, gdy powiał tamten wiatr, światła zapłonęły na zielono i poczuł na plecach deszcz żelaznych kluczy, pod ziemią czuł się zupełnie inaczej niż w tej chwili. Wówczas był zaskoczony i zdezorientowany, ale czuł też przypływ adrenaliny. Dzisiaj czuł jedynie strach, niemal przyprawiający o dreszcze. Wciąż myślał o szczątkach ciał ludzkich opadających w deszczu ścieków na High Street i o ataku postaci w kapturze.

Wydawało mu się, że kanał ściekowy stopniowo zamyka się dookoła niego, staje się z każdą chwilą węższy, powietrze coraz bardziej cuchnie i zaczyna w nim brakować tlenu. Musiał przywołać całą siłę woli, żeby nie odwrócić się, nie pobiec z powrotem w kierunku wjazdu, nie wyskoczyć na zewnątrz i nie zaczerpnąć świeżego chłodnego powietrza nawiewanego lekkim wiatrem.

Po niecałych pięciu minutach mozolnego marszu dotarli do poszarpanego wyłomu w ścianie kanału. Miał niecały metr szerokości i około półtora metra wysokości. Część wyłamanych cegieł wciąż zalegała na stercie w ściekach.

Jim Feather nie zaświecił swoją lampą prosto w wyłom. Odwrócił się ku policjantom i kanalarzom, którzy podążali za nim, i uniósł w górę kciuk, przekazując wszystkim sygnał. Ludzie odpowiedzieli identycznymi gestami.

– W porządku, idziemy – powiedziała cicho Dżamila i klepnęła posterunkowego Greena w ramię.

Policjant poprawił kask na głowie i wszedł do wyłomu. Jego kombinezon ochronny zaszeleścił, ocierając się o popękane cegły.

Dżamila odwróciła się do Jerry'ego i chociaż nic nie powiedziała, dostrzegł, że jest równie przerażona jak on. W końcu oboje widzieli w prosektorium szkarłatne, obdarte ze skóry zwłoki doktora Macleoda i nie mieli teraz żadnej gwarancji, że nie spotka ich taki sam los, jaki spotkał nieszczęsnego lekarza.

Dżamila wkroczyła do wyłomu za Greenem, a za nią podążył Jerry. Następnie ruszył Jim Feather, niosący w drżącej ręce lampę ledową. Postąpiwszy kilka kroków, znaleźli się w dole kloacznym.

Natychmiast zrobiło się tak jasno, że musieli przez chwilę mrugać, aby przyzwyczaić się do światła. Sufit i ściany były tutaj suche, poprzecinane korzeniami drzew, a na ziemi leżały okropnie brudne brązowe koce. Wszystkie dzieci siedziały skulone w jednym kącie. Większość ubrana były w białe koszule nocne, tak samo ja

wtedy, kiedy uciekały przed Jerrym i Dżamilą, kierując się na Charles Coveney Road. Oplatały się wzajemnie rękami i nogami, jakby dzięki temu mogły zachować w gromadzie więcej ciepła i czuć się bezpieczniej. Kiedy Eddie Green, Dżamila i Jerry stanęli nad nimi, kilkoro podniosło głowy i popatrzyło na nich ze zdziwieniem.

Do ciasnego pomieszczenia weszło trzech kolejnych policjantów i jeden z kanalarzy. Przez kilka chwil panowała absolutna cisza, zaskoczone dzieci wpatrywały się w policjantów ze zdumieniem, a policjanci patrzyli na dzieci ze skrajnym niedowierzaniem.

Każde dziecko było w jakiś sposób zdeformowane. Niektóre miały ogromne głowy, pokryte rzadkimi włosami, jakby cierpiały na wodogłowie. Głowy innych były z kolei bardzo małe, z blisko osadzonymi, ciemnymi oczyma. Kilkoro miało więcej niż dwie nogi i ręce, kilkoro w ogóle nie miało kończyn. Jedno składało się wyłącznie z głowy, dwóch rąk oraz szyi, która przy każdym oddechu pęczniała jak nadmuchiwany balon.

– Gdzie jest nasza znajoma postać z dymu? – syknął Jerry.

– Nie mam pojęcia – odparła Dżamila. – Ale im dłużej jej tutaj nie ma, tym lepiej dla nas.

Zbliżyła się do dzieci i uniosła obie ręce na znak, że nie zamierza im zrobić krzywdy.

– Proszę, nie bójcie się nas – powiedziała. – Przyszliśmy zabrać was w bezpieczne i wygodne miejsce. Nie zrobimy wam nic złego.

Przykucnęła i dotknęła ręki najbliższego dziecka, małej dziewczynki o zmierzwionych jasnych włosach. Jej oczy były białe jak mleko, a tam, gdzie powinien znajdować się nos, widniała jedynie głęboka, ciemna jama. Gdy Dżamila spróbowała podnieść dziewczynkę, ta przyłgnęła mocno do leżącego obok niej chłopca. Jego dziecinne ciało pod nocną koszulą było pulchne i różowiutkie, ale ręce były rozwinięte i owłosione jak u dorosłego mężczyzny.

– Posłuchaj, dziewczynko, przysięgam, że zaopiekujemy się wami – ciągnęła Dżamila. – Rozumiesz mnie? Rozumiesz mnie?

Dziewczynka jeszcze mocniej przywarła do pulchnego chłopca i zaczęła płakać. Po chwili rozplakały się kolejne dzieci. Płacz niektórych był piskliwy i głośny, inne wydawały jedynie dziwne, chrapliwe dźwięki, ponieważ nie miały krtani albo zatok. Jeden mały chłopiec w ogóle nie miał zuchwy i kiedy płakał, z jego szyi wystawała tchawica.

W dole kloacznym zgromadziło się już przynajmniej siedmiu policjantów. Spoglądali jeden na drugiego, jakby chcieli sobie wmówić, że to wszystko nie dzieje się naprawdę, że jest niemożliwe, aby te okaleczone dzieci żyły, a co dopiero płakały.

Dżamila lekko szarpnęła rękę dziewczynki, a Eddie Green nachylił się i oderwał jej dłoń od nabitego ramienia chłopca. Dziewczynka pisnęła, ale nie broniła się, tylko wyciągnęła rączki do Dżamili, a ta podniosła ją i mocno przytuliła.

Po chwili wstał chłopiec z wielką głową. Po jego policzkach ciekły łzy. Wyciągnął przed siebie ręce, a Eddie Green uniósł go i podał policjantowi, który stał w przejściu prowadzącym do kanału. Wszystkie dzieci, które potrafiły samodzielnie wstać,

kuśtykały w kierunku policjantów z uniesionymi rękami, niemo prosząc o to, żeby je zabrać.

Te, które nie miały rąk ani nóg albo były tak zdeformowane, że nie potrafiły podnieść się z ziemi, wciąż łkały, ale w ich płaczu było już mniej przerażenia, ponieważ każde już czuło, że nie zostanie zapomniane.

– Nie napiszę o tym w pamiętnikach – powiedział Jerry i pokręcił głową. – Bo ludzie pomyśleliby, że sobie robię z nich jaja.

Policjanci ustawieni w rzędzie podawali sobie dzieci, przekazując je w kierunku wjazdu. Czuć było od nich zapach zjełczałego moczu oraz jakiś ostry ziołowy odór.

Dzamila wciągnęła nosem powietrze i powiedziała:

– To woń bylicy. Pali się ją często, żeby odpędzić złe duchy.

– Bylica? Zapamiętam. Przyda mi się trochę tego towaru dla mojej byłej żony – stwierdził Jerry.

Już się nie bał i zaczynał dochodzić do przekonania, że chociaż ostatnie wydarzenia wciąż wydają się nierealne, śledztwo właśnie posunęło się do przodu. Pracując z Dżamilą, nauczył się, że zjawiska z pozoru paranormalne są przerażające tylko wtedy, kiedy człowiek ich nie pojmuje. Ich zrozumienie prowadzi najwyżej do głębokiej niechęci.

Odczuł wielką ulgę, kiedy się okazało, że dzieci nie zamierzają ani się bronić, ani atakować. Zobaczył, że wnętrzności dziewczynki, którą zabrała Gemma, wypływają z brzucha aż poniżej rąbków koszuli nocnej, lecz dziecko ma półprzymknięte oczy i rozmarzony wyraz twarzy, niczym Ofelia unosząca się w strumieniu.

Wszystkimi dziećmi zaopiekowano się z nadzwyczajną delikatnością i czułością, mimo ich potwornych deformacji. Doliczono się dwudziestu dwóch. Kiedy z dołu kloaczego wydobywano ostatnie z nich, Jerry odniósł wrażenie, że policjanci zaczynają akceptować ich wygląd i traktują je tak samo jak ofiary okrutnych wypadków – pożarów czy wypadków samochodowych.

– To już wszyscy, pani sierżant – powiedział Jerry, kiedy ostatnie dziecko zostało wyniesione do kanału. – Światła się nie zazieleniły, nie doświadczyliśmy wichury ani nie nawiedziła nas postać z dymu.

– Obawiam się, że jeszcze o niej usłyszymy, kimkolwiek jest – odparła Dzamila. –

Pamiętaj, co powiedziała, kiedy chcieliśmy dotknąć jej pisklęta: „Będziecie cierpieć tak, jak cierpieli wasi przyjaciele”.

– Tak, owszem. I wciąż nie wierzę, że ona składa się wyłącznie z dymu. Przecież zadała mi cholernie mocny cios, zabiła doktora Macleoda i pozbawiła rąk nieszczęsną studentkę...

Dzamila się rozejrzała.

– Zadzwoń na Lambeth Road i poproszę, aby przysłano techników. Trzeba sprawdzić te koce i w ogóle wszystko. Na przykład fekalia w kącie. Musimy je zbadać, aby się dowiedzieć, co te dzieci jadły i w jaki sposób zdobywały żywność. To nam powinno pomóc w odnalezieniu „postaci z dymu”, jak ją nazywasz.

Wrócili kanałem do wjazdu i szybko wspięli się po drabinie. W butach ociekających łajnem stanęli na rogu Duke Humphrey Road. Wszystkie dzieci, które mogły

samodzielnie siedzieć, umieszczono w busach. Ośmioro zabrały do szpitala dziecięcego karetki pogotowia ratunkowego.

Do Dżamili i Jerry'ego podszedł Jim Feather.

– Misja skończona, moi drodzy – powiedział. – Nie wiem jak wy, ale ja mam teraz ochotę na bardzo mocnego drinka.

– Tak, pan swoją misję już skończył – zgodziła się Dżamila. – Ale dla nas to jest dopiero początek.

Za plecami Dżamili Jerry szybko zrobił gest, jakby wychylał dużą porcję szkockiej.

Dżamila i Jerry pojechali za ostatnią karetką do szpitala. Pozostawili w Blackheath detektyw Pettigrew, aby po przyjeździe techników wyjaśniła im, na czym będzie polegać ich zadanie. Detektyw O'Brien pojechał do King's College Hospital, żeby się spotkać z doktorem Gupta i pielęgniarką, która ostatnia rozmawiała z Martinem Elliotem. Miał też odebrać kartkę, na której z mozołem napisał słowa „jaskinia” i „przyjaźń”.

Evelina Children's Hospital mieścił się w nowoczesnym budynku z cegły i szkła, przybudówce St Thomas' Hospital. Stał nad brzegiem Tamizy, niemal dokładnie naprzeciwko parlamentu. Cała grupa przyjechała do szpitala konwojem składającym się z dwóch radiowozów, dwóch busów i dwóch karetek. Na samym końcu na miejsce dotarł samochód z Dżamilą i z Jerryem.

Przez cały czas jechali w milczeniu, ale kiedy mijali bramę szpitalną, Jerry nagle nacisnął hamulec i zawołał:

– Patrz! Spójrz tam, pani sierżant! Przecież to on! Ten sam starzec, który podpalił nas w samochodzie!

Przy bramie, pod metalową rzeźbą przedstawiającą ryby, wodorosty i mewy, drwiąco się uśmiechając, stał siwowłosy starzec w brązowym tweedowym płaszczu. Jerry chciał wyskoczyć z samochodu i do niego podbiec, ale kierowca karetki, który też chciał wjechać na teren szpitala, nacisnął klakson, zdenerwowany tym, że ktoś blokuje mu drogę. Jerry pojechał więc dalej i zatrzymał się dopiero po chwili, po lewej stronie, z dwoma kołami na chodniku.

– Hej, człowieku, nie możesz tutaj parkować! – wrzasnął kierowca karetki, mijając go.

– Policja! – odkrzyknął Jerry i pobiegł w kierunku starego człowieka stojącego przy bramie.

Miał do pokonania niecałe pięćdziesiąt metrów, ale kiedy dotarł na miejsce, starca tam nie było. Popatrzył wzdłuż Lambeth Bridge Road – chodnikiem spacerowało najwyżej pięć lub sześć osób i żadna z nich nawet nie przypominała tamtego człowieka.

Wrócił do samochodu i usiadł za kierownicą.

– Znowu dał drapak. Nie wiem, jak on to robi. Chyba ma w gaciach silnik rakietowy.

– Chyba dobrze mu się przyjrzałeś, prawda? Może zrobisz jego portret pamięciowy za pomocą programu EvoFit i zamieścisz go na portalach społecznościowych? Przecież ktoś musi go znać.

– Byłem pewien, że zrobiłem mu zdjęcia, kiedy stał przed restauracją McDonald's, ale nie było go na nich. Kiedy wybiegłem, żeby go dopaść, jakby rozpląnął się w powietrzu.

– Ale masz rację. On musi mieć jakiś związek z tymi dziećmi – powiedziała Dżamila. – No i ten zielony ogień pachnący cytryną, który strawił twój samochód... to nie mógł być przypadek. A teraz? Co on robi akurat tutaj, w szpitalu, do którego właśnie przewieźliśmy dzieci wyciągnięte z kloaki?

– Nie potrafię sobie wyobrazić, skąd on, do diabła, znał naszą trasę i w jaki sposób udało mu się dotrzeć tutaj równocześnie z nami. Ale owszem, zacznę go szukać przez portale społecznościowe. Prędej czy później dorwę drania.

Gdy Jerry zamknął samochód na parkingu, poszli do lśniącej recepcji szpitalnej. Obszerne pomieszczenie miało półokrągły szklany sufit. Przed drzwiami do wind stali dwaj uzbrojeni policjanci i poprosili ich o legitymacje, mimo że obaj doskonale znali Jerry'ego. Ale dzisiaj to właśnie on zasugerował, żeby tymczasowo kontrolować ludzi korzystających z wind.

– Kogo przywieźli tam na górę, co? – zapytał jeden z nich, unosząc palec. – Jakiegoś VIP-a? A może dziecko z rodziny królewskiej?

– Nie chciałbyś wiedzieć, stary – odparł Jerry. – Gdybym ci powiedział, miałbyś w nocy koszmary.

Pojechali windą na szóste piętro. Dzieci umieszczono na tymczasowo zorganizowanym oddziale wyciszenia. Detektywi już na korytarzu usłyszeli głośny płacz. Inne oddziały w tym szpitalu określano nazwami różnych zwierząt, takich jak koniki morskie, żółwie czy niedźwiedzie.

Oddział wyciszenia miał w tej chwili dwadzieścia dwa łóżka, które ustawiono pod ścianami i oknami. Pomiędzy nimi krążył z zatroskaną miną główny pediatra z dwoma asystentami i siostra oddziałowa. Cztery pielęgniarki przechodziły od łóżka do łóżka i po kolei ściągaly z dzieci brudne koszule nocne, po czym ubierały je w czystą bieliznę. Wszystkiemu przyglądało się pięciu policjantów.

Kilkoro dzieci wciąż płakało, większość jednak milczała. Te, które były w stanie obserwować, co dzieje się wokół nich, wpatrywały się w dorosłych, jakby się spodziewały, że w każdej chwili może dojść do jakiegoś dramatycznego zdarzenia, ale jeśli nie brać pod uwagę płaczu dzieci, prowadzonych półgłosem rozmów personelu i szelestu papieru, na którym pielęgniarki zapisywały wyniki badań i obserwacji lekarskich, na oddziale panował spokój adekwatny do jego nazwy.

– ...musimy określić priorytety... ustalić, które dzieci potrzebują natychmiastowej pomocy, a które mogą na razie poczekać.

Podeszli do lekarzy i przedstawili się.

– Och, dobrze że państwa widzę. Nazywam się Andrew Tanner – powiedział główny pediatra. Był niskim mężczyzną o szerokiej klatce piersiowej i jasnych włosach. Jerry wziąłby go raczej za trenera pływania niż za lekarza. – To dla nas wszystkich poważne wyzwanie. Mam za sobą dwadzieścia trzy lata praktyki, ale z czymś takim jeszcze się nie spotkałem.

– Doktor Tanner jest specjalistą w dziedzinie osseointegracji – dodała siostra oddziałowa.

– Rozumiem – powiedział Jerry i pokiwał głową, robiąc mądrą minę, jakby wiedział, o co chodzi

– Osseointegracja polega na łączeniu materiałów syntetycznych z żywą kością w celu zrekonstruowania kończyn lub innych części ciała – powiedział Andrew Tanner. – Korzystamy z niej, kiedy mamy do czynienia z dziećmi urodzonymi bez rąk, nóg lub innych części ciała. – Rozejrzył się po sali. – Będę szczery, nie jestem pewien, czy moja wiedza na coś się przyda. Nie jestem w stanie pojąć, jak to się stało, że te nieszczęsne dzieci wciąż żyją. Na przykład ten... to chyba chłopiec... Przecież składa się niemal wyłącznie z głowy i szyi. Na Boga, jak ja mam go zrekonstruować?

Dzamiła ciężko westchnęła.

– Przykro mi, doktorze. W tej chwili nie możemy panu tak naprawdę wyjaśnić, skąd się te dzieci wzięły i dlaczego nadal żyją. Częściowo dlatego, że sami tego nie wiemy, a częściowo dlatego, że ich istnienie musimy utrzymywać w tajemnicy, przynajmniej jeszcze przez pewien czas. Nie chcemy, żeby o sprawie dowiedzieli się dziennikarze, ale poufność wskazana jest także ze względu na konieczność zapewnienia bezpieczeństwa specjalistom, takim jak pan, którzy będą się nimi zajmować.

– Bezpieczeństwa? – zdziwił się doktor Tanner. – Chce pani powiedzieć, że leczenie tych dzieci wiąże się z jakimś zagrożeniem? Dlaczego?

Dzamiła miała mu odpowiedzieć, ale ich rozmowę przerwał chłopiec, który leżał na łóżku obok. Był jednym z najmniej zdeformowanych, chociaż kręgosłup miał wygięty pod takim kątem, że jego łopatki wystawały z pleców jak dwa kanciaste skrzydła, a broda opierała się na klatce piersiowej, przez co miał duże trudności z mówieniem. Miał też dwie dodatkowe małe dłonie, które wystawały z nadgarstków tuż za normalnie rozwiniętymi kciukami.

– Kiedy... kiedy przyjdzie mama? – zapytał skrzekliwym głosem.

W pierwszej chwili Jerry nie zrozumiał jego słów, nie tylko dlatego, że żuchwa chłopca mocno przywierała do mostka, ale też ze względu na silny dziwny akcent, typowy raczej dla amerykańskiego kmiotka.

Dzamiła obeszła łóżko i stanęła przy chłopcu, ale nie wyciągnęła do niego ręki. Obie jego dłonie były zaciśnięte na pościeli. Wyglądały jak dwie małe laleczki ukryte w rękawie.

– Pytałeś, kiedy przyjdzie mama?

Chłopiec uniósł głowę tak wysoko, jak tylko potrafił.

– Obiecała, że przyjdzie po nas, jak się wyśpimy.

– Jak masz na imię? Bo masz imię, prawda?

– Jeszcze nie. Jeszcze nie nadszedł czas na imiona.

– Nie? A twoja mama? Jak ma na imię twoja mama?

– Liz, Liza, Adeliza. Tak ma na imię.

– Nic nie mów! – zawołała skrzekliwym głosem dziewczynka, która leżała dwa łóżka dalej. Była to ta blondynka o oczach jak dwa białe kamienie, z dwoma otworami w twarzy zamiast nosa. – Nie możesz im powiedzieć, gdzie ona jest. Przecież ona nam to zawsze powtarza. To jest sekret!

– Przecież powiedziałem tylko jej imię – odparł chłopiec. – Zresztą i tak nie wiemy, gdzie ona teraz jest. Powiedziała nam jedynie, że śpi.

– Śpi? – Dżamila przysunęła krzesło i usiadła obok chłopca. – I to dlatego nie było jej z wami, kiedy po was przyszliśmy?

Chłopiec skinął głową i wciągnął strugę śliny, która zaczęła wypływać mu z ust.

– Powiedziała, jak długo będzie spać?

– Nie mów! – zawołała znowu dziewczynka. – Jeżeli będą wiedzieć, jak długo, dowiedzą się też, jak jest daleko!

– Chcemy wam tylko pomóc – powiedziała Dżamila. – Wszyscy jesteście w złym stanie i nie powinniście mieszkać pod ziemią, w kanałach ściekowych. Wiesz, że lekarze mogą wyprostować twoje plecy? I będziesz mógł chodzić jak każdy inny chłopiec.

– Jestem święty.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Twoje życie jest święte, to prawda, nie musisz jednak mieć takiego garbu. I nie musisz do końca życia posługiwać się dodatkowymi rękami.

– To są moje ręce. Są święte. I moje plecy są święte.

– Kto tak mówi?

– Mama tak mówi. Wszyscy jesteśmy święci.

– Jesteśmy pisklętami mamy! – zapiszczała dziewczynka. – Jeżeli nas dotkniecie, mama będzie zła, strasznie zła!

– Chyba niczego nie rozumiecie. Wcale nie chcemy was skrzywdzić. Chcemy polepszyć wasze życie.

– Nam teraz jest lepiej. Teraz.

– Tak, łóżko szpitalne jest lepsze od kanału ściekowego. Możecie jednak być szczęśliwsi niż teraz... nie tylko wy dwoje, wszystkie inne dzieci. Ani przez chwilę nie zamierzam udawać, że mogę zaoferować wam życie jak w niebie, ale przynajmniej nie będziecie żyli w piekle.

Chłopiec przez chwilę wpatrywał się w Dżamilę takim spojrzeniem, jakby przestał się już interesować, co ma do powiedzenia.

– No i jak? – zapytała, ale nie odpowiedział, tylko odwrócił wzrok.

Po chwili Dżamila wstała i podeszła do grupy lekarzy oraz policjantów.

Przyszedł kolejny specjalista i podał jej rękę. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o gęstej czuprynie czarnych włosów, które opadały mu na czoło nieuporządkowaną grzywką. Wyglądało to tak, jakby kruk usiadł mu na głowie i skrzydłem zasłonił mu pół czoła oraz fragment oka.

– Edward Latimer – przedstawił się. – Już pobieżnie obejrzałem naszych nieszczęsnych pacjentów. Moje pierwsze wrażenie jest takie, że mamy tutaj do czynienia z różnymi ekstremalnymi przypadkami asocjacji VACTERL.

– Aha – powiedział Jerry. – Asocjacja VACTERL. Też tak myślałem.

Doktor Latimer posłał Jerry'emu krzywy uśmiech, ponieważ było oczywiste, że policjant usłyszał o tym po raz pierwszy w życiu.

– To sporadycznie występujące skojarzenie wad kręgosłupa, atrezji odbytu, wrodzonych wad serca, przetoki tchawiczo-przełykowej, atrezji odbytu i dysplazji kości. Bardzo rzadko wszystkie te przypadłości występują wspólnie.

– A w jaki sposób je się leczy, jeżeli już wystąpią? – zapytała Dżamila.

– Oczywiście jeżeli taki zespół wad zostanie rozpoznany wcześniej, w pierwszym lub drugim trymestrze ciąży, zazwyczaj zalecamy jej przerwanie.

– Jeśli jednak dziecko przyjdzie na świat i przeżyje, to co dalej?

– Wówczas niestety biedaczysko czekać straszne męki. Każde z tych dzieci już ich doświadczyło. – Szerokim gestem wskazał łóżka. – W takich przypadkach bezustannie musimy sobie zadawać pytanie, czy nie lepiej jest zakończyć życie, zanim się na dobre zaczęło, niż strzec je jako świętość już od momentu poczęcia, niezależnie od tego, z jak okropną deformacją mamy do czynienia. Problem polega na tym, że pozwalając tak choremu dziecku żyć, skazujemy je wyłącznie na lata bólu i cierpienia, a i tak zazwyczaj trwa to krótko. Dlatego nigdy nie mamy pewności, że podjęta decyzja jest słuszna.

– W pełni rozumiemy, że musicie państwo podejmować bardzo trudne decyzje – powiedziała Dżamila. – My jednak jesteśmy policjantami, a nie lekarzami, i nie uratowaliśmy tych dzieci po to, aby osądzać, co jest święte, a co nie jest. Staramy się dowiedzieć, dlaczego urodziły się w takiej postaci, gdzie do tej pory żyły oraz kto i w jaki sposób się nimi opiekował. Aby uzyskać tę wiedzę, musimy najpierw je upewnić, że je akceptujemy takie, jakie są, a potem krok po kroku zdobywać ich zaufanie. Przynajmniej tych, które są w stanie mówić.

– Zrobimy wszystko co w naszej mocy, pani sierżant. Znajdujemy się w jednym z najlepszych szpitali dziecięcych na świecie, jeśli nie najlepszym. W tej chwili zastanawiamy się przede wszystkim nad tym, jak to się stało, że żywe dotrwały w łonach matek aż do porodów.

Doktor Latimer umilkł i popatrzył na salę. Pomiędzy łózkami rozstawiano parawany, ostatnie dzieci były myte i przebierane.

– Mówimy o nich „dzieci”, ale niech się pani tylko rozejrzy. Wszystkie są w taki czy inny sposób zdeformowane, ale część z nich nawet nie wygląda jak ludzie. Musimy się dowiedzieć, kto im dał życie, jak doszło do tego, że się urodziły, kiedy i gdzie. Jak długo już żyją? I wreszcie kto i dlaczego zebrał tak dużą grupę? Siostra Machen powiedziała mi, że kiedy je tutaj przywieziono, straszliwie cuchnęły, całe były pokryte ekskrementami.

– Później zapewne odpowiemy panu na część tych pytań, doktorze. To będzie zależeć od postępów śledztwa – powiedziała Dżamila. – Tymczasem zostawiamy je w rękach lekarzy. Dwaj policjanci będą pełnić w szpitalu stałą służbę, na wypadek gdyby zaczęły wam sprawiać kłopoty albo gdybyście potrzebowali pilnej pomocy z jakiegokolwiek innego powodu. Zostawimy także dwóch ludzi w holu, żeby nie wpuszczali intruzów. Dziennikarzy i tym podobnych natrętów.

– Tak, widziałem waszych ludzi, kiedy szedłem na oddział. Cóż, raczej nie jestem przyzwyczajony do uzbrojonej ochrony.

Jerry chciał mu powiedzieć: „Obyś jej tylko nie potrzebował”, ale się powstrzymał. Ruszył za Dżamilą w kierunku drzwi.

– Obejrzałeś je wszystkie? – zapytała go.

– Nie, nie wszystkie. Ale przecież przysłemy tu fotografa, prawda?

– Tak... fotografa i grupę techników. Przynajmniej trójka tych dzieci ma paznokcie jak szpony i trzeba je porównać ze śladami zadrapań na ciele Martina Elliota. Potrzebujemy dowodów, które pozwolą nam połączyć wszystkie incydenty w spójną całość i wydobyć z tej całości jakiś sens.

Kiedy przechodzili przez próg, chłopiec z krzywym kręgosłupem krzyknął za nimi:

– Jestem święty! Tak mówi moja mama! Zapytajcie ją, kiedy się obudzi! Zapytajcie Liz-Lizzie-Lizzibet! Ona wam powie!

– Będzie okropnie zła! – pisnęła mała blondynka.

Wysadziwszy Dżamilę w Peckham, Jerry pojechał na komisariat w Tooting. Skoro wciąż wszystko dobrze pamiętał, chciał jak najszybciej usiąść przed ekranem komputera z operatorką programu EvoFit i opisać jej twarz siwowłosego starca w brązowym tweedowym płaszczu.

Zjadł dwa biszkopty w czekoladzie i wypił kubek herbaty, kiedy wybierał twarze z bazy danych. Najpierw zobaczył mężczyzn o różnych korzeniach etnicznych – białych, czarnych, Azjatów, Latynosów. Kiedy ograniczył poszukiwania do jednej rasy, wybrał przedział wiekowy, wzrost i włosy. Po niedługim czasie na ekranie stopniowo wyłoniła się twarz starca, który go prześladował.

– To on, dobrze uchwyciłaś drania – powiedział do operatorki.

– Och, wygląda sympatycznie. Jest trochę podobny do mojego dziadka.

– Kochana, uwierz mi, nie chciałabyś, żeby ten stary drań był twoim dziadkiem. To człowiek, który bez mrugnięcia okiem byłby zdolny poderżnąć ci gardło.

Jerry wyszedł z komisariatu i wyjechał z powrotem do Peckham. Niebo było dziwnie ponure, przybrało ciemnozielony kolor korodującej miedzi, zapowiadając nieuchronny deszcz. Operatorka EvoFit prześle wizerunek starca na Twittera i Facebooka, do lokalnych gazet oraz komisariatów policji w południowo-zachodnim Londynie. Po drodze Jerry zerkał na wydruki portretu pamięciowego, które położył na fotelu pasażera. Wciąż się zastanawiał, czy ten człowiek naprawdę istnieje, czy jest jedynie wytworem jego wyobraźni. Nie potrafił zrozumieć, w jaki sposób zniknął za każdym razem, kiedy Jerry go ścigał. Lecz Dżamila także widziała tego człowieka, zatem musiał rzeczywiście istnieć.

W Peckham Dżamila rozmawiała akurat z Alanem Pattinsonem, znawcą zamków i kluczy. Jednocześnie próbowała jeść pikantne paszteciki kima, które leżały przed nią w kartoniku. Do tej pory ugryzła tylko jeden kawałek, ponieważ Alan Pattinson bezustannie krążył dookoła jej biurka i za każdym razem, kiedy chciała ugryźć kolejny, zadawał jej jakieś pytanie. Odkładała więc pasztecik i cierpliwie mu odpowiadała.

– A więc nigdy nie słyszała pani o Williamie Trenchu? – zapytał Pattinson.

– Obawiam się, że nie. To nazwisko nic mi nie mówi.

– Niech się pani nie martwi. Także wielu Brytyjczyków nigdy o nim nie słyszało.

– Ale ja również jestem Brytyjką, panie Pattinson.

– Eee... miałem na myśli ludzi, którzy urodzili się i wychowali w Wielkiej Brytanii. Nie słyszeli także o Matthew Hopkinsie. Był łowcą czarownic, urodził się w tysiąc sześćset dwudziestym roku, zmarł w tysiąc sześćset czterdziestym siódmym.

– Widziałem o nim film. Grał go ten, jak mu tam... – odezwał się Jerry. – Vincent Price.

– Zgadza się – powiedział Alan Pattinson. – Matthew Hopkins zawsze twierdził, że

to parlament mianował go głównym łowcą czarownic, ale to nieprawda. Polował na nie za pieniądze, które wypłacały mu władze poszczególnych miast. Odnotowano, że złapał dwadzieścia trzy czarownice. Cztery z nich zmarły w więzieniu, a dziewiętnaście osobiście powiesił, chociaż prawdopodobnie zabił ich o wiele więcej. Może i kilkaset.

Jerry usiadł obok Dżamili. Zaproponowała mu pasztecik, lecz jedynie pokręcił przecząco głową.

– Dzięki, pani sierżant, ale niedawno zjadłem parę biszkoptów, a poza tym wciąż nie mam wielkiej ochoty na jedzenie po tym... sama rozumiesz. – W obecności Alana Pattinsona nie chciał wspominać o dzieciach.

– Kim więc był ten William Trench? – zapytała Dżamila.

– Ach, cóż, on także był na swój sposób łowcą czarownic. Został wikarym w kościele Świętego Jerzego w Wapping, ale kiedy objął parafię, odkrył, że jest niemal całkowicie zdominowana przez kobietę, która podobno dysponowała mocą nadprzyrodzoną. W rzeczy samej historia zapamiętała ją jako najpotężniejszą czarownicę w dziejach Anglii. Ludzie ciągle chodzili w niedziele do kościoła, ale jeśli ktoś poważnie zachorował i potrzebował pomocy albo brakowało mu pieniędzy, albo chciał, żeby coś niemiłego przytrafiło się osobie, której nie lubił, zawsze chodził do tej kobiety.

– Szkoda, że nie ma jej już wśród nas – powiedział Jerry. – Przecież pilnie potrzebuję kasy, żeby kupić nowy samochód, a do tego moi sąsiedzi z dołu działają mi na nerwy głośną muzyką. Nie macie pojęcia, ile razy musiałem już wysłuchać *Shape of You* w wykonaniu takiego jednego rudzielca.

Alan Pattinson posłał mu szybki niecierpliwy uśmiech człowieka, który nie jest przyzwyczajony do tego, że ktoś mu przerywa.

– Od jednego z parafian William Trench dowiedział się, że ta kobieta odprawia obrzędy, podczas których przyzywa szatana. Poszedł więc do jej domu na Artichoke Hill i zażądał, żeby przestała kontaktować się z diabłem, przynajmniej w jego parafii. Ale ona tylko poszczuła go psami i wtedy Trench poszedł z kolei ze skargą do sędziego, który był jego dobrym znajomym, i doprowadził do aresztowania kobiety pod zarzutami oszustwa i wyłudzeń.

– Jak mu się to udało? – zapytała Dżamila.

– Cóż, ta kobieta przyjmowała drobne pieniądze od ludzi jako uzdrowicielka i wróżka, ale największe zyski przynosiły jej aborcje. Jeśli ciężarna kobieta przychodziła do niej, żeby przerwać ciążę, żądała za zabieg raczej niewygórowaną sumę, bo zaledwie pięć szylingów. Dzisiaj byłoby to około trzydziestu funtów. Ale już po aborcji sytuacja się zmieniała. Domniemana czarownica groziła, że poinformuje o zabiegu męża, rodziców i wszystkich znajomych kobiety, która usunęła ciążę. W szczególności szantażowała kobiety, których ciążę były rezultatem tego, co obecnie nazwalibyśmy skokiem w bok.

– Żądała więc znacznie większych kwot za milczenie? – zapytał Jerry.

– Dokładnie tak. W pewnych przypadkach chodziło o naprawdę duże kwoty. Kobietom, które nie chciały płacić, groziła, że ich dzieci umrą na odrę albo że

zdechną wszystkie ich zwierzęta, albo że mężowie w krótkim czasie zbankrutują. Panowało powszechne przekonanie, że czarownica jest w stanie wypełnić wszystkie swoje groźby. Trzeba o niej powiedzieć jeszcze jedną rzecz. Chociaż przeprowadzała aborcje, uważała, że życie ludzkie jest największą wartością. Wierzyła, że nawet płód, który nie został donoszony, gdyż niedosza matka poroniła, albo taki, który ona sama usunęła, ma prawo do życia. To oczywiście, że mamy do czynienia z opowieścią apokryficzną, ale wierzone, że każdy płód, który wyjęła z łona matki, potrafiła utrzymać przy życiu, niezależnie od tego, jak bardzo był zniekształcony. Mawiano nawet, że czarownica nocami spacerowała po ulicach Wapping razem z dziećmi, które miały liczne deformacje i wyraźne problemy z poruszaniem się. To oczywiście niemożliwe, a jednak takie opowieści krążyły wśród ludzi. – Alan Pattinson wziął do ręki księgę oprawioną w brązową skórę, z popękany grzbietem. – To wszystko jest przedstawione właśnie tutaj – powiedział. – We wspomnieniach Williama Trencha. Pożyczyłem tę książkę od ślusarzy ze spółki Carmine. Wiele lat temu Carmine został przejęty przez grupę Handykeys, ale pozostał po niej komplet starych dokumentów. Spółka Carmine wykonała siedemdziesiąt dwa klucze z sigilami na osobiste zamówienie Williama Trencha.

– A więc to ten wikary, William Trench, kazał je sporządzić? Wyjaśnia we wspomnieniach dlaczego?

– Och, tak. W tle tej decyzji kryje się wielka tragedia. Czarownicę osądzono, uznano winną wyłudzeń i skazano na wieloletni pobyt w więzieniu w Tothills Fields. Spędziła tam jednak zaledwie jedną noc, po czym zniknęła. Jakby rozplynęła się w powietrzu, mimo że jej cela przez cały czas była zamknięta. Według mnie albo udało jej się w jakiś sposób ją otworzyć, albo przekupiła kogoś ze strażników. A w najbliższy weekend, kiedy dwudziestosiedmioletnia żona Williama Trencha, Miranda, jechała Cannon Street, jej powóz nagle się zapalił.

– Zapalił się? – zawołał Jerry. – Jak może się zapalić powóz ciągnięty przez konie?

– Nikt tego nie wie. Zdarzyło się to na środku ulicy i chociaż Miranda siedziała z przodu na koźle, zaplątała się w lejce i nie zdołała zeskoczyć. Koń oszalał ze strachu i pociągnął płonący powóz z taką szybkością, że nikt nie był w stanie go zatrzymać i oswobodzić Mirandy. William Trench usłyszał krzyki. Wyszedł z kościoła i na własne oczy zobaczył, jak jego żona umiera, trawiona przez ogień. Przeczytajcie.

Alan Pattinson otworzył księgę na stronie, którą zaznaczył pomarańczowym biletym metra, i przesunął dziennik Williama Trencha w kierunku Dżamili i Jerry'ego.

Dżamila zaczęła głośno czytać.

– Natychmiast pojąłem, kto jest winien tego ohydneho morderstwa, albowiem płomienie, które ogarnęły powóz Mirandy, miały jaskrawoszmaragdowy kolor i takiż sam kolor widziałem w kuchni w czasie mojej wizyty w Artichoke Hill.

– Był przekonany, że czarownica uciekła z Tothills i zabiła mu żonę w zemście za to, że posłał ją do więzienia – podjął Pattinson. – Pochował Mirandę, a dzień później zrezygnował z funkcji wikarego u Świętego Jerzego i zaczął szukać czarownicy, pragnąc dokonać własnej zemsty. Twierdzi, że został nowym łowcą czarownic, tyle że tak naprawdę poszukiwał tylko tej jednej.

Dżamila popatrzyła na Jerry'ego. Wiedziała, o czym w tej chwili myśli. Przecież i nas niemal pochłonęły zielone płomienie. Może ta zakapturzona postać, którą chcemy dopaść, dysponuje taką samą nadprzyrodzoną mocą jak czarownica poszukiwana przez Williama Trencha? A może jest jej potomkiem? Bo przecież po stu sześćdziesięciu latach nie może to być wciąż ta sama osoba.

– Skoro William Trench zamówił klucze, zakładam, że ją znalazł – powiedział Jerry.

– Tak. Odnalazł ją, chociaż poszukiwania zabrały mu ponad trzy lata. – Alan Pattinson odebrał od Dżamili książkę i otworzył ją na kolejnej zaznaczonej stronie. –

Popatrzcie tutaj. W styczniu tysiąc osiemset pięćdziesiątego dziewiątego roku otrzymał wiadomość od wikariusza z parafii Świętego Pawła w Deptford, na południe od rzeki. Podobno pewna kobieta celebrowała jakieś satanistyczne obrzędy niedaleko stoczni marynarki wojennej. W pamiętniku Trench opisał, jak niemal codziennie przeprowadzał się przez Tamizę, aby ją wysledzić. W końcu wpadł na pomysł wykorzystania swojej znajomej, która miała udawać, że jest w ciąży. Kobieta zaczęła krążyć po Deptford, rozpytując barmanów, kelnerki, nianie i służące, czy znają kogoś, kto mógłby jej pomóc pozbyć się niechcianego dziecka. Skierowano ją do domu na Tanner's Hill, no i właśnie tam Trench znalazł morderczynię swojej żony.

– No i? Co zrobił, kiedy ją znalazł?

– Proszę, przeczytajmy. „Stanąłem przed nią na progu domu, lecz natychmiast potoczyłem się z powrotem na drogę, wypchnięty sprzed drzwi z taką siłą, jakby kopnął mnie koń. Pękły mi dwa żebra i straciłem przedni ząb”.

– A więc nawet jeżeli nie dysponowała mocą nadprzyrodzoną, była niewiarygodnie silna?

– William Trench był przekonany, że ona jednak posiada taką moc i otrzymała ją od samego szatana. Pisze w książce, że po tej gwałtownej odprawie zdał sobie sprawę, że w pojedynkę nic nie zdziała. Jego wiedza z zakresu demonologii była zbyt skąpa. Poszedł do najbliższego kościoła katolickiego, do parafii Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, gdzie przyjął go wilebny Bonifacy, wykształcony w Rzymie egzorcysta i pogromca demonów.

Jerry wyprostował się na krześle. Po chwili odwrócił się do Dżamili i powiedział:

– Jak się nazywa sytuacja, w której ani przez chwilę nie wierzysz, że coś jest prawdą, a jednak udajesz, że jest inaczej? Taka jak wtedy, gdy idziesz do kina na horror i niemal srasz ze strachu?

– Zawieszenie niewiary – odparła Dżamila.

– William Trench na pewno wierzył w jej moc – powiedział Alan Pattinson. – Sprawił, że uwierzył w nią również wilebny Bonifacy. Tylko posłuchajcie: „Nocą jedenastego września razem z wilebnym, panem Dashem i jeszcze pięcioma innymi mężczyznami, którzy złożyli wilebnemu przysięgę milczenia, wyruszyliśmy z kościoła na Tanner's Hill. Nieśliśmy trumnę z siedemdziesięcioma dwiema kłódkami i kluczami, które wykonano dla mnie w warsztacie Carmine'a przy St Martin's Lane. Kiedy czarownica otworzyła drzwi, pan Dash powstrzymał ją i całą grupą weszliśmy do jej domu. Wilebny odmówił egzorcyzmy, które wprawiły

kobietę w stan paraliżu, po czym wynieśliśmy ją na podwórze, na tyły domu. Położyliśmy ją na ziemi i zrzuciliśmy na nią stertę cytryn, ponieważ cytryny są symbolem oczyszczenia. Następnie przykryliśmy ją gałęziami cisu, polaliśmy kilkoma galonami tranu i podpaliśmy. Płonęła gwałtownymi zielonymi płomieniami. Ze stosu bił taki żar, że musieliśmy się cofnąć na dużą odległość. Ani nie krzyczała, ani nie protestowała, lecz nawet gdy już trawił ją ogień, bezustannie nas przeklinała. Za radą wielebnego Bonifacego, kiedy tylko zyskaliśmy pewność, że życie w niej wygasło, przenieśliśmy jej spopielone szczątki do trumny i starannie ją zamknęliśmy. Wielebny ostrzegł nas, że dym po kremacji może wciąż unosić jej ducha i że duch ten nigdy trwale nie zginie. Zamknąłem siedemdziesiąt dwie kłódki zabezpieczające wieko trumny i klucze pozostawiłem w kłódkach, tak jak miałem to nakazane. Następnie pięciu mężczyzn wyniosło trumnę na sporą odległość od domu. Zakopali ją w pobliżu Deptford Park, trzy razy głębiej od najgłębszego grobu. Na trumnę rzucili kamienie i kruszywo, żeby nikt już nigdy przypadkowo nie wydobył jej na powierzchnię, nawet w dalekiej przyszłości. Każdy z pięciu mężczyzn otrzymał zapłatę w wysokości jednej gwinei i także pan Dash został sownie wynagrodzony”.

– Kim jest pan Dash? – zapytała Dżamila. – Czy został wymieniony w jeszcze innych fragmentach pamiętnika?

Alan Pattinson przerzucił kilka kartek i po chwili pokręcił głową.

– Nie, nigdzie więcej nie natrafiłem na to nazwisko. Mogę tylko założyć, że był to ktoś, kto dysponował jakąś wiedzą na temat egzorcyzmów. Niewykluczone, że był przyjacielem wielebnego Bonifacego. Szukałem tej postaci w Google’u, ale natrafiłem jedynie na hasło „Mrs. Dash”, ale jest to po prostu marka amerykańskich przypraw, wiecie, chili, czosnku czy soli cebulowej.

– Kimkolwiek był, „powstrzymał ją”, prawda? – powiedział Jerry. – I dzięki temu była bezbronna przez wystarczająco długi czas, aby ksiądz mógł ją sparaliżować. Dobrze byłoby wiedzieć, jak mu się to udało. Może był po prostu facetem potężnej postury, jak ten nasz posterunkowy bokser, Eddie Green?

– W każdym razie wsparł pan nas ogromną ilością bardzo przydatnych informacji, panie Pattinson – zapewniła Dżamila. – Postaram się, aby również pan został właściwie wynagrodzony, podobnie jak wcześniej ten Dash, kimkolwiek był.

– Och, proszę mi mówić po imieniu. Dla mnie nagrodą jest już sama świadomość, że mogę pomóc w rozwiązaniu zagadki kryminalnej. Sam kiedyś chciałem zostać policyjnym detektywem, ale moje przypadłości... astma i słaby wzrok, sami rozumiecie.

Kiedy Pattinson wyszedł, Dżamila zatelefonowała do posterunkowej Jane Dyer, jednej z dwójga funkcjonariuszy, których zostawiła w szpitalu Evelyny.

– Co słyhać u dzieci? Spokój? – zapytała.

– Pielęgniarki je umyły, a teraz próbują karmić, ale nie jest to łatwe. Niektóre z nich mają tak skurczone gardła, że nie są w stanie niczego połykać. Inne nawet nie mają żołądków. Kolejne już zasnęły i nie można ich obudzić, ale niektóre na poczynania personelu reagują agresją. Kilka pielęgniarek się rozplakało.

– Bardzo proszę, informuj mnie, jeżeli będzie się dziać coś ważnego. W razie

potrzeby natychmiast wrócimy z Jerrym do szpitala. Na razie chcemy sobie zrobić krótką przerwę, ale stale będziemy pod telefonem.

Jerry popatrzył na zegarek.

– Na zachodzie bez zmian? No to myślę, że mam teraz dość czasu, żeby odwiedzić moją własną czarownicę i zabrać Alice na hamburgera.

– Bardzo cię przepraszam – powiedziała Dżamila, kiedy schodzili po schodach. – Podarowałabym ci butelkę tranu, ale akurat mi się skończył.

Zanim Jerry przyjechał na Lugard Road w Tooting, miedzianozielone chmury zdążyły odpłynąć na wschód i oślepiające pomarańczowe słońce odbijało się od szyb w oknach wyższych pięter długiej linii wiktoriańskich domów stojących szeregowo wzdłuż całej ulicy.

Nacisnął na przycisk dzwonka domu, który kiedyś należał do niego, i natychmiast usłyszał warczenie psa. Nigdy nie żałował, że zostawił Nancy, i nigdy nie żałował, że zostawił Stuffiego. Nigdy nie przepadał za psami, a w szczególności nie cierpiał Stuffiego, kundla, który należał do Nancy już wtedy, kiedy się poznali. Ta niechęć była odwzajemniona. Kiedy Stuffie nie warczał i nie szczekał na Jerry'ego, zwykle gapił się na niego małymi, świńskimi oczkami i obnażał kły, jakby chciał mu dać do zrozumienia, że ma wielką ochotę odgryźć mu kawałek łydki.

Nancy otworzyła drzwi, trzymając Stuffiego za obrozę. Pies nastroszył się natychmiast, gdy zobaczył, że stoi przed nim Jerry. Ostatnio Nancy ścięła włosy na pazia i musiał przyznać, że taka fryzura doskonale do niej pasuje. Była drobną, wciąż śliczną kobietą o niebieskich oczach. Jerry wcale się nie cieszył, że niemal każda rozmowa pomiędzy nimi przeradza się w dziką awanturę.

– Myślałam, że już nie przyjdiesz – warknęła.

– Ne mogłem się wyrwać rano, ale teraz mam kilka wolnych godzin. Pomyślałem, że mógłbym zabrać Alice na happy meal.

– Niedawno wypila herbatę, a poza tym nie chcę, żeby jadła śmieciowe jedzenie.

– Przecież hamburger od czasu do czasu jej nie zabije.

– Ale ty nigdy nie karmisz jej niczym innym. W ogóle nie zastanawiasz się nad losem naszej planety.

– Jeden happy meal na dwa tygodnie nie sprawi, że utopi się jakiś niedźwiedź polarny.

– Och, jesteś beznadziejny. Ale jeśli chcesz, możesz zabrać Alice na spacer. I przy okazji Stuffiego. Od śniadania go nie wyprowadziłam, a mam pilną robotę papierkową.

– Stuffie przecież mnie nienawidzi z całego psiego serca.

– Jerry, niech to będzie taka umowa wiązana. Albo zabierasz psa razem z Alice, albo spaceru nie będzie w ogóle.

– No już dobrze, dobrze. Zabiorę go. Ale daj mi jakiś woreczek, żebym mógł zebrać z ziemi to, co na niej na pewno zostawi, skoro tak bardzo chcesz, żebym go wyprowadził. Przecież nie wsadzę psiego gówna do kieszeni.

Nancy zawołała Alice. Zazwyczaj dziewczynka była już gotowa do wyjścia, kiedy Jerry dzwonił do drzwi, ale tym razem nie miała na to szansy, ponieważ zaparkował przed domem datsunem, którego wypożyczył na komisariacie, a tego samochodu oczywiście nie znała. Od razu zbiegła po schodach. Miała już osiem lat, długie ręce

i nogi, była niemal tak wysoka jak jej matka i nie ustępowała jej urodą. Mocno przytuliła się do Jerry'ego, a potem cofnęła się po czerwony płaszcz. Nancy podała byłemu mężowi smycz przypiętą już do obroży psa i trzy biodegradowalne woreczki na psie odchody z jednorazowymi łopatkami.

– Aż trzy? Czym ty go karmisz?

– Karmą ekologiczną. Nie ma w niej mięsa, lecz jedynie suszone larwy, a poza tym buraki i owies.

– To musi być pyszne. Miałabyś porcję dla mnie? Właśnie się zastanawiałem, co sobie przygotowuję na kolację.

– Zawsze musisz być taki sarkastyczny?

– Jestem z zawodu detektywem, Nance. Wszyscy detektywi zdają między innymi egzaminy z zaawansowanego sarkazmu. Uczą nas też nabijania się z ludzi. To szczególnie ważny przedmiot.

Alice wróciła w płaszczu i Nancy powiedziała do niej:

– Baw się dobrze, kochanie. I pilnuj, żeby twój ojciec dobrze się zachowywał.

Alice roześmiała się i odparła, że będzie go pilnować. Następnie oboje wyszli na Lugard Road, trzymając się za ręce. Stuffie od razu szarpnął do przodu tak gwałtownie, że zaczęła go dusić obroża, i z tego powodu głośno zarzęził. Nancy nigdy nie wyszkoliła go do tego, żeby szedł posłusznie przy nodze, no ale Jerry'ego również nie nauczyła uległości.

– Chciałem cię dzisiaj zabrać do London Eye – zwrócił się do Alice. – Rano wyskoczyła mi jednak nagle taka poważna sprawa z dziećmi, które natychmiast trzeba było ratować. Chłopców i dziewczynki, łącznie dwadzieścioro dwoje.

– A skąd je ratowałeś?

– Nie uwierzysz, ale wszystkie kryły się w kanałach ściekowych.

– Opowiesz mi historijkę czy to jest prawda?

– To prawda, chociaż wolałbym, żeby to była fikcja. Gdybyś tylko zobaczyła te dzieci... Z drugiej strony dobrze, że ich nie widziałas.

– Dlaczego?

– Ponieważ niektóre rzeczy w życiu są tak straszne, że lepiej na nie nie patrzeć, chyba że ktoś naprawdę musi.

– No i co? Te dzieci były chore?

– Coś w tym rodzaju. Porozmawiajmy jednak o czymś innym, dobrze? Niedawno miałas iść z całą klasą do Science Museum, o ile pamiętam.

– Tak. Poszliśmy tam i było strasznie nudno. Pani Miller wszystko potrafi zamienić w jedną wielką nudę. Jest najnudniejszą nauczycielką na świecie. Nie, inaczej. Jest najnudniejszą nauczycielką we wszechświecie.

Poszli w kierunku Tooting Bec Common. Był to zielony teren rekreacyjny o powierzchni ponad stu pięćdziesięciu akrów, na którym rosły trawa i drzewa, a pośrodku znajdowało się niewielkie jezioro. Nawet kiedy stanęli na przejściu dla pieszych, Stuffie nie przestał się szarpać i Jerry'ego wręcz kusiło, aby odpiąć mu smycz i puścić wolno pod autobus.

– Mamusia ma nowego chłopaka – powiedziała Alice, kiedy stanęli nad jeziorem.

Powierzchnia wody miała metaliczną zieloną barwę i marszczył ją wiatr. Po jeziorze pływały trzy kaczki.

– Tak? Jak ma na imię?

– Nigel. Nie lubię go. Jest łysy i uważa, że jest zabawny. Stuffie też go nie lubi.

– Stuffie chyba nikogo nie lubi. Ale szacunek dla niego, skoro nie lubi Nigela.

Byli w połowie ścieżki okrążającej jezioro, kiedy Jerry dostrzegł na przeciwnym brzegu spacerującą rodzinę. Ojciec pchał wózek, a matka trzymała za ręce dwoje dzieci – mniej więcej w wieku pięciu i ośmiu lat. Towarzyszył im skye terier, spokojnie drepczący przy nodze mężczyzny. Był z nimi również dziadek, ale w pierwszej chwili Jerry nie dostrzegł wyraźnie jego sylwetki, ponieważ zasłaniał go ojciec dzieci.

– Czym się zajmuje Nigel? – zapytał. Zanim Alice zdążyła mu odpowiedzieć, machnął jednak ręką. – Nieważne, nie było pytania. Chyba musimy zabrać Stuffiego na spacer w jakieś inne miejsce.

– Dlaczego? Co się stało?

Staruszek na przeciwnym brzegu zwolnił i dopiero teraz Jerry mógł mu się dokładnie przyjrzeć. Nie był to dziadek dzieci prowadzonych przez matkę, lecz znany mu już siwowłosy stary człowiek w brązowym tweedowym płaszczu. Starzec się zatrzymał i Jerry zauważył, że spogląda w kierunku jego i Alice. Ręce trzymał w kieszeniach. Znajdował się zbyt daleko, aby Jerry mógł dostrzec, czy uśmiecha się tak samo jak wtedy, gdy zapalił się jego samochód.

– Widziałem przed chwilą kogoś, kogo raczej nie zaliczam do przyjaciół – odparł.

– Tak czasami bywa w pracy policyjnego detektywa. Zdarza się, że muszę kogoś aresztować za to, że zrobił coś złego, a potem ten ktoś żywi urazę do końca życia.

– Co to jest „uraza”?

– Później ci to wyjaśnię. Na razie chodźmy stąd.

Zawrócił i szybkim krokiem poprowadził Alice w kierunku Tooting Bec Road, czasami zerkając przez ramię, żeby sprawdzić, czy starzec za nimi nie idzie. Ten wciąż jednak stał nad jeziorem, z rękami w kieszeniach. Jerry miał wrażenie, że samo wystraszenie go przyniosło facetowi dużą satysfakcję.

Stuffie początkowo był zdezorientowany, ponieważ wyczuł zapach teriera. Znów charczał i pluł na boki, gotowy do walki, lecz kiedy Jerry przyciągnął go do nogi, zapomniał o tym i znów zaczął bezustannie wrywać się do przodu.

– Dokąd teraz idziemy? – zapytała Alice, z trudem nadążając za ojcem i psem.

– Nie wiem. Na Streatham Common. To tylko dziesięć minut spaceru stąd.

Dziewczynka obejrzała się na jezioro.

– Czy to tego starego dziadka nie chciałeś spotkać?

– Tak, kochanie. Wygląda niegroźnie, ale to jest zły człowiek.

Przeszli prawie przez ulicę, gdy Jerry zobaczył obłok czarnego dymu. Zbliżał się, lawirując pomiędzy srebrzystymi brzoźami, które okalały błonia. Był gibki jak wąż i nic sobie nie robił z wiatru, który wiał w jego kierunku. Jerry wziął córkę za rękę i powiedział:

– Musimy iść szybciej.

Gdy doszli do drzew, dym pojawił się tuż przed nimi i zaczął przybierać postać zakapturzonej postaci w płaszczu – tej samej postaci, która uderzyła Jerry’ego, kiedy chciał ruszyć za nią na Southampton Way.

– Co to jest? – pisała Alice. – Tatusiu, ja się boję!

Jerry przystanął, owijając sobie smycz Stuffiego wokół nadgarstka, aby przytrzymać go jak najbliżej nogi. Pies uniósł się na tylnych łapach i zaczął węszyć, ale nie mógł zrozumieć, czym jest sylwetka składająca się z dymu. Miała kształt człowieka, ale nie pachniała jak człowiek. Czuć było od niej zapach płonącego drewna i cierpkich cytryn.

Jerry skręcił w prawą stronę. Przyszło mu do głowy, że ucieknie przed dymem, przebiegając ulicę, ale postać również przesunęła się w tym kierunku, jakby czytając w jego myślach. I niespodziewanie w odległości stu metrów znów pojawił się starzec w brązowym tweedowym płaszczu. Po prostu stał tam i się uśmiechał.

Postać się zbliżyła i Stuffie zawarczał.

– Spokojnie, piesku – powiedział Jerry.

W tym momencie Alice popatrzyła na niego i odezwała się chrapliwym, groźnym głosem:

– Ukradłeś moje pisklęta.

– Alice? – wydusił z siebie. – Alice, zaciśnij mocno usta... Nie pozwól jej przez ciebie przemawiać.

– Przyszliście jak złodzieje, kiedy spałam, i ukradliście moje pisklęta. One należą do mnie. Beze mnie w ogóle by nie żyły. Są moje i chcę je dostać z powrotem.

Jerry drżał, lecz zdołał powiedzieć:

– Nie możesz ich dostać. W takim stanie nie zdołają dłużej żyć w kanałach. A tobie nie wolno okaleczać i mordować ludzi tylko dlatego, że chcesz ocalić abortowane dzieci.

– Każde życie jest święte. Wszystkie dzieci zasługują na życie, nawet jeżeli Bóg o nich zapomniał.

– Płód nie jest dzieckiem. Płód bez rąk, nóg i tułowia nie jest niemowlakiem.

– Każde życie jest święte. A te z moich piskląt, które nie mają rąk albo nóg, mogą posługiwać się rękami i nogami ludzi, którzy mieli to szczęście, że Bóg się do nich uśmiechnął.

Alice miała zamknięte oczy i stała sztywno, trzymając rękę Jerry’ego tak mocno, że jej paznokcie wbiły się w jego dłoń. Stuffie zaczął kopać przednimi łapami w trawie. Popiskiwał przy tym, spoglądając to na Alice, to na postać z dymu. Było oczywiste, że się boi.

– Chcę dostać z powrotem moje pisklęta – mówiła Alice. – Wszystkie. Chcę, żeby wróciły tam, gdzie jest ich miejsce. Zanim się zorientujesz, tak bardzo urosną, że nie będziesz w stanie się nimi opiekować. Tylko ja potrafię o nie zadbać. Oddaj je, bo inaczej sama je odbiorę.

– Wynoś się stąd – odparł Jerry. – Idź do diabła i odczep się od mojej córki.

– Twoja córka również może coś złożyć w ofierze. Ma śliczne długie nogi.

– Powiedziałem: idź do diabła! I ani się waż dotknąć mojej córki!

Postać przetoczyła się jeszcze bliżej i Jerry przyciągnął Alice do siebie. Był pewien, że wśród dymu zobaczył coś lśniącego i metalicznego – nóż albo piłę. W tej samej chwili Stuffie podskoczył i zaczął warczeć z wielką furią. Jerry nigdy dotąd nie widział, żeby był aż tak rozwścieczony. Pewnego razu wybiegł z domu przez niedomknięte drzwi i pogonił listonosza, ale jeszcze nigdy w jego obecności nie wpadł w taki szał.

Postać jakby się zawahała i odrobinę skurczyła. Jerry rozejrzał się i dostrzegł, że starzec w brązowym tweedowym płaszczu także odchodzi w przeciwną stronę, jak ktoś, kto nagle sobie przypomniał, że musi załatwić jakąś ważną sprawę.

Stuffie warczał i skakał, dopóki łapy nie zaplątały mu się w smyczy. Zakapturzona postać jeszcze bardziej się skurczyła i zaczęła drzeć. Jerry wyczuł dla siebie szansę, pochylił się i rozpiął obrozę. Kiedy Stuffie zyskał wolność, od razu skoczył w kierunku postaci. Warczał zajadle, jakby na pograniczu hysterii.

Dym cofnął się i zniknął pomiędzy brzozaami. Po kilku sekundach pies przestał warczeć i już tylko chodził pomiędzy drzewami, zaskoczony tym, że uciekła mu pewna zdobycz. W końcu powoli wrócił do Jerry'ego. Cała jego postać wyrażała ogromne zdziwienie.

Alice otworzyła oczy i popatrzyła dookoła.

– Wciąż jesteśmy na błoniach?

– Tak, kochanie – odparł Jerry i pogłaskał ją po głowie. – Dobrze się czujesz?

– Dziwnie – powiedziała dziewczynka. – Tak jakbym długo spała i właśnie się obudziła.

– Ale nic ci nie jest?

– Poza tym, że jest mi trochę dziwnie, wszystko jest w porządku. Dlaczego Stuffie nie ma smyczy?

Pies siedział wyjątkowo posłusznie przy nodze Jerry'ego, czekając, aż pan ponownie założy mu obrozę.

– On... eee... po prostu chciał sobie trochę pobiegać, to wszystko.

– Mamusia nigdy go nie spuszcza ze smyczy. Mówi, że zaatakowałby pierwszą osobę, którą spotkałby na swojej drodze.

– Ale dzisiaj był bardzo grzeczny, prawda, Stuffuś? Myślę, że nawet bardziej niż grzeczny. Podpowiedział mi, jak rozwiązać pewną zagadkę, która męczy mnie już od dłuższego czasu.

Zawrócili w kierunku ulicy. Alice na chwilę zatrzymała się pomiędzy drzewami, zmarszczyła czoło i cmoknęła.

– Czuję w ustach smak cytryn – powiedziała.

– Cytryn? Naprawdę?

– Tak. A przecież nie jadłam żadnych cytryn. Nie lubię cytryn.

– Ja też za nimi nie przepadam, kochanie. Przynajmniej od pewnego czasu.

Alice uśmiechnęła się do ojca, a on odpowiedział jej uśmiechem, mimo że w tej chwili był bliski płaczu.

Po powrocie na komisariat w Peckham Jerry opowiedział Dżamili, co się stało.

– Gdyby nie Stuffie, jestem pewien, że ta kobieta by nas zaatakowała. Myślę, że była już gotowa odciąć nogi Alice, tak samo jak Elliotowi. Chyba miała coś w zanadrzu, najprawdopodobniej piłę, ale nie wiem, co się z nią stało, kiedy dym zniknął.

– A co z tym starcem?

– On także sobie poszedł, kiedy tylko spuściłem Stuffiego ze smyczy. Zakładam, że jeśli oboje się czegoś boją, to właśnie psów. Ten cały „pan Dash”, o którym William Trench wspomniał w pamiętniku... ten, który powstrzymywał czarownicę, kiedy ksiądz odmawiał egzorcyzmy, które ją sparaliżowały... Przecież to wcale nie musiał być człowiek. To mógł być pies, który przed nią stanął.

Dżamila odwróciła obrotowe krzesło i zaczęła stukać w klawisze laptopa.

– Spróbuję znaleźć w Google’u psy o imieniu „pan Dash”. Nigdy nic nie wiadomo.

– Stawiam dziesięć do jednego, że to pies. Musiałabyś widzieć, jak ta czarownica dosłownie zwiewała, kiedy Stuffie się na nią rzucił.

Dżamila odezwała się zaledwie po kilku sekundach.

– No i proszę. Mamy nie „pana Dasha”, lecz po prostu „Dasha”. Kiedy królowa Wiktorija była małą dziewczynką, Dash był jednym z jej ulubionych psów. Namalował go na obrazie sir Edwin Landseer i czytam tutaj, że wielu ludzi w Wielkiej Brytanii nazywało tak swoje psy, aby oddać cześć ulubieńcowi Wiktorii.

– A więc coś już wiemy. Kiedy będziemy szukać tej czarownicy, musimy mieć ze sobą psa. Może nawet kilka psów. No i powinniśmy dopilnować, żeby dzieci w szpitalu strzegły również psy.

– Skontaktuję się z jednostką z psami policyjnymi. Zdaje się, że najbliższym nas jest Zespół Numer Pięć w Nine Elms. Skoro jedziemy do szpitala, to sprowadźmy tam na spotkanie przewodnika.

– Jeżeli ten Trench był w stanie ją unieruchomić i zamknąć, posługując się psem, nie widzę powodu, dla którego i nam nie mogłoby się to udać, nawet jeśli ta czarownica jest tylko niematerialną istotą.

– Problem polega na tym, Jerry, że nie mamy pojęcia, co zrobić, kiedy ją już schwytamy.

– Zrobimy to samo co on. Zamkniemy ją. I dopilnujemy, żeby tym razem na pewno nikt jej nie wypuścił.

Wsiadali właśnie do samochodu, kiedy zadzwoniła komórka Dżamili. Telefonowała posterunkowa Jane Dyer z oddziału wyciszenia. W jej głosie słychać było strach.

– Proszę tutaj przyjechać, pani sierżant. Niech pani posłucha... dzieciaki wrzeszczą, płaczą, a te, które mają ręce, rzucają wszystkim, co tylko zdołają chwycić.

Musieliśmy ewakuować z oddziału lekarzy i pielęgniarki, no i zamknęliśmy drzwi na klucz.

– Dobrze, Jane. I tak właśnie mieliśmy tam jechać... Jerry, posterunkowa Dyer twierdzi, że dzieci oszalały. Jedziemy szybko do szpitala.

Z piskiem opon wyjechali z policyjnego parkingu. Datsun wyposażony był w syrenę i niebieskie lampki na przedniej kratownicy. Jerry włączył sygnał i światła, po czym pomknął Camberwell New Road z prędkością stu kilometrów na godzinę, slalomem mijając autobusy, taksówki i furgonetki. Po niecałych dziesięciu minutach dojechali na Albert Embankment i chociaż dłuższą chwilę wlekli się za śmieciarką, Jerry w końcu wjechał na chodnik i ją wyprzedził. Po kolejnych trzech minutach zatrzymał auto przed Evelina Children's Hospital.

Wbiegli do pomieszczenia recepcyjnego, gdzie dwaj uzbrojeni funkcjonariusze czekali na nich przy otwartych drzwiach windy. Dojeżdżając do szóstego piętra, już w windzie usłyszeli głośnie krzyki. Pediatrzy, pielęgniarki i policjanci zgromadzili się przed drzwiami prowadzącymi na oddział. Wszyscy byli zdenerwowani, a tymczasem dzieci wyły, wrzeszczały i rzucały krzesłami po całym pomieszczeniu.

Dżamila i Jerry zajrzeli do środka przez półokrągłe szybki w drzwiach. Dzieci, które miały ręce i nogi, kuśtykały z miejsca na miejsce, kopały szafki nocne i zrywały pościel z łóżek. Te, które były zbyt zdeformowane, żeby się przemieszczać, darły się wniebogłosem i wierciły na łóżkach.

Podszedł do nich doktor Latimer. Jego biały fartuch był uwalany krwią, tak jakby umazał go długimi pazurami. Jerry doszedł do wniosku, że jeszcze nigdy nie widział lekarza z tak ponurą miną.

– Nie da się nad nimi zapanować – powiedział doktor. – Są niesłychanie silne. Niech pan tylko spojrzy na tę pielęgniarkę, tak głęboko podrapały jej policzek, że będzie miała szczęście, jeżeli nie pozostaną jej szramy na całe życie.

– Kiedy to się zaczęło? – zapytała Dżamila.

– Mniej więcej przed godziną. Najpierw zrobiły się niespokojne, zaczęły hałasować i przestały słuchać personelu. Następnie wszystkie zaczęły krzyczeć i przewracać szklanki z wodą, które stały na stolikach. Później z każdą chwilą stawały się coraz bardziej agresywne.

– Dziwne. Kiedy wynosiliśmy je ze ścieków, wydawały się całkiem zadowolone. W każdym razie nie było w nich nawet cienia agresji.

W tej samej chwili troje dzieci zaczęło kopać drzwi. Po kilku mocnych kopniakach pękł fornir przy zamku.

– Nie możecie ich uspokoić jakimiś środkami farmakologicznymi? – zapytał Jerry.

– Podacie im stary dobry rohypnol i może być po sprawie.

– Próbowałem już uspokoić dwoje najbardziej agresywnych. Zaaplikowałem im czteromiligramowe dawki lorazepamu, który zazwyczaj działa bardzo szybko, ale na te dzieci nie zadziałał. Kilkoro ma tak straszliwe deformacje, że nawet nie wiedziałbym, gdzie mógłbym się wkłuć. Tym, które mają żołądek, podałem tabletki, ale nie wiem, czyby je przyjęły.

– Dlaczego się tak zachowują? Może pan to jakoś wyjaśnić?

Latimer pokręcił głową.

– To jest jakaś forma masowej histerii. Telefonowałem do psychiatry, doktora Feldmanna; powinien się tu zjawić w każdej chwili. Osobiście jednak uważam, że to, co się dzieje, ma związek z tymi deformacjami fizycznymi. Dzieci są z tego powodu bardzo pobudzone, a część z nich, jestem tego pewien, odczuwa przewlekłe bóle.

Doktor Latimer umilkł i skinął na Dżamilę i Jerry'ego, aby przeszli na drugą stronę korytarza. Nie chciał, żeby usłyszał go ktoś poza nimi.

– Według mnie one zdają sobie sprawę, że ich życie będzie bardzo krótkie. Przynajmniej pięcioro zdażyło mnie już zapytać, ilu lat życia powinni się spodziewać, a jedno zapytało mnie wprost, kiedy umrze. Każde z nich powtarza, że ich matka nie chciała o tym rozmawiać. Jak przypuszczam, „matką” nazywają kobietę, która je wszystkie adoptowała.

– Tak, można tak to ująć – przyznała Dżamila.

– Mają powody, żeby się martwić, to oczywiste – ciągnął Latimer. – Wątpię, czy nawet najmniej zdeformowane spośród tych dzieci przeżyją poza szpitalem dłużej niż miesiąc. W najbardziej skrajnych przypadkach może to trwać niecały tydzień. Żadna istota ludzka nie może długo funkcjonować bez żołądka czy jelit albo z wadami serca, które praktycznie uniemożliwiają funkcjonowanie układu krwionośnego. Część tych dzieci cierpi na mezokardię.

– Przepraszam za moją ignorancję, ale co to takiego? – spytał Jerry.

– Przez pierwsze sześć tygodni rozwoju wszystkie narządy wewnętrzne płodu są symetryczne. Później serce przemieszcza się na lewo, a wątroba na prawo. Chodzi o to, żeby organizm działał bardziej wydajnie. Jednak czasami serce pozostaje w położeniu centralnym, a to upośledza krążenie krwi. Przynajmniej troje z tych dzieci ma tego typu problem. Są jak zarodki, które z każdym dniem rosną, ale nie rozwijają się prawidłowo.

– Jaki jest więc pański werdykt? To znaczy z punktu widzenia lekarza.

– Będę z państwem absolutnie szczery. Jestem przekonany, że najlepszym wyjściem dla nich będzie poddanie ich eutanazji. Sugerowałem już takie rozwiązania, kiedy miałem do czynienia z asocjacją VACTERL. Te dzieci nie mają przyszłości. Czeka je wyłącznie ból, frustracja i wczesna śmierć. Gdyby z wyniku badania USG wynikało, że płód jest w tak tragicznym stanie, rekomendowałbym natychmiastowe przerwanie ciąży.

– Uważamy, że tak właśnie było w ich przypadku – powiedziała Dżamila.

– Słucham? Chce pani przez to powiedzieć, że one zostały abortowane? To jakim sposobem udało się im przeżyć i urosnąć? To przecież niemożliwe.

– Sami jeszcze dobrze nie wiemy, jak to się stało – odezwał się Jerry. – Uważamy jednak, że ta „matka”, o której pan wspominał, potrafi jakoś utrzymywać je przy życiu, mimo że wszystkie zostały przedwcześnie usunięte z macic biologicznych matek.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem. I absolutnie nie rozumiem, jak to w ogóle jest możliwe.

– Być może dzięki przeniesieniu płodu po aborcji dziecka do macicy innej kobiety

– zasugerowała Dżamila. – Ostatnio mieliśmy prawdopodobnie do czynienia właśnie z kilkoma takimi przypadkami. Przyroda zna to zjawisko: przecież kukułki wylęgają się w gniazdach innych gatunków ptaków.

Doktor Latimer znowu pokręcił głową.

– Jestem na bieżąco z wszelkimi nowościami w dziedzinie pediatrii, ale w żadnej publikacji naukowej nie natrafiłem dotąd na wzmiankę o takiej procedurze. W tym kontekście nie mówi się nawet o zdrowych płodach, a co dopiero o płodach tak zdeformowanych, u których istotne dla przeżycia układy nie funkcjonują prawidłowo. Poza tym jaki byłby cel takiego postępowania?

– Nie wiem, co jeszcze mogłabym panu powiedzieć na tym etapie, doktorze Latimer. Nasze śledztwo przynosi pewne rezultaty, ale toczy się bardzo wolno i przed nami jeszcze daleka droga.

Czekali przed oddziałem jeszcze przez godzinę. Stopniowo wrzaski, kopanie i rzucanie krzesłami ustawały i w końcu wszystkie dzieci zasnęły. Część z nich zaległa na podłodze. Inne padły na sterty skłębionej pościeli. Cały oddział wyglądał jak po przejściu wichury. Wszędzie wałało się popękane szkło, przewrócone były wszystkie stoliki nocne, poduszki porozrywane. Na oddziale zapanowała niemal absolutna cisza, w której słychać było tylko słabiutki, urywane oddechy śpiących dzieci.

Podszedł do nich Andrew Tanner.

– Co dalej? – zapytał. – Teraz całe towarzystwo śpi, ale to przecież nie będzie trwało wiecznie.

– Spróbuję zaaplikować wszystkim propofol – powiedział doktor Latimer. – To środek, za pomocą którego wprowadzamy pacjentów w śpiączkę farmakologiczną. Zamierzam zbadać niektóre z tych dzieci. Łatwiej będzie to wykonać, jeżeli pozostaną uśpione. Później będziemy mogli usiąść i podyskutować o ich przyszłości, zarówno z perspektywy medycznej i prawnej, jak i moralnej.

– Ja już je zbadałem – oświadczył Andrew Tanner. – To nadzwyczajne, ponieważ troje albo czworo z nich ma kończyny przeszczepione od innych osób. Niektóre zupełnie do nich nie pasują, jak ramiona dorosłych ludzi połączone z dziecięcymi korpusami. Ale jeszcze dziwniejsze jest to, że te przeszczepy się przyjęły. Nawet nie chcę sobie wyobrażać, w jakich warunkach je wykonywano i w jakich okolicznościach amputowano kończyny dorosłym osobom.

– A jeśli chodzi o te dzieci jako takie? – zapytała Dżamila. – Uważa pan, że można je uratować?

– To zależy, co pani rozumie przez słowo „uratować”. Według mnie wszczepianie im rąk i nóg, nawet protez, będzie działaniem daremnym. Właściwie żadne z nich nie nadaje się do rekonstrukcji fizycznej. A przecież wiele z nich ma nieprawidłowo rozwinięty mózg. Każdy zabieg chirurgiczny oznaczałby poddanie dziecka skrajnemu i zbędnemu cierpieniu. Z mojego punktu widzenia jedynym wskazaniem medycznym jest opieka paliatywna do chwili naturalnej śmierci.

Wciąż rozmawiali, gdy na korytarzu pojawił się umundurowany policjant z belgijskim psem pasterskim malinois, o płowej sierści. Policjant wydał komendę:

„siad!” i pies natychmiast usiadł z wywieszonym jęzorem.

– Dziękuję, że pan tak szybko przyszedł – powiedziała Dżamila. – Mamy tutaj nadzwyczajną sytuację.

– Nazywam się Maitland – powiedział przewodnik. – Podobnie jak pies, miał ciemne obwódki dookoła oczu. – Widziałem na dole dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy i wciąż się zastanawiam, do czego jest wam potrzebny mój Blizzard.

– Za tymi drzwiami jest spora grupa dzieci, dokładnie dwadzieścioro dwoje. W tej chwili śpią, ale bywają bardzo agresywne. Jednak to nie one są najpoważniejszym problemem. Doktor Latimer próbuje podać im dodatkowe środki nasenne i dlatego spodziewamy się, że będą już raczej spokojne. Problem polega na tym, że mają swojego opiekuna... czy raczej zastępczego rodzica.

– Rozumiem, że ten rodzic jest sporym utrapieniem. Kobieta czy mężczyzna?

– Kobieta. Ale muszę pana ostrzec, że to nie jest zwyczajna kobieta. Potrafi omijać zabezpieczenia i posterunki, a my nie wiemy, jak to robi. Zawsze ma na sobie dziwny płaszcz z kapturem, wygląda zatem jak ktoś, kto przebrał się na Halloween. Ale to nie jest jakaś przebieranka. Ta kobieta jest skrajnie niebezpieczna i należy w jej obecności zachowywać najwyższą ostrożność.

Posterunkowy Maitland zmrużył oczy. Było jasne, że ma trudności ze zrozumieniem tego, co właśnie usłyszał.

– Kobieta w płaszczu z kapturem, która potrafi niezauważona minąć dwóch uzbrojonych policjantów?

– Owszem, na to wygląda. Z naszych dotychczasowych ustaleń wynika, że istnieje jeden sposób pozbycia się jej. Wciąż nie mamy co do tego stuprocentowej pewności, ale naszym zdaniem ta kobieta boi się psów.

– A więc będzie się bała także Blizzarda, możecie być o to spokojni. Jest najlepiej ułożonym psem spośród wszystkich, które miałem przyjemność szkolić. Trzeba tylko przez cały dzień zapewniać mu możliwość ruchu i często rzucać mu jego ulubioną piłeczkę. Z drugiej strony, jeśli otrzyma polecenie „zabij”, jego przeciwnik nie będzie miał żadnych szans. Jest jak rekin ze *Szczęk*, tyle że porusza się na czterech łapach.

Jerry uniósł rękę, chcąc pogłaskać Blizzarda po głowie, ale ten popatrzył na niego i gwałtownie warknął, podobnie jak niedawno zrobił to Stuffie.

– Lepiej niech pan tego nie próbuje – powiedział posterunkowy Maitland. – Zdziwiająco wiele osób popełnia ten błąd i próbuje głaskać psa po głowie. W takiej sytuacji pies myśli, że człowiek chce go uderzyć albo go skarcić. Blizzard mógłby odgryźć panu palce po same knykcie, a gdy znalazłyby się już w jego paszczy, nie wypłułyby ich.

– Dobry Blizzard, dobry – powiedział Jerry i uniósł otwartą dłoń. – Szacunek.

Dżamila i Jerry jeszcze przez chwilę rozmawiali z pracownikami szpitala i policjantami, którzy pełnili tam służbę. Doktor Latimer tymczasem zaczął wprowadzać dzieci w sypialkę farmakologiczną. Wbrew obawom, wydawało się, że propofol działa skutecznie, i żaden z małych pacjentów na razie nawet nie drgnął.

– Cholera jasna, jestem wykończony – przyznał Jerry, kiedy zjeżdżali windą do recepcji.

Dżamila wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze.

– Jeszcze do niedawna myślałam, jak cudownie będzie mieć dzieci – odezwała się.

– Teraz wcale nie jestem tego pewna.

– A gdybyś miała je ze mną? – spytał Jerry i natychmiast ugryzł się w język.

Dżamila nie zareagowała. Pierwsza wyszła z windy i nie odzywała się do niego przez całą drogę na komisariat.

Dziesięć po drugiej w nocy Louise obudziły gwałtowne ruchy w podbrzuszu. Miała wrażenie, że obracają się w niej ostrza kuchennego blendera.

Zapaliła lampkę i usiadła. Kiedy uniosła nocną koszulę, zobaczyła, że jej brzuch pulsuje. Zakrztusiła się, ale nie zwymiotowała. Od kiedy doktor Gupta pokazał jej zdjęcia dwóch płodów, które w niej rosły, nie zdołała niczego przełknąć.

Była przybita i zdesperowana, a nie miała z kim porozmawiać. Jej siostra Suzanne nie utrzymywała z nią kontaktów od pięciu lat. Matka zapewne z wielkim niesmakiem zareagowałaby na jej ciążę, nawet gdyby Louise przysięgła, że z nikim nie spała. Niektórzy wiekowi mieszkańcy Whittington byli mili i sympatyczni, traktowali ją jak własną wnuczkę, ale cierpieli na mniej lub bardziej zaawansowaną demencję. Poza tym zapewne nie zrozumieliby, o co jej chodzi, gdyby im powiedziała, że nosi w sobie dwa zniekształcone płody.

Już kilka razy zastanawiała się, czy nie powinna popełnić samobójstwa. Kiedy miała trzynaście lat, dzieci w szkole tak okrutnie z niej drwiły, że podcięła sobie żyły szkłem z próbówki, którą rozbiła w szkolnym laboratorium chemicznym. Kiedy opuścił ją Alan, kupiła sznur do bielizny, żeby się na nim powiesić. Za każdym razem siadała jednak na łóżku i dochodziła do wniosku, że następny dzień będzie lepszy na samobójstwo. Przecież do kolejnego dnia mogła stracić choć jeden kilogram. A pojutrze, jeśli jeszcze bardziej schudnie, być może wreszcie spotka upragnionego chłopaka. Będzie miał na imię Roger, będzie miał kruczoczarne włosy i zaraźliwy uśmiech.

Do tej pory nie zdołała schudnąć i nie spotkała żadnego Rogera, a teraz jej macicę opanowały dwa wstrętne płody. Opanowały nie tylko macicę, ale również układ nerwowy i całą jej osobowość. Jeżeli umrze, próbując się ich pozbyć, nie zrobi jej to różnicy. Miała klucze do szafki z lekarstwami dla mieszkańców domu spokojnej starości. Znajdowało się tam mnóstwo leków, które podawano pensjonariuszom. Doszła do wniosku, że jeśli połknie tego odpowiednio dużo, jej serce na pewno przestanie bić.

Jej macica eksplodowała kolejnym straszliwym skurczem i Louise poczuła wzdłuż kręgosłupa tarcie, tak jakby ktoś powoli przesuwiał po nim papierem ściernym. Pochyliła się, zacisnąwszy oczy, i nie zmieniła pozycji, dopóki ból nie minął. Wtedy pomyślała: Przecież ja dłużej tego wszystkiego nie zniosę. Chcę, żeby to się skończyło. Śmierć nie jest przecież niczym gorszym niż zaśnięcie. Różnica polega jedynie na tym, że po śmierci człowiek już nigdy się nie obudzi. A po co miałabym się obudzić, skoro są we mnie te wstrętne potwory?

Znowu otworzyła oczy i się wyprostowała. Nagle ogarnął ją wielki spokój. Przez całe życie robiła to, co nakazywali jej inni ludzie, próbowała być dla nich miła nawet wtedy, kiedy z niej drwili i ją krytykowali. A teraz chciały przejąć nad nią władzę dwa

ohydne, drapieżne płody – nie tylko nad jej ciałem, ale także nad duszą. Dość tego. Postanowiła, że od tej pory nikomu nie pozwoli decydować o swojej przyszłości.

Kiedy stanęła na nogach, znów wyczuła zapach dymu. Przecież chyba gospodarz nie rozpałił kolejnego ogniska? Nie teraz, nie w środku nocy. Okno w jej pokoju było zamknięte, więc jak dym mógł przedrzeć się do środka?

W tym zapachu wyczuwało się specyficzną, ostrą i kwaśną nutę. Nie wiedziała dlaczego, ale wyobraziła sobie, że właśnie to czują ludzie po śmierci, gdy leżą w dusznej ciemności trumny. Że zapach w trumnie jest ostry i kwaśny. Ale jak można cokolwiek czuć, kiedy w płucach nie ma już powietrza, człowiek nie oddycha, serce nie pompuje krwi, a mózg wycieka uszami?

– Louise – usłyszała niski, przytłumiony głos.

Rozejrzała się wstrząśnięta. Słowo „Louise” padło z jej ust, ale ona przecież nic nie mówiła. Głos wydobył się z jej gardła, ale czuła, że to ktoś obcy jakby zaciska dłoń na jej krtani i dusi ją, zmuszając w ten sposób do mówienia.

– Louise, popatrz na mnie.

Odwróciła się i wtedy dostrzegła przy drzwiach ciemną postać jakby utkaną z dymu o niejednorodnej gęstości. W niektórych miejscach był na tyle przejrzysty, że widziała za nim drzwi i przyklejoną do nich kartkę z harmonogramem dyżurów. A jednak wyraźnie widziała też spiczasty kaptur na głowie postaci i szerokie rękawy jej płaszcza. Wydawało jej się też, że widzi oczy, w których odbija się światło nocnej lampki.

– Czuję, że chcesz sobie zrobić krzywdę – powiedziała.

Chciała głośno krzyknąć do tej postaci, że przecież nie istnieje naprawdę, że ma sobie stąd pójść, że to tylko koszmarny sen. Jednak nie panowała nad własnymi ustami i językiem, a jej płuca nie wciągały powietrza. Zdawało się, że może mówić tylko to, czego sobie życzy ta dziwna istota.

– Musisz na siebie uważać, Louise, ponieważ nosisz w sobie moje pisklęta. Jeżeli zrobisz sobie krzywdę, im stanie się krzywda, a przecież ich życie jest święte. Twoje życie także jest święte. Zawsze o tym pamiętaj.

Louise zrobiła krok w kierunku postaci. Chciała pomachać rękami, żeby rozwiać dym, albo przynajmniej szarpnąć za kaptur i zobaczyć, z kim ma do czynienia. Jednak nogi odmawiały jej posłuszeństwa tak samo jak usta; mózg nie podpowiadał jej, co robić, żeby nimi ruszyć. Płody w jej brzuchu przylgnęły do kręgosłupa i to one teraz władały jej mową, ruchami, a nawet biciem serca.

– Uznałaś, że jesteś brzydka – powiedziała. – Okrutne słowa innych osób kazały ci uwierzyć, że twoje życie nie ma żadnej wartości. Ja powiem ci jednak, że każde życie ma ogromną wartość. Każde życie jest święte. Dzieci, które znajdują się w tobie, zostały usunięte z ciał innych kobiet i splukane w toalecie, ja jednak zdołałam je ocalić. Teraz ty nosisz je dla mnie, moje pisklęta, w łonie, które do mnie nie należy.

Louise znowu poczuła ostry ból, zrobiła krok do tyłu i w końcu ciężko usiadła na łóżku. Jej oczy zaszyły łzami i prawie już nie widziała zbliżającej się postaci w kapturze; czuła tylko nasilający się jej ostry zapach. Zapach palonego drewna i cytryn.

– Nie będziesz musiała długo nosić moich piskląt. Mam władzę, która pozwala zegarom ich ciał obracać się znacznie szybciej niż w przypadku innych dzieci. Odczuwasz ból właśnie dlatego, że moje pisklęta rozwijają się bardzo szybko. W ciągu tygodnia będą mogły się pojawić na świecie. Zostaniesz matką, Louise. Dumną matką trochę odmienionych, lecz świętych istot.

Louise była w stanie tylko siedzieć na łóżku. Kołysała się do tyłu i do przodu, żeby w ten sposób chociaż trochę złagodzić ból.

– Nie zrobisz sobie krzywdy – powiedziała, a jej głos był teraz znacznie ostrzejszy i bardziej zdecydowany niż przed chwilą. – Stanowczo ci tego zakazuję. Jeżeli spróbujesz się skrzywdzić, zaznasz cierpienia, przy którym ból, jaki czujesz w tej chwili, będzie tylko niewinną igraszką. Każdy nerw w twoim ciele zostanie rozerwany, a potem będziesz musiała zjeść własne oczy.

Po tych słowach zakapturzona figura zaczęła się kurczyć. Zawirowała w powietrzu i przecisnęła się pomiędzy progiem a drzwiami. Zniknęła, ale pozostał po niej wyraźny mdlący odór dymu zmieszanego z zapachem cytryn.

Louise położyła się na łóżku. Drżała jak w gorączce i nie mogła nad tym zapanować. Czuła, jak płody poruszają się w niej i rozdrapują nabłonek macicy. Jej desperacja w tej chwili nie miała kresu. Jaką wartość ma jej życie, skoro nie wolno jej nawet go zakończyć?

Następnego ranka po drodze do Peckham Jerry zatrzymał się na komisariacie w Tooting. Nadal prowadził trzy śledztwa o mniejszym znaczeniu i chciał sprawdzić, kiedy musi się zjawić u sędziego pokoju w Wimbledonie, aby złożyć zeznania w sprawie kradzieży samochodu.

Kiedy wszedł do holu, od razu zauważyła go posterunkowa Susan Lawrence.

– Detektywie Pardoe! – zawołała. – Detektyw Mallett koniecznie chce z panem rozmawiać!

– Dobra, kochana. Już do niego idę. Jak było na lodowisku?

– Kiepska zabawa. A właściwie katastrofa. Chyba sto razy się przewróciłam i teraz jestem cała posiniaczona.

– Następną wieczór powinnaś spędzić ze mną. Przynajmniej dobrze cię nakarmię i nie będziesz potem wyglądać jak ofiara przemocy domowej.

Poszedł na górę. Detektyw posterunkowy Mallett siedział przy biurku, czytał internetową wersję „The Sun” i sączył kawę ze Starbucksa.

– Co słyhać, Jeżozwierz? Uroczą posterunkowa Lawrence twierdzi, że chcesz się ze mną widzieć.

– Serwus, Jerry. Tak. Chodzi o ten twój tweet o starcu, który jakoby podpalił ci samochód. Skontaktowała się z nami kobieta, która twierdzi, że zna tego człowieka.

– Robisz sobie ze mnie jaja?

– Nie – odparł Mallett. Podniósł z biurka kartkę w kratkę. – Nazywa się Mary Stebbings i mieszka przy St Norbert Road w Brockley. Zapisałem numer jej telefonu. Twierdzi, że ten dziad nazywał się Malcolm Venables i kiedyś mieszkał naprzeciwko niej, po drugiej stronie ulicy.

– Co to znaczy, „nazywał się” Malcolm Venables? Zmienił nazwisko czy co?

– Nie. On nie żyje. Umarł mniej więcej rok temu.

– W takim razie to nie może chodzić o niego, prawda?

– Tak jej powiedziałem, ale ona się upiera, że to na pewno on. Oznajmiła, że jest tego pewna w stu dziesięciu procentach.

Jerry wziął kartkę do ręki i zagryzł wargi. To było niedorzeczne. Najwyraźniej zaszła jakaś pomyłka. EvoFit był bardzo skutecznym programem służącym do identyfikowania przestępców, mimo to prowadził do aresztowania jedynie sześciu na dziesięć poszukiwanych osób. Malcolm Venables musiał być jedną z tych czterech, które pomyłono z kimś innym.

– A jak ci idzie w tej sprawie z kanałami? – zapytał Mallett. – Nie widziałem nic na ten temat w wiadomościach.

– To dlatego, że nałożyliśmy embargo na wszelkie informacje. Ale mówię ci, Jeżozwierz, ta sprawa to cholerny koszmar. Te zdeformowane dzieciaki, o których ci mówiłem... znaleźliśmy ich ponad dwadzieścioro w starym dole kloacznym

w Blackheath i przewieźliśmy je do szpitala dziecięcego. Musiałbyś widzieć, w jakim były stanie. Niektóre nie miały ani rąk, ani nóg. Jedno miało tylko połowę mózgu i głowę płaską jak naleśnik. Wczoraj musiałem wziąć nytol, bo inaczej bym nie zasnął.

– To co chcesz zrobić z tą Stebbings? Dasz sobie spokój?

– Sam nie wiem. Niedługo pojedę do Peckham, więc może zahaczę na wszelki wypadek o Brockley. Nie chciałbym pluć sobie w brodę, że coś przegapiłem. Może ten Venables ma brata, który wygląda tak samo jak on? A może kuzyna?

– A co z naszymi technikami, którzy zginęli w kanale?

– Ich szczątki wciąż leżą w kostnicy. Patolodzy wciąż kompletują zwłoki, niektórych fragmentów ciał wciąż nie odnaleziono. Palców, stopy, nawet paru głów. Kanalarze wciąż przeszukują breję w kanale w nadziei, że na coś się natkną.

– To jest popieprzone, nie? Cieszę się, że to ty pracujesz nad tą sprawą, a nie ja. Ja nadal rozpracowuję ten gang handlarzy narkotyków ze Streatham i nawet to wystarczy, żeby zwariować. Ostatniej nocy znowu ktoś kogoś zadźgał w ramach porachunków, a jakiemuś dzieciakowi odcięto ucho maczetą.

Jerry podszedł do biurka, przejrzał wiadomości, które na niego czekały, po czym sprawdził zawartość skrzynki pocztowej w komputerze. Westchnął z ulgą, kiedy się okazało, że nie ma nic pilnego. Firma ubezpieczeniowa napisała, że jego spalony samochód nadaje się wyłącznie do kasacji, ale to nie było dla niego żadnym zaskoczeniem.

Pojechał do Brockley i znalazł mały dom przy St Norbert Road, w którym mieszkała Mary Stebbings. Kiedy zadzwonił, natychmiast otworzyła drzwi, jakby się go spodziewała. Była drobną kobietą w wieku około sześćdziesięciu lat, włosy miała upięte w kok na czubku głowy, przywodzący na myśl kłębek wełny, i nosiła zbyt obszerny brązowy kardigan. Gdyby na niebie świeciło słońce, soczewki swoich okularów mogłaby wykorzystać do rozpalenia ogniska.

– Mary Stebbings? Kłania się detektyw posterunkowy Pardoe. Oto moja legitymacja służbowa.

– Och – powiedziała. – Pan pewnie w sprawie Malcolma?

– Zgadza się. Jak słyszałem od mojego kolegi, widziała pani jego portret na Twitterze.

– Owszem, tak. Bez cienia wątpliwości. Wejdzie pan do środka?

Wprowadziła Jerry'ego do małego, zagraconego salonu. Na kominku stały porcelanowe figurki psów, a zagłówki i podłokietniki foteli obleczone były koronkowymi osłonami. Pachniało tu lawendą i wilgocią.

– Może wypije pan filiżankę herbaty? – zapytała.

– Nie, dziękuję, proszę sobie nie robić kłopotu. Mam jeszcze dzisiaj mnóstwo spraw. Rozumie pani, przekłęci nigdy nie zaznają spokoju.

– Za to Malcolm nie był przekłęty. Malcolm był bardzo uczynny. Zawsze wystawiał na ulicę moje pojemniki na śmieci. I zawsze się uśmiechał.

– Kiedy zmarł, Mary? Mogę mówić do pani po imieniu?

– W listopadzie ubiegłego roku. Dziewiętnastego listopada. Zapamiętałam,

ponieważ to się zdarzyło dzień przed moimi urodzinami. Widziałam go dzień wcześniej. Sprawiał wrażenie równie rześkiego i żwawego jak zwykle. Ale nagle dopadł go zator tętnicy płucnej. Jego córka Penny powiedziała, że zgasł jak świeczka. W jednej chwili jadł płatki kukurydziane, a w następnej był już martwy jak kamień. Okropna tragedia, prawda? Tragedia, która przypomina, że w życiu powinniśmy się cieszyć każdą chwilą, ponieważ następna może być ostatnią.

– Mary, to ja zamieściłem ten wizerunek na Twitterze. To portret starego człowieka, którego w ciągu ostatnich dni kilkakrotnie spotkałem na ulicach Peckham, w Tooting i na Denmark Hill. Ten człowiek z całą pewnością żył, dlatego nie mógł to być raczej twój Malcolm.

– A ja jestem pewna, że człowiek na obrazku to Malcolm. Długo i uważnie się mu przypatrywałam. Jestem pewna.

– Masz dobry wzrok?

– W rzeczy samej bardzo dobry. Wiem, że muszę nosić te okulary, ale zaledwie w ubiegłym tygodniu badałam oczy w SpecSavers i powiedzieli, że wzrok mam kryształowy.

– A może Malcolm miał brata? Albo kuzyna, kogoś bardzo do niego podobnego.

Mary Stebbings pokręciła głową.

– Wspominał mi o starszej siostrze, ale ona zmarła dawno temu. Chyba mówił, że pokonał ją rak. Jego żona też już od dawna nie żyje.

– W takim razie stary człowiek, którego spotykałem, musiał być kimś podobnym do Malcolma jak dwie krople wody, skoro to nie był on.

– Napisałam już na Twitterze, że nieustannie nosił brązowy tweedowy płaszcz. Zawsze miał go na sobie. Nigdy nie można go było zobaczyć w innym ubraniu, a już szczególnie zimą. Mówił, że to jest jego szczęśliwy płaszcz, bo kiedyś wyszedł w nim z pubu Brockley Barge i na moment się zatrzymał, żeby zapiąć guziki. Wtedy budowano naprzeciwko bardzo dużo nowych mieszkań i kiedy przeszedł przez jezdnię, z którejś ściany odpadło mnóstwo cegieł. Minęły go dosłownie o milimetry.

– Naprawdę zawsze go nosił?

– Zgadza się. Szczęśliwy płaszcz. Miał go na sobie także wtedy, kiedy kupił zdrapkę i wygrał siedemdziesiąt pięć funtów. Pochowano go w nim.

– Pochowano go w tym płaszczu? Gdzie?

– Na cmentarzu przy Deptford Park. Widziałam go w trumnie w tym płaszczu. Byłam na pogrzebie.

Jerry poczuł ten sam zimny dreszcz, który przeszył go w kanale ściekowym w Blackheath. Malcolm Venables nie żył. Był martwy od wielu miesięcy. Zatem to niemożliwe, że widział go w okolicach recepcji King's College Hospital, przed McDonaldem w Peckham, nieopodal Evelina Children's Hospital czy na Tooting Bec Common. Venables był martwy. Martwy na mur, jak mawiał świętej pamięci ojciec Jerry'ego.

– W porządku, Mary. Nie zabiorę ci już więcej czasu.

– Nie ma sprawy. I tak całymi dniami nie mam co robić, od kiedy Rodney wziął ślub i wyprowadził się ode mnie. Właśnie dlatego tak dużo czasu spędzam na

Twitterze. Ten Twitter to błogosławieństwo, jeśli ktoś mieszka zupełnie sam.

Jerry wiedział, że musi najpierw pojechać na cmentarz przy Deptford Park, nawet jeśli było to absolutnie niemożliwe, żeby starcem w brązowym tweedowym płaszczu, którego widział wraz z Dżamila, był Malcolm Venables.

Otoczony platanami cmentarz był ogrodzony stalowym płotem od wschodniej części Deptford Park. Jerry zaparkował samochód na ulicy i po chwili pchnął ciężką bramę, która przenikliwie zapiszczała w zawiasach. Tabliczka przy wejściu głosiła, że na cmentarzu początkowo chowano oficerów marynarki, którzy umarli na morzu i nie mieli w Anglii rodzin. Natychmiast ogarnął go cmentarny spokój, którego właściwie nie naruszały ani samochody, które jeździły po ulicach otaczających cmentarz, ani nisko przelatujące samoloty. Uderzył go fatalny stan całego cmentarza – był zaniedbany, wzdłuż płotu rosły chwasty, na ziemi leżały zwiędłe liście, niesprzątane od wielu lat, a nieliczne drzewa wymagały natychmiastowej pielęgnacji.

Zaczął chodzić alejkami oddzielającymi groby. Wiał lekki chłodny wiatr, więc suche liście pod jego stopami czasami zrywały się do lotu. Większość nagrobków wykonano z marmuru albo granitu i najczęściej wyryto na nich tylko nazwiska i daty urodzin i śmierci pochowanych osób. Zaledwie kilka udekorowano urnami albo otoczono balustradami, a nad pięcioma stały anioły ze złożonymi skrzydłami i głowami pochylonymi w wyrazie żalu. Część nagrobków się przewróciła, inne tak gęsto pozarastały mchem, że nie sposób było odczytać napisów.

Jerry natrafił na miejsce spoczynku Malcolma Venablesa daleko od bramy. Znajdowało się w rzędzie najnowszych grobów, chociaż i tak porośniętych już pokrzywami. Nagrobek wykonano z jasnoszarego lśniącego granitu, a napis na nim głosił: „Malcolm Arthur Venables, zmarł 19 listopada 2019 roku w wieku 81 lat, Mal zawsze dokładał wszelkich starań, by wspomagać przyjaciół i dodawać im otuchy swoim uśmiechem”.

Ten Malcolm Venables zupełnie nie przypominał starego człowieka w brązowym tweedowym płaszczu, którego spotykał Jerry. Starzec, owszem, uśmiechał się, ale był to raczej wyraz triumfu niż przyjaźni, i dokładał wszelkich starań, żeby odnaleźć Jerry’ego i Dżamila oraz wspomóc mordującą ludzi zakapturzoną istotę.

Jerry’ego zastanowiło jednak to, że pośrodku grobu Malcolma Venablesa znajdowało się wgłębienie sięgające niemal metra. Na innych grobach niczego takiego nie zauważył. Wyglądało to tak, jakby trumnę przysypano po pogrzebie zbyt małą ilością ziemi albo po prostu ziemia po pochówku dramatycznie się zapadła, ale nikt się tym nie przejął.

Wciąż stał nad grobem, kiedy z bocznej alejki wyszedł niski mężczyzna w średnim wieku, ubrany w oliwkową kurtkę. Skierował się prosto do Jerry’ego, jakby doskonale go znał. Miał zaczerwienione i ogorzałe policzki, jak człowiek, który mnóstwo czasu spędza na dworze. Miał też zeza, więc Jerry nie był w stanie się zorientować, czy mężczyzna patrzy na niego, czy też spogląda gdzieś w dal, ponad jego ramieniem.

– Przyszedł pan oddać hołd zmarłemu? – zapytał mężczyzna.

– Chyba można tak powiedzieć.

– A zatem to nie był pański przyjaciel?

– Nie.

Mężczyzna stanął przy grobie z rękami splecionymi na plecach i się rozejrzył.

– Muszę przyznać, że niewielu ludzi przychodzi tu oddawać hołd zmarłym. Zdarza się, że całymi dniami na całym cmentarzu nikt się nie pojawia.

– Pracuje pan tutaj?

– Wizyty na tym cmentarzu to część moich obowiązków jako nadzorcy. Nazywam się Colin Burroughs. Do usług, gdyby pan kiedykolwiek potrzebował doradztwa lub pomocy przy planowaniu parków albo cmentarzy. Administrator obiektów rekreacyjnych na wolnym powietrzu, tak brzmi mój oficjalny tytuł. Tak naprawdę jestem po prostu dozorcą parkowym.

– Ten cmentarz ma specyficzną atmosferę, prawda? Kawał historii, jak wskazują nagrobki. A przecież aż do dzisiejszego dnia nie miałem nawet pojęcia, że istnieje.

– Och, powstał już w czasach admirała Nelsona. Niestety ostatnio znacznie podupadł, co mówię z wielką przykrością. Miejscowy samorząd z roku na rok dysponuje coraz mniejszym budżetem i w tym tkwi problem. W dzisiejszych czasach ograniczone fundusze przeznaczają się raczej na tych, którzy jeszcze chodzą po powierzchni ziemi.

Jerry ruchem głowy wskazał dołek w grobie Malcolma Venable'a.

– A co stało się tutaj? Nastąpiło jakieś punktowe trzęsienie ziemi?

Colin Burroughs parsknął śmiechem, który zabrzmiał jak warkot Stuffiego.

– Nie, nie! Temu winne jest to cholerne Thames Tideway. Kopia ostatnio nowy kanał ściekowy, który częściowo przebiega dokładnie pod cmentarzem. Kiedy skończą, kanał połączy przepompownię w Greenwich z superkanałem pod Tamizą. Na cmentarzu pojawiło się już kilka takich lejów, jeden z nich akurat na tym grobie. Zaczniemy je likwidować, kiedy zakończą się prace przy budowie kanału, na razie nie warto nawet podejmować żadnych napraw.

Wskazał na drzewa górujące nad północno-zachodnią stroną cmentarza. Odgródzone były od reszty terenu plastikowymi pomarańczowymi płótkami oznaczonymi plakietkami, które wyglądały jak tablice ostrzegawcze. Znajdowały się zbyt daleko, żeby Jerry mógł dostrzec, co na nich napisano.

– Ten dół to nic w porównaniu z tym, co mamy pod tamtymi drzewami – ciągnął Burroughs. – Tam pojawił się lej o głębokości dziesięciu metrów. Gdyby znajdowała się tam jakaś trumna, z całą pewnością wpadłaby do kanału. To na pewno byłby szok dla robotników, co?

– Ale ich tam nie było? To znaczy trumien?

– Nie. Od otwarcia cmentarza nikogo tam nie pochowano i myślę, że już nigdy nie powstanie tam żaden grób. Opowiadają, że tamto miejsce jest przeklęte. Podobno pod drzewami rozrzucono prochy czarownicy, którą spalono na stosie.

– Czarownicy? Kiedy?

– Nie wiem. Na pewno ponad sto pięćdziesiąt lat temu, bo tyle lat wstecz do tego czasu sięgają kroniki cmentarza. Ale to jest tylko wymysł niemający pokrycia w faktach. Niemniej jednak tamten fragment nazywany jest powszechnie Zagonem

Czarownicy. Mówi się, że jeśli ktoś zostanie tam pochowany, jego dusza nie zdoła wydostać się z trumny i powędrować do nieba.

– Nigdy tej historii nie słyszałem.

– Ha! Wcale się nie dziwię! Nie rozpowiadamy jej na prawo i lewo!

Colin Burroughs wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i poczęstował Jerry'go. Gdy policjant odmówił, jedynie wzruszył ramionami, sam zapalił i zaczął wypuszczać kłęby dymu w szare powietrze wilgotnego popołudnia. Jerry czekał, aż przekaże mu więcej informacji o tym cmentarzu, ale mężczyzna milczał i tylko palił papierosa, jednym okiem spoglądając na północ, a drugim na północny wschód. Być może nic interesującego nie miał już do powiedzenia.

– Mogę zrobić kilka zdjęć? – zapytał Jerry.

– Proszę się czuć jak u siebie w domu, szanowny panie. Jak u siebie w domu.

Jerry wyciągnął telefon i nakręcił krótki film uwieczniający nagrobek Malcolma Venablesa, starając się, by lej w ziemi był dobrze widoczny. Następnie poszedł zrobić zdjęcia Zagonu Czarownicy. Na dnie głębokiego dołu dostrzegł kępy trawy i sterty ziemi, zatem nic nie wskazywało na to, że wszystko zapadło się do drażonego tunelu.

Kiedy skończył, Colin Burroughs skinął na niego.

– Powiem panu coś – oznajmił i wypuścił dym tytoniowy nozdrzami. – Ani trochę nie wierzę w tę opowieść o czarownicy. To taka przypowieśćka starych bab. Ale na pewno nie zobaczy mnie pan na tym cmentarzu w środku nocy. No i nie w czasie burzy.

– Naprawdę? – zapytał Jerry z uśmiechem. – A czego się pan boi?

– A czego boimy się my wszyscy? – zapytał Colin Burroughs i postukał się palcem w czoło. – Przeróżających postaci, które tu leżą pod ziemią. Ludzkich mózgow. Ten cmentarz to prawdziwy gabinet strachu, jeśli chce pan koniecznie wiedzieć.

Na komisariacie Dżamila w milczeniu wysłuchiwała jego relacji z wizyty u Mary Stebbings i na cmentarzu przy Deptford Park.

Następnie usiadła i zapytała:

– Co o tym myślisz? To może być przypadek, że William Trench pochował czarownicę akurat niedaleko Deptford Park i że ludzie opowiadali o rozrzuceniu prochów czarownicy na cmentarzu. Kolejnym przypadkiem może być fakt, że w tym miejscu jest też grób Malcolma Venablesa.

– Nie wierzę w dwa przypadki naraz – powiedział Jerry. – Jednak według mnie sprawę przesądza ten brązowy tweedowy płaszcz, ponieważ zwiększa liczbę przypadków do trzech.

– Rozumiem to, Jerry, ale Malcolm Venables nie żyje, więc jaki może mieć z tym wszystkim związek?

– Pani sierżant, a jakim sposobem powaliła mnie kobieta składająca się wyłącznie z dymu? Jak to się stało, że dzieci bez rąk, nóg i żołądków przeżyły w dole kloacznym więcej niż pięć minut? Jak to się stało, że nasi technicy zostali posiekani na kawałki i wypchnięci na ulicę w fontannie gówna? Jezu, jeden stary emeryt, który spaceruje po Peckham, mimo że już od listopada nie żyje, praktycznie nie jest w tym zestawieniu

żadnym nadzwyczajnym zjawiskiem.

– Cóż, chyba masz rację. Ale sama już nie wiem. Im więcej poznajemy szczegółów, tym dziwniejsze robi się całe to śledztwo. To wszystko brzmi jak jedna z tych straszliwych historii o demonach, które opowiadała mi babcia.

– Chodzi nie tylko o płaszcz. Są jeszcze te leje. William Trench napisał w pamiętniku, że razem z towarzyszami zakopał trumnę z czarownicą trzy razy głębiej, niż kopie się zazwyczaj groby, i narzucił na nią mnóstwo betonu i innych ciężkich materiałów. Zrobili to tak dokładnie, że wykopanie trumny powinno być praktycznie niemożliwe, ale to znaczy zarazem, że trumna powinna się znaleźć tuż nad tunelem, który drążą pod ziemią inżynierowie Thames Tideway. Możemy przecież założyć, że strop się zapadł i trumna z czarownicą runęła do tunelu?

– Przecież ona i tak wciąż byłaby zamknięta w środku trumny zabezpieczonej siedemdziesięcioma dwiema kłódkami. Jak mogłaby się z niej wydostać?

– Pamiętaj, co powiedział Alan Pattinson? Nikt nie może przekrócić kluczy w kłódkach poza księżmi albo takimi ludźmi, których serce przestało bić, a którzy potem powstali. I poza dziećmi czarownicy, naturalnymi lub adoptowanymi. Jeżeli któreś z tych dzieci trafiło do kanału ściekowego, mogło przecież otworzyć wszystkie kłódki, które zamykały trumnę, i ją uwolnić.

– Naprawdę uważasz, że te dzieci mogły mieszkać w kanałach ściekowych, zanim czarownica wydostała się z trumny?

– To tylko przypuszczenia, pani sierżant. Ale oboje widzieliśmy już, jaką siłą dysponuje ta kobieta. Może utrzymywała je przy życiu nawet wtedy, gdy leżała zamknięta w trumnie? Kto to wie?

Dżamila wstała i podeszła do okna.

– Trzeba z tym skończyć. Musimy zrobić to, co zrobił William Trench. Musimy ją znaleźć i zamknąć na dobre. Albo najlepiej całkowicie zniszczyć, żeby już nigdy nie powróciła w żadnej postaci, w żadnej formie. Ale jak ją znaleźć, no i zniszczyć? Jak można zniszczyć dym?

– Czy nie mówiłaś, że twoja babcia wiedziała wszystko o duchach? Jak je nazywała?

– Ćurele. One także powstawały z dymu. Ale ćurele to duchy z Pakistanu. Poza tym moja babcia zmarła wiele lat temu.

– A może masz w rodzinie kogoś, kto mógłby przeprowadzić dla nas egzorcyzmy?

– Zapewne. Ale nie mogę nikogo poprosić, żeby ryzykował życie, a głęboko wierzę, że życie osoby, która chciałaby złapać tę czarownicę, byłoby zagrożone. Kimkolwiek ona jest i skądkolwiek czerpie swoją moc, jest groźniejsza od wszystkich morderców, których dotąd ścigałam. – Dżamila umilkła na chwilę, a potem podjęła: –

Widzisz, Jerry, ty i ja także jesteśmy w poważnym niebezpieczeństwie. Mam wrażenie, że ona doskonale wie, gdzie nas szukać. Przecież o mało nie zginęliśmy w pożarze twojego samochodu, a ona w każdej chwili może podjąć ponowną próbę zgładzenia nas. Możemy spłonąć nawet w tym pokoju, nie dokończywszy rozmowy. Albo umrzeć dzisiaj w nocy, we śnie, we własnych łóżkach.

– Miła perspektywa. Teraz do tego wszystkiego będę się jeszcze bał zasnąć. Ale

jeżeli zamierzamy ją złapać i ukrócić jej działalność, to chyba musimy zrobić to, co zrobił, jak sam stwierdził, William Trench, nie sądzisz? Po pierwsze, potrzebujemy psa. Z tym nie będzie problemu, zawsze możemy użyć Stuffiego, psa mojej byłej żony. Myślę, że bez problemu nam go pożyczy. Po drugie, potrzebujemy księdza, który potrafi odprawiać egzorcyzmy. Coś ostatnio na ten temat czytałem. Według wszelkich znaków na niebie i na ziemi Watykan wciąż utrzymuje w każdej diecezji katolickiej kapłana, który potrafi wypędzać z ludzi złe duchy.

– Nawet jeśli znajdziemy takiego księdza, będziemy jeszcze musieli go namówić, żeby nam pomógł.

– Dżamila, przecież jeśli zechcesz, potrafisz każdego przekonać do wszystkiego. Mam nadzieję, że zatrzepoczesz rękami przed nadinspektorem Waltersem i załatwisz dla nas mnóstwo nadgodzin za tę sprawę.

– Jerry – jęknęła Dżamila.

– Jasne, przepraszam. Nie sądzę jednak, żebyśmy mieli problemy z pozyskaniem księdza. Nie potrzebujemy gałązek cisu ani tranu, ponieważ czarownica już została skremowana. Poza tym skąd wziąć tyle tranu? No i po trzecie, potrzebujemy także trumny, którą będzie można zamknąć na siedemdziesiąt dwie kłódki. Przy odrobinie szczęścia znajdziemy ją gdzieś w tunelu pod Greenwich.

– Naprawdę tak uważasz?

– Musimy przynajmniej spróbować. Zadzwońię do Gemmy Bright i wypytam ją, co o tym sądzi. Ona doskonale się zna na odnajdywaniu różnych rzeczy w kanalizacji.

– A co z Venablesem?

– Może się okazać, że jego trumna także wpadła do tunelu i właśnie dlatego na jego grobie ziemia się zapadła. Jeżeli nie, musimy uzyskać zgodę sądu na ekshumację, chociażby dla upewnienia się, że dziad wciąż leży w trumnie. Wiem, co teraz powiesz: „A jeżeli go tam nie znajdziemy?”

– Wtedy po raz pierwszy w życiu będę musiała wystąpić o nakaz aresztowania dla człowieka, który już jest martwy.

Do pokoju wszedł nadinspektor Walters, który bardziej niż zwykle przypominał drapieżnego ptaka. Zaciął się przy goleniu i przykleił do policzka różowy plaster, ale opatrunek się poluźnił i dziwnie powiewał, kiedy nadinspektor mówił.

– Mamy drobny problem – oznajmił.

– Drobny? – zdziwił się Jerry. – Oględnie powiedziane.

– Problem, o którym mówię, Pardoe, polega na tym, że media dobrały się do tej sprawy. Ktoś z St George’s Hospital poinformował dziennikarzy, że nasi technicy, którzy odnieśli śmiertelne obrażenia w kanale w Peckham, nie zginęli w wyniku wypadku. Patolog stwierdził, że nie zostali rozerwani z powodu wysokiego ciśnienia wody ani wybuchu gazu. Zostali celowo i z rozmysłem pocięci piłą.

– Nawet nas jeszcze o tym nie poinformowano – zauważyła Dżamila.

– Już na ten temat rozmawiałem z patologiem. Bardzo mnie przepraszał za przeciek i dodał, że jeszcze dzisiaj po południu wyśle do nas szczegółowy raport z badań. Nie wie, kto ujawnił informacje dziennikarzom, ale ma pewne podejrzenia i zajmie się tym. Powiedział, że kiedy znajdzie winnego, polecą głowy.

– To chyba niestosowne stwierdzenie w tych okolicznościach – orzekł Jerry.

– To jeszcze nie wszystko – ciągnął nadinspektor. – Ktoś ze szpitala dziecięcego puścił farbę na temat tych uratowanych dzieci. Dziennikarze nie znają jeszcze szczegółów, wiedzą jednak, że przetrzymujemy w izolacji sporą liczbę chorych dzieci i że wprowadziliśmy je w stan śpiączki farmakologicznej. Reporter z „The Daily Telegraph” zapytał mnie, dlaczego uzbrojeni funkcjonariusze nie pozwalają wejść ludziom na szóste piętro i dlaczego oddziału strzeże pies policyjny.

– I co pan powiedział dziennikarzom? – zapytała Dżamila.

– Co do naszych techników, poinformowałem ich, że wciąż czekamy na raport z autopsji i do tego czasu nie mogę niczego komentować. Jeśli chodzi o dzieci, stwierdziłem, że cierpią na poważne choroby, których eksperci jeszcze dokładnie nie zidentyfikowali, a trzymamy je w izolacji po to, żeby zapobiec ewentualnemu rozprzestrzenieniu się tych chorób.

– Jak zareagowali?

– Muszę przyznać, że byli cholernie dociekliwi. Pytali, jak poważne są choroby tych dzieci, gdzie się ich nabawiły, czy podejrzewamy ebolę albo coś podobnego, ale niczego więcej ze mnie nie wyciągnęli. Przecież nie możemy dopuścić do powszechnej paniki.

– Możliwe, że wkrótce będzie miał pan im jednak coś więcej do powiedzenia. Detektyw Pardoe zdobył nowe informacje, które prawdopodobnie posuną śledztwo mocno do przodu.

– Nie gwarantuję tego – powiedział Jerry. – Ale kto wie?

Opowiedział Waltersowi o cmentarzu i Zagonie Czarownicy. Szef słuchał go

w milczeniu, jak człowiek, który nie chce uwierzyć w to, co do niego dociera, ale wie, że nie ma innego wyjścia.

– Planujemy zejść do tego tunelu i poszukać trumny – wyjaśniła Dżamila. – Jeżeli ją znajdziemy, będziemy przynajmniej mogli podjąć próbę powstrzymania naszej sprawczyni, a może nawet, miejmy nadzieję, unieszkodliwienia jej raz na zawsze.

Nadinspektor Walters patrzył na nią przez długą chwilę.

– „Sprawczyni” – powtórzył w końcu. – Po raz pierwszy słyszę, że ktoś nazywa kłęb dymu „sprawczynią”. Każdego cholernego dnia jestem coraz bardziej szczęśliwy, że to wy prowadzicie to śledztwo, a nie ja.

Dżamila zadzwoniła do Gemmy z Crane’s Drains. Ta zgodziła się nawiązać kontakt z przedsiębiorstwem inżynieryjnym, które budowało tunel przelewowy pomiędzy Greenwich a Chambers Wharf.

– Jestem pewna, że pozwolą nam zejść na dół i się rozejrzeć – powiedziała. – To całkiem możliwe, że trumna wpadła do wykopu. Oni robią ten tunel za pomocą maszyny drążącej, którą nazywają Annie, prawie tak szerokiej jak dwa autobusy londyńskie. Tunelownica porusza się do przodu mniej więcej cztery metry na godzinę, a budownicy podążają za nią i zabezpieczają wykop prefabrykowanymi panelami z betonu. Trumna mogła spaść za tarczą, zanim przystąpili do pracy. Coś podobnego się wydarzyło, kiedy kopano tunel pod kanałem La Manche i do środka zaczęła się wdzierać woda.

– W każdym razie musimy to sprawdzić – postanowiła Dżamila. – Będę bardzo wdzięczna, jeśli zgromadzi pani ekipę jeszcze dzisiaj po południu.

– Nie ma problemu. Prace trwają przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, głównego inżyniera znam osobiście. Na pewno nie będzie nam utrudniał dostępu.

Dżamila zakończyła połączenie, ale komórka niemal natychmiast zawibrowała. To posterunkowa Dyer dzwoniła ze szpitala dziecięcego.

– Wszystko w porządku? – zapytała Dżamila.

– Pani sierżant, musi pani tu natychmiast przyjechać. Dzieje się coś bardzo dziwnego.

– Co to znaczy „bardzo dziwnego”? Czy dzieci wciąż są w śpiączce?

– Tak. Ale my tutaj coś widzimy. Nie chcę powiedzieć, że to są duchy.

– Wszyscy widzicie to samo czy tylko pani to widzi?

– My wszyscy. Lekarze i pielęgniarki także.

– Rozumiem. Zaraz przyjadę.

Jerry czytał właśnie wiadomości na WhatsAppie, ale podniósł wzrok.

– Tylko mi nie mów, że znowu dzieje się coś cholernie przerażającego.

– Posterunkowa Dyer twierdzi, że w szpitalu pojawiły się duchy.

Jerry westchnął z rezygnacją.

– Czy to się nigdy nie skończy? Mamy ścigać tę zakichaną czarownicę aż do emerytury?

Włożył płaszcz przeciwdeszczowy i oboje zbiegli po schodach na parking. Uruchamiając silnik datsuna, Jerry powiedział:

– Jedna sprawa, pani sierżant. Jeżeli zobaczysz tego starca... albo nawet kogoś, kto będzie tylko do niego podobny... krzycz. Nie mam ochoty trafić po raz drugi na grilla.

Z wielką szybkością dojechał do szpitala, błyskając niebieskimi światłami i od czasu do czasu torując sobie na syrenie drogę między samochodami. Kiedy dotarli na miejsce, stwierdzili, że dwaj uzbrojeni policjanci, którzy w holu recepcyjnym pilnowali wejścia do wind, są zdezorientowani i zdenerwowani.

– Pani sierżant, nie wiem dokładnie, co się dzieje na górze, ostrzeżono nas jednak, żebyśmy uważali na intruzów.

– Tak, zgadza się – powiedziała Dżamila. – Zwróćcie uwagę zwłaszcza na starego człowieka w brązowym płaszczu, jeżeli się tutaj pojawi. Wydaje się niegroźny, ale pozory mylą. Poza tym nie pozwalajcie nikomu wjeżdżać na górę, możecie wpuszczać wyłącznie członków personelu posiadających identyfikatory. Powtarzam, nikomu. Wszystkie odwiedziny są wstrzymane aż do odwołania.

– Jasne, zrozumiałem.

W windzie Jerry i Dżamila milczeli, nawet nie patrzyli na siebie nawzajem. Na szóstym piętrze, tak jak poprzednio, natrafili na pediatrów, pielęgniarki i policjantów słoczonych na korytarzu. Wszyscy byli równie skonsternowani jak dwaj uzbrojeni policjanci w recepcji. Na miejscu był posterunkowy Maitland z Blizzardem. Nawet pies wydawał się zdenerwowany. Niecierpliwie drapał pazurami podłogę i co chwilę się podnosił, mimo że otrzymał wyraźny rozkaz, żeby siedzieć.

Dżamila i Jerry podeszli do posterunkowej Dyer, która stała przy drzwiach prowadzących na oddział wyciszenia, bezustannie zaglądając do środka przez okienko. Miała zaniepokojoną minę, którą Jerry widywał już wcześniej u młodych policjantów, który po raz pierwszy zetknęli się z dziwnymi i przerażającymi sytuacjami nieomawianymi podczas nauki w szkole policyjnej w Hendon.

– Popatrzcie – powiedziała. – Jeżeli to nie są duchy, to co to jest?

Dżamila i Jerry zajrzeli do środka. Dzieci wciąż leżały na łóżkach. Wszystkie spały, przykryte jasnoniebieskimi pledami szpitalnymi. Na każdym łóżku jednak siedziała jeszcze postać o rozmiarach dorosłej osoby, choć fizycznie zdeformowana dokładnie w taki sam sposób jak dzieci – po prostu dorosła wersja każdego ze śpiących. Postaci te miały nieostre, lecz w miarę wyraźne kształty. Mimo że były przejrzyste, można było dostrzec ich twarze i przeróżne deformacje.

Niektóre z nich obracały głowami i poruszały się tak, jakby pływały. Przynajmniej trzy z nich otwierały i zamykały usta, lecz Jerry nie słyszał, by coś mówiły.

– To one, prawda? – wyszeptwała Dżamila z trwogą. – To są te dzieci, tylko już dorosłe.

Doktor Latimer przystanął za jej plecami.

– Kiedy tylko się tutaj pojawiły, nakazałem całemu personelowi opuścić oddział. Nie mam pojęcia, czy są niebezpieczne czy nie. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Ale po ostatnim wybuchu agresji tych dzieci nie chciałem podejmować żadnego zbędnego ryzyka.

Dżamila przygryzła wargi. Przez chwilę się zastanawiała, po czym powiedziała:

– Wejdźmy do środka. Chcę zobaczyć, jak te nowe zjawy na nas zareagują. Jeżeli w ogóle zareagują. To przecież mogą być po prostu hologramy, którymi ktoś zdalnie steruje. Jeśli tak jest, moglibyśmy dotrzeć do osoby, która je wysłała.

Lekarz nie był przekonany.

– A skąd ktoś z zewnątrz wiedziałby, z jakimi deformacjami mamy do czynienia? Przecież ze względów bezpieczeństwa obowiązuje blokada informacji.

– Nic w tym śledztwie nie jest zgodne z logiką, panie doktorze – powiedziała Dżamila. – Już się o tym wielokrotnie przekonaliśmy.

Jerry pchnął drzwi i wszyscy troje weszli do środka. Panował tam chłód. Jerry odniósł wrażenie, że wszedł do chłodni na zapleczu sklepu mięsnego, w którym pracował w niedziele, kiedy był młody. Okna były oszronione, mimo że przebijały przez nie promienie słońca, a każdy oddech zamieniał się w kłęby pary.

Dżamila i Jerry ostrożnie podeszli do pierwszego łóżka. Doktor Latimer szedł o krok za nimi. Dostrzegli spłaszczoną głowę chłopca, który leżał pod kocem, a widmowa postać siedząca na łóżku też miała spłaszczoną głowę. Jej oczy były matowe, a usta wygięte w podkówkę. Co chwilę zaciskała i rozluźniała szczęki, jakby coś przeżuwała.

Jerry podeszedł do niej jeszcze bliżej. Postać powoli odwróciła głowę i popatrzyła na niego, nie przestając poruszać szczękami.

– Kim jesteś? – zapytał Jerry, chociaż wiedział, że nie zdoła nawiązać rozmowy, jeśli ma do czynienia z hologramem.

Postać nadal na niego patrzyła i poruszała szczękami, lecz potem nagle uniosła w górę ręce i przeraźliwie wrzasnęła. Jej krzyk zabrzmiał jak odgłos noża przejeżdżającego po szynie kolejowej. Jerry się cofnął, lecz postać wciąż wrzeszczała i nagle zaczęły wrzeszczeć także wszystkie inne postaci zgromadzone w sali. Dźwięki były tak przenikliwe, że Jerry nie był w stanie nawet myśleć.

Dżamila i doktor Latimer przycisnęli dłonie do ust. Dżamila krzyknęła:

– Chodźmy stąd, zanim ogłuchniemy!

Cała trójka pośpiesznie wycofała się na korytarz. Kiedy drzwi zatrzasnęły się za nimi, wrzaski zaczęły słabnąć i przechodzić w piski, a potem ucichły. Podbiegli do nich posterunkowa Dyer, Andrew Tanner i pielęgniarka oddziałowa.

– Mój Boże, Ted! – zawołał Tanner. – Co to są za stwory?

– A co ja ci mogę powiedzieć? – Doktor Latimer był wyraźnie wstrząśnięty. –

Początkowo myślałem, że to jest jakaś iluzja optyczna, ale jaka iluzja potrafi tak wrzeszczeć?

Jerry zerknął z powrotem do sali. Widmowe postaci wciąż siedziały na łóżkach, chociaż teraz kiwały głowami, jakby medytowały, modliły się albo zasypiały.

– Co o tym myślisz, pani sierżant?

– Myślę, że musimy czekać. Może same rozplyną się w powietrzu? Jeżeli pozostaną tu zbyt długo, wezwę oddział z dronami, żeby zakłócił transmisję. Oczywiście jeżeli rzeczywiście ktoś transmituje ich obraz.

– Tymczasem sądzę, że moje pielęgniarki mogą sobie zrobić przerwę – oznajmiła siostra oddziałowa. – Miały stanowczo dość stresu jak na jeden dzień. Niech pani mi

wierzy, musimy się tu zmagać z przypadkami rozzdzierającymi serce, ale nigdy nie mieliśmy do czynienia z czymś takim.

Wciąż rozmawiali, gdy nagle zaszczekał Blizzard. Po chwili zawył i zaczął drapać pazurami podłogę.

– Siad, Blizzard! Siad, powiedziałem! – zawołał jego przewodnik.

Jerry odwrócił się i zadrzał. Na korytarzu, niecałe dziesięć metrów od niego, stał siwowłosy starzec w brązowym tweedowym płaszczu. Mężczyzna uniósł rękę, uśmiechnął się, po czym zawołał:

– Ach, tutaj jesteś! Spodziewałem się ciebie gdzieś w okolicy!

Jego głos był dziwnie przytłumiony, jakby na ustach miał maseczkę albo inną osłonę.

– Wreszcie cię mam! – rzucił groźnie Jerry i ruszył w jego kierunku. – Jesteś arestowany, słoneczko, rozumiesz?

Zrobił zaledwie trzy lub cztery kroki, gdy tuż za starym człowiekiem wyrosła ciemna chmura dymu, która natychmiast zaczęła wypełniać korytarz. Blizzard zaszczekał jeszcze bardziej histerycznie i dwukrotnie podskoczył w miejscu. Jerry zwolnił i przystanął.

Dym przez dłuższą chwilę wirował i wreszcie przybrał postać zakapturzonej kobiety o ramionach rozłożonych tak szeroko, że dłońmi dotykała dwóch przeciwległych ścian korytarza. Czubek jej kaptura niemal sięgał sufitu.

– Cholera jasna, co to takiego? – zdziwił się posterunkowy Maitland. Z wielkim wysiłkiem przytrzymał Blizzarda, który zaparł się tylnymi łapami, gotów do skoku, chociaż ślizgał się trochę na podłodze. – I skąd się tutaj wziął ten dziad? Przecież nie mieli nikogo wpuszczać na to piętro, prawda?

Zanim Dżamila zdążyła mu odpowiedzieć, odezwała się posterunkowa Dyer – brzydkim, chrapliwym głosem czarownicy. Jerry popatrzył na nią i zorientował się, że kobieta jest w szoku, zdumiona tym, że z jej ust dobiegają jakieś słowa. Jeszcze większe zdziwienie ją ogarniało, kiedy się wsłuchiwała w treść.

– Przyszłam, żeby zabrać moje pisklęta do domu.

– Nie ma mowy – odparła Dżamila, ale Jerry zauważył, że jest bardzo zdenerwowana.

– Nie próbuj mi się przeciwstawiać! Pokazałam już wam, jak będą wyglądać i kim się staną, kiedy dorosną! Teraz musicie je zostawić w spokoju i pozwolić im, aby wiodły własne święte życie, a nie takie, jakie chcecie im narzucić.

Dżamila zrobiła krok do przodu. Ręce opuściła wzdłuż ciała, a pięści miała zaciśnięte.

– Nie zabierzesz ich. Dość już zniszczyłaś ludzkich istnień. Będziemy się nimi opiekować, dopóki będą żyły, co pewnie nie potrwa długo. Nie pozwolimy jednak, żeby wróciły do kanałów ściekowych.

– Kanały są ich domem. To tłuszcz z kanałów był ich pożywieniem, zanim mnie uwolniły. Nazywacie to odpadami, ale dla moich piskląt taki tłuszcz jest pokarmem. Teraz się odsuń, a ja je zabiorę tam, gdzie jest ich miejsce.

– W jaki sposób chcesz to zrobić? – zapytał drwiąco Jerry. – Przecież ich jest tutaj

dwadzieścioro dwoje.

– Należą do mnie! To są moje pisklęta! Beze mnie nie mają szansy, żeby żyć!

– Musicie pozwolić jej zabrać te dzieci! – krzyknął starzec w brązowym tweedowym płaszczu. Jego głos nadal był przytłumiony, mimo to wszyscy go rozumieli. – One nie należą do was! Nie macie do nich prawa!

Zakapturzona postać zaczęła wirować, objawiając swoje oburzenie, ale wciąż tkwiła w tym samym miejscu. Jerry położył dłoń na ramieniu posterunkowego Maitlanda i powiedział:

– Naprzód. Pokaż, co potrafi Blizzard.

Maitland przyklęknął, odpiął smycz i Blizzard śmignął do przodu jak pocisk z pistoletu. Najpierw zaatakował starca. Skoczył na niego i przewrócił go na podłogę. Postać w kapturze nie uczyniła nic, żeby go obronić, za to jakby się skurczyła, a dym zgęstniał. Teraz dopiero Jerry zyskał już pewność, że czarownica rzeczywiście boi się psów, zwłaszcza tak zjadłych jak Stuffie i Blizzard.

Stary człowiek zaczął machać rękami, żeby odepchnąć psa, ten jednak warczał i szarpał zębami rękaw płaszcza, gwałtownie potrząsając łbem. Materiał płaszcza był tak słaby, że Blizzard w mgnieniu oka rozerwał go na strzępy, a ujrawszy obnażone przedramię, wyrwał je ze stawu.

Ta akcja tak podekscytowała psa, że dosłownie oszalał. Warknął i rozerwał gardło starego człowieka, rozrzucając na boki pasma suchych mięśni i ścięgna. Nigdzie nie było jednak widać krwi. Jerry zorientował się, że starzec jest zupełnie zasuszony, wręcz zmumifikowany. Blizzard z chrzęstem przegryzł mu wąty kark. Po chwili głowa mężczyzny z głuchym dźwiękiem upadła na podłogę i potoczyła się aż pod kaloryfer.

Teraz pies skierował uwagę na zakapturzoną czarownicę. Jego ogon sterczał, a łapy mu drżały, jakby był podniecony seksualnie. Czarownica powoli się cofała, machając rękami z dymu, jakby w ten sposób mogła powstrzymać Blizzarda przed atakiem.

– Pożalujecie tego – powiedziała postać za pośrednictwem posterunkowej Dyer, która zrobiła dwa kroki do przodu i stanęła tak blisko Dżamili i Jerry'ego, że niemal ich dotykała. – Zostaniecie za to ukarani, przysięgam na grzech pierworodny. Myślicie, że możecie mi odebrać pisklęta? Nikt nie może ich ode mnie zabrać. Jeżeli ja nie mogę ich mieć, nikt ich nie będzie miał. Nikt!

Czarownica zamachała gwałtowniej szerokimi rękawami, wywołując świst przywodzący na myśl odgłosy huraganu. Nawet Blizzard cofnął się o trzy kroki. Posterunkowa Dyer krzyknęła chyba: „Amulet!” i nagle na oddziale wyciszenia rozległ się głuchy grzmot, tak głośny, że Jerry'emu niemal popękały bębunki w uszach. Drzwi wypadły z zawiasów i upadły na osoby zgromadzone na korytarzu. Kilka osób podmuch rzucił na ścianę, inne po prostu się przewróciły.

Ze szpitalnej sali wytoczyła się straszliwie gorąca, ogromna kula zielonego ognia. Płomienie wypełniły cały korytarz, dotykając wszystkich zgromadzonych na nim ludzi i niczym wygłodniały smok zasysając cały tlen. Jerry pociągnął Dżamilę za ramię i potykając się, pobiegli w kierunku windy. Gdy jednak byli w połowie drogi,

plómiemie cofnęły się do sali i tam nadal szalały jakby ze zdwojoną energią.

Jerry się obejrzał. Blizzard na chwilę przestał ścigać czarownicę, zaskoczony plómieniami, ale zaraz zaatakował ją ponownie, dziko warcząc. Czarownica się cofała, wciąż wymachując rękawami. Minęła jakieś drzwi i dotarła do klatki schodowej, po czym padła na podłogę, zwinęła się i zamieniła w zwyczajny dym, który uleciał na schody, a potem zniknął.

Jerry i Dżamila odwrócili się w stronę sali szpitalnej. Lekarze, pielęgniarki i policjanci podnosili się na nogi. Wszyscy mieli czerwone twarze i osmalone włosy, a ich ubrania dymiły. Za wyrwanymi drzwiami paliły się wszystkie dwadzieścia dwa łóżka, pożerane przez zielony ogień, który wirował, tańczył i unosił się niemal po sam sufit. Piskłeta czarownicy płonęły.

Pielęgniarka oddziałowa, z przekrzywionym czepkiem na głowie, otrząsnąwszy się z szoku, wezwała straż pożarną. Maitland pobiegł w kierunku pożaru, zerwawszy z uchwytu gaśnicę, która wisiała na korytarzu. Zdjął zabezpieczenie i skierował strumień na plómienie, ale ogień był tak gorący, że policjant nie mógł się zbliżyć do łózek i rozpryskiwał proszek jedynie w pobliżu drzwi.

Dopóki nie pojawili się strażacy, wszyscy zgromadzeni mogli jedynie obserwować płonące łóżka. Po widmowych postaciach nie było już śladu, a dzieci w ogóle się nie ruszały. Żadne z nich nie krzyczało. Słychać było jedynie trzaskanie ognia i sprężyn pod materacami, które strzelały, kiedy palił się ściskający je do tej pory materiał.

Nikt nic nie mówił, nikt nie wspominał, że dzieci i tak żyłyby krótko i że tragedia, która się wydarzyła, właściwie jest dla nich błogosławieństwem kończącym udrukę, chociaż żadne życie nie powinno się przecież kończyć w taki sposób.

Gwałtownie i poniewczasie zareagowały zraszacze w suficie, zalewając wodą cały oddział. Woda spływała z nich, dopóki zielone plómienie nie skurczyły się i w końcu nie wygasły. W sali szpitalnej pozostały dwadzieścia dwa dymiące łóżka, czarne i mokre, przywodzące na myśl katafalki.

Z głośnym szelestem ogniodpornych i nieprzemakalnych kombinezonów na korytarz wbiegło pięciu strażaków, ale właściwie nie mieli już nic do roboty. Kiedy upewniali się, że dymiące materace nie mogą ponownie stanąć w plómieniach, Jerry i Dżamila podeszli na środek sali. Z łózek pozostały niemal wyłącznie poczerwiałe ramy, sprężyny i popiół. Gdzienigdzie było widać szczątki nieszczęsnych dzieci. Dym wciąż był gęsty jak zimowa mgła.

– Ta czarownica jest jak współczesny terrorysta, który raczej zabije własne dzieci, niż odda je niewiernym – odezwała się Dżamila.

Wrócili na korytarz. Jerry zerknął na ciało starca w brązowym tweedowym płaszczu. Jego głowa nadal leżała przy kaloryferze.

– Założę się, że to jest właśnie Malcolm Venables. Przypuszczam, że czarownica przywróciła go do życia i odtąd był jak zombi. W każdym razie nasi ludzie w Lambeth powinni wykonać testy DNA.

Dżamila przetarła oczy.

– Musimy ją jak najszybciej znaleźć, zanim spowoduje jeszcze więcej zniszczeń. Te biedne dzieciaki... Nigdy nie powinny były przyjść na świat, ale ona w pewnym

sensie miała rację. Skoro już żyły, ich życie było święte.

Jerry wzruszył ramionami.

– Myślę, że zdołamy ją dopaść. Musimy ją tylko znaleźć i, jak powiedziałaś, zastosować skuteczny sposób neutralizacji.

– „Neutralizacja” to wyjątkowo wymijające określenie.

– Tak, rzeczywiście. Ale nie możemy przecież aresztować dymu, prawda? Nie możemy dymowi założyć kajdanek, potraktować go paralizatorem ani zastrzelić. Po prostu nie da się tego zrobić.

Podszedł do nich posterunkowy Maitland. Twarz miał umazaną sadzą.

– Stary dobry Blizzard wciąż chodzi i węszy, zastanawiając się, gdzie zniknęła ta dymna zjawka. Chcę jednak powiedzieć, że kiedy będziecie gotowi, możemy za nią ruszyć i na pewno ją dopadniemy. – Zademontrował biały ręcznik szpitalny z widoczną czarną plamą. – Dym pozostawił na ścianach osad. Można w nim wyczuć jej zapach. Jeżeli ona jeszcze kiedykolwiek się ujawni, nieważne gdzie, Blizzard i inne nasze psy będą w stanie ją wytropić. Powiem wam coś o Blizzardzie. Potrafi wyczuć, że ktoś smaży kiełbasę w odległości dziesięciu kilometrów, i wtedy muszę go powstrzymywać, bo pobiegłby tam bez wahania.

Podał ręcznik Dżamili. Powąchała go i przekazała Jerry’emu.

– Zapach palonego drewna i cytryn – powiedział. – To na pewno jej zapach. Teraz musimy znaleźć trumnę, w której leżała, i księdza. Wtedy będziemy już dysponować wszystkim, co potrzebne do tego, żeby raz na zawsze z nią skończyć.

Wrócili na komisariat w Peckham dopiero po trzech godzinach. Kiedy jednak już się tam znaleźli, Jerry stwierdził ze zdziwieniem, że czeka na nich wielebny Denis O’Sullivan. Siedział spokojnie w ich biurze i przeglądał egzemplarz miesięcznika „Police”.

– Dotarła do mnie wiadomość, że chcą państwo ze mną rozmawiać o egzorcyzmach – powiedział z wyraźnym akcentem typowym dla Sligo. – Przypadkiem przyjechałem dzisiaj do St Thomas’ Hospital w Peckham, postanowiłem więc wstąpić także na policję. Młoda dama w recepcji powiedziała mi, że niebawem wrócićie.

Wielebny O’Sullivan był wikarym w kościele Matki Boskiej Bolesnej w Nunhead. Jerry starał się skontaktować z nim wcześniej, ponieważ biuro diakonatu poinformowało go, że ksiądz jest jedynym praktykującym egzorcystą na południe od Tamizy. Był niski, łysiejący, miał duże uszy i niezwykle gęste brwi. Nie nosił koloratki, ubrany był jednak całkowicie na czarno – miał czarną koszulę, czarną marynarkę i czarny płaszcz. Na stole przed nim leżał czarny kapelusz wędkarski.

Dzamiła wyszła na chwilę do toalety, więc Jerry podjął obowiązki gospodarza.

– Bardzo dziękuję za wizytę. Mam nadzieję, że ksiądz nie czekał na nas zbyt długo. Prawdę mówiąc, planowałem złożyć księdzu wizytę jeszcze dzisiaj.

– Nie, nie czekałem długo. Zaledwie dwadzieścia minut. A poza tym i tak mam dużo czasu.

Złączył dłonie na kolanach i pochylił się do przodu z zatroskanym wyrazem twarzy, jakby oczekiwał, że Jerry zacznie mu się spowiadać z tego, że popełnił cudzołóstwo albo ukradł z osiedlowego sklepiku sześciopak piwa.

– Przepraszam, że jestem trochę umorusany – powiedział Jerry. – Sierżant Patel i ja zmagaliśmy się niedawno z tragicznym pożarem.

– Pożarem? Dobry Boże! Czy ktoś stracił w nim życie?

– Jest to jeden z powodów, dla których chciałem z księdzem rozmawiać. Nie sądzę, żeby wiele osób kontaktowało się z Kościołem w sprawie egzorcyzmów, ale przypuszczam, że zrozumie ksiądz moje intencje, kiedy wszystko wyjaśnię.

– Być może mi pan nie uwierzy, ale ostatnio aż pięcioro parafian prosiło mnie o odprawienie egzorcyzmów. To znacznie więcej niż zazwyczaj. Żyjemy w tak bezbożnym świecie, że ludzie zaczynają wierzyć, że demony wpadły w amok. Coś w tym jest, muszę przyznać. Kiedy ktoś zamknie drzwi przed Bogiem, jednocześnie otwiera je diabłu.

Jerry pokrótce streścił historię czarownicy, opowiedział o jej spaleniu i starannym zamknięciu jeszcze dymiących prochów w trumnie przez Williama Trencha. Wspomniał o tym, że czarownica prawdopodobnie boi się psów. Następnie mówił o zdeformowanych dzieciach, zatorze w kanale i śmierci policyjnych techników,

a także o poćwiartowaniu Martina Elliota i oskórowaniu doktora Macleoda. Ksiądz O'Sullivan słuchał z zamkniętymi oczami, ale od czasu do czasu kiwał głową, wskazując Jerry'emu, że jest skoncentrowany, ani przez chwilę się nie nudzi, ani nie przysypia.

Kiedy Jerry skończył opisywać pożar w szpitalu dziecięcym, ksiądz przeżegnał się i otworzył oczy.

– Zakładam, że niczego pan nie ubarwił? – spytał.

– Nie. Wiem, że to wszystko brzmi niewiarygodnie, ale powiedziałem całą prawdę i tylko prawdę. Do tej pory ani słowa nie przeczytał ksiądz o tych wydarzeniach w żadnej gazecie, nie obejrzał też relacji w wiadomościach telewizyjnych, ponieważ odcięliśmy dziennikarzy od wszelkich informacji. Księdza będą także musiał poprosić o całkowitą dyskrecję.

– Wierzę panu – powiedział ksiądz O'Sullivan. – Czytałem o takich rzeczach w książkach, kiedy przygotowywałem się do roli egzorcysty, na przykład o przywróconych do życia dzieciach po aborcji, ale nie słyszałem, by działo się to w naszych czasach. Mówi się o takich dzieciach, że zawsze będą czuły do Boga urazę, ponieważ odwrócił się od nich. Nie interesował się nimi, kiedy znajdowały się w łonach matki, tak jak się tego po Bogu spodziewamy, i dlatego zostały poddane aborcji. Jednak przywrócenie ich do życia dzięki poczynaniom diabelskiej wiedzy sprawi, że będą nieskończenie wdzięczne diabłu i zostaną jego oddanymi sługami. –

Umilkł na chwilę, po czym spytał: – Niech mi pan powie: czy ten William Trench przypadkiem wspomniał, jak miała na imię ta czarownica?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. Alan Pattinson dysponował jedynie jego pamiętnikiem wypożyczonym z biblioteki. Zadzwoń do niego i zapytam go o imię czarownicy, może je znajdzie, jeżeli jeszcze książki nie zwrócił, ale we fragmentach, które i ja czytałem, nie natrafiłem na żadne imię. Trench nazywał ją po prostu „czarownicą”, to wszystko.

– Dobrze by było wiedzieć, kim była, skoro twierdzi pan, że William Trench wierzył, że jest ona najpotężniejszą czarownicą, jaką kiedykolwiek widziała Anglia. Na pewno więcej niż jedna czarownica twierdziła w szesnastym i siedemnastym wieku, że jest najpotężniejsza na świecie, ale kobiety, które nierozważnie twierdziły, że są czarownicami, były niezrównoważone, bo przecież konsekwencją ich wyznań było zwykle spalenie na stosie, utopienie w wiejskim stawie albo ukamienowanie.

Do pokoju weszła Dżamila. Pachniała perfumami Titan Celeste. Jerry rozpoznał ten zapach, ponieważ sam wysłał jej flakonik na ostatnie urodziny, za radą innej policjantki pochodzącej z Pakistanu.

– Ksiądz O'Sullivan mówi, że byłoby mu łatwiej, gdyby poznał imię naszej czarownicy.

– Ale my sami go chyba nie znamy, prawda? Opowiedziałeś już księdzu całą historię? O kluczach z sigilami demonów? O tych duchach, które widzieliśmy w szpitalu? I o Martinie Elliocie uprowadzonym w kanale, a potem ciężko okaleczonym?

– Tak. Wszystko.

– I o wiadomości, którą Martin Elliot napisał przed śmiercią?

– Ach, nie. Zapomniałem. Nie sądzę jednak, by miała jakieś znaczenie. Elliot napisał dwa słowa: „jaskinia” i „przyjaźń”. To wszystko. Według lekarza był bardzo niepokieszony, że nie przekazał nam tych słów wcześniej, ale wówczas znajdował się już w bardzo kiepskim stanie. Wspominałem, że został oślepiiony i pozbawiony nóg.

Ksiądz O’Sullivan wbił w Jerry’ego takie spojrzenie, jakby ten właśnie popełnił bluźnierstwo.

– Napisał „jaskinia”, a potem „przyjaźń”?

– Tak.

– A wie pan, że kiedy człowieka opanuje demon lub inna złośliwa istota, człowiek ten nie jest w stanie wypowiedzieć imienia tego szatana albo istoty? Po prostu nie potrafi go wyartykułować.

– Nie. Nie wiedziałem o tym. Przypuszczam jednak, że gdyby opanował mnie demon, także nie chciałbym głośno wypowiedzieć jego imienia, bo bałbym się, że przyjdzie do mnie ktoś taki jak ksiądz i wypędzi go ze mnie dzięki egzorcyzmom.

– A może wie pan, że w ostatnich minutach przed śmiercią każdy człowiek wraca do Boga, niezależnie od tego, co w życiu uczynił, że i w ciągu tych kilku minut demon lub inna złośliwa istota nie mają już wystarczającej mocy, aby uciszyć swoją ofiarę albo ukarać ją za nieposłuszeństwo?

– Szczerze mówiąc, o tym także nie wiedziałem.

– Jak pan sądzi, co myślał ten nieszczęsny człowiek, kiedy pisał „jaskinia”?

– Moim zdaniem chciał nam powiedzieć, że w jaskini ukryte były dzieci. Jak się okazało, tą kryjówką był zapomniany dół kloaczny.

– Nic z tego. To nawet nie było słowo w języku angielskim. *Cave* to po łacinie „strzeż się”. I wcale się nie dziwię, że Martin Elliot kazał wam się strzec. Szczególnie że słowo „przyjaźń” wcale nie oznaczało „przyjaźni” w sensie bliskiej relacji pomiędzy osobami. *Friendship*... Chodziło mu o nazwisko Adelizy Friendship. Księgi dostępne w Bibliotece Watykańskiej uznają ją za jedyną śmiertelną kobietę, która była kochanką szatana.

Jerry i Dżamila popatrzyli po sobie, a potem znowu spojrzeli na księdza O’Sullivana.

– Kochanką szatana? – powtórzyła Dżamila. – Przecież szatan to wytwór fantazji. Jest tylko pojęciem teologicznym. Jak to możliwe, żeby kobieta została kochanką pojęcia teologicznego?

– Myli się pani – oznajmił egzorcysta, zdecydowanie kręcąc głową. – Papież Franciszek powiedział, że szatan nie jest istotą rozproszoną. „Szatan nie jest mgłą”, tak się wyraził. „Jest osobą”. Proszę zerknąć do źródeł, jeżeli mi pani nie wierzy.

– A więc Adeliza Friendship była kochanką szatana. I to dlatego była też najpotężniejszą czarownicą w historii?

– Dokładnie. Szatan hojnie ją obdarzył. Podarował jej zdolności przekraczające najśmielsze wyobrażenia. Otrzymała dar widzenia przyszłości. Dar rozpalania ognia samym tylko wysiłkiem woli, czego oboje doświadczyliście. Dar uzdrawiania chorych: potrafiła zabijać wirusy, zanim ktokolwiek na świecie się dowiedział, że coś

takiego istnieje. Dar leczenia szaleńców, ponieważ potrafiła niszczyć guzy mózgu, zanim świat o nich usłyszała. Ale ponad wszystko szatan obdarzył ją mocą wskrzeszania umarłych.

– Czyli starzec, który wciąż się pojawiał na naszej drodze, naprawdę mógł być Malcolmem Venablesem?

– Wnioskuje z waszych opowieści, że jest to nie tylko możliwe, ale nawet bardzo prawdopodobne. Adeliza Friendship zawsze miała towarzysza. I to wcale nie czarnego kota, jak to bywa w książkach o czarownicach, ale zmarłego człowieka, którego sama wskrzesiła. Ktoś taki wykonywał za nią wszelkie nieprzyjemne prace, sprzątał jej dom, załatwiał różne drobne sprawy i szpiegował jej wrogów. I był tak wdzięczny za nowe życie, że gotów był zrobić dla niej wszystko. Wiedział również, że za najmniejsze nieposłuszeństwo skończy z powrotem w trumnie.

– I wielebny jest przekonany, że ta zakapturzona postać to właśnie ona? Lub jakiś rodzaj jej ducha?

– Mówiliście mi, że wystraszyła się psa. Dzięki temu nabrałem pewności. Jedną z najlepiej znanych historii z życia Adelizy Friendship głosi, że wskrzesiła ona dawną pogańską tradycję składania bogom w ofierze psów. Dzięki tym ofiarom dzieci z wrodzonymi wadami miały odzyskiwać zdrowie.

– Naprawdę coś takiego praktykowano?

– O tak. Aż do dwunastego wieku w Chinach, w Grecji i na Węgrzech złożono w ofierze tysiące psów. Jednak nie można popełnić masowej zbrodni przeciwko całemu gatunkowi, nie narażając się na zemstę tego gatunku, o czym kapłani z Chin, Grecji i Węgier przekonali się na własnej skórze. I Adeliza Friendship także się o tym przekonała. Mówiono, że psy atakowały ją wszędzie, gdzie tylko się pojawiła.

– Nie jestem pewna, czy potrafię to ogarnąć – powiedziała Dżamila. – Ona naprawdę była kochanką szatana? Czy jednak szatan nie ma rogów oraz ogona i nie mieszka w piekle?

– Oczywiście, że nie. Jak wyjaśnił papież Franciszek, szatan jest osobą, bardzo złą osobą, w takim sensie, że ma postać człowieka. Włada jednak wszystkimi piekielnymi demonami, z których każdy potrafi opętać człowieka, a opętani ludzie pracują później dla szatana. To dlatego chce też wskrzesić do życia te wszystkie płody unicestwione w łonach matek. One już na zawsze mają pozostać jego posłusznymi dziećmi.

– Wciąż nie potrafię zrozumieć, jak to się dzieje – powiedziała Dżamila. – Rozumiem, że można reanimować ludzi dzięki resuscytacji. Ale jeśli chodzi o te płody... część z nich wróciła przecież do macic matek albo dostała się do macic innych kobiet.

– Zgadza się. Jeżeli płód został usunięty, zanim rozwinął się na tyle, żeby przetrwać chociażby krótko poza macicą, Adeliza Friendship umieszczała go znowu w łonie biologicznej matki. A jeżeli to było z jakiegoś powodu niemożliwe, w macicy pierwszej lepszej kobiety, która mogła posłużyć jako surogatka. Poza tym jeżeli płód czuł, że nie jest zdolny do samodzielnego życia i poruszania, mógł samodzielnie szukać surogatki. Nawet z daleka Adeliza Friendship potrafiła obdarzyć go siłą wystarczającą przynajmniej do pełzania i znalezienia dla siebie czegoś, co w dużym

uproszczeniu moglibyśmy nazwać gniazdem.

– Tak. – Dżamila pokiwała głową. – Mieliśmy kilka takich przypadków. Teraz to wszystko zaczyna nabierać sensu. Co prawda „sens” nie jest tu odpowiednim słowem, ale potrafimy przynajmniej zrozumieć, co się dzieje i dlaczego.

– W Bibliotece Watykańskiej znajduje się książka pod tytułem *Progeniem nidosque diaboli est scriptor* – powiedział O’Sullivan. – W dosłownym tłumaczeniu znaczy to *Diabelskie piskłeta*. Książka szczegółowo opisuje, w jaki sposób zniszczone płody wracają do życia i za pomocą jakich środków tak zwane czarownice umieszczają te płody w macicach niewinnych kobiet, kiedy one śpią. Zdarza się zresztą, że płód samodzielnie wpełza do kobiety. Praktyka „wietrzenia” łóżek przez potrząsanie nad nimi pierzynami nie została wymyślona po to, żeby wysuszyć pościel po nocy, lecz po to, aby się upewnić, że w pościeli nie czai się żaden niepożądany płód. To właśnie dlatego tak popularne stały się kołdry. Pozwalały o wiele szybciej sprawdzić, czy przypadkiem w łóżku nie ukrył się nieproszony gość.

Kiedy ksiądz mówił, Dżamila włączyła komputer i wygooglowała Adelizę Friendship. Oprócz tekstu, który opisywał ją jako „okrytą złą sławą samozwańczą czarownicę z XIX wieku”, na ekranie pojawiło się kilka grafik. Jedna z nich przedstawiała samą Adelizę Friendship en face. Miała wielkie oczy, wysokie kości policzkowe i zmysłowe usta, a jej włosy były splecione w wymyślne warkoczyki. Unosiła lewą rękę, szeroko rozkładając palce, co było znakiem szatana.

Kolejna grafika – dość prymitywny drzeworyt – ukazywała Adelizę w luźnej spódnicy tańczącą z diabłem. W przeciwieństwie do diabła, którego opisał wielbny O’Sullivan, ten miał rogi, ogon i rozszczepione kopyta, a w łapie dzierżył trójząb.

Jerry uważnie obejrzał grafiki i przeczytał tekst. Nie wspomniano w nim ani słowem o Williamie Trenchu i o tym, jak spalił Adelizę Friendship. Napisano jedynie, że Adeliza „zniknęła” pewnego dnia we wrześniu 1859 roku i nikt już później o niej nie słyszał.

– Całkiem przyjemna babka, co? – zauważył Jerry. – Gdybym natknął się na nią w okolicy, na pewno bym ją zaczepił.

– Zauważ, Jerry, że ona jest istotą bezcielesną. Zresztą nawet gdyby było inaczej, to jest już po słowie z kimś innym – powiedziała Dżamila, po czym zwróciła się do księdza: – Zanim podpaliła te biedne dzieci, krzyknęła: „Amulet!” albo coś w tym stylu. Co to mogło oznaczać?

O’Sullivan przez chwilę się zastanawiał, a potem odparł:

– Możliwe, że przywoływała demona Adramelecha. Biblia wspomina, że Sefarwaici zwykli składać ofiary Adramelechowi, paląc dzieci żywcem. Zatem chociaż je zabiła, jej postępek mógł się spotkać z aprobatą szatana.

– Ksiądz wie, o co zamierzamy go poprosić, prawda?

– Tak, oczywiście. Niestety, nie mogę powiedzieć, że w przeszłości stosowałem egzorcyzmy wobec kogoś, kto został im poddany już wcześniej, a później został skremowany i teraz składa się wyłącznie z dymu. Adeliza bez wątplenia włada potężną mocą i chyba wolno mi państwa ostrzec, że ta moc pochodzi bezpośrednio od samego szatana, jej kochanka. – O’Sullivan na chwilę wbił wzrok w swój czarny

kapelusz wędkarski i zmarszczył czoło, jakby chciał do niego przemówić. – Jestem przekonany, że już wcześniej odprawiałem egzorcyzmy wobec autentycznych demonów. Pewien nauczyciel ze szkoły średniej w Bermondsey opętany był przez demona Krocę, który przejął jego mózg, w przebiegły sposób posługując się liczbami. Wyparłem go dzięki temu, że złamałem jego szyfry. Działalem tak, jakbym usuwał złośliwy wirus z twardego dysku komputera. Muszę jednak przyznać, że nigdy nie stanąłem przed szatanem twarzą w twarz. Mówiąc szczerze, szatan mnie przeraża. Mówi się, że potrafi opróżnić umysł każdego człowieka, który się uprze, aby stanąć z nim w zawody. Taki człowiek traci wszystkie wspomnienia, emocje, całą osobowość. Po starciu z szatanem wciąż żyje, ale w duchu jest martwy.

– Czy jednak ksiądz zrobi to dla nas? – zapytała Dżamila.

O’Sullivan popatrzył na nią i posłał jej zmęczony uśmiech.

– Proszę pani, całe moje życie bez wątpienia zmierza właśnie ku tej chwili. Dla niej się urodziłem, dla niej przyjąłem święcenia kapłańskie i dla niej rozpocząłem studia nad egzorcyzmami. To jest moja randka z przeznaczeniem. Pyta mnie pani, czy to zrobię. Ja przecież nie mam wyboru.

– Tylko niech się ksiądz na razie nie poddaje przeznaczeniu – powiedział Jerry. – Najpierw musimy tę Adelizę odnaleźć.

Wciąż rozmawiali z księdzem O’Sullivanem, gdy zadzwonił telefon Dżamili. Dyżurna z recepcji powiedziała jej, że na dole czeka Gemma z Jimem Featherem i jeszcze dwoma kanalarzami.

Kiedy goście przyszli na górę, do niewielkiego pokoju Jerry’ego i Dżamili, Gemma oznajmiła:

– Oto jesteśmy! Gotowi do boju, i to natychmiast!

– Dajcie nam jeszcze kilka minut – poprosiła Dżamila. – Mamy za sobą wyjątkowo wyczerpujący dzień i musimy się pozbierać. Przy okazji przedstawiam księdza O’Sullivana. Przypuszczam, że możemy go określić jako naszego doradcę duchowego.

– Właśnie kogoś takiego potrzebujemy, doradcę duchowego – powiedziała Gemma. – Nie uwierzycie w to, co powiem. Kontaktuję się na bieżąco z wykonawcami tunelu przepływowego do Greenwich, firmą Argent Pelle. Znam ich naczelnego inżyniera, Dana Beavisa. Dan jest najlepszy w tym biznesie. Pracował przy budowie linii Crossrail. Wiecie, co mi powiedział? Otóż rzeczywiście podczas robót pod Deptford Park natrafili na trumnę. Właściwie dwie trumny.

– Chyba żartujesz – odezwał się Jerry. – Dlaczego to się nie znalazło w żadnym raporcie?

– Nie doniesiono o tym, bo wydarzyło się to w środku nocy, o wpół do trzeciej. Pierwsza trumna spadła do tunelu niemal natychmiast po przejściu maszyny drążącej, a druga jakieś dwadzieścia minut później. Odłożono je, aby potem załadować na pociąg techniczny i wywieźć na powierzchnię. Ale następnego dnia nie było ich tam. Po prostu zniknęły.

– Zniknęły? W jaki sposób?

– Dan też nie potrafił tego wytłumaczyć. Ludzie z nocnej zmiany zaczęli się zastanawiać, czy im się przypadkiem te trumny nie przyśniły. Raczej nie byli pijani, ponieważ do tunelu nie wolno wnosić alkoholu, ale wiemy, że chętnie wstrzykują wódkę do jabłek i bananów.

– To wszystko robi się z każdą chwilą coraz bardziej dziwaczne – powiedział Jerry.

– Znikające trumny i banany z alkoholem. Chyba nadszedł już czas, żebym pojechał na wakacje.

– Dan powiedział mi, że postanowiono szybko zapomnieć o trumnach częściowo dlatego, że nie pozostał po nich żaden ślad, ale też dlatego, że należałoby zgłosić sprawę policji i przerwać wszelkie prace na czas śledztwa, a w kontrakcie wyznaczono ścisłe terminy. Nawet kilkugodzinny przestój oznaczałoby straty w wysokości dziesiątków tysięcy funtów. Każdy robotnik pracujący pod ziemią zarabia niemal sześćset funtów dziennie i może liczyć na premię, jeżeli plan zostanie wcześniej wykonany.

– Chyba wybrałem zły zawód – stwierdził Jerry. – Aha, ale cierpię przecież na klaustrofobię, szczególnie w kanałach ściekowych.

– Dan przyznał, że szybko zapomniał o trumnach. Miał na głowie mnóstwo innych spraw. Kiedy jednak do niego zadzwoniłam, bardzo poważnie zaczął się zastanawiać nad tym, gdzie one się właściwie podziały. Nie mogły zostać wywiezione głównym szybem dla robotników w Greenwich, ponieważ na pewno ktoś by o tym pamiętał. Jednak pomiędzy tunelem a głównym kanałem ściekowym pod Deptford wciąż jest dodatkowy kanał przepływowy, tak wąski, że trumnę ledwie dałoby się nim precyzyjnie przesunąć. Dan powiedział, że gdyby zabrała się do tego odpowiednio duża grupa ludzi, to owszem, mogliby wynieść te trumny z tunelu i przepchnąć je do kanału ściekowego. Później trumna mogłaby już popłynąć dosłownie wszędzie.

– Łatwo się mówi „odpowiednio duża grupa ludzi” – zauważył Jerry. – Ale jacy to mieli być ludzie? A jeżeli robotnicy, to co by nimi kierowało?

– Spójrz na to z innej strony – powiedziała Dżamila. – Może ludzie, którzy zabrali trumny, już wcześniej znajdowali się w kanałach ściekowych? Przecież wszyscy ci robotnicy są przez cały czas skoncentrowani na pracy, ciężkiej, trudnej i niebezpiecznej. Może po prostu nie zauważyli intruzów?

– Masz rację – zgodziła się Gemma. – Kiedy obsługują maszyny drążące, muszą być w stu procentach skupieni na tym, co robią. Kreda i warstwy gliny, przez które się przedzierają, to bardzo niepewny, niestabilny grunt, dlatego przez cały czas muszą pilnować, żeby tunelownica nie zbcoczyła z kursu, nawet o kilka centymetrów. Poza tym jakoś sobie nie wyobrażam, żeby ciężko pracujący robotnicy znaleźli czas na wyniesienie spod ziemi dwóch trumien. Trudno też znaleźć tutaj motyw, o czym właśnie wspomniał detektyw Pardoe.

– Mówisz o dzieciach, prawda? – Jerry zapytał Dżamilę. – Sugerujesz, że to dzieci weszły do tunelu i zabrały trumny?

– A kto inny? Kto inny chciałby zabrać trumnę wypełnioną dymem czarownicy?

– Jesteśmy gotowi do drogi – przypomniała Gemma. – Proponuję rozpocząć w kanale ściekowym pod Deptford i przekonać się, dokąd nas to doprowadzi. Cały czas będzie nam towarzyszyła na powierzchni grupa z georadarem, więc nawet jeżeli trumny znajdują się pod powierzchnią ścieków albo utknęły gdzieś w zmydlonym tłuszczu, damy radę je zlokalizować.

– Bardzo słusznie – przyznał Jerry. – Musimy jednak zabrać ze sobą kogoś jeszcze, mianowicie Blizzarda. Jeżeli ta czarownica przebywa gdzieś w kanałach, Blizzard na pewno ją odnajdzie. Poza tym, z tego, co wiemy, jest jedyną żywą istotą, której ona się boi. – Zerknął na O’Sullivana. – I co? Idzie ksiądz z nami?

– O mój Boże – jęknął O’Sullivan i się przeżegnał.

Zgromadzili się na rogu Oxestall Road i Evelyn Street, długiej prostej ulicy biegnącej od Deptford przez Surrey Quays. Kolejni trzej kanalarze unieśli pokrywę wjazdu i odgradzili go barierkami. Na pasie dla autobusów zaparkowały dwie furgonetki z Crane’s Drains.

Zaczął padać gęsty deszcz. Prognozy pogody podawały, że tak będzie już do końca

dnia, dlatego kanalarze rozstawili nad włazem niebieski winylowy namiot.

– Chyba nie chcecie zmoknąć, co? – powiedział jeden z nich.

Spomiędzy warg zwiślał mu zawilgocony skręt.

– Stary, my przecież schodzimy do kanału – odpowiedział Jerry. – I tak będziemy mokrzy.

– Och, jeszcze nie byłeś, człowieku, w kanale w czasie wielkiej burzy. Dopiero jak to przeżyjesz, będziesz mógł opowiadać, że naprawdę w życiu zmokłeś.

Kiedy Dżamila, Jerry i ksiądz O’Sullivan wkładali wodoodporne kombinezony i rękawiczki oraz przymierzali plastikowe maski, pod namiot wszedł jeden z mężczyzn obsługujących georadar. Był to poważny młodzieniec w żółtej kamizelce odbłaskowej, nosił duże okulary i miał cienki wąsik.

– Masz taką minę, jakbyś coś znalazł – powiedziała do niego Gemma.

– Podobno szukacie dwóch trumien. Zlokalizowaliśmy metaliczny obiekt w kanale ściekowym mniej więcej osiemset metrów na północ stąd, pod Chilton Grove. Ma prostokątny kształt, około dwa i pół metra długości oraz metr szerokości.

– Tylko jeden obiekt?

– Wciąż skanujemy teren. Znaleźliśmy także wózek dla lalek, chociaż jeden Bóg wie, w jaki sposób trafił do kanału.

– Bóg na pewno to wie – zgodził się ksiądz O’Sullivan. – Wątpię jednak, by zechciał nam powiedzieć.

Natychmiast po wyjściu technika ponownie uniosła się winylowa płachta w wejściu do namiotu i ukazał się posterunkowy Maitland.

– Przyjechałem jak najszybciej – powiedział. – Blizzard musiał dokończyć lunch. Zazwyczaj po posiłku zabieram go na spacer, ale skoro schodzimy do kanału ściekowego...

Jeden z kanalarzy podał mu wodoodporny kombinezon i maskę ochronną.

– A Blizzard? – zapytał Jerry, kiedy Maitland dopinał zamek błyskawiczny.

– Blizzard ma własny kombinezon wodoodporny, obejmujący także łapy. Nienawidzi go, ale ta nienawiść będzie naszym dodatkowym atutem, kiedy natkniemy się na tego stwora, ponieważ będzie wtedy po dwakroć bardziej agresywny. Mam ze sobą poplamiony ręcznik, który zabrałem ze szpitala. Dam mu go do powąchania, zanim zejdziemy na dół. Zaraz go przyprowadzę. Leży nadąsany w furgonetce.

Po kilku minutach powrócił z Blizzardem na krótkiej smyczy. Blizzard ubrany był w czarny jednoczęściowy psi kaftan z otworami na łeb i ogon. Miał wysunięty język i wytrzeszczone ślepia. Wyraźnie nie cierpiał stroju, w którym wyglądał naprawdę głupio.

Kiedy wszyscy zgłosili gotowość, zeszli do kanału. W jasnym blasku lamp ledowych Jerry zorientował się, że kanał ma identyczne rozmiary jak ten pod Southampton Way, ale ścieki sięgały tu ludziom zaledwie do kostek, ponieważ nie blokował ich zator. Kiedy jednak po raz pierwszy nabrał powietrza, zorientował się, że odór jest tutaj równie ostry. Popatrzył na Dżamilę i zmarszczył nos, ale go zignorowała. Dla niej polowanie na ducha Adelizy Friendship było zajęciem zbyt strasznym i poważnym, aby stroić sobie żarty. Szukała kobiety opętanej przez diabła

wywodzącego się z obcej kultury i z obcej religii, więc chociażby z tego powodu czuła się dziwnie bezbronna, gdyż spodziewała się, że w tych okolicznościach nie ochroni jej w niebezpieczeństwie żadna ze znanych jej modlitw.

Maitland szedł pierwszy, rozpryskując butami ścieki i trzymając na krótkiej smyczy Blizzarda, który wyrwał się do przodu. Jerry i Dżamila szli zaraz za nim. Za Dżamilą maszerowała Gemma. Znała układ i funkcjonowanie kanałów, dlatego mogła natychmiast reagować na wszelkie zagrożenia.

Za Gemmą podążał Jim Feather, następnie szedł ksiądz O'Sullivan, a pochód zamykali dwaj krzepcy kanalarze. Jeden z nich był Nigeryjczykiem i katolikiem – trzymał dłoń na prawym ramieniu księdza i pilnował, żeby O'Sullivan się nie poślizgnął i czuł się bezpiecznie.

Po niecałym kwadransie dotarli do skrzyżowania z Chilton Grove. Kiedy byli już blisko, Blizzard zaczął szaleć. Szczekał, rozbryzgiwał ścieki i szarpał smycz ze zdwojoną energią.

– Wyczuł zapach – powiedział przez ramię posterunkowy Maitland.

– Naprawdę? – odezwał się Jerry. – Nie tylko on.

Dżamila dwukrotnie powtórzyła słowo „tak” do mikrofonu w radiotelefonie i poklepała Jerry'ego po plecach.

– Ludzie od georadaru przypuszczają, że właśnie znaleźli drugą trumnę. Przy końcu Chilton Grove. Chyba jest poważnie zniszczona, ale raczej na pewno jest to trumna, której szukamy.

– Zatem mamy szczęście, jeżeli można w ogóle tak powiedzieć po znalezieniu w kanale ściekowym dwóch trumien.

Dotarli do rogu Chilton Grove i rzeczywiście natrafili na trumnę. Była oparta o ścianę po prawej stronie. Podekscytowany Blizzard skakał jak szalony i Maitland musiał krzyknąć, żeby go uspokoić. Nawet po reprimendzie pies drżał, głośno węszył i przebierał łapami w ściekach.

– To jest jej trumna, prawda? – zapytał Jerry.

Podszedł do niej i wyciągnął rękę, coś go jednak ostrzegło, żeby jej nie dotykał, nawet w rękawicach ochronnych.

Trumna była wykonana z szarego metalu, w wielu miejscach pozieleniałego od korozji. Miała kształt prostopadłościanu, jak zwyczajne pudełko, i w ogóle nie przypominała zwykłej trumny. Z otworów w jej wieku całymi tuzinami, niczym kolczyki, zwisały otwarte kłódki.

Blizzard ledwo panował nad sobą i nasikał do kanału. W tej samej chwili do przodu wystąpił ksiądz O'Sullivan, trzymając przed sobą duży srebrny krucyfiks. Jego twarz za maską ochronną była szara jak popiół.

– Mój krucyfiks się rozgrzewa – powiedział. – Czytałem o tym wcześniej, ale nigdy nie doświadczyłem czegoś takiego osobiście. Krzyż jest tak gorący, że nie wiem, czy dam radę go utrzymać.

Blizzard nieustannie warczał i drapał trumnę pazurami, jakby chciał do niej wleźć.

– Ona jest w środku – wydusił posterunkowy Maitland. – Ta cholera tam jest.

– Dobry Boże! – krzyknął ksiądz O’Sullivan.

Srebrny krucyfik się topił. Jego ramiona opadły na palce wielebnego, a głowa Jezusa zmieniła się w lśniącą kulkę, która najpierw przylgnęła do rękawicy O’Sullivana, a po chwili spadła do ścieków.

Wszystkie lampy ledowe nagle zgasły, po sekundzie padły też latarki przymocowane do kasków i kanał pogrążył się w absolutnej ciemności.

– Tylko bez paniki! – krzyknął Jim Feather. – Spróbujcie włączyć zapasowe oświetlenie, a jeśli ono także nie zadziała, będziemy musieli się stąd wycofać tą samą drogą!

Przez kilka sekund słychać było jedynie szelest kombinezonów i plusk ścieków. Wreszcie odezwała się Gemma:

– Jim, moje lampki nie działają. Wynośmy się stąd.

Jerry wyciągnął rękę w ciemność i natrafił najpierw na ramię, a następnie na dłoń Dżamili.

– Chodźmy, pani sierżant. To jedna z takich chwil, w których o waleczności może zaświadczyć tylko zajebicie szybka ucieczka.

Gemma już się obróciła i zbliżyła do Feathera. Ale nie zdołali pokonać nawet kilku metrów, gdy nastąpił ogłuszający huk, mrok rozświetliły jakby fajerwerki i nagle w kanale przed nimi wściekle buchnęły zielone płomienie, wysokie aż po strop. Jerry poczuł identyczną falę gorąca jak wtedy, gdy zapłonęła sala w szpitalu dziecięcym. Musiał odwrócić głowę w bok, ponieważ plastikowa maska nie dawała praktycznie żadnej ochrony przed wysoką temperaturą.

– Musimy iść w drugą stronę! – krzyknęła Gemma. – Na Plough Way jest jeszcze jeden wąż!

Blizzard wciąż skakał przy trumnie, ale posterunkowy Maitland szarpnął go i pociągnął w kierunku północnym. Jerry jeszcze się odwrócił, aby się upewnić, że nikt z grupy nie odniósł obrażeń, po czym razem z Dżamilą pośpieszył za przewodnikiem i psem. Zielone płomienie rysowały na ścianach kanału szalone wzory. Wyglądały jak tańczące demony, a oślepiające refleksy spod butów sprawiały wrażenie, że ścieki się palą.

Przeszli niecałe piętnaście metrów, gdy przez kanał przed nimi przetoczył się kolejny grzmot i drogę ucieczki odciął jeszcze gwałtowniejszy zielony ogień.

– Święty Patryku! – powiedział ksiądz O’Sullivan i dwukrotnie się przeżegnał. – Ta czarownica wpędziła nas w pułapkę!

Jerry zatrzymał się i popatrzył za siebie. Czuł, że ogień gwałtownie pożera cały tlen, jaki pozostał w kanale, a powietrze robi się z każdą sekundą coraz gorętsze. Widział też, że płomienie coraz bardziej zbliżają się do ludzi. Niedługo wszyscy spłoną, jak dzieci na oddziale wyciszenia.

– Jerry, zróbmy coś! – zawołała Dżamila i mocno zacisnęła dłoń na jego rękę. – Nie możemy umrzeć!

Na ułamek sekundy przyszło mu do głowy, że ocala życie, jeżeli zanurkują w ściekach, lecz przecież nie byłoby w stanie wytrzymać bez oddychania dłużej niż kilkunastu sekund i nie mieli żadnej gwarancji, że w tym czasie płomienie przesuną się nad nimi i pognają dalej. Poza tym jeżeli już Jerry miał wybierać rodzaj śmierci, to wolał zostać skremowany, niż utopić się w odchodach.

Nagle przypomniał sobie, w jaki sposób Adeliza Friendship złożyła w ofierze dwadzieścioro dwoje dzieci. Zrobiła to w jednej krótkiej chwili, nie dając im żadnej szansy na ucieczkę. A teraz owszem, ściany zielonego ognia wciąż się zbliżały, ale dlaczego Adeliza nie zabiła całej grupy od razu?

Zobaczył, że Blizzard z trudem chwyta powietrze, a jednak wciąż szarpie za smycz, pragnąc się dostać do trumny. Aha, pomyślał. Ocali nas Blizzard. Jest psem, a ona boi się psów. Może nawet nie jest w stanie go dotknąć. Zapewne pozwoliłaby mu się udusić, ale sama nie potrafi go zabić.

Jerry uwolnił się od dłoni Dżamili i podszedł do Maitlanda.

– Daj mi Blizzarda.

– Co? Dlaczego? Nie pójdzie z panem.

– Powiedz mu, że ma to zrobić. Dalej, stary. To jest nasza jedyna szansa. Chyba nie chcesz się tu usmażyć, co?

Maitland przykucnął obok Blizzarda i powiedział do niego:

– Masz teraz słuchać detektywa Pardoe. Do roboty!

Podał smycz Jerry’emu, a on pozwolił psu pobiec do trumny. Nie miał zresztą wyboru. Pies po prostu nim szarpnął, tak mocno, że Jerry niemal stracił równowagę.

Płomienie po obu stronach zbliżały się nieuchronnie. Gemma padła na kolana, a Jim Feather stał nad nią, starając się do ostatniej chwili osłaniać ją przed gorącym. Książd O’Sullivan stał z otwartymi oczami, pochyloną głową i złożonymi rękami. Modlił się. Dwaj kanalarze ściskali się jak bracia, którzy odnaleźli się po długiej rozłące.

Jerry podszedł do trumny, a Blizzard skoczył na jej bok.

– Siad! – rzucił Jerry.

Maitland zza jego pleców zawołał:

– Siad, Blizzard! Słuchaj poleceń!

Blizzard posłusznie usiadł przy trumnie, ale wciąż był niespokojny. Oblizywał się, a z głębi jego gardła dobiegały ciche piski.

Jerry wsunął palce w uchwyty z boku trumny. Głęboko wciągnął w płuca gorące powietrze, zakaszał, po czym szarpnął pokrywą. Poruszyła się tylko nieznacznie. Była cięższa, niż się spodziewał, i przez kilka sekund bał się, że będzie musiał opuścić ją z powrotem. Zacisnął jednak zęby, spróbował jeszcze raz i wtedy pokrywa oderwała się od trumny i trzaskiem uderzyła w dno kanału.

Rozległ się przenikliwy skowyt i z trumny uniosła się stworzona z dymu postać Adelizy Friendship w płaszczu z wysoko sterczącym kapturem i obszernymi rękawami. Jerry cofnął się i prawie stracił równowagę. Spojrzał pod kaptur i zobaczył

twarz czarownicy, olśniewająco białe oczy, szeroko otwarte usta, obnażone zęby. Zobaczył kochankę szatana ogarniętą szatańską furją.

– Zabij, Blizzard! – krzyknął niemal histerycznie i puścił smycz. – Zabij!

Blizzard rzucił się na Adelizę Friendship, ale jego szczęki natrafiły wyłącznie na dym i opadł do ścieków. Zaraz jednak wstał i zaatakował po raz drugi.

Adeliza Friendship zaczęła wirować jak burza pyłowa. Na dobre wydostała się z trumny i popłynęła aż pod strop kanału, machając rękawami.

Ksiądz O’Sullivan stanął poniżej, popatrzył na nią surowym wzrokiem i wykonał znak krzyża.

– Rozkazuję ci, demonie, odejść! Rozkazuję ci, żebyś opuścił ten świat i wrócił do czeluści piekła, w którym zostałeś spłodzony. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, idź precz! Idź precz! Idź precz!

Postać Adelizy Friendship rozpościerała się pod stropem kanału jak drapieżny ptak. Z obu stron napierał zielony ogień, a Jerry pomyślał, że odmawiając odejścia, czarownica okazuje księdzu O’Sullivanowi pogardę, bo jest pewna, że nic jej nie grozi. Ale Blizzard znów skoczył i głośno zawarczał, więc Adeliza w końcu się okręciła, skierowała na północ i przesuając się pod stropem kanału, zniknęła w płomieniach.

A płomienie natychmiast zaczęły słabnąć przez chwilę migotały i wreszcie zgasły. Siedem osób spoglądało po sobie z niedowierzaniem.

Jerry zajrzał do trumny. Jej dno pokrywała cienka warstwa szarego popiołu, a na szarym popiele spoczywała ręczna piła. Jej ząbkowane ostrze poplamione było bursztynowymi kroplami zakrzepłej krwi.

Popatrzył na Dżamile.

– Oto nasze narzędzie zbrodni, jeżeli się nie mylę.

– Ale jak wyjaśnimy koronerowi, że kobieta składająca się wyłącznie z dymu potrafiła przenosić piłę?

– Skłamiemy – odparł Jerry. – Nie po raz pierwszy.

W kanale pojawiło się chłodniejsze powietrze. Cuchnęło ściekami, ale przynajmniej można było nim oddychać.

– Co za gówno – powiedział Maitland.

Ksiądz O’Sullivan jeszcze raz się przeżegnał.

– Obawiam się, że to dobre podsumowanie tego wszystkiego – powiedział.

Jedenaście dni później Louise obudziła się i zobaczyła, że świeci słońce. Usiadła na łóżku i zdała sobie sprawę, że nie znajduje się w swoim pokoju w domu spokojnej starości w Whittington, ale w pokoju szpitalnym i otacza ją mnóstwo ekranów. Kręciło jej się w głowie, wyczuwała obrzęk pomiędzy nogami, jakby ktoś wielokrotnie poczęstował ją tam kopniakami.

Wtedy sobie przypomniała. Dopadły ją nagłe bóle i skurcze. Potem Linda Pearson, jej współpracownica z domu spokojnej starości, odwiozła ją do Centrum Medycznego. Nie pamiętała jednak, co wydarzyło się później.

Nacisnęła przycisk, żeby wezwać pielęgniarkę. Po kilku sekundach rozsunięła się

otaczająca ją zasłona i stanęła przed nią uśmiechnięta kobieta.

- Już nie śpisz! Jak się czujesz!
- Strasznie. Jestem kompletnie skołowana.
- Cóż, musieliśmy wykonać znieczulenie ogólne.
- Urodziłam?

Pielęgniarka miała dziwną twarz, niczym u lalki, o ustach pomalowanych jaskrawoczerwoną szminką. I ciągle się uśmiechała.

- Tak, urodziłaś.
- I... jakie one są?
- Jak wszystkie dzieci. Czego się spodziewałaś?
- Ale... zdjęcia wskazywały, że one nie są normalne.
- To zależy, co dla ciebie oznacza słowo „normalne”, prawda?
- Gdzie one są? Nie muszę ich zobaczyć, ale chcę wiedzieć, gdzie są. Co się z nimi stanie?

- Odeszły.
- Odeszły? Dokąd?

Pielęgniarka usiadła na skraju łóżka i ujęła dłoń Louise.

– Ja je zabrałam – powiedziała. Jej głos nagle stał się chrapliwy, jak u kobiety, która przez całe życie paliła papierosy.

- Ty je zabrałaś? Nie rozumiem.
- One są moimi pisklętami. Nie martw się. Dobrze się nimi zaopiekuję. One są święte. Wszystkie dzieci są święte. Nawet dzieci zapomniane przez Boga.

Tego autora nakładem Domu Wydawniczego REBIS ukazały się m.in.

Bazyliszek
Dziedzictwo
Czerwony Hotel
Dżinn
Festiwal strachu
Kostnica
Noc gargulców
Panika
Rytuał
Trans śmierci
Wirus
Wojownicy nocy

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[Polecamy](#)

[Strona redakcyjna](#)

Tytuł oryginału: *The Children God Forgot*

Copyright © Graham Masterton, 2020

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation and e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2020

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Krzysztof Tropiło

Projekt i opracowanie graficzne serii: Izabella Marcinowska

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Krzysztof Rychter

Fotografia na okładce © Captblack76/Shutterstock

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Dzieci zapomniane przez Boga*, wyd. I, Poznań 2020)

ISBN 978-83-8188-768-7

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 825 19 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**